

Właściwie powinno się zacząć tę opowieść od momentu kiedy Łucję wypełniało bezbrzeżne poczucie szczęścia. Ale to było w tamtym życiu. Tak trudne teraz do przyjęcia, słodkie, jak druga tabliczka najlepszej czekolady - słodkie do obrzydzenia.

Czas Łucji

Iwona
ŻYTKOWIAK


Replika

Czas Łucji



Iwona
ŻYTKOWIAK

Czas Łucji


Replika

Jego pamięci

*Jestem srebrne i dokładne. Nie mam uprzedzeń.
Cokolwiek widzę połykam natychmiast
Takie, jakie jest, niezamglone ani miłością, ani nienawiścią.
Nie jestem okrutne tylko prawdomówne –
Oko małego, czworokątnego boga.
Większość czasu medytuję na przeciwległej ścianie.
Jest ona różowa i nakrapiana. Patrzyłem na nią tak długo
Że sądzę iż stała się częścią mojego serca. Lecz ona migoce.
Twarze i ciemność rozdzielają nas bezustannie.*

*Teraz jestem jeziorem. Kobieta pochyla się nade mną,
Przeszukuje aż do dna, żeby odkryć kim jest naprawdę,
Potem zwraca się do tych kłamców, świec i księżycy.
Widzę jej plecy i odbijam je wiernie.
Nagradza mnie łzami i niepokojem rąk.
Jestem ważne dla niej. Odchodzi i powraca.
Co rano twarz jej zastępuje ciemność.
We mnie zatopiła młodą dziewczynę i we mnie stara kobieta
Staje naprzeciw niej, dzień po dniu, jak okropna ryba.*

Lustro Sylwia Plath przełożył Zbigniew Herbert

Mamo, kiedy piszesz powieść, możesz napisać ją od nowa, ale kiedy żyjesz z kimś przez dwadzieścia lat, to też jest powieść, której nie napiszę już z nikim innym!

(Elizabeth Strout *Mam na imię Lucy*)

– Czy zastanawiał się pan kiedyś, jak silnie związani jesteśmy z przeszłością? Niekoniecznie naszą. Zresztą cóż to jest nasza przeszłość? Gdzie są jej granice? To jest coś w rodzaju bliżej nieokreślonej tęsknoty, tylko za czym? Czy nie za tym, czego nigdy nie było, a co jednak minęło? Przeszłość to tylko nasza wyobraźnia, a wyobraźnia potrzebuje tęsknoty, wręcz karmi się nią. Przeszłość, drogi panie, nie ma nic wspólnego z czasem, jak się sądzi. Zresztą cóż to jest czas?

(Wiesław Myśliwski *Traktat o luskaniu fasoli*)

*Nie będzie żadnej chronologii ani konsekwencji.
Nie będzie żadnego początku ani końca.
Porozrywane wątki, niedokończone sprawy...*

w świecie przed TYM

Zawsze mu się wydawało, że ze wszystkim zdąży. Tyle czasu ma przed sobą. Nie zakładał takiego końca! Nie teraz! Właśnie wszystko zaczęło się składać niczym puzzle, trybiły wszelkie sprawy.

po TYM

Siedziała z głową podpartą dłońmi. Już chyba z godzinę. Postawiła przed sobą lampkę wina i lustro. Rewelacyjne połączenie! Bawiła się swoim odbiciem. Przed nią lustro, za nią lustro. Takie poszukiwanie detali trochę tak jak u van Eycka w *Portrecie małżonków Arnolfinich*, tylko że ona jest sama, ani jego, ani psa... Sama... Przyłgnęła wargami do chłodnej tafli. Szeptala usta-usta:

– Okej. Umarłeś. Nie ma cię. Rozumiem. Każdy ma prawo do odpoczynku. Prawo do powiedzenia sobie: „dość”. Jasne! Nie pomyślałaś o mnie, bo niby dlaczego? Nie zabrałaś mnie ze sobą. A zawsze byłeś zły, kiedy wychodziłam gdzieś sama. Ba! Kiedy wyjechałam na kilka dni, to chyba z miesiąc nie odzywałeś się do mnie. A teraz... Teraz pewnie uważasz, że jesteś w porządku. Siła wyższa! Pewnie. Można i tak. W obliczu wieczności czymże byłam dla ciebie? Uciekłeś przed światem. Do spokoju. Miałaś prawo nie pomyśleć o mnie. Bo czymże jestem naprzeciw owej siły, która decyduje o naszym życiu lub śmierci? Poddałeś się jej

pokornie. Zawsze przyjmowałaś los bez żadnych pytań czy sprzeciwów. Umarłaś bez zapowiedzi, żadnych sygnałów, znaków. Tak sobie. Decyzja zapadła lekko. Jak u mnie, kiedy sobie myślałam: „Chyba obetnę włosy”. Bez konsekwencji. Rano zjadłaś śniadanie, ogoliłaś się przed lustrem.

– O! – Chwyliła lustro w ręce i trzymając je blisko twarzy, obejrzała jego pospolitą ramę, posuwając delikatnie palcami po obrzeżach, jakby to było dzieło sztuki, a nie zwykły przedmiot i bardziej zdecydowany ruch mógł wyrządzić mu krzywdę – zetrzeć politurę, zarysować. Obracała owalem w górę, w dół, jakby spodziewała się zobaczyć w nim kogoś innego.

– Przecież to jest wciąż to samo lustro! – powiedziała do siebie niemal odkrywczco.

Zamoczyła usta w cierpkim winie.

– Zawsze podobałaś mi się taki nieogolony. Dwudniowy zarost. Chyba nigdy ci o tym nie powiedziałam. Ty też niewiele mówiłaś.

w tamtym świecie przed TYM

Nie lubił używać słów. Bywały mu potrzebne, ale tylko czasami i tylko wówczas, kiedy w żaden sposób nie umiał w innej formie przekazać komunikatu. Cóż to zresztą były za komunikaty?! Głównie płaćności albo sprawy formalne związane z prowadzeniem firmy, co, nawiasem mówiąc, w niewielkim stopniu jej dotyczyło, bardziej było to mówienie na głos, żeby utrwalić. Jak nauczanie wiersza na pamięć.

Słowa. Bardzo je oszczędzał. Używał ich tylko w chwilach ważnych i decydujących. A wtedy stawały się warunkiem sine qua non dla wszelkich jego poczynań. Te słowa zyskiwały nieodwołalnie moc sprawczą. I może z tego powodu oszczędzał słowa. Żeby za dużo się nie stało...

Ale za to czasem lubił, jak ona mówiła. Wsłuchiwał się w melodię jej głosu. Chciał się nasycić nim na zapas. Bał się, że to ona go zostawi, była taka krucha. Nigdy nie nabrała figury kobiety. Kiedyś Łukasz, ich syn, gdy był całkiem mały – dziesięć, może jedenaście lat – zapytał, dlaczego nie może wyglądać jak inne mamy. Takie pulchne, miękkie jak kot, a za to wygląda jak jego trochę tylko starsze koleżanki. Rzucił wtedy okiem na żonę. Rzeczywiście. Jakaś taka filigranowa była. A tu sprawdziło się przekleństwo o tym, „kto skrzypi, a kto umiera”.

nie tak dawno przed TYM

– ...a potem poczułeś fizjologię: w łędźwiach, w trzewiach. Wokół ciebie zrobiła się plama. Jakbyś rozlał herbatę. Ale to już pozostało poza twoją świadomością. Nie zdążyłeś nawet krzyknąć, nie miałeś siły zawołać. Nie chciało ci się. Byłeś zmęczony. Na końcu pomyślałeś: „Niech się stanie”. I stało się. Ledwie sekundy patrzyłam na ciebie zdumiona. To jakiś żart? Jakiś spektakl? To do ciebie niepodobne. Przyjmowałeś życie dosłownie. Zbyt dosłownie! Rzuciłam wyprasowaną bluzkę. I jak stałam: w półhalce, na bose nogi, w niedopiętym biustonoszu rzuciłam się w twoim kierunku. Patrzyłeś na mnie szeroko otwartymi oczami. Nie wiem, co było w tym spojrzeniu. Może strach. A potem już tylko telefon, karetka.

Młoda lekarka szarpała twoim ciałem. Ja we framudze drzwi. Zdziwiona. Tak, to właściwe słowo. Stałam jak ta głupia i byłam zupełnie zdziwiona. Nie bałam się, bo czego miałam się bać. A ty? Ty już nie wiedziałeś, że ja to ja, że świat to twój świat. Wygodnie. Egoistycznie. Przyzwoliłeś na amnezję. Tylko zupełnie nie pomyślałeś, że mnie nikt nie podarował niepamięci! Bo ja jestem i ty we mnie jesteś. I szlag mnie trafia! Za twój egoizm, zapatrzenie w siebie.

trzy lata po TYM

Kobieta szurnęła lustrem. Jutro znowu podeprze głowę... tak jak wczoraj i przed... i przed... Trzy lata! Żałoby? Żałoba to chodzenie w czarnych sukienkach, noszenie smutnej miny i unikanie rozrywki – przez rok. Tak nakazują zwyczaje. Po matce też rok, ale ojciec to już tylko pół roku, babka ma swoje trzy miesiące. Więc jeśli nie wygląda jak grecka żałobnica, nie ma poranej paznokciami twarzy, powyrywanych z rozpaczony włosów, jeśli nie zasłaniała kirem okien od ulicy, a na drugi dzień po pogrzebie włożyła na siebie beżowy kostium... To cóż to za żałoba! A kiedy weszła do sklepu na osiedlu, ekspedientka spoglądała na nią, nie kryjąc wręcz potępienia. Matka przyszła do niej któregoś kolejnego dnia (po pogrzebie Edwina była u niej niemal co dzień), obrzuciła ją nieprzyjemnym spojrzeniem i rzuciła z sarkazmem:

– Obrączkę przełóż na lewą rękę. Jesteś wdową.

Zaczekała chwilę, czy aby wykona jej polecenie, a potem dodała karcącym tonem:

– Wypada się nosić jak wdowa.

Łucja zignorowała tę uwagę. Słowa rozpuściły się w powietrzu jako nic nieznaczące. Jak opar. Kolejne puste słowa rzucone w przestrzeń. Trudno się było doszukać w życiorysie matki jakichkolwiek znaków czasu, kiedy to formy i ceremoniałły stały się dla niej takie ważne. Nie celebrowała życia...

A może to stało się wtedy, kiedy Łucji babka pobłogosławiła jej rodziców przed ślubem. Klęczeli wówczas na wytartym, zdeptanym chodniku w pokoju, który hucznie nazywano stołowym. Istotnie stał tam wielki dębowy stół i pokój był duży, ale to było tyle z owej powagi, jaką dziadkowie usiłovali mu przypisać. Ojciec kołysał się, starając się ponad wszystko zachować pion i kątem oka łypał tylko na suto jak na ową sytuację zastawiony stół. Przybył znikąd i od zawsze trawił go głód. Stanisława kreśliła znak, całowała oburącz ujęte czoła, a to Marysi, a to jej nowo poślubionego małżonka i nawet słowa nie rzekła, bo dławily ją łzy, nie pozwalając wybrzmieć nawet pospolitemu „Z Bogiem”.

tuż po TYM

„Wdowa?” – pomyślała. Dziwny wydał jej się ten wyraz w zestawieniu z jej osobą. – „Jestem Łucja. Jestem wdową po moim nieżyjącym małżonku Edwinie. Mój mąż świętej pamięci nieboszczyk uczynił mnie wdową. Wdowa...” – usiłowała skonstruować jakieś zgrabne zdanie z tym słowem. Tak. Taka dostojna informacja podobałaby się jej matce.

Bo teściowie nie mieli jej za złe kolorowych strojów ani czerwonych paznokci. Podzielali jej ból cicho i dyskretnie. Poza łzami wtedy w domu, zaraz gdy zakład pogrzebowy wywiózł go dokądś, a oni weszli cicho na palcach, jakby myśleli, że tu tylko o zwykły sen chodzi, nigdy już nie zobaczyła teściowej, jak płacze. Chociaż oczy były wymęczone, a łzy wyostrzyły rzeźby bruzd na twarzy.

po TYM

I chyba od samego początku zaczęły się te spotkania z lustrem. Zupełnie niezamierzone, przypadkowe...

Nienawidziła samotności. Od zawsze! Kiedy bywała sama w domu, to wprawdzie wydawało jej się, że na to właśnie czekała. Rzucała się na wszystko – a to

na książkę, szmatławą gazetę, a to na siebie – wanna, maseczki, a to planowała zakupy... W rzeczywistości nic jej nie szło, miotła się bezcelowo po domu, z niecierpliwością spoglądając na zegar, innym razem na kalendarz, i nic nie robiła. W końcu uciekała z niego, by bez celu błąkać się po mieście. Snuła się ulicami, zaglądając w okna wystaw, przystawała co jakiś czas, jakby na kogoś czekała. Czasem zdarzało jej się zagadywać kogoś na ulicy. Zazwyczaj знаła tego kogoś z widzenia, więc nietrudno było.

– O! Dawno pani nie widziałam!

Albo:

– Co oni zrobili z tym budynkiem! Pomalowali na taką pstrokaciznę, że żal patrzeć.

Albo:

– Ależ dzisiaj pięknie! Aż żal siedzieć w domu! Pewnie zaraz pogoda się zmieni i znowu człowiek ugrzeźnie na ileś długich dni.

Albo cokolwiek, byle zagłuszyć w sobie tę ciszę. Czasem krążyła tak bezcelowo po mieście. Do czasu, gdy ktoś się nie pojawił w domu. Wracała i rzucała się w wir zajęć, usiłując nadrobić zmarnotrawione godziny.

trzy lata po TYM, w tym życiu

Siedziała naprzeciw lustra... Siedziała. Jak teraz, wczoraj, rok, rok miesiąc i piętnaście dni... i trzy lata... dwa miesiące, osiem dni... Czas przelatywał jej przez palce niczym woda przez sito. Nie zdołała go powstrzymać.

Nie miała na siebie pomysłu. Nie umiała być tylko ze sobą. Krępową ją ta relacja. Bała się, że przyjdzie moment, kiedy będzie musiała zmierzyć się ze sobą, powiedzieć sobie prawdę o sobie, swoim życiu, że ten moment ją zaskoczy, że nie będzie na to przygotowana. A tak nie była sama. Kobieta po drugiej stronie lustra nie była nią, była kimś innym. Wyzierała z jej spojrzenia litość. Te same niby zeszkłone oczy, usta z wyblakłą już czerwoną szminką. A jednak nie stanowiła z nią jedności. Ta naprzeciw to zupełnie ktoś inny. Umęczony, nabrzmiąły pustką i bólem. Zbieżność rysów twarzy, krągłości, siatek zmarszczek, pagórków policzków, zagłębień oczodołów.

dawno temu na długo przed TYM

Babka ze strony matki – Stanisława – przybyła tu ze swoim mężem szewcem i jego jedynym synem „odziedziczonym” po drugiej (tak, już drugiej, pierwsza bowiem zmarła, nie pozostawiając – Bogu dziękować – żadnego dziecka), słabowitej i wciąż niedomagającej żonie France. Było to zaraz po wojnie. Zamieszkali w pustostanie pozostawionym przez naprędce uciekających Niemców. W domu były jakieś sprzęty, resztki porcelany, łóżko, na którym piętrzyły się zakryte grubą kapą pierzyny i poduchy. W oknach wisiały firany. Wszystko wyglądało tak, jakby ktoś na chwilę wyszedł z domu, choć wewnątrz ziało jakąś pustką. Ulica, przy której stał dom – w polskim tłumaczeniu, a polskość rodziła się niecierpliwie i gwałtownie – nazywała się Krótka. I w istocie taka pozostawała. Miała niewiele ponad siedemdziesiąt metrów długości i szerokości tyle, ile potrzeba dla wąskiej jezdni, wąskiego chodnika i szeregu domów – małych, zduszonych wewnątrz. Żadnych poletek przy domu, malw wyglądających zza parkanów, żadnych trejazy z pnącymi się różami. Na początku ulicy, patrząc od strony plebanii, mieszkała malarzowa z rodziną. Ich też przywiało gdzieś z głębi Polski. Mąż malarzowej oczywiście żył, ale pracował albo pił, więc i tak znał go mało kto na ulicy. Bywało, że wyjeżdżał gdzieś na kilka dni za robotą, choć i tu jej nie brakowało. Zajmowali żółty dom, największy na Krótkiej. To tyle po tej stronie, bowiem za malarzową rozciągał się niby zieleniec, niby skwer. W rzeczywistości był to maleńki klombik obsadzony wysokimi, wielobarwnymi georginiami o różnokształtnych koszyczkach i toczącymi na całą okolicę woń piwoniami, pod którymi skryte były małe skromne bratki i aksamitki. Gdzieniedzie dumnie puszyły się róże, które zupełnie nie pasowały do owego dość powszedniego *entourage*'u. Miejsce było zwyczajnie ładne, choć oczywiście nie budziło żadnych podejrzeń, jakoby ktoś mógł przyłożyć do tego artystyczną rękę czy też miał ambicję stworzyć tu namiastkę wyrafinowanych ogrodów. Nikt sobie wówczas specjalnie nie zawracał głowy upiększaniem okolicy. Nie wiadomo nawet, jak powstał ten minipark, na którego miejscu można było spokojnie postawić dwa domy. Tymczasem gruz po zniszczonych działaniami wojennymi budynkach uprzątnięto, a w zamian gdzieś z okolicznych pól nawieziono czarnoziem i tak powstał skwer. Dziwne. Bo ani nie było tu nic osobliwego, ani to nie był żaden ważny punkt w mieście, jeśli nie liczyć kościoła na końcu prostopadłej do tej uliczki. A może najzwyczajniej po czarnej wojnie ludzie byli głodni trawników i ławek do wysiadywania. W każdym razie był klomb, trawa i dwie ławki naprzeciw siebie, na których w niedzielę po mszy, a jeszcze daleko do obiadu, siadały kobiety przybyłe tu z różnych części kraju albo za mężami, których wojenna tułaczka rzuciła w te strony, albo za domem, który pozostawiły gdzieś na wschodnich rubieżach. Pogodzone z powojenną zawieruchą wymieniały się na tych ławkach własnymi genealogiami. Zaś sobotnie i niedzielne popołudnia

zawłaszczali mężczyźni, grając w baśkę na pieniądze. Rozsiadywali się na ławkach, stawiając przy nich butelki z samogonem.

Naprzeciwno – tak prawie na wysokości malarzowej – mieszkali Rutkowscy i Syroccy, a za nimi to już babka Stanisława ze swoim szewcem. Jakby skoczyć z ganku przez dom na wprost, znalazłoby się na placu Staromiejskim, który oprócz nazwy nic z placu nie miał – nie było ani klombu, ani pomnika. Wielki to plac! Za to na Krótkiej był trawnik, klomb z kwiatami i ławeczki! Gdyby choć jakieś krzaczysko rozrośnięte dziko lub drzewo, można by było się tu całować z chłopakiem na ławce. A tak tylko babka Stanisława po kilku latach zamieszkania wyklinała, wychylając się do połowy z kuchennego okna, kiedy rozłożone na trawie dziewczynki bawiły się w dom, i darła się na całą Krótką:

– Zośka, Gienka! Lećcie do Rzymskiego i zobaczcie, czy tam ojca nie ma! Miał mi elektrykę w kuchni zrobić! I za robotę się brać. Butów do podzelowania morze się wylewa w korytarzu!

Dziewczyny z grymasem przerywały zabawę, nie chcąc denerwować matki, by ta znów cały wieczór nie sarkała, że skaranie boskie z takimi lebiegami, które do żadnej roboty się nie biorą i pewnie po ojcu leniwe jak cholera będą!

To był jeszcze ten czas, kiedy Stanisława była młodą, silną dziewczuchą i zdawało się jej niejednokrotnie, że w kaszę to ona sobie nie da dmuchać. O nie!

Tam na Krótkiej przyszły na świat jej cztery córki, które to dorosły bardzo szybko, by wyjść szczęśliwie z domu, w którym ojciec od lat już nie chciał stałować butów, zelować skórzanych podeszew, skracać cholewek.

One szukały innego życia i kiedy to parę razy pokazały się sąsiadkom na skwerze ze swoimi absztyfikantami, wyczesanymi, wybrylantowanymi, zlanymi tanią wodą kolońską, a Stanisława miała potem sposobność wysłuchać opinii malarzowej i innych kobiet, to i zaraz wyprawiało się wesele na Krótkiej. Nie huczne weseliska, ale skromne, na których jednak wszystkiego starczało – i rosółu z makaronem, i mięs różnych, a i ciasta wypiekały z sąsiadkami na kilka dni przed weselem. Do tańca przygrywał Mietek z kumplami. Dźwięki saksofonu, trąbki i weltmeistra[1] wygrywające polki, oberki, tanga, a nawet szlagiery Fogga niosły się z wiatrem po całej okolicy. Dziewczęta – zależnie na którą padło: Zosia, Wanda, Gienka wdziewały na siebie białe suknie, czasem chowając nieco poszerzoną talię w fałdach ślubnych kreacji i dalej w świat! Z rosnącymi brzuchami. Do nowego życia. Do nowych mężów! Czerwonych na twarzy. Tą czerwienią niewiele różniącą się od czerwieni twarzy ojca. Ale zabij tę pamięć! Zapomnij! Rzuć jak garść piasku na wiatr! Byle dalej od tej pipidowy! Nieznanej Bogu i światu!

Z początku przyjeżdżały na święta, ale potem porodziły dzieci i trudno się było z licznym przychówkiem wybrać w drogę. Pociągi, autobusy. Przystanki kryte żółtym eternitem, gdzie wiatr piździł jak w Kieleckiem. Stanisława, po prawdzie,

nie bardzo tęskniła za córkami. Wciąż kołatał się w jej głowie ów dziecięcy jazgot. Owszem, gdy pomyślała o różowych wnukach, pachnących mlekiem i nieświadomością, ciepło jej się pod sercem robiło. Wyganiała z siebie tę ckliwość, bowiem miała jeszcze na głowie starego kawalera odziedziczonego po „zmarłej nieboszczce” drugiej żonie, męża pijaka i najmłodszą Marysię, której istnieniu nigdy nie przestawała się dziwić. Nadto wzięła się za krawiectwo, bo na męża to już zupełnie liczyć nie mogła.

Tak więc umęczona i dziećmi, i życiem, które jej nie szczydziło ekstremów, spokorniała, coraz częściej zrzucając z siebie ową młodzieńczą hardość. Czasem przypominała sobie o Marysi, która potrzebna jej była całkiem jak to piąte koło u wozu.

Marysia miała swój świat zamknięty w pokoiku na górze i umiała się izolować od wszystkiego, co na dole – tej części domu, gdzie mieściła się kuchnia, warsztat ojca i przylegający do niego pokój przyrodniego brata. Intuicyjnie wyznaczyła linię demarkacyjną między własnym światem a światem rodziców i konsekwentnie broniła terytorium, które w myślach określiła „swoim”. Nadała mu znamiona autonomii w postaci bezkształtnego haka wbitego w prostokątną płaszczyznę drzwi i zaczepianego na pokaleczonej framudze pokrytej złuszczającą się farbą.

Kiedy ojciec wracał późno, a jeszcze nie daj Boże po przegranych kartach, wiedziała, że trzeba docisnąć drzwi, zatknąć hak w metalowym otworze, przykryć mocno głowę poduszką, by nie słyszeć jego krzyku. Wiedziała też, że żadne zakłęcie nie wybawi jej z tego obwarowywania się. Nie ma takiej bajki. Trzeba przeczekać do rana. Będzie dobrze. Wystarczy tylko nie nawinąć się gdzieś w jego pobliże. Zejść z pola rażenia. Nazajutrz ojciec – milczący, skacowany – będzie cały dzień siedział w warsztacie, unikając karcącego wzroku żony. I jej jazgotania. Będzie udawał, że jest zajęty robotą, będzie próbował wziąć się w garść. Po raz setny albo i więcej. Wszystko wytrzymawał, ale to jej gadanie, wypominanie, a potem wielodniowe na przemian milczenie było ponad jego siły. A już najgorsze było to, że nie wpuszczała go do łóżka, nie podawała posiłków. „Zbiesiła się baba” – sarkał pod nosem. Kiedyś przyłożył. Nie miał ciężkiej ręki, ale zawsze to chłop! Może nie raz i nie dwa... Ale po którymś razie przyszła milicja. Milicjant był młody i czerwony na twarzy. Na Stanisławę z podbiegłym krwią okiem patrzył z litością, a w kierunku jej męża rzucał spojrzenie pełne pogardy. Ręką demonstracyjnie zasłaniał nos, jakoby drażnił nozdrza rozlewający się w powietrzu smród przetrawionego alkoholu i taniej zakąski. I wtenczas mąż Stanisławy się przestraszył. A Stanisława całkiem zesła mu z oczu, zajmąwszy się swoimi sprawami.

Wtedy to już pił na umór, mało co wyglądając ze swojego warsztatu, który warsztatem to już tylko z nazwy pozostał. Walały się tam butelki, stare kopyta,

pozdierane zelówki. Sprzedał starą, ale dobrą poniemiecką maszynę do szycia cholewek. Dobrze, że udało się uratować starego singera, który pewnie też poszedłby za flaszkę, gdyby go kiedyś pod jego nieobecność nie wykradła. Po wielu latach Łucja zrobiła ze stolika gustowny kwietnik. Ukradkiem posprzedawał też prasę, kopyta, kowadła, a nawet dobrą poniemiecką drasarkę, którą targał przez pół Polski. Pił jak szewc, kłął jak szewc. Choć z tego szewcowania niewiele pozostało.

Maria dorosła równie szybko jak starsze siostry, ale matka nie miała ani czasu, ani głowy, by przyglądać się wzrastaniu córki. Sama gonila w piętkę. A to praca w domu, a to szycie, przeróbki, a to znowu dorywcza praca w spółdzielni krawieckiej, która szyla hektary bawełnianej pościeli. W oczach jej się mieniło od tych płacht. Igła terkotała monotownie, ona pochylona palcami przesuwiała białe połacie. I właściwie nie myślała o niczym, byle tylko nie zakłuć się igłą. Wracała do domu umęczona i jedynie łypała oczami na lewo i prawo, nasłuchując, czy stary jest w domu. A gdy była cisza i spokój, zabierała się za dom.

Któregoś razu Maria przyprowadziła chłopaka, zamieszkała z nim w pokoju na górze, który zrobili sobie ze schowka, wybijając okno w ścianie, rozwalając wewnętrzne ścianki. Nie pytała o zgodę, nie powiedziała nic. Nikt nie pytał. Ojciec pił, matka od dawna tak bała się zostać sama, że przymknęła oczy i uszy na wszystko. Dopiero kiedy urodziła się Łucja, nieśmiało zapytała:

– To jak to tak? I dzieciak na tym świecie będzie żył bez pozwolenia Boga i bez jego błogosławieństwa? Zlituj się choć ty nade mną.

Ale nie było w tym pretensji, raczej prośba, niemal błaganie, pełne ludzkiego wstydu.

– Mama się nie martwi – powiedziała Maria spokojnie, nie patrząc matce w oczy, jakby bała się, że rzucona przez nią obietnica może się jednak nie spełnić. – Będzie i ślub, i chrzciny i błogosławieństwo boże, a i mama pewnie nam pobłogosławi.

Stara taką radość w sercu poczuła, że nie mogła wykrztusić nawet słowa. Zawinęła twarz w fartuch i zniknęła gdzieś w kuchni, topiąc łyżę szczęścia w garnkach z zupą.

kiedyś na długo przed TYM

Łucja dziadka nigdy nie poznała. Zapił się, kiedy miała niespełna rok. Znalazł go sąsiad, któremu za flaszkę miał wyszykować buty, ale robota całkiem

mu nie szła, bo ręce się trzęsły i wzrok stępiał od wódki. Za to babka Stanisława znaczyła dla niej bardzo wiele. Kiedy po śmierci męża i – w jakieś dwa lata po nim – jego syna z drugiego małżeństwa sprzedała dom na Krótkiej, za namową wszystkich przeniosła się z Marysią i jej rodziną do większego miasta. Trudno jej było przywyknąć do nowego miejsca, ale błękitne oczy Łucji i jej dziecinny szczebiot wynagradzały wszystko. I poczucie wyobcowania, i hałas, jaki zdawało się, wciąż rozlegał się na ulicach. Szum samochodów, gwar ludzi. A co by to było, gdyby córka wyprowadziła się do Warszawy albo tylko do Szczecina. Stanisława całkiem nie umiała sobie tego wyobrazić. Nocami nie mogła zasnąć. Drażniły ją najcichsze odgłosy dochodzące z zewnątrz. W głowie przesuwaly jej się obrazy. Rzadziej te z Krótkiej, ale za to coraz wyraźniej widziała rozległe łągi brzozone w rodzinnych Dąbrowicach, pola usiane makami, które kołysały się lekko na wietrze, drząc chybocliwie przy każdym ruchu i wyglądały jak rozłożona na świetle jedwabna tkanina. Delikatna i piękna. Czasem skusiło ją, by nazrywać tych maków i zabrać je ze sobą, porozkładać gdzie bądź, byle tylko mieć pod ręką tę namiastkę polnego piękna, ale zanim dotarła do domu, maki zwieszały martwo główki, płatki traciły witalność i cały bukiet nadawał się tylko, by wyrzucić go za stodołę. Rano Stanisława strzepywała z powiek obrazy, przeganiała tęsknoty i kręciła się po domu, wynajdując jakieś zajęcie. Z czasem Marii przytrafiły się kolejne dzieci. Urodzili się jeszcze Agnieszka i Konrad. Roboty było dla wszystkich. Ale to Łucja była jak cudowna pastylka na życie, to ona wbrew wszystkiemu nakazywała jej żyć.

I wtedy, kiedy słabła na dobre, kiedy leżała na chłodnym łóżku na OIOM-ie podłączona do wrogiej i niezrozumiałej aparatury, i kiedy już tak pogodzona czekała na śmierć, zobaczyła wnuczkę. W jej oczach było tyle samo łez, co miłości i strachu, więc pomyślała:

„Panie Boże! To nie! To ja rezygnuję, jeszcze tu zostanę”.

I została. Bóg wysłuchał ją tak bardzo, że żyła jeszcze wiele lat, do końca zachowując trzeźwość umysłu.

po TYM

Teraz Łucja pomyślała, że babka z Edwinem byli do siebie podobni. Oboje nie szafowali słowami, z tym, że o ile mąż Łucji posługiwał się nimi w absolutnie koniecznym akcie, o tyle Stanisława przestała w ogóle mówić. Maria nieraz obawiała się, że matkę dosięgła jakaś dziwna, starcza forma mutyzmu, ale liczne

wizyty u specjalistów, rozmaite badania nie dostarczyły medycznego wyjaśnienia tego stanu. Mimo to Łucja rozumiała się z babką doskonale. Pierwsze kroki po wejściu do domu kierowała do pokoju Stanisławy. Siadała u jej nóg i klepała bez porządku. Babka mierzwiła opuszkami palców jej włosy, wydając z siebie raz po raz pomruk podobny do mruczenia kota. Wypracowały między sobą jakiś wspólny kod, oparty na gestach, kierunkach spojrzeń, układzie warg.

To jej Łucja powiedziała o Edwinie.

– Babciu! Ja go tak kocham, że nie mogę sobie wyobrazić, jak ja będę żyć bez niego, kiedy on umrze. Już teraz wpadam w histerię – krzyczała pełna młodzieńczej egzaltacji. Była wtedy w ósmej klasie, a on był drużynowym jej zastępu czy czymś takim.

Stanisława uśmiechała się, chociaż pomyślała okrutnie:

„Oby, dziecko drogie, nigdy nie przyszedł taki moment, że będziesz Bogu dziękować, że go wziął do siebie, albo żebyś Jego sama o to prosiła”.

Ale najgorsze było to, co Stanisława myślała o swoim mężu, że kiedy umarł, było jej po prostu obojętne. Nic gorszego ponad obojętność. Niechby złość, dzika furia, przysłowiowe darcie szat – byleby tylko nie obojętność.

dawno temu przed TYM

Matka Edwina była cichą i skromną kobietą, bez żadnej historii. Nie chodzi o to, że była znikąd czy coś w tym stylu. Miała swoją genealogię, konkretny adres. Historia jednak tak powszechna i zwyczajna, że nie warto zaprzętać sobie tym głowy. Nie była też żadną pięknoscią, na której ktoś zechciałby na dłużej zatrzymać wzrok. I nawet nie żeby była brzydka czy odstręczająca. Była nijaka. Pewnie niewiele by się zmieniło wokół, gdyby jej w ogóle nie było. Powojenna, niepełna edukacja ustawiła ją w szeregu tysięcy dziewcząt, których celem życiowym nie było bynajmniej zdobywanie wykształcenia, ale wyrwanie się z domu, gdzie panowały głód, smród, nędza i ubóstwo, poródzie dzieci i ucieczka od wspomnień, w których wciąż kołatała się wojna. Ktoś kogoś stracił, coś stracił. Totalne poczucie braku wszystkiego.

Przy tym była dziewczyną nieśmiałą, sprawiającą wrażenie, jakby chciała uciec od swojego życia, uwolnić się od swojej opowieści. Najmłodsza w domu, w którym tłoczno było od ludzi. Bo wszyscy mieszkali na kupie. Powiadali o niej – obcy i rodzina – że się „przytrafiła na stare lata”, potrzebna jak umarłemu kadzidło.

Gdy napatoczyła się przypadkiem, matka, która z niepokojem spoglądała na niewielkie piersi, niską sylwetkę i czerwienie się córki przy byle zetknięciu

z kimś obcym, sarkała, krzywiąc twarz:

– Oj, Lodka! Jak ty będziesz taka zahukana, to starą panną zostaniesz!

Bo matka Leokadii była kobietą z krwi i kości. Nie sposób było jej nie zauważyć, nie dało się jej ignorować. Nie popuściła niczemu ani nikomu, jak trzeba było, to z pazurem do życia wyskakiwała, ale nie kuliła się, nie chowała głowy w piasek. O swoje zawsze wiedziała, jak i gdzie się upomnieć.

Starsze córki paradne, kawalerów przyprowadzały, przebierając i wybierając jak w ulęgalkach, a ta... ani do tańca, ani do rózańca. Taki Kopciuszek! Psiakrew! Bajkowy. Tylko że to nie czasy, by bajki realizowały się w normalnym życiu. W szkole siedziała gdzieś pośrodku – ani na końcu, ani na początku. Taka średnia od urodzenia. Na potańcówki nie chodziła, bo i nie miała z kim. Po siostry kawalerowie przychodzili, a ona na przyczepkę nie chciała. Kiedy któregoś dnia szła z kanką po mleko do gospodarza, zza rogu na rowerze niczym wariat wyskoczył Andrzej, powalając ją na ziemię. Runęła jak długa. Nad nią błękitne niebo, pod nią twardy bruk, który czuła każdym centymetrem ciała. Tak się wstydziła tego upadku, że zdawała się zupełnie nie zwracać uwagi na dojmujący ból, przeszywający ciało na wskroś. Ale to poczuła dopiero wówczas, gdy zamierzała się podnieść. Chłopak stał chwilę nad nią. Z głupią miną, na przemian to przepaszając, to zachwycając się jej urodą. I chociaż Leokadii podobały się chmury leniwie płynące po niebie, zamknęła oczy, by nie ściągać na siebie spojrzenia chłopaka.

Potem przez wiele dni odwiedzał ją w szpitalu, gdzie leżała z nogą na wyciągu. I kiedy już tak weszły mu w nałóg te odwiedziny – to Leokadia zgodziła się zostać jego żoną.

Wszyscy się z tego cieszyli, choć niejednej zazdrość w sercu wykwitła, bo Andrzej był niczego sobie. Najbardziej cieszyła się matka, bo chłopak i mieszkanie miał, i zakład stolarski po ojcu. A że oprócz niego były same siostry, z których, oczywiście, żadna się do stolarki nie garnęła, to sprawa warsztatu pozostała niejako zamknięta.

„Żle jej nie będzie” – myślała matka, z zadowolenia zacierając ręce i z ulgą myśląc, że kolejny ciężar z jej barków zdjęty.

Kiedy Andrzej przyprowadził ją do domu, rodzina, głównie siostry, od razu oceniła:

– Jakaś taka niewydarzona!

Matka prychnęła niechętnie i zawyrokowała:

– Pocięchy z niej nie będziesz miał, dzieci też ci nie narodzi!

Ale że był jedynym mężczyzną w rodzinie, od dawna żyjąc na swój rachunek i mało wtrącając się w ich życie, za bardzo i za długo nie ujadły. Czasem kręciły pogardliwie głowami lub rzucały ukradkiem spojrzenia. Ale wreszcie dały spokój. Byleby tylko już niczego z ojcowizny nie żądał.

Andrzej zaraz po weselu zabrał żonę do siebie, odcinając się i od swojej, i od jej rodziny.

Poniekąd siostry Andrzeja prawdę powiadały, bo po czasie okazało się, że Leokadia przez długie miesiące nie pozwalała mężowi zbliżyć się do siebie. Kiedy ten kładł się przy niej, zdjawszy przedtem dół pasiastych flanelowych piżam, dziewczyna wybuchała takim płaczem, że mężczyznę strach ogarniał. I wówczas, zaspokoiwszy się sam, raz i drugi, niemal połykając łzy rozczarowania i pożądania, kłął pod nosem i obiecywał sobie po doznanej uldze, że następnym razem wymoże na ślubnej uległość. Potem zasypiał, przytulając się do młodej żony, licząc na to, że wreszcie los się odmieni. Tak też się stało. Leokadia któregoś wieczora sama wsunęła się pod męża. Może nie zaznała jakiejś wielkiej rozkoszy, ale poczuła się bezpiecznie i dobrze. Niedługo też po pierwszych zbliżeniach poczuła w sobie życie. Oboje ogarnięci niezmiernym szczęściem i tajemnicą poczęcia, wzbraniłi się od seksu do dnia narodzin, jakby czuli, że tak właśnie potrzeba, bo akurat to dziecko pozostanie ich jedynym. I mimo wielu jeszcze prób i zatrzymań miesiączki, żaden już potomek nie wytrwał do końca w łonie Leokadii, co na dobre ustaliło jej niską pozycję w rodzinie Andrzeja, w której dzieci rodziły się raz po raz. Nie zawsze z małżeńskiego łóża. Bez wysiłku i trudu żadnego, wystarczyło tylko, że – jak to powiadała Ignacowa – chłop kalesony rozwiesił, a żona już w ciąży była. Naklepać dzieci jak u Żyda czapek. Bo takie to zadanie kobiety.

Nieraz Leokadia niemal błagalnie patrzyła na męża, usiłując skłonić go do pozostawienia jej i szukania bardziej wydolnej kobitki, ale on świata poza nią nie widział i nawet gdyby nie urodziła mu jedynego Edwina, nie zostawiłby jej nigdy. Kochał w niej tę kruchość i łagodność. Syna kochał, i owszem, bo był jego synem. Krew z krwi, kość z kości. Ale przede wszystkim widział w nim jego matkę. W oczach, gestach i tej delikatności, którą miała. I choć odkąd syn pojawił się w ich życiu, na zawsze był w jego cieniu, to nigdy, przenigdy nie wyrzekł ani słowa skargi. Dziwna to była rodzina.

Kiedy Edwin dorósł, zniknął im z oczu i już nigdy nie pojawił się taki, jak kiedyś. Poważny był i stateczny. Mało co mówił i uciekał wzrokiem, jakby bał się, że matka przejrzy go na wylot, że może zobaczy coś, czego nie chciał, by zobaczyła.

dawno temu przed TYM

Łucję polubili już pierwszego dnia, kiedy nieśmiało, chowając się nieco za Edwinem, stanęła w progu ich domu.

Było to zaraz po tym, jak na starych, zmurszałych schodach walącej się kamienicy przy jeziorze powiedziała Edwinowi o ciąży. Niewiele o niej wiedziała, ale kiedy drugi miesiąc z rzędu nie dostała okresu, domyśliła się, że to jest właśnie to. A do tego doszło mulenie w żołądku i nieprzyjemne uczucie osłabienia. Nie próbowała odczyniać uroków, nie raczyła się nadzieją, że okres się spóźnia. Coś jej podpowiadało, że stała się rzecz nieodwracalna. Nie zamierzała czekać i odwlekać. Musiała mu więc powiedzieć.

– Jestem w ciąży – oznajmiła, siłąc się na obojętny ton, jak gdyby zamierzała stwierdzić, że jest środa albo że sąsiadka zostawiła u nich klucz, bo mąż zapomniał swoich, a ona ma drugi komplet.

Powiedziała mu, że jest w ciąży, kiedy siedzieli na schodach starej niezamieszkałej kamienicy, skąd rozciągał się widok na jezioro otulone zielonymi lasami, stanowiącymi tło dla poskrywanych w leśnej głuszy domków. Rzadko kto bywał na opuszczonej posesji, bo terenu strzegł stary, groźny Zyga, który z niewiadomych przyczyn polubił ich oboje i udawał, że ich nie widzi. Polubił ich nie tak, że ją osobno i jego osobno, ale ich jako całość, jako coś niepodzielnego – dwugłowy i dwusercowy organizm.

A miejsce było w istocie czarowne. Budynek patrzył na jezioro, które wyglądało jak ogromna błękitna plama rozlana tuż za ulicą. Od jakiegoś czasu była to ulica zamknięta. Niegdyś przemieszczały się tędy tabory ciężarówek wożących drewno, zapach lasu roztaczał się na całą okolicę. Stanowiła bodaj jedyną drogę dojazdową do wielkiego tartaku, należącego przed wojną do Niemca Jankego. Do niego zresztą należała rzeczona kamienica. Właściciel zginął pod kołami sowieckiego czołgu, a tartak popadł w ruinę. W kilka lat po wojnie syn jego sądził się z miastem o prawa własności, ale zmarł nagle w niewyjaśnionych okolicznościach, pozostawiając sprawę nierozwiązaną. Tartak niszczał, budynki też, a cały teren ogrodzono, zamknięto i zatrudniono starego Zyge, by pilnował Bóg wie czego.

Siedzieli więc na tych schodach, a on kiwał na nich głową, chwilę popatrzał za nimi, a potem zniknął, czasem tylko uśmiechając się do siebie, kiedy się całowali.

Wtedy Łucja całowała się z zamkniętymi oczami. A ziemia twardo pod nią trwała. Potem je otworzyła. Same się otwierały... Stopniowo. Z biegiem lat. Otwarte oczy widziały więcej i jednocześnie mniejsza była potrzeba fikcji.

Edwin popatrzył w jej stronę. Nie było w jego spojrzeniu żadnego zaskoczenia. Przyjął komunikat jak każdy inny. Bez zbytej euforii, ale i bez paniki. Jakby spodziewał się tego, był na to przygotowany. W końcu każdy w jakimś wieku powinien zostać ojcem. Wcześniej – później. Bez znaczenia.

– To chyba znaczy, że będziemy mieli dziecko? – spytał, w rzeczywistości nie oczekując odpowiedzi. I nawet nie wykonał jakiegoś symbolicznego ruchu, nie odsłonił jej brzucha ani się nie zdziwił, jakby to była naturalna konsekwencja tego,

że od czterech lat byli razem. Dwoje smarkaczy z jednego osiedla.

Skinęła głową, bo oto jego reakcja zdała się potwierdzać fakt, że w rzeczywistości nie stało się nic nadzwyczajnego.

– Nasze dziecko – skonstatował głosem na jednej fali. Było w tym ni to stwierdzenie, ni zdumienie. I zaraz potem wrócili do porządku rzeczy. Jakby nigdy nic. Jakby dziecko nie wywracało świata do góry nogami.

*

Horyzont szarzał i rozmywał się. I już prawie zawsze każda ważna sprawa zostawała przyjęta przez nich tak spokojnie i bezdyskusyjnie. Bez emocji.

Stary Zyga zacierał ręce, bo choć sam nigdy nie miał kobiety, a przynajmniej tak się o nim mówiło, dwuznacznie wzruszając ramionami, dziwnym zrządzeniem losu doskonale znał się na ludziach. Od razu domyślił się, że właśnie teraz, na tych schodach, ważą się losy ludzkie, które pozostaną naznaczone doświadczeniami następnych niemal kilkudziesięciu lat.

*

Na drugi dzień, z wiązanką kwiatów i małym pierścionkiem, przyszedł do jej domu i całkiem poważnie, niemodnie poprosił o jej rękę, a potem zaprowadził ją do swoich rodziców. Dla jego ojca to nie miało tak naprawdę znaczenia. On ukradkiem spoglądał na żonę, a kiedy jej twarz rozjaśniła się na myśl o dziecku, pogratulował synowi i przyszłej synowej. Leokadia przytuliła dziewczynę, wlewając w nią już na pierwszym spotkaniu tyle miłości, że ta czuła już zawsze, że teściowa jest jej wiernym sprzymierzeńcem.

Wesele dla nich pozostawało tylko formalnością.

*

Andrzej patrzył na żonę zawsze tak samo. I nikt, nic nie mogło mu zastąpić miłości do niej. Pokochał synową i wnuki, ale żona była dla niego początkiem i końcem świata. Jego sensem i celem. Kiedy Edwin odszedł tak nagle, jemu pozostał ogromny lęk, bo oto ziściła się prawda, że ludzie umierają. Kimkolwiek by nie byli... Po cichu jednak mniemał, że wszyscy, ale nie ona. I choć umarło oboje rodziców, jedna z sióstr i... jedyny syn, to jednak myśl, że może kiedyś zabraknąć jej... Leokadii, była nie do zniesienia. A zwłaszcza teraz, kiedy zdawać się mogło, iż sam fakt, że żyje jeszcze on, to dla niej – Leokadii – za mało. Za mało, by chciała żyć. Za mało! Może jeszcze Łucja... może dla niej wykrzesaliby z siebie resztki... Może tylko dla Łucji.

To wtedy zaczął się modlić. Nocami rozmawiał z Bogiem, prosząc, by zachował ją jak najdłużej, by nie zaprosił najpierw jej do siebie, bo on to już wówczas na pewno nie będzie umiał żyć sam.

Teraz

Właściwie powinno się zacząć tę opowieść od momentu, kiedy Łucję wypełniało bezbrzeżne poczucie szczęścia...

Ale to było w tamtym życiu. Tak trudne do przyjęcia teraz, słodkie jak druga tabliczka najlepszej czekolady – słodkie do obrzydzenia. Z perspektywy czasu, doświadczeń, przy niewiarygodnym wręcz pędzie wszystkiego donikąd, przyspieszeniu, które zdławiło banalne chwile, subtelne znaki, tamto pojęcie szczęścia było czymś nierealnym wręcz i przeleciało tak szybko, że trudno nie myśleć o nim jak o czymś, co nigdy się nie zdarzyło. Człowiek z pewnej perspektywy potrafi ocenić jakość zdarzeń, bieg czasu. Coś trwało długo, coś było spowolnione.

Jak sięgnąć pamięcią wstecz, ciotki Łucji na ten przykład dorosły szybko. Nieraz matka Łucji po jakichś rodzinnych spotkaniach, przy okazji ślubów lub pogrzebów, mówiła do ojca ze skrywaną satysfakcją:

– Patrz, jak Gienka szybko się zestarzała.

Innym razem, przyglądając się której z siostrzenic czy któremuś z siostrzeńców, stwierdzała niemal ze zdziwieniem:

– Kiedyś ty urósł?

Albo:

– Jak to się stało, że ten czas tak szybko przeleciał?

Tak! Przeleciał, śmignął jak z bata strzeł! I dobrze! Bo wówczas nie było powodów do przeciągania czasu, zatrzymywania go. Bo kiepski to czas był. Bo wszystkich otaczało ubóstwo, tandeta i, jak to powiadają, brak perspektyw.

Ale Łucja żyła zwyczajnym tempem. Ani nie spowalniała, ani nie pragnęła przyspieszać. Rosła powoli, na wszystko miała czas. Dobre życie, dobre czasy, więc kiedy Łucję wypełniało owo bezbrzeżne poczucie szczęścia, to „czasy” niewiele tu miały do rzeczy. Żadnej wojny ani zawieruchy. Wszystko miało wyraźne granice, życie toczyło się swoim rytmem. Człowiek umiał doliczyć się dni w tygodniu, nie uciekały niepostrzeżenie.

kiedyś przed TYM

Kiedy powiedziała rodzicom o ciąży, matka płakała histerycznie nad swoim wstydem i Łucji zmarnowanym życiem. Wyklinała na fatum, co to niby wisieć ma nad jej rodziną. Zaraz jednak się uspokoiła. Wzięła się w karby i zaczęła rozpytywać, ile to już i jak się czuje, czy nie zwraca, nie mdleje. Obmyślała terminy, kreacje. Byle tylko jak najszybciej wyprawić wesele i ukryć pod fałdami sukni powiększający się brzuch. Ojciec zaś przysłuchiwał się wszystkiemu w milczeniu i tylko gdzieś, niepostrzeżenie, dziwny uśmiech błąkał się po jego twarzy, ale w obawie przed gniewem żony tuszował go i udawał, że niby to zaciąga się podpalonym przed chwilą papierosem, że odchrząkuje nagromadzoną w gardle ślinę. Wtedy jeszcze palił jak smok – jednego za drugim. Łucja do końca życia zapamiętała ten uśmiech. Wówczas nie myślała o tym, że ojciec w ten sposób przeciwstawiał się mamie. Jawnie nigdy tego nie robił. W tej rodzinie kobieta podejmowała decyzje, klasyfikowała: złe do złych, dobre do dobrych. Potem już nic nie próbował ukrywać. Śmiał się jawnie i wprost, kiedy na świat przychodziły kolejne dzieci. A matka zdawała się z roku na rok smutnieć. Może pamiętała swoją smutną młodość i bała się, by Łucja nie podzieliła jej losu, kiedy to wiele dni spędzała w pokoiku na górze z małym dzieciątkiem, bo męża zaraz po ślubie wcielili do wojska, a matka zajęta była walką ze swoim mężem szewcem i jego zapijaczonym synem. Choć po prawdzie los dla Marii okazał się nader łaskawy. Męża szybciej wypuścili z wojska, nie chcąc łożyć na rodzinę jedyne go żywiciela. Zaraz potem zapisał się do Partii, która pomogła zadbać mu o żonę i dzieci, by im „ptasiego mleka nie zbrakło”. W domu bywał rzadko, ale zawsze wnosił niesamowity spokój i gładką sumkę pieniędzy, mimo wiecznych utyskiwań żony.

kiedyś przed TYM

Tak więc ona – Łucja – nie miała przed czym uciekać. Miała normalny dom – z ojcem i matką trzymającą cały rodzinny świat w garści. Nie musiała przed niczym uciekać ani donikąd się spieszyć. Ani do dorosłości, ani do dzieci.

Ale trafiło się. Po prostu stało się. Kiedy tam, w opustoszałym korytarzu równie opustoszałej starej kamiennicy, stała przywarta do zimnego muru, a on wchodził w nią delikatnie i powoli, bojąc się zarówno chłodu owych ścian, jak i jej odmowy, i kiedy wyczuła to drżenie całego ciała, nie wiedziała – to jej czy jego drżenie. I taka dziwna ją pewność zdjęła, że oto waży się jej los. Nie miała w sobie wstydu ani jakiegokolwiek wzbraniania się, oto stawała się rzecz, która

zeterminowała jej życie. Kiedy wyszedł z niej – zawstydzony, przepraszający za ten o jeden krok za daleko, pogłaskała go tylko po twarzy, poprawiła się, obciągnęła spódniczkę.

A potem, gdy wyszli stamtąd, Łucja cicho, ledwie słyszalnie, bardziej do siebie niż do niego powiedziała:

– I taka to miłość. Takie kochanie. Zupełnie inaczej niż w filmie. Myślałam, że zrobimy to na łóżku. Że pościel będzie pachniała czystością, że będzie szeleścić. I że po wszystkim będziesz mógł mnie jeszcze potem poprzytulać.

Chyba ją usłyszał. Próbował wyciągnąć ręce, ale ona stała już w świetle drzwi, uśmiechając się do przyczajonego za winklem Zygi. Później już nigdy nie mówiła nic o tym, co było w łóżku, czy było dobrze czy źle. On też nie pytał.

Tak wkroczyła w dorosłość.

kiedyś przed TYM

Był ślub i była biała suknia. Łucja nosiła tę swoją ciężę dzielnie. Bez kapryszenia, bez wielkiego entuzjazmu.

– Ty się, Łucja, nie pieść – powiadała matka, choć przecież nie pieściła się ani trochę. – Cięża to nie choroba. Życ trzeba, pracować. Co ma być, będzie.

*

W tramwaju było duszno. Ludzie tłoczyli się i przy byle szarpnięciu padali na siebie bezwładnie. Za oknem przesuwały się obrazy jak w puszczanym na rzutniku pokazie slajdów. Łucja patrzyła beznamiętnie na witryny sklepowe, na przechodzących ludzi. Wszyscy wydawali się dokądś przemykać ulicami, zajęci własnymi myślami. Zapatrzeni przed siebie. Jakiś mężczyzna taszczył wielką walizę i wyglądał, jakby spakował w nią całe życie. Grupa wyrostków rozprawiała głośno, gestykulując i trącąc siebie nawzajem. Wyglądało to, jakby sposobili się do rozróby. Klęli głośno jeden przez drugiego. Zajmowali całą szerokość chodnika. Największy z nich, schowany w kapturze, palił papierosa, trzymając go cynicznie palcem serdecznym i kciukiem, słupek żaru wydłużał się niebezpiecznie, aż w końcu się osypywał. Młodzieniec, wychudzony i poszarzały, za każdym pociągnięciem spluwał na bok. Był o pół kroku przed resztą. Jak herszt bandy. Łucja pomyślała, że chyba bałaby się, gdyby przyszło jej mijać taką horde na ulicy. Jej wzrok zatrzymał się na chwilę na matkach pchających wózki. Niektóre szczebiotały w rozchylone budy gondoli, inne telepały wózkami, chcąc uspokoić

kwilące w środku dzieci, jeszcze inne miały wyrysowane na twarzy umęczenie, jakby macierzyństwo było ostatnią rzeczą, której w życiu oczekiwały. Łucja pomyślała, że jeszcze kilka dni do terminu porodu. Ginekolog, który ją „prowadził”, obliczył ów termin na podstawie ostatniej miesiączki. Pewnie wiedział, co mówi. Nie ona pierwsza w historii świata spodziewała się dziecka. Miała wystarczająco dużo czasu, by do tego faktu przywyknąć. I przywykła. Od kilku tygodni skupowała ubranka, pieluchy, oliwki, czytała książkę zakupioną w księgarni obok dawnego kina Stolica – *Dziecko*. Tak. Była bardzo świadoma tego, że spodziewa się dziecka. Czuła się wyśmienicie. Od momentu, gdy poczuła muśnięcie motyli skrzydeł pod sercem, wiedziała, że w jej życiu dzieje się coś ważnego. Co dzień godziła się z faktem dokonywania się diametralnych zmian. Przyjmowała je, była wobec nich spokojna. Ale teraz – w tym konkretnym dniu – musiała ruszyć się z domu, choć Edwin był przeciwny. Zapewniała go solennie, że da radę. Silna była. A poza tym musiała załatwić jeszcze kilka spraw. To był ostatni dzwonek. Potem już będzie dziecko.

Tramwaj zatrzymywał się, wypływając ze swoich wnętrzności ludzi, i zaraz łykał kolejne porcje ludzkiej masy, by ruszyć dalej. Z nowymi pasażerami. W zasadzie jedni od drugich niczym się nie różnili. Siedzący, z twarzami przyklejonymi do szyb jak glonojady, uwieszeni na skórzanych paskach przytroczonych do podsufitki. Wszyscy zajęci własnymi myślami, tylko od czasu do czasu skupiający uwagę na innych. Trochę bezwiednie, bezrefleksyjnie. By po chwili wpiąć się w swoje życie, w swoje sprawy.

I właśnie pośród tego bezmiennego wtedy tłumu poczuła silny skurcz w podbrzuszu, który mętnił jej obraz rzeczywistości. Nagle niczym uderzenie obuchem doszła do niej myśl, że jest sama, daleko od domu, daleko od niego. W obcym mieście. Że wszyscy wokół są zajęci sobą. Obcy, anonimowi. Ścisnęła rękoma brzuch. Poczuła pod palcami silne falowanie. Dziecko kołowało się w niej energicznie. Przesuwało się, mościło, rozpierało od wewnątrz. I Łucja pierwszy raz od niepamiętnych czasów poczuła przejmujący lęk. Przyszedł jej do głowy z jakichś odległych krain. Ciężki, złowieszczy. Przyniósł ze sobą niepokój. Że oto może stać się coś złego, nieoczekiwanego. Że – nie daj Panie – jej dziecko umrze. Odruchowo zacisnęła uda. Skupiła się na ruchach dziecka. Wydały jej się nierównomierne i nie nazbyt wyraźne. A jeśli dzieje się coś złego? A jeśli jej dziecko potrzebuje pomocy? A jeśli... Odganiała złe myśli, płoszyła je jak natrętne wróble.

Dlaczego jej dziecko miałoby umierać, skoro było zdrowe? Łucja oddychała głęboko. Wpatrywała się w zmieniający się za oknem krajobraz. Czekala na przystanek. Spokój powoli w nią wstępował. Będzie dobrze! Musi być dobrze. Przecież nic nie wróżyło kataklizmu. Spokój. Tylko spokój. Żadnych dramatów, czy nieszczęść.

Łucja pomyślała, że od kiedy jest dorosła, szczęśliwa, nikt obok niej nie umarł. Ona też nie zajmowała się śmiercią. Nigdy. Teraz, tu – to pierwszy raz. Bez znaczenia! Machnęła ręką na wysokości czoła, jakby to ostatecznie miało przegonić lęki. Ktoś stojący obok mógłby pomyśleć, że kiwa komuś za oknem, ale ona tak się przeraziła swoich myśli i tak bardzo chciała się ich pozbyć – natychmiast – że nie zwracała uwagi na współpasażerów. Byle tylko uwolnić się od tego natręctwa.

Starsza kobieta siedząca naprzeciwko nie spuszczała z niej wzroku. Jej spojrzenie wyrażało troskę. Miała bardzo szczupłe ręce. Skórę wyschniętą niczym pomarszczone jabłko. Jedną ręką przytrzymywała się oparcia z przodu, w drugiej trzymała laskę z szylkretową obwódką przy główce. Wyglądała, jakby szykowała się do ruchu. Przez chwilę spojrzenia kobiet się skrzyżowały, ale zaraz każda uciekła w innym kierunku.

Łucja syknęła, lecz nikt tego nie usłyszał. Szum tramwaju zagłuszał inne dźwięki.

Ból ciał kręgosłup wzdłuż, rozgałęział się u nasady i rozchodził wszelkimi odnogami, przytykając oddech. Oddychała miarowo, przymykała powieki. „Dziecko! Zaczekaj jeszcze! Daj sobie szansę! Wystartuj w bardziej przyjaznym i sprzyjającym ci świecie! Ale nie teraz! Tu, gdzie nikt dla ciebie nie ma uwagi, gdzie nikomu nie jesteś do niczego potrzebne!” – myślała. Starsza kobieta z naprzeciwka wyraźnie skupiła na niej wzrok. A wreszcie ośmieliła się spytać:

– Dziecko! Czy dobrze się pani czuje?

Inna kobieta stojąca obok jakby naraz zaznała objawienia i zbliżyła się do Łucji.

– Czy zatrzymać tramwaj? Panie motorniczy! – krzyknęła ponad głowami pasażerów.

Łucja za wszelką cenę starała się uspokoić. Z jednej strony poczuła dziwne ukojenie. Że przecież nie jest sama, że nie jest na końcu świata. Siłąc się na uśmiech, powiedziała cicho, że nic się nie dzieje.

Jeszcze kilka razy łączywie wciągnęła powietrze i, o dziwo, ta mała istota, nieświadoma ani swojego istnienia, ani istnienia czegokolwiek, przestała się rwać na świat. Pozwoliła dojechać do celu.

*

I choć, jak powiadają: „Historia skończyła się dobrze”, w Łucji jednak zakiełkowała owa niepewność, która nakazywała jej już zawsze trzymać straż. Wtedy też właśnie na jej cudne życie położył się lekuchny cień, który nie dawał się usunąć, choćby nawet wtedy, gdy Łucja dziękowała Bogu, że dał jej tyle szczęścia i tak wielkiego, że nie zdoła go udźwignąć. Co niektórzy nie mogą dźwigać

swojego krzyża, bo tyle w nim trosk, smutków i niespełnień, a ją przytłaczał ciężar szczęścia.

Coś w niej szeptało, że trzeba będzie za nie zapłacić, że to nie przystoi tylko kochać i być szczęśliwym.

*

Z tramwaju niemal przetoczyła się do autobusu. Tłum pasażerów na przystanku rozstał się niczym biblijne wody. Kierowca wyciągniętym ramieniem przywołał ją do środka. Przeciskała się między tłumem. Co niektórzy uśmiechali się ze zrozumieniem. Usiadła na pierwszym siedzeniu. Autobus drżał. Silnik był włączony. Z radia dochodziły skrzeczące dźwięki i trudno było cokolwiek rozpoznać. Ale chyba leciała jakaś piosenka. Łucja patrzyła, jak wskazówki dworcowego zegara przesuwały się leniwie. Aż dziwne, że czas płynie tak wolno! A tu jeszcze godzina, zanim będzie w domu!

Na przystanku Edwin czekał zniecierpliwiony i zdenerwowany.

– Nie powinnaś jechać sama, ale ty zawsze musisz postawić na swoim – powiedział, odbierając z jej rąk bagaże, jakieś drobne sprawunki.

– Nie powinnam – powiedziała skwapliwie. Ale w zasadzie niewielkie to miało znaczenie w tamtej chwili, bo wody płodowe zalały ją, budząc niezmiernie zdziwienie ludzi siedzących w autobusach i innych, stłoczonych na stanowiskach.

Oto pierwszy raz jej organizm robił swoje, nie bacząc na jej rozkazy, zakazy. Stała skonsternowana, przyglądając się powiększającej się na chodniku mokrej plamie. Pomyślała sobie, że za moment jej dziecko będzie jedynym wyraźnym i konkretnym kształtem na betonowym, szarym chodniku.

– Panie! Trzeba po karetkę! Toż kobita rodzi! – wydarła się jakaś babina, po której było widać, że wie, co mówi, że nieraz już radziła sobie z nowym życiem.

Nie wiedzieć skąd i jak pojawił się ambulans (wtedy nikt tak nie nazywał karetki pogotowia). Świegocące, fioletowe światło, przeraźliwy dźwięk sygnału zakłóciły spokój.

Kilkadziesiąt minut po owej nieszczęsnej podróży Łucja urodziła syna.

kiedyś przed TYM

Korytarz szpitalny tonął w mroku mimo wczesnej pory dnia i pogodnego czerwca. Wejścia na oddział strzegły ciężkie, okratowane drzwi. Nasuwały skojarzenie, że znajdujemy się w więzieniu lub areszcie. Że za moment wyjdzie

jakiś funkcjonariusz i tonem nieznoszącym sprzeciwu zaprosi do środka. Po dwóch stronach mieściły się drzwi do szpitalnych sal, z których sączyło się światło, rzucając długie wiązki krzyżujące się na zniszczonej, wyłożonej linoleum posadzce. W większości drzwi były tylko poprzymykane, tylko te na wprost, na samym końcu długiego korytarza, były otwarte na oścież. Przed wejściem na oddział w niewielkiej poczekalni siedzieli rodzice. Łucji i Edwina. Ściśnięci na jedynej ławce, jedni i drudzy wydawali się nieco zażenowani. Usiłowali poruszać temat – a to pogody, a to polityki. Ale widać było, że rozmowa nie bardzo się kleiła. Nie znali się, a ta wczesna, nie po matki Łucji myśli ciąża dodatkowo jakby zatykała usta. Rodzice Edwina, podobnie jak on sam, nieskorzy byli do zbytniego szafowania słowami. Ciszę przerywały szpitalne odgłosy. Ciężkie szuranie połoźnic nogami po posadzkach, tarabanienie wózka z noworodkami, pojedyncze stęknienia, przyciszone rozmowy, czasem kwilenie nowo narodzonych dzieci. Nieco dalej przechadzał się Edwin. Siła spokoju. Jakby to nie on po raz pierwszy został ojcem.

Trzasnęły drzwi porodówki. Silnie zbudowana i mało kobieca położna zakomenderowała, wyrzucając zwięzłe zdania:

– Proszę krótko! Nie brać dziecka, nie całować matki! Są zmęczeni! To jedyny czas i miejsce, gdzie nie muszą nic! Potem już zaczniesz życie!

Ledwie obrzuciła wszystkich spojrzeniem, a następnie machnęła ręką tak dziwnie, jakby tylko ona wiedziała, o czym mówi, i nie chciało jej się tłumaczyć owych prawd innym, a potem podreptała prosto w stronę rozwartych drzwi i zniknęła za nimi. Na korytarzu rozlegały się płynące z sali porodowej krzyki, jęki i wyklinania kolejnej kobiety nakładającej właśnie na siebie gorset odpowiedzialności matczynej za życie i los kolejnego człowieczka.

*

– Istny Edwinek – zapiała teściowa, ale zaraz sama zdziwiła się swoim tonem i niejako zawstydzona zwróciła się do synowej, zostawiając swój zachwyt nad dzieckiem i skupiając się na niej. – Jakaś ty zmęczona, Lusi – dodała. Wykonała nawet ruch, jakby zamierzała pogłaskać ją po twarzy, ale zaraz cofnęła dłoń. Zmieszana, odstąpiła krok, by zrobić miejsce Marii, która jakby na to czekała. Odsunęła rożek, w który zawinięte było dziecko. Zajrzała szybko.

– Sprawdziałaś, czy wszystko na miejscu?

Łucja nie miała pojęcia, o co matka pyta, ale było to bez znaczenia, bo Maria, poprawiając rękawek malusieńkiego kaftanika, powiedziała rzeczowo:

– Trzeba pomyśleć o imieniu. Byliśmy pewni, że to będzie dziewczynka.

Nie wiadomo, dlaczego tak myślała. Dla Łucji nie miało to żadnego znaczenia. Zresztą nie pamiętała, by kiedykolwiek rozmawiała z nią na ten temat.

Z Edwinem – owszem. Wybierali imiona. Wypowiadali je głośno nad powiększającym się brzuchem. Sprawdzali, które „pasuje”. Ale z matką? Nigdy nie rozmawiała. Była w ciąży. Spodziewała się dziecka. Ot! Taka naturalna konsekwencja współżycia.

– Zakryj piersi, żebyś nie przeziębila pokarmu – dodała po chwili matka swoim pryncypialnym tonem.

Zakryła.

*

– Muszę wracać na salę – oznajmiła Lucja.

Edwin ją odprowadził.

– Czy ja dożyję, kiedy on będzie już żył spokojnie? – spytał na odchodnym. Mała istotka coraz głośniejszym grymasem w szpitalnym pierogu.

Lucja nie odpowiedziała. Wzruszyła ramionami. Była zmęczona. Pragnęła zostać z dzieckiem sam na sam. Tyle miała synowi do powiedzenia. Szukała w sobie słów.

– Idź już.

Stała chwilę. Edwin oddalał się, jakby czekał, by go zatrzymała. Na moment przystanął. Obrócił się, ale jej już nie było. Ruszył do wyjścia. Z dziwną miną, trochę zdeprimowany, a może trochę zły.

*

Lucja długo nie mogła zasnąć. Szeroko otwarte oczy przyzwyczyły się do ciemności, rozpoznając kształty. Nie było w tym zresztą nic trudnego, bowiem sala szpitalna była uboga w przedmioty. Niezbędne minimum. Zdezelowane szafki, wyszczerbiony wieszak na ręczniki, poźółkła umywalka z porzewiałymi śladami pęknięć.

Wewnątrz niej, niespokojnym rytmem, schowanym gdzieś w zakamarkach głowy, kołatało się pytanie Edwina: „Czy ja dożyję, kiedy on będzie już żył spokojnie?”. Myślała o nich dwóch – o synu i o mężu.

Za oknem wiatr szarpał konarami drzew rosnących w przyszpitalnym parku. Poprzez rozkołysane gałęzie przebłyskiwał migoczący księżyc. Noc była pogodna, choć nie najcieplejsza. Szczelinami okien wlatywało chłodne powietrze. Podsunęła wysoko kołdrę. „Skąd mu przyszła do głowy śmierć? Teraz? Kiedy na świecie pojawił się nasz syn?”

Śmierć była pojęciem znanym i powszechnym. Lucja nigdy nie zastanawiała się nad nią szczególnie. Teraz pierwszy raz o niej pomyślała. Oto leży obok niej mały człowiek, który właśnie się narodził i ma przed sobą życie... do śmierci.

Kobieta wiedziała, że nic go przed nią nie uchroni. Ani jego, ani jej. Nikogo. Ale kiedyś. Kiedyś. Kiedy już nie będzie żadnego powodu, by żyć. Łucja usiłowała odgonić złą myśl, ciągnącą za sobą lęk. Pojawił się znikąd. I przecież wówczas nie zwiastował niczego. Irracjonalny. Przelotny jak wiosenny deszcz. Przecież wiedziała o hormonach i tych innych rzeczach, które dopadają kobietę.

Była mądra. Znała prawdy w stylu „Narodziny są początkiem. Wszystkiego. Śmierć końcem... Wszystkiego”.

Łucja była zła na siebie, że nie może przepłoszyć tych myśli. Chciała zasnąć. Żeby przyśniło jej się coś miłego. Jednak sen nie nadchodził. Do głowy wciąż pchały się pytania. O cel, o sens, o przyszłość. Obok pacjentka włączyła nocną lampkę, wiszącą nad oknem. Mikre światło rozproszyło ciemność. Sąsiadka wstała ciężko z łóżka, szurając nogami wyszła do toalety. Ciszę przerwały głośne odgłosy spluczki, zaskrzypiały stare drzwi i po chwili kobieta z naprzeciwka wróciła do sali. Przystanęła przy łóżku Łucji i przekrzywiając głowę, patrzyła na nią i na dziecko. Łucja przygarniała kruche ciało syna, jednocześnie wpatrywała się w główkę wielkości grejpfruta, której nawet skóra przypominała owocową skórę, jeszcze nierówną, gdzieś tam poczerwieniałą. W miejscu, gdzie u dorosłego znajdują się oczy, twarzyczkę przecinały dwie szparki, zaciśnięte, jeszcze niegotowe na otwarcie. Ogarnęła ją przeogromna tkliwość, wewnątrz narastał spazm, który starała się wyhamować. Ni to szloch, ni dziwne fuknięcie wyrwało jej się z gardła i lży jak oszalałe zaczęły spływać na kocyk.

– Pierwsze – bardziej stwierdziła, niż spytała sąsiadka. Siadła powoli, stękając cicho i kołysząc się na łóżku i raz po raz podsuwała swemu dziecku mleczną pierś, obfitą, niemal przezroczystą, pokrytą nitkami drobnych żyłek.

Łucja tylko kiwnęła głową, bo już cała była wypełniona łzami. Zmęczenie i ta nagła zmiana w życiu dawały o sobie znać. Przyciskała twarz do poduszki, raz po raz spoglądając na synka. Rękawem wycierała nos i znów chowała twarz, próbując zarówno przed kobietami w sali, jak i przed dzieckiem ukryć płacz. Żeby nie pomyślał, że to przez niego...

– Dopiero teraz, dziecko, zaczniesz żyć naprawdę. Dopiero teraz...

Chyba nie zrozumiała, co chciała jej powiedzieć położna. Ale w tym stwierdzeniu było tyle łagodności i jednocześnie pewności, że odetchnęła głębiej, uśmiechnęła się do sąsiadki i rzekła bez związku:

– To jest pierwsza rzecz, która jest naprawdę moja. Tylko moja.

jakiś czas przed TYM

Kiedy zbudował kolejny dom, zapytał, przyciągając ją do siebie swoimi sztywnymi rękoma:

– Jesteś szczęśliwa?

Była zdziwiona. I tymi słowami, i tym gestem. Bo zazwyczaj trzymał ręce dość daleko od niej. Nawet trochę do tego przywykła.

Ale teraz Edwin pękał z dumy. Bo oto dokonywał rzeczy wielkich. Gromadził pieniądze. Budował domy. Stać go było! Na wiele! Nie żeby był jakimś Onasisem! Miał w sobie poczucie dumy. Możliwości. Chociaż nie znaczy to, by Edwin kiedykolwiek obnosił się ze swoim bogactwem. Czuł jedynie wewnętrzną satysfakcję, że tak; jego rodzice żyli tak sobie średnio, Łucji również. Daleka, bliższa rodzina gdzieś tam też jakoś żyła. A on! On własnymi rękami! I sam, bez niczyjej pomocy, wyrósł ponad przeciętność! Miał wrażenie, że świat legł u jego stóp. Może nie ten wielki, spektakularny świat. Ale ten będący w jego zasięgu. Jego – małomiasteczkowy! Ten – tak! Ten należał do niego. Obiecywał Łucji – tam w bramie starego domu – że nie zginą, że dadzą sobie radę. I dotrzymał słowa. Nawet z nawiązką.

– Tak – powiedziała, bo tylko wypowiadając to jedno słowo, mogła się zakamuflować. Nadmiar słów mógłby ją zdradzić. A to jedno „tak” wyrażało się jasno. Dawało jemu zapewnienie, jej święty spokój. Poznała to. Nauczyła się sygnować „szczęścia”. Nowy samochód – jedno szczęście więcej, dom – jeszcze więcej szczęścia... To chyba w takim wymiarze powinna nazywać siebie niezmiernie szczęśliwą osobą. I tak o niej mówili – kuzynostwo, znajomi, ciotki. „Ty to masz szczęście! Dom, samochód, pieniądze. Nie to, co my w młodości – bieda i dzieci. Nic poza tym...”

kiedyś dawno temu przed TYM

Szczęście pozostało więc dla Łucji czymś tak pospolitym, że nie zaprzętała sobie nim głowy. A kiedy pchało się nachalnie do jej myśli, usiłowało się przebić przez multum codziennych zdarzeń, wypierała je, zastępując zwykłymi sprawami. Sprzątała. Coś tam gotowała. Żyła od poniedziałku do piątku. Była szczęśliwa. Motyle szczęścia sadowiły się w niej. Z początku nieśmiało. Ledwie odczuwalnie. Najpierw wachlowały swoimi efemerycznymi skrzydłami. Były to ledwie mikroruchy. Potem przyspieszały. A wreszcie uspokajały się, moszcząc się z zamiarem pozostania na dłużej. I tak to trwało. Radość wlewała się rozkosznie do wnętrza Łucji strumieniami. Aż do momentu, w którym świadomość tego stanu rzeczy, niezmaconego niczym szczęścia, nie zaczęła niepokoić, dopóki nie pojawiło się pytanie: „Czy na pewno już zawsze tak będzie?”. I ono, to zjawione

się znikąd zwątpienie – skromne, zaledwie wybrzmiało – już samym pojawieniem się zakłóciło poczucie zadowolenia. Zrodziło pytania, powoli zmieniło sposób myślenia, w którym do tej pory takie rzeczy, jak smutek, rozczarowanie, jak niespełnienie, jak obojętność – nie miały racji bytu. Szczęście gasło. Bezszelestnie i niewidocznie... Kto by tam miał czas zajmować głowę takimi błahostkami?

wiele lat przed TYM

Jeszcze potem rodziła dwa razy. Za drugim dziecko nie przeżyło nawet doby. Urodziło się zbyt wcześnie i zbyt małe, by przetrwać.

Łukasz miał dwadzieścia lat, Anka czternaście, kiedy Łucja urodziła Magdę. Była poczęta przez przypadek i jak przypadek żyła krótko i nie pozostawiła po sobie śladów. Nie było nawet nad czym płakać. Chyba że tylko za nieprzeżytym życiem. W tej rodzinie rzadko mówiło się o Magdzie. W ogóle rzadko przecież się mówiło.

teraz... PO

Śmierć Edwina! Tysiące pytań tłoczących się do głowy. I najważniejsze z nich: „dlaczego?”. Dlaczego zignorował życie? Dlaczego się z niego zwolnił? Dlaczego teraz? Dlaczego tak?

Łucja przypomniała sobie ten pierwszy strach związany ze śmiercią. Tamto pytanie: „Czy ja dożyję, kiedy on będzie już żył spokojnie?”. I tamten lęk – taki wówczas nierealny, ale który już na zawsze zagnieździł się w niej. Gdzieś w zakamarkach. Schowany. Z czasem poblady, spłowiały niczym lniany obrus. Łucja już nigdy go nie oswoiła. Wprawdzie i wcześniej ludzie umierali. Bo była jeszcze śmierć babki Stanisławy, ale ona była konsekwencją życia, realizacją pewnego porządku – babka była już tak stara, że życie ją męczyło. Mogła więc tylko umrzeć. Ale Edwin? Pięćdziesiąt lat! Tyle mu umknęło, im dwojgu. Dlaczego?

po TYM

Z prawej strony lustro zrobiła się mleczna mgła. Zapowietrzenie czy co? Może zniszczeniu uległa warstwa minii i dostało się tam powietrze, niszcząc ów wygładzony obraz, który z założenia konstrukcji i pomysłu samego lustra pozostawał mimo wszystko obrazem pozornym, a nadto nieruchomym, pozbawionym życia.

Lampka z winem pustoszała... Nie dawała ani zaspokojenia pragnienia, ani możliwości zapomnienia... Cierpki, taniyczny smak.

Za oknem zmierzchało. Kolejny ciemny wieczór. Nie zapalała światła. Uliczne lampy, łaskawie tak usytuowane, by nie uprzykrzać życia mieszkańcom domu, dyskretnie sączyły blask, rozkładający się długimi, wąskimi snopami na podłodze. Łucja poruszała się na pamięć. Czasem szturchnęła jakiś przedmiot, ale nawet gdy było zupełnie jasno, potykała się i trącała różne sprzęty, dziwiąc się ich istnieniu, chociaż stały tu nienaruszone od jego śmierci. Nic nie było ruszone. Żadnych zmian. Wszystko jak wówczas, kiedy był.

jakiś czas przed TYM

Edwin nie lubił zmian. Przyzwyczajał się do wszystkiego, co było w jego pobliżu. Kolekcjonował nawyki. Wszystkim rzeczom, przedmiotom wyznaczał miejsce. Raz na zawsze. Kiedy ktoś mu coś przełożył, zburzył jego porządek, kiedy z tego misternie ustawionego stosiku zachowań, przyzwyczajęń wyciągnął – ba, nawet tyle zaledwie, co obruszył – jeden element, wpadał w takie rozdrażnienie, że tylko szybkie i sprawne przywrócenie poprzedniego stanu mogło uchronić wszystkich przed niechybnym wybuchem furii. Z czasem nauczyła się nie dostrzegać, może nawet ignorować owe stany rozdrażnienia, a niekiedy podpierała ręce na biodrach, co dodawało jej animuszu, i mówiła:

– Nie możesz tak reagować! Twoje rozdrażnienie jest nieadekwatne do przyczyny! Byle pierdoła wytrąca cię z równowagi, a ty potem nas. Mnie i dzieci. Staraj się lepiej gospodarować słowami. Jesteś strasznym egoistą, Edwinie!

– Wiem – odpowiadał już nieco wyciszony, ale to wcale nie gwarantowało jakiegokolwiek poprawy, w żaden sposób nie było też formą przeprosin. O nie! Po prostu mijała mu złość i tyle! Do czasu, gdy znów zadziało się coś nie po jego myśli.

Kiedy zmieniały się czasy, a z nimi różne mody – na meble, na firany, Edwin cierpiał. Bo naraz nieodzowna była potrzeba zmiany. Tłumiąc w sobie złość,

czasem się poddawał. Czasem długo trwało jego handryczenie się. Ale i tak nigdy nie wyrzucił żadnego mebla, nie zerwał założonej w latach siedemdziesiątych boazerii – dla wszystkiego znajdował miejsce, najpierw w piwnicy i przybłokowej komórce, potem to wszystko przeniósł do nowo wybudowanego domu, a właściwie do czegoś, co w projekcie figurowało jako pomieszczenie gospodarcze.

po TYM

Ciemność łączyła się z ciszą. To było dla Łucji takie bezpieczne połączenie. Zastały świat, w którym nic się nie zmienia, trwa jeden czas.

Spojrzała na zegar. Dopiero teraz zdecydowała się włączyć lampę. Wskazówki zlewały się z cyferblatem. Piękna to była rzecz. Intarsjowany zegar portykowy. Obudowa została wykonana z drewna z drzewa iglastego, pokryta fornirem orzechowym i intarsją z cynamonowej jatoby. Mazerowane kolumny. Pod spodem obudowy słabo widoczna data, być może 1860, a może inna. Zegar był sprawny. Bardzo dobrze zachowany – niewymęczony mechanizm, chyba nawet wiedeński, już tyle lat wybijał w spiralny gong godziny i półgodziny. Piękne, oryginalne ażurowe wahadło niezliczoną ilość razy pokonywało tę samą drogę: ding-dong.

Łucja dostała ów zegar w prezencie rocznicowym od teściowej. Nie była to jakaś okrągła rocznica. Tak naprawdę nikt nie miał pojęcia, jak znalazł się w jej posiadaniu. Przecież zapewne ani nie stanowił posagu, ani nie należał do rodziców. A nawet gdyby... byłoby niemożliwe, aby uszło to baczości rodzeństwa. Pewnie kupiła go gdzieś w starociach albo od kogoś. Widziała, że synowa lubuje się w takich rzeczach.

Łucja lubiła patrzeć na ten zegar, nawet wówczas, gdy nie wskazywał aktualnej godziny. Sam w sobie był obiektem do oglądania i zachwycania się. Długi czas wisiał niesprawny, wprowadzając w błąd domowników. Przypominała sobie, jak to któregoś razu Edwin, sugerując się wskazaną na nim godziną, spóźnił się na ważne spotkanie. Nie minął dzień, gdy postanowił zawieźć go do naprawy. Łucja pamięta, jak łyso i dziwnie było bez zegara, ale to też stało się podówczas pretekstem do pomalowania ścian, potem długo zastanawiali się nad ewentualną zmianą miejsca, a w końcu zegar zawisł na starym, choć odświeżonym i pomalowanym.

Uśmiechnęła się do tego wspomnienia.

*

Siedzi sama. Kieliszek chwieje się w jej dłoniach... W przezroczystym szkle zniekształcone odbicie. Naprzeciw lustro. Łucja porusza się, obraz w lustrze też.

A jednak lustro kłamie, pokazując wizerunek bez śladów upływającego czasu...

Łucja myśli, że czas się zatrzymał. Wtedy. Tamtego dnia. Banał! Eksploatowany nagminnie! Nic nie jest w stanie powstrzymać czasu...

życie Łucji przed TYM

Nie wiedzieć kiedy mijały lata. Piątki nie różniły się od poniedziałków. Życie Łucji płynęło jednostajnie. Bez rwących nurtów i katarakt.

– Zakochałem się – powiedział ich syn któregoś piątkowego popołudnia.

Siedzieli w salonie. Okna szczelnie zasłaniały ciężkie story. Od jakiegoś czasu były niemodne, ale Edwin przyzwyczał się do nich. Twierdził, że zapewniają mu intymność i dają poczucie domowego ciepła.

Zarówno on, jak i ona, zajęci fragmentem swojego życia, zdawali się nie usłyszeć słów syna. Łucja przeżywała rozterki sercowe Hanki ze znanego serialu, Edwin wystawiał faktury firmom kooperującym z jego firmą. Od kiedy zakupił laptopa, starał się być jak najbliżej żony. Skupiony na cyfrach, nazwach kontrahenta, NIP-ach, tylko od czasu do czasu ogarniał wzrokiem przestrzeń. Jakby chciał się upewnić, że wszystko trwa w nienaruszonym porządku. Niezmałowane niczym życie.

– Mamo! Powiedziałem coś. – W tonie Łukasza nie słyhać było ponaglenia, choć odezwał się nieco głośniejsze.

Oboje niemal jednocześnie podnieśli oczy na syna, zdumieni obecnością faceta, pod którego maską niespodziewanie skrył się ich pierworodny. Popatrzyli na niego z wyczekiwaniem. Łukasz stał we framudze drzwi, jakby chciał dać rodzicom czas, by jego słowa do nich dotarły.

Łucja poderwała się, wyprostowała i od razu wyłączyła telewizor. Jej uwaga skupiła się na sylwetce syna. Nie był podobny w zasadzie do żadnego z rodziców, choć niekiedy pokazywało się w nim coś takiego, co z miejsca podsuwało podobieństwo do jednego lub drugiego. A to w spojrzeniu ukazywał się dziwny smutek matki, a to w ruchach niezrozumiała nerwowość ojca. Tak czy owak, jak powiadają, nie było możliwości wyparcia się chłopaka.

Teraz zdziwił ją jego głos i wygląd. A już nade wszystko to, co powiedział. Że co? Że się zakochał? Zakochał się? Cóż to znaczy? Dla niej? Dla niego? Ona

wciąż pozostawała matką małych dzieci. Teraz, wyrwana z życia serialowej Hanki, nie umiała określić ich wieku. Ale wiedziała na pewno. Jej dzieci były małe. Po prostu były małe. Pięć, sześć... może dziesięć lat... Na tyle małe, by nie miały prawa miewać takich problemów. A teraz on – mężczyzna, nie-dziecko wpada w jej czas i oświadcza: „zakochałem się”. Łucja z przerażeniem pomyślała o tym, jak szybko ten czas upłynął. Wszystko przeleciało, a ona teraz tak niewiele potrafi odtworzyć. Czy to możliwe?

Wprawdzie dopóki Łukasz i Anka nie nauczyli się czytać sami, Łucja siadywała przy ich łóżkach wieczór w wieczór i przy ledwie tlącej się lampce, która miała tworzyć nastrój, wysilała wzrok, by czytać im bajki. Na regale, równo poukładane grzbietami tworzącymi idealną linię, stały książki. Brzechwa. Tuwim – obowiązkowo. Ale i inne Bolki, Lolki, Plastusiowe pamiętniki i cuda-wianki. Dzieciaki wyciągały książeczki, wpatrywały się w kolorowe obrazki i niezrozumiałe rzędy liter, a potem wręczały je jej. Ale jednak to Łucja zawsze sama dobierała lektury, dokładając ogromnej dbałości, by omijać to, co brutalne albo nielogiczne. Mało kiedy czytała im baśnie Andersena lub braci Grimm, bo pamiętała ze swojego dzieciństwa, jak matka lub starsze rodzeństwo – zwłaszcza Konrad, gdy była chora, czasem siadali przy niej i czytali jej na głos. Było jej wówczas tak smutno, kiedy umierała dziewczynka z zapalkami albo gdy Gerda poszukiwała swojego braciszka, że nieraz obcierała rękawem flanelowej koszuli uszytej przez babkę Stanisławę cieknące łzy i prosiła, by już jej nie czytano. A potem długo nie mogła zasnąć, przeżywając śmierć biednej dziewczynki z zapalkami czy inne nieszczęścia bajkowych herosów.

Może i dlatego jako mała dziewczynka nigdy nie chciała być księżniczką. Nie podobał jej się bajkowy świat. W tym, w którym żyła, wszystko było jasno określone, przewidywalne.

Łucja, rzecz jasna, zajmowała się dziećmi, rozmawiała z nimi, brała je na kolana, zwłaszcza Anka była jej przytulanką. Miętołiła ją, zakręcała na palcach jej włosy, a ta paplała trzy po trzy. Inaczej Łukasz. Był zawsze z boku, jakby nieobecny. Zamalowywał setki kartek dużego bloku, tworząc niezwykle obrazy, budzące niejednokrotnie grozę swymi barwami, dynamiką i łatwością przywoływania różnych kształtów. Najczęściej były to domniemane fantastyczne postacie znikające w wielokrotnych warstwach nakładających się na siebie kolorów. Edwin nie lubił patrzeć na te bohomy, walające się po całym mieszkaniu. Zgarniał je brutalnie, miażdżąc w kule i krzyczał do żony:

– Czy on nie może bawić się klockami jak inni chłopcy, tylko maże, rozlewa, paprze się w tych mazidłach? Człowiek zabija się o te pędzle i mokre plamy. Nie nadążę pracować, by zarabiać na nowe dywany, chodniki! Wszystko popaskudzone!

Łucja wruszała ramionami. Przecież nie było sensu dyskutować. Znała

męża. Gdyby Łukasz bawił się tymi klockami, historia byłaby taka sama – Edwin irytowałby się, że klocki walają się po całym domu. A poza tym podobały jej się obrazy Łukasza, choć zdarzało się, że budziły w niej pewien niepokój. Podobne odczucie miała wówczas, gdy w sanockim muzeum oglądała prace Beksińskiego.

Chłopiec zresztą zdawał się zupełnie nie słyszeć ojca. Nakładał farby na kolejne kartki, uśmiechając się tajemniczo do siebie. Nieraz Łucja próbowała go przygarnąć, ale on subtelnie, a jednocześnie jakoś tak sprytnie, wyślizgiwał się niczym ryba spod jej ręki. Kiedy ktokolwiek cmokał go – a to w policzek, a to w czoło, a już na pewno wtedy, kiedy prosto w usta – wycierał się natychmiast, nawet nie kryjąc wyrazu ni to obrzydzenia, ni to niechęci. Kobieta знаła tę sztywność ruchów, kanciastość dotyku. Czasem myślała „będziesz jak twój ojciec”, ale zaraz wymazywała tę myśl, bojąc się, że może mieć moc sprawczą, zadziała jak zaklęcie. I w istocie tak się stanie.

*

Wprawdzie kilka dni później okazało się, że nie było to jedno z tych zakochań do końca życia, ale coś pękło w Łukaszu. Już nie przyszedł do nich kolejny raz. Łucja z pewnym smutkiem myślała o tym, że syn dorośnie.

I najpierw zniknęły między nimi słowa, a potem zniknął Łukasz.

kiedyś przed TYM

– Joanna jest w ciąży. Pobierzemy się na święta. – Młody mężczyzna oznajmił to tak, jakby mówił o czymś codziennym, co absolutnie nie wymaga zbytnej uwagi. Postąpił krok do przodu, ale nie zamierzał siadać, jakby to pozwalało mu zachować dystans.

Łucji przez myśl przebiegła sytuacja sprzed lat. Kiedy to Edwin w równie oczywisty sposób powiedział ich rodzicom o nich i o dziecku.

Edwin uniósł się, chrząknął, chcąc pozbyć się nadmiaru śliny i, lawirując wzrokiem, jakby uciekał przed spojrzeniami żony i syna, rzekł:

– To i tak dobrze, że nas informujesz. Rozumiem, że mamy się czuć zaproszeni i czekać na podanie jakichś dat, miejsc. – W jego głosie dość wyraźnie pobrzmiwała nuta pewnej uszczypliwości, czy nawet sarkazmu. Łucja rozpoznawała ten czepliwy, prowokacyjny ton.

Podniosła oczy. Czowała, jak wewnątrz niej wszystko się spina. Mięśnie sztywnieją. Odruchowo zaciskała dłonie, które spotniały nagle, jakby ktoś polał na

nie chłodną wodę. Musiała błyskawicznie coś powiedzieć, żeby nie dopuścić do scysji. Znała obydwu mężczyzn, z tonu męża i wyrazu twarzy syna wnioskujeła, że za chwilę ta rozmowa będzie nieprzyjemna. Padnie wiele słów. Głośnych i niepotrzebnych, które zawisną nad domem jak gradowa chmura. I koniec końców więcej niczego się nie dowie o przyszłości Łukasza.

– Tato, proszę cię... – powiedział z naciskiem Łukasz. Nieruchoma twarz, drgająca żyła na skroni zdradzały jego zdenerwowanie i nadludzki wysiłek, by nie wybuchnąć. – Właśnie dlatego tu jestem, żeby o wszystkim z tobą porozmawiać. Jak ojciec z synem... Przestań patrzeć na mnie jak na krnąbrnego sztubaka. Przestań mnie karać spojrzeniem, tonem i ignorowaniem... Wiem, że zawiodłem twoje oczekiwania, że rozczarowałem cię, oszukałem, ale to nie zmienia faktu, że zawsze pozostanę twoim synem! Szanuję cię, jestem ci wdzięczny za wszystko, ale musisz zrozumieć, że budownictwo nigdy mnie nie interesowało. Nie pomógłbym tobie, bo robiłbym wszystko bez wiary. – Młody mężczyzna nie krzyczał, lecz ton głosu był wyraźny i twardy, zupełnie nieliczący z delikatnymi rysami i drobną sylwetką.

Poszukał wzrokiem matki, ale Łucja siedziała ze splecionymi na kolanach rękami. Była dumna z syna. Zdumiała ją jego odwaga i determinacja.

Edwin zdawał się niewzruszony. Ten sam wyraz twarzy, ten sam ton.

– Tyle że pieniądze nie wymagają wiary, ale pracy. I to nie ma nic wspólnego z lubię albo nie lubię. Jak matka idzie do sklepu, to nikt się nie pyta o to, czy praca, za którą otrzymała zapłatę, była przyjemna czy nie!

Były to jednak tylko pozory, bo już za chwilę Edwin wybuchnął:

– Za twoje kursy też nie zapłaciłem pieniędzmi, które w rytmie tańca za sprawą pędzla znalazły się w banku...

Zbliżył się do syna. Był o krok od niego. Wwiercał się w niego spojrzeniem, jakby to mogło mu pomóc złamać Łukasza. Jakby to było w stanie powetować jego krzywdę. Jego niezrealizowane plany, stracone marzenia, jego cholerny ojcowski zawód!

– Ale ty... ty nawet nie złożyłeś papierów na te cholerne studia... – Ojciec rozogniał się, czerwone żyłki pulsowały na skroniach.

Widać tamte zdarzenia wciąż, mimo tylu lat, żywo tkwiły w jego głowie. Edwin nie mógł synowi zapomnieć, że przez pół roku oszukiwał go, mówiąc, że przygotowuje się do studiów na politechnice. W rzeczywistości zaś pieniądze ojca poszły na naukę rysunku u jakiegoś profesora, który „widział” w Łukaszu ogromny talent i gwarantował mu szaloną karierę artystyczną. Jednak po maturze okazało się, że chłopak nie zdał egzaminów na ASP, a profesor od rysunku zwyczajnie zapadł się pod ziemię. Kiedy sprawa wyszła na jaw i syn, zapytany o wynik egzaminów na politechnikę, powiedział prawdę, ojciec tak się wściekł, wyzywając go od głupców, oszustów, że zażądał zwrotu pieniędzy. Chłopak zawziął się

w sobie i postanowił odejść z domu. I odszedł, pozostawiając wszystkich w osłupieniu.

– Tato! Nie proszę cię o pieniądze... Minęło tyle lat, myślałem, że już się pogodziłeś... – próbował ciągnąć dalej mężczyzna. – Teraz jestem tu, bo będę miał swoją rodzinę, ale to nie znaczy, że chcę ją mieć bez was. Przecież ja... wy... Ania. Przecież wciąż jesteśmy rodziną. Chcę, żebyś wiedział, żebyś się cieszył... Żebyś był przy mnie w tym czasie – zniżył nieco głos, bo takie słowa – intymne, wewnętrzne zawsze przychodziły mu z trudem.

Kiedy Łucja w zabawie, tak po prostu pytała: „A kochasz mamusię, Łukaszku? – nigdy nie powiedział: „Kocham”, tylko kiwnął głową, czasem podbiegł i włożył głowę pod jej rękę.

A teraz mówił o uczuciach. Miłości, bliskości... Sam czuł, że język, którego używa, sprawia mu trudność.

Nic więc dziwnego, że atmosfera puchła, nabrzmiała sztucznością. Kilka lat rozłąki odcisnęło piętno. Przypadkowe kontakty czy rzadkie święta razem odbywały się w zaciętym milczeniu, czasem skąpo kraszone „cześć”, „do widzenia” czy jakimś mruknięciem, które można było sobie tłumaczyć jakkolwiek. Zresztą przez całe życie rzadko rozmawiali ze sobą. A kiedy Łukasz zamknął za sobą drzwi, przez kilka miesięcy w ogóle nie mówili, a potem... po powrocie... były to takie suche komunikaty: „I co tam u ciebie”, „Jak tam w pracy”.

Teraz padło tyle słów.

*

Edwin wstał nagle i podszedł do okna. Odchylił roletę, z zainteresowaniem przyglądając się czemuś na zewnątrz. Wierzchem dłoni przetarł oczy, jakby chciał zedrzyć niewidzialną przesłonę. Przechylał się, wyginał, chcąc dojrzeć za oknem coś, co nagle zwróciło jego uwagę i stało się tak ważne, że właśnie teraz musiał to zobaczyć. A za oknem stał rosły orzech włoski. Niewzruszony. Rósł spokojnie od lat. Teraz obsiadły go wróble, czyniąc taki jazgot, jakby przydarzyła im się jakaś krzywda. Poza tym było spokojnie. Szarzało. Robił się wieczór. Zachodzące słońce wypuszczało między splątane gałęzie ostatnie promienie pełgające po zmieniających już barwy na jesienne liściach. Niesamowita gra światła i koloru.

– Łukaszku! – Łucja poderwała się energicznie, jakby dopiero teraz dotarło do niej to, co mówi jej syn. – To wspaniała nowina! Twój koledzy... Pamiętasz Dominika? Już dawno wożą maleństwa w tych śmiesznych trójkołowych wózkach. A pamiętasz tego małego, pryszczatego Kamila? Był u ciebie kilka razy na imprezce urodzinowej...

Łukasz zdawał się zupełnie wytracony z rzeczywistości. Lista imion z taką fascynacją prezentowana przez jego matkę była mu zupełnie obca. Usiłował

wprawdzie odkopać z nieczynnych złogów pamięci owe pedantycznie wybrzmiałe imiona, ale nie udawało mu się. Coś tam kojarzył, ale nie chciał w tym czasie zaprzętać sobie głowy nieistotnymi sprawami. Widać wyparł je z umysłu na zawsze, spodziewając się, że nie będą mu do niczego przydatne. Mimo wszystko starał się podtrzymywać rozmowę. Szkoda mu było matki i tego teatru, który postanowiła odegrać. Że niby tyle wie o jego przeszłości! Że przecież są rodziną, w której wszyscy o wszystkich wiedzą. Znają sieć relacji, powiązań, koneksji. Prawda jednak była zgoła inna: Łukasz już dawno odstał od tego przeszłego świata, zastępując poszczególne jego elementy nowymi, na nowe czasy – potrzebniejszymi. Ani ojciec, ani matka nie mieli o tym bladego pojęcia.

– Niewiarygodne! – To było takie uniwersalne, nieznaczące słowo.

Atmosfera wydawała się coraz mniej gęsta i zawieszona, choć wszyscy wciąż czuli się nieswojo.

– Nasz czas mija... – skonstatował refleksyjnie Edwin, który ocknął się znienacka, kończąc tym samym ową retrospektywną wycieczkę matki i syna.

– Nasze dzieci mają dzieci... Taka kolej rzeczy... taka kolej.

Był uspokojony, jakby zza okna ktoś podał mu lek na stonowanie nerwów.

Rolety osunęły się z trzaskiem, kłócąc zapadającą wraz z wieczorem ciszę.

Edwin jeszcze przyglądał się rwetesowi za oknem, a potem rzekł ni z gruszki, ni z pietruszki. Zupełnie bez związku:

– Patrzcie, szaraki pieprzone! Ani z nich urody, ani pożytku!

Zaraz też usiadł przy stole. Rozparł się na krześle i rzekł z uwagą do żony i Łukasza:

– To mów, synu! Mów! Tylko jasno i konkretnie! Mnie żadne uczelnie nie kształciły, a tylko ludzie. To jest najmądrzejszy uniwersytet – zagadnął niemal filozoficznie, co wywołało nikły uśmiech syna.

*

Potem już chyba nigdy nie wypowiedział tylu słów w jednej rozmowie. Z kimkolwiek...

jakiś czas przed TYM

Goście skupili się w kruchcie kościoła. Była ich niewielka garstka. Wszyscy ubrani odświętnie, spoglądali na siebie nawzajem, czy to jest ta impreza. Jakby nikt nikogo nie znał. Młodzi zdecydowali o skromnym przyjęciu. Bez pompy i blichtru.

Mimo późniejszych i absolutnie szczerych deklaracji Edwina i nalegań Łucji, nie chcieli żadnych pieniędzy – ani od jednych, ani od drugich. W gruncie rzeczy Edwin w cichości serca był dumny z syna. Miał chłopak charakter!

jakiś czas przed TYM

W pamięci Łucji wciąż majaczył tamten dzień, kiedy zaraz po awanturze wywołanej decyzją syna o porzuceniu studiów Edwin stał zawzięcie za zamkniętymi drzwiami sypialni, nie wyścibiając nosa, nie chcąc patrzeć na torby, plecaki, pakunki i pakunczki – całe Łukaszone życie wrzucone w pośpiechu i w nerwach. Do dzisiaj nie umiałby sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wtedy nie wyszedł, nie powiedział: „Zostań synu! Nie poradzisz sobie – bez pracy, bez pieniędzy”.

A przecież serce w nim rwało, z trudem przełykał ślinę i mocno zaciskał powieki, by nie uronić łzy. Męskiej łzy. Ręce trzymał w kieszeniach. Zwinięte w pięść, jakby się bał, że zacznie rwać włosy z głowy, że zacznie gryźć palce.

Tam w korytarzu jego domu wszystko obydawało się bez słów. Tylko kroki, odgłosy stawianych bagaży. Potem usłyszał lekkie trzaśnięcie drzwi i drżący głos żony:

– Synuś! Zostań. Wiesz, że ojciec jest nerwowy. Że albo milczy jak skała, albo plecie, co mu ślina na język przyniesie, a potem... potem żałuje.

I Łukasza. Jego głos był spokojny, bez żadnej hysterii:

– Nie, mamó. Tak będzie łatwiej każdemu z nas. Zadzwońię do was.

A potem w domu zapadła taka cisza, jakby na całym świecie ustały wszystkie dźwięki. Cisza gorsza niż najgłośniejszy hałas. Anka stała na końcu holu. Niedawno wprowadzili się do tego nowego domu, w którym pokoje pretendowały do miana salonów, sypialni, jadalni, a korytarz, czy też zwykły przedpokój, otrzymał miano „holu”. Był przestronny, ale „odnogi” stanowiące niewielkie wnęki przy wejściu do innych pomieszczeń pozwalały się skryć. Anka obserwowała tę scenę z wielkim żalem. Czowała trudny do udźwignięcia ciężar pożegnań. W dwójnasób, a może i w trójnasób – za brata, za ojca i za matkę. Połykała łzy, które lały się do wewnątrz. Z trudem łapała oddech. Brakowało jej tchu.

Łukasz odchodził. I nikt nie wiedział dokąd i na jak długo.

Kiedy chłopak zamknął drzwi i po chwili ucichły jego kroki, w powietrzu jeszcze unosił się jego zapach, Łucja poczuła się tak, jak kilka godzin po porodzie, kiedy to tamta obcesowa położna zawyrokowała o końcu karmienia i zabrała

tobołek z jej dzieckiem na oddział noworodkowy. Piersi nabrzmiewały pokarmem, a ona sama była nieludzko zrozpaczona. Nie zdążyła jeszcze uwierzyć, napatrzyć się na dziecko, a ono już zniknęło. Bez jej zgody. I nie miała kompletnie żadnego wpływu na bieg zdarzeń.

*

– Wróci – powiedział Edwin. Starał się trzymać fason, ale był kiepskim aktorem. Wychodził z tej sypialni zmniejszony, postarzały o kilka lat. Łucja obrzuciła męża wzrokiem pełnym wyrzutu i pretensji. Właściwie powiedział to bardziej do siebie niż do niej.

– Gówniarz jest! Niech posmakuje prawdziwego życia! – dodał, ale było w tym stwierdzeniu więcej żalostnej bezradności niż gniewu.

Anka podeszła do matki, pogłaskała ją po plecach. Nieznacznie odtrąciła jej rękę.

Tego wieczoru Łucja położyła się wcześniej spać. Musiała. Potrzebowała chwili namysłu, liczyła na to, że w ciemności uda jej się złapać dystans. A jeśli nie, to może będzie mogła zamknąć oczy i odpłynąć w inny świat. W którym da się zmienić cokolwiek.

*

Zrodzony tamtego dnia żal do męża upchnęła w jakiś schowek, ale nie dawał się zapomnieć. Tam dojrzewał i stamtąd nieraz wyrывał się na zewnątrz, tocząc ją jak rak. I mimo że nie wracali w rozmowie do tamtego czasu, nie umiała zapomnieć Edwinowi. Tylko rzucała spojrzenia pełne bólu i pretensji, a on kurczył się pod nimi i znikał.

Łucja wciąż rozpamiętywała, obarczając się kolejnymi winami. Łukasz nie powiedział, dokąd idzie, a ona nie zapytała, bo dla niej wówczas naturalne się wydawało, że dojdzie do końca posesji, do bramy... może nieco dalej – do zakrętu – a potem wróci, bo gdzież by miał się podziać. Bez pieniędzy, bez perspektyw. On – taki kruchy...

Kiedy jasne się stało, że nie wróci, kiedy nie zjawił się po godzinie ani po kolejnej, to wpiery ogarnęła ją złość za jego głupotę, za upór, później zaś zdziwienie.

Potem zaczynał się etap spekulacji związanych z tym, jak długo przetrwa poza domem. Bez środków. Kolejny etap to było tworzenie wszelkich scenariuszy na jego powrót. Raz przyrzekała sobie, że przyjmie go jak marnotrawnego syna. Nie zapyta dlaczego. Innym razem witała go z wyrzutem, że postąpił tak, jak postąpił. Głupio i lekkomyślnie, pozostawiając ich w takiej sytuacji. Jeszcze innym

razem zamierzała milczeć. Dać się sprawom samym poukładać.

Aż w końcu, kiedy stało się jasne, że Łukasz żyje poza nimi, że daje sobie radę, że, być może, jest mu dobrze, pojawiła się niewypowiedziana tęsknota i pragnienie cofnięcia czasu, by jeszcze raz wykorzystać wszelkie możliwości pozostawienia Łukasza przy rodzinie.

Edwin zapadł się w sobie. Jedyłą formą wytchnienia była praca. Całe dni spędzał poza domem. Firma kwitła.

A ona została sama z tym odejściem Łukasza. Wiedziała też, że bez względu na to, czy Łukasz wróci, czy nie, nic nie będzie takie samo. Utraciła się kolejna część jej samej.

I nie było. I już nic nie miało prawa pozostać takim samym. Całe rodzinne życie determinowane było brakiem Łukasza, który odczuwała jak najrealniej. Nie pozwalał jej spać, żyć, myśleć o czymkolwiek. Była w niej pustka! Bezmierna. Z dnia na dzień powiększająca się pustka, w którą wpadały codzienne sprawy. Łucja się nią karmiła.

Czasem tak zapychało ją wewnątrz, że zdawało się, że już więcej nie udźwignie i podda się.

Miesiące mijały i każdy zdawał się tak długi, że Łucja przestała patrzeć w kalendarz, bojąc się tego, że kolejne dni coraz bardziej przybliżają ją do Bożego Narodzenia, a już sama świadomość przeżycia Wigilii bez Łukasza przyprawiała ją o taki ból serca, że musiała zażywać leki, a potem długo w nocy nie mogła spać, modląc się o powrót syna.

któreś Boże Narodzenie na kilka lat przed TYM

Tego roku Łucja przeżyła święta bez syna. Najsmutniejsze święta w jej życiu. Chyba nawet pustka po Edwinie nie była tak porażająca jak tamte święta, kiedy dzielili się opłatkiem, nasłuchując odgłosów z zewnątrz, a potem Łucja wstała od stołu, spod choinki wyciągnęła prezent dla Łukasza i ze złością rzuciła go do szuflady w komodzie. A później zwinęła ze stołu resztki wigilijnego karpia w migdałach, puste porcelanowe kokilki, miskę kutii, którą robiła specjalnie dla syna, bo Edwin narzekał, że za słodka, a Anka wciąż dbała o linię. Nie było jeszcze nawet dwudziestej, gdy położyła się do łóżka. Nie mogła zasnąć, podświadomie liczyła na to, że się pojawi. Stanie w progu. Uczucie przeogromnej tęsknoty rozpiekało piersi. Z każdą jednak godziną gasła nadzieja.

Koło północy zadzwonił telefon. Wyskoczyła z łóżka. Czowała, że to on.

Głos miał spokojny i zupełnie pozbawiony smutku. Powiedział krótko, że

idzie na pasterkę i że ich wszystkich kocha i życzy wesołych świąt. Powiedział, że nie, nie jest sam i oczywiście miał prawdziwą Wigilię. Powiedział też, że nie przyjedzie, że w drugi dzień świąt też nie. I jeszcze powiedział, że tak, że wie, że go kochają i on też ich kocha. A na koniec powiedział, że musi kończyć, bo się spóźni, a do kościoła kawałek.

Łucja kurczowo trzymała słuchawkę, jakby to nie był martwy przedmiot, ale ręka syna, której nie wypuści i nie pozwoli, by się wyrwała. Edwin stał z boku. Zgaszony.

– Słyszałeś, co mówił? – zapytała, choć przecież nie mógł słyszeć. – Powiedział, że wszystko w porządku.

Nie spali do rana, odwrócenie do siebie plecami. Daleko od siebie, by się nie dotknąć, udając, że śpią. Żadnych ruchów ani dźwięków. Łucja kolejny raz rozpamiętywała tamten dzień.

Z góry dobiegały odgłosy telewizora, to Anka oglądała jakiś nocny film. Kilka razy Łucja wstawiała. Kręciła się po kuchni, on też, ale wszystko odbywało się bez słów. Nad ranem córka wyłączyła telewizor. Głucha cisza zaległa dom. Noc betlejemską. W ich domu nie zdarzył się jednakowoż żaden cud. Najdłuższa bodaj noc w ich życiu.

jakiś marzec przed TYM

Był koniec marca. Edwin wcześniej wrócił z pracy, bo czuł się kiepsko, dopadała go jedna z tych gryp, co to natychmiast żądają od człowieka, by się położył, bo nie popuszczą i złożą go tak czy siak do łóżka.

– Łukasz dzwonił – powiedziała tak, jakby nie była to informacja, na którą czekał nieustannie, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Już dawno przestał pytać, czy dzwonił.

Nie słyszał. Leżał pod kocem zakryty po czubek nosa. Tylko rozpalone oczy i postękiwania zdradzały jego obecność. Powieki bezwiednie opadały, ale bronił się przed snem. Ona siedziała nieopodal. Nie powtórzyła.

Tego dnia rzeczywiście Łukasz się odezwał. Pierwszy raz od świąt. Jego głos brzmiał spokojnie i dorośle. Opowiadał pokrótce o jakiejś pracy, mieszkaniu na starówce. Chłoneła każde słowo, tak bardzo sycąc się ich brzmieniem, że przestała zwracać uwagę na to, co syn mówi. Ścisnęła telefon, jakby w zaczarowany sposób słowa syna miały przeniknąć przez ścianki urzędzenia. Przez wszystkie miesiące milczenia, kiedy to nie docierały do niej żadne wieści, czuła się osierocona. Jakby straciła go na zawsze. Z początku podejrzewała, że Anka coś wie, ale zawarcie

jakiegoś poufnego paktu z bratem zabrania jej zdradzać jakiegokolwiek szczegóły. Jednak gdy zdarzyło jej się myśleć racjonalnie, dochodziła do wniosku, że to absurdalne. Że po pierwsze córka nie mogłaby ze spokojem patrzeć na cierpienia matki. Druga rzecz to to, że rodzeństwo dzieliła zbyt duża różnica, i to nie tylko wieku, ale ogólnie – żyli jakby na odległych planetach.

Łucja z przykrością odkrywała, że jej dzieci czasami sprawiały wrażenie zdziwionych swoją obecnością przy stole. Nie było żadnej zawiści, czy choćby niechęci, po prostu nie byli sobie do niczego potrzebni.

Edwin uniósł się nieco na łokciu. Widać było, że każdy ruch sprawia mu trudność. Wyciągnął rękę po kubek z herbatą. Był bardzo osłabiony. Gorące naczynie wysliznęło się z niezbornych rąk. Strugi gorącego płynu spływały na dywan. Łucja omiotła męża karzącym spojrzeniem.

– No proszę cię! Przecież mogłeś poczekać albo poprosić – rzekła z nieskrywanym niezadowoleniem. Coś jej jednak podpowiadało, że to nie choroba zawiniła. On słyszał. Słyszał o synu, któremu pozwolił opuścić dom i ją – matkę. Pozwolił synowi wyjść z domu. Wygonił go. Bo co? Bo nie sprostął jego oczekiwaniom, bo nie dał się wcisnąć w ramę, którą dla niego przygotował? Jakby zapomniał, że on zawsze sam podejmował decyzję, że niedaleko jabłko... i tak dalej. W Łucji na powrót ożyły wspomnienia, drasnęły boleśnie. Pragnęła dodatkowo ukarać Edwina, nie dając mu wiedzy o Łukaszu. Tak lubi milczeć, to niech ma! Popatrzyła na męża. Rozgorączkowane, zapadnięte oczy. Nie może odmienić losu! Nie może! Gdyby umiał mówić, powiedziałaby jej i jemu też, że to nie tak miało być, że słowa nie zawsze znaczą to samo.

– Łucja! Przestań! Nie chciałem! – Jego głos wydawał się zdławiony, cichy, zupełnie pozbawiony barwy. – Nie chciałem upuścić tego kubka! I co?

– I jest plama! – powiedziała.

– Nie o tym mówię, Łucja! – Spojrzał się na nią z błaganiem.

Wiedziała, o czym mówi, bawiła się jego niepewnością, karała go za to, że przez te wszystkie dni umierała z niepokojem, żalu, z poczucia klęski.

Oto teraz ona rozmawiała z synem, wsłuchiwała się w każde słowo, przywoływała z pamięci tony, które przybierał, kiedy był radosny, kiedy miał problemy. Znała go! Był jej synem! Kilka miesięcy nie zdołało odmienić jej dziecka! Była spokojna. Jej syn wie życie z dala od nich, radzi sobie w tym życiu. To może i nie przegrała zupełnie! Zarówno ona, jak i on zdają teraz życiowy egzamin. Łucja od zawsze wiedziała, że nie można uchronić człowieka przed jego przeznaczeniem, co ma być, to będzie. Teraz jej syn mierzy się ze swoim losem. Bez nich.

– Dobrze – wydusiła z siebie z oporem i niechętnie. Ale Edwinowi nie wystarczyło lakoniczne „dobrze”. Podniósł się, zbierając resztę sił. W jego twarzy rosła ciekawość, pomieszana ze złością. Chciał wiedzieć. Teraz. Natychmiast. Co

u jego syna! Wciąż pozostawał jego ojcem. Zawsze nim będzie! Czy ona to rozumie?!

– Co dobrze? Tylko tyle powiedział? Po tylu miesiącach?! Co dobrze, do cholery! – Edwin krzyczał. Choroba zniekształciła jego głos. Krzyk zabrzmiał bardziej jak żalosne skrzeczenie niż budzący respekt ton.

– Pracuje, uczy się, przygotowuje wystawę... – wymieniała, zwracając uwagę, by mówić obojętnie, jakby zależało jej na tym, żeby szczegóły zostawić dla siebie. By potem, gdy będzie sama, jeszcze raz odtworzyć tę rozmowę jak ulubioną płytę.

– Jest szczęśliwy... – dodała nieco ciszej, jednak z takim naciskiem na ostatnie słowo, że Edwin opadł na poduszkę przybity, ale po chwili rzekł:

– Szczęśliwy, szczęśliwy! Guzik szczęśliwy! Czym jest to wasze szczęście? Jeszcze nikt nikogo szczęściem nie nakarmił!

– Pewnie nie... – przyznała Łucja i postanowiła, że już nic nie powie.

po TYM

Radio. Radio na parapecie. Lampowe. Całkiem już niemodne. Stoi tu od zawsze, nawet kurze na nim wycierała zupełnie bezwiednie. Na pamięć. Schowane za zasłoną czasem przyzywało dźwiękiem. Chyba nigdy nikt go nie włączał ani nie wyłączał. Może tylko jakieś przerwy w dostawach prądu. Te współczesne sprzęty z miejsca się rozprogramowywały i trzeba było wiele zabiegów, by odzyskały „aktualność”. To – stało tu od zawsze. Nikt nigdy niczego w nim nie zmieniał. Teraz zza zasłon dochodziła cicha melodia. Jak szemranie wody w ukrytym gdzieś strumieniu, jak zapomniana opowieść. „Chryzantemy złociste stoją na fortepianie”. Mój Ty Boże! Toż to Fogg! Odkąd pamięta, zawsze albo go ignorowali, albo, w najlepszym razie, śmiali się z niego. Kiedyś Anka zniosła do domu jakiś kawał o Foggu i o mumii. I choć niewiele się śmiali, bo chyba nie do końca rozumieli tego typu humor, to od tamtego dowcipu Fogg pozostał jako relikwiarz przeszłych czasów, a już na pewno synonim starego, takiego pokrytego patyną z charakterystyczną wonią starości, która zanim zostanie ponownie ruszona, wymaga starcia kurzów, odświeżenia. I... którą się odsuwa od siebie, bo jest zwyczajnie niemiła.

Toteż potem, ilekroć na tym odwiecznym kanale odezwał się jego głęboki, iście z zaświatów płynący głos, przełączali na inne programy, nie dając sobie szansy na wsłuchanie się w słowa czy muzykę.

Teraz Łucja uświadomiła sobie ze zdumieniem, że to, co śpiewa Fogg, jest

fajne. To, że nie przeszkadza jej jego śpiew – to mało. Podoba jej się!

Podkręciła potencjometr. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz regulowała odbiornik, bo przecież był tam niezmiennie. Jak wiele rzeczy w tym domu. Czasem tylko jak Anka wpadała na kilka dni, coś tam zmieniała, ale Łucja nigdy.

Nie dziwne, że do Łucji rzadko docierały głosy z radia. Najczęściej go nie słyszała. Jego brzęczenie było takim samym dźwiękiem jak hałas pralki, skrzypienie drzwi, czy woda bulgocząca w rurach. Odgłosy domu.

Łucja podeszła do okna. Odchyliła zasłonę, jeszcze głośniejsze podkręciła radio. Chciała słyszeć. Otuliła się swoimi ramionami i śpiewała wspólnie z przebrzmiałym Mieczysławem:

Chryzantemy złociste,
W kryształowym wazonie
Stoją na fortepianie,
Kojąc smutek i żal.
Poprzez łyż srebrno mgliste
Do nich wyciągam dłonie,
Szepcząc wciąż jedno zdanie:
Czemu odeszłaś w dal?

Słowa same przychodziły. Nigdy nie uczyła się ich na pamięć. „Cholera! – pomyślała – ja nawet nie wiem, jak wyglądają złociste chryzantemy! A może to te herbaciane, które kupiłam wczoraj w kwaciarni na rogu i zaniiosłam tobie. Chwila! Wiem! To ty sprowokowałeś wszystko! To ty zażądałeś, tam z wysokości, by zagrano mi te *Chryzantemy złociste*”.

„Lala lala la lala... stoją na fortepianie”.

Muzyka – fenomen, w którym określonym dźwiękom trzeba przypisać konkretną wartość z graficznym dowodem na pięciolinii – nuty, ćwierćnuty, szesnastki. A potem taką wyważoną nutę umieścić na liniach tak, by pasowała do sąsiedniej. I nadać jej rytm, wyznaczyć takt i tonację – smutną, tęskną – minorową lub hardą majorową, frywolną, może nawet trywialną, bezrefleksyjną niczym zdarzenia, które mają miejsce co dzień. Ale to właśnie ten minorowy ton zdawał się mieć sens bycia i był przyjmowany z większą uwagą. Bo tylko smutek toczy refleksję. I jeszcze do owych brzmień zażyczyć sobie – andante, może lepiej adagio – przez całą melodię, a przynajmniej przez frazę, rozciągniętą między a między... By mieć czas. A potem dodawać inne brzmienia, obejmować zakresem kolejne pięciolinie – tworzyć symfonię współbrzmień, kusić akordami, przejściami, zmieniać w trakcie znaki inne od tych przykluczowych. Umieścić życie na pięciolinii... Pianissimo, fortissimo. Rozpisać partyturę zgodnie z metronomem, skomponować pasażę, rozłożyć kadencje, znaki przykluczowe...

jakiś czas po TYM

Łucja często i z ochotą siadała do pianina, choć zawsze twierdziła, że nie umie grać. Z zadziwiającą jednak łatwością przychodziło jej wygrywanie różnych melodii. Początkowo prawa ręka prowadziła jako tako zapamiętaną w myślach melodię, lewa zaś klepała w klawisze utarte akordy. Potem wygładzała grę. Dodawała dźwięki, tworzyła miniwariacje wokół fraz. Niekiedy owe próbki brzmiały dość przyzwoicie i nie nazbyt wprawny słuchacz mógłby dać się zwieść. Melodie wychodzące spod jej rąk były ckliwe, sentymentalne i banalne jak dancinowe szlagiery. Kołysała się przy tym niczym wytrawna pianistka.

Dostała pianino na któreś urodziny od Edwina. Marzyła o nim od dawna. A przynajmniej od chwili, gdy na apelu szkolnym z okazji jakiejś ważnej uroczystości rocznicowej zobaczyła koleżankę, z której wszyscy w szkole się śmiali. Nosila ciasno splecione warkocze i grube szkła okularowe. Zawsze stroniła od rówieśników i ponoć nawet na lekcjach mało kiedy się odzywała, choć wszelkie klasówki pisała bezbłędnie. Julita, bo tak miała na imię, zamieniała się w zupełnie inną osobę, gdy w wielkiej auli szkolnej siadała do czarnego steinwaya. Nagle unosiła wysoko głowę, prostowała plecy, odgarniała z czoła zabłąkane kosmyki włosów i grała. I była tylko ona i muzyka. Łucja zazdrościła jej tej niezależności. Oderwania się od wszystkiego. Wymyśliła więc sobie pewnego razu nawet historię z dzieciństwa o szkole muzycznej i absolutnym słuchu, i od czasu do czasu ją powtarzała.

W istocie uczęszczała do takiej szkoły, niedaleko ich domu, coś koło trzech lat. Ojciec kupił jej akordeon. Wielki jak szafa. To było ojca marzenie, aby grała na instrumencie. Ale nie dało się wykształcić w niej takiej pasji, która pomagałaby jej wyrwać się powszedniości, a jeszcze starczyła na całe życie.

Edwin uwierzył jednak w tę żoninę powiastkę, jak i w wiele innych opowieści mniej, bardziej istotnych.

Tak czy owak mimo braku sukcesów muzyka była dla Łucji szalenie ważna, nosiła ją w sobie. Rzadko grywała, jeszcze rzadziej chyba śpiewała. Śpiewała w myślach. Była wyczulona na dźwięki. Bywało, że czasem jakaś melodia chodziła za nią kilka dni. Często też potrafiła przypisać pewnym zdarzeniom określoną melodię. Znała tytuły utworów, i to nie tylko popularnych piosenek, ale potrafiła wskazać motywy z oper, podać kompozytora, przytoczyć „opusy” Chopina czy Beethovena.

Jemu – Edwinowi – przysłowiowy słoń nadepnął na ucho. Ale lubił, jak ona grała. Dla niego była niemal pianistką, nie mógł się nadziwić sprawności poruszających się na klawiaturze palców.

Edwin wiedział też, że grała wtedy, kiedy nad czymś myślała, martwiła się czy tęskniła. Nie rozmawiali ze sobą nigdy o uczuciach. Stanowiły one dla nich, a bardziej dla niego, tę delikatną materię, którą należy zostawić w spokoju, nie dręczyć jej słowami, które mogą nie oddać wszystkiego, zniekształcić, zafałszować.

Sam rzadko śpiewał. Nawet gdy się golił.

po TYM

Zesztywniałe palce błędziły po pozółkłych klawiszach, fałszując dźwięk. Ostatni raz grała, kiedy... Lata całe...

kiedyś przed TYM

Włączyła wszystkie światła w jadalni. Pokój wypełnił się jasnością, jakby to nie był głęboki wieczór, ale dzień. W pomieszczeniu wciąż wisiały zapachy perfum pomieszane z potrawami i dymem papierosowym. Łucja sprzątała ze stołu. On podawał jej niezgrabnie zagarniane na jeden stos talerze, miski, salaterki. Naczynia obijały się o siebie z łoskotem, ale nie mówiła nic. Starła się nie patrzeć, nie myśleć o tym, że za chwilę wysuną się z jego niezdarnych rąk i runą na ziemię. Przemilczy. Odbierała od męża talerze, szklanki. Wymiała resztki potraw. Goście rozeszli się – Łukasz z Joasią, Janka z mężem, wujek Janusz. Wujek przyjechał w zasadzie do rodziców Łucji, był to jakiś krewny ze strony babki Stanisławy, ale po prawdzie to zawsze bliżej mu było do Łucji niż do dużo starszej od siebie kuzynki. Od młodości spędzał tu wakacje. Kiedyś z rodzicami. Gnieździli się w niewielkim mieszkaniu Marii, ale zawsze byli witani z serdecznością. Później Janusz przyjeżdżał sam. Miał wielu przyjaciół, kolegów. Co raz zakochał się w jakiejś dziewczynie. I bywał u matki Łucji nie tylko na wakacje czy święta. Zjawiał się z nagłą, nie anonsując swoich odwiedzin. Łucja lubiła jego spontaniczność i luz. Nigdy też nie przyszło jej do głowy, by tytułować go wujkiem. Mało! Czasem miała wrażenie, że traktuje ją nie jak jakąś tam siostrzenicę, ale jedną z dziewczyn, które z taką lubością adorował. Janusz był dowcipny, szarmancki. Mówił wiele i zawsze miał w zanadrzu coś zabawnego. Rozbawiał więc towarzystwo, sypał dowcipami jak z rękawa, darząc zebranych

dykteryjkami tyle zabawnymi, co absolutnie nieprawdopodobnymi, ale za każdym razem zapewniał solennie o ich prawdziwości, a jako uwiarygodnienie podawał niezbite fakty, jakoby on sam osobiście był ich uczestnikiem. Nic dziwnego, że gdziekolwiek się pojawił, ściągał uwagę wszystkich. Był zupełnym przeciwieństwem jej męża. Wesoly, wyluzowany.

Podczas jego wizyt Edwin uśmiechał się kącikiem ust i stawał się jakiś łagodniejszy. Czasem ku zdziwieniu wszystkich rzucił jakiś kawał, który najczęściej okazywał się już znany, ale i tak wszyscy się śmiali. Łucja też uwielbiała Janusza. Wpatrywała się w niego jak zaczarowana, zaśmiewała się ze wszystkiego, co powiedział, podsuwała mu co smaczniejsze kąski. Wzbudzała tym zazdrość męża, który stawał się czujny. I bardziej zwracał uwagę na postępowanie żony niż na Janusza. Ona jednak, gdy Edwin dość wyraźnie manifestował swe niezadowolenie, sugerując jej, że „zachowuje się nienaturalnie i sztucznie”, rzucała z oburzeniem:

– Co ty mi usiłujesz insynuować?! Toż to mój wujek!

Milkł bez przekonania.

Ale jej – Łucji – w głębi duszy pochlebiała ta adoracja.

Z czasem wszystko zmatowiało, wydoroślało, nabrało realności.

Pozostał sentyment.

*

– Zdjąć ten obrus? – zapytał Edwin, zsuwając w zagłębienie dłoni okruszki, jakieś walające się groszki i kukurydze. Stał. Nieporadny. Kruszyny wszystkiego wymykały się z wielkich rąk. Zlustrowała stół rzeczowym spojrzeniem pani domu. Pałaca się jeszcze regularnym płomieniem świeca znaczyła tłuste plamy pośrodku śnieżnobiałego obrusu. Jego wymięte rogi wywijają się – każdy w inną stronę. I po cóż było trząść się nad krochmaleniem, prasowaniem, spryskiwaniem, parowaniem, skoro i tak piękny biały obrus przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy?

Nie wiadomo dlaczego rozczerło ją to pytanie. Jej mąż był taki nieporadny w zwykłej domowej codzienności. Gubił się zupełnie w sprawach dotyczących misek, łyżek, wszelkich kokilek czy pokali. I naraz ten obrus.

– Tak. Zaraz założę świeży – powiedziała miękko.

A potem, kiedy już przywróciła porządek domowi, siedli w salonie i opowiadali sobie o tym, co było. Czas na komentarz. Lakoniczny.

– Wiesz – mówiła. – Janka jest taka naiwna, zupełnie nie widzi, że Rysiek ignoruje wszystko, co ona mówi.

– Wydaje ci się – konstatawał Edwin.

– Może – dodawała mniej zdecydowanym tonem. – Joasia jakaś taka weselsza się zdaje. Nie sądzisz ?

– Skoro tak mówisz... Wiesz, że nie patrzę tak na ludzi. Co to znaczy „weselsza”, „smutniejsza”? Co to za dziwna kategoria ocen? – odpowiadał. Trochę poirytowany. Bo Edwina świat nie poddawał się takim szczegółowym ocenom. Nie myślał kategoriami: wesoło, smutnie, romantycznie, sentymentalnie... To były dyrdymały z idiotycznych seriali. – Chodźmy już spać. Późno się zrobiło – zaproponował, jeszcze łagodnie, ale już gdzieś z pewną nutą rozdrażnienia.

Łucja nigdy nie umiała się przeciwstawić mężowi. Czas spać to czas. I choć często w pamięci wracała do tych przegadanych nocy z początku ich małżeństwa, kiedy to zawsze szkoda było czasu na sen, to przyjmowała to, co mówił teraz. Wstali z sofy w salonie. On ruszał do łazienki, ona jeszcze układała wszystko tak, by wszystko wróciło na swoje miejsce. By rano zastać świat uporządkowany.

*

– Może jeszcze zagrasz – rzucił od niechcienia, wchodząc do łazienki. Nie miał już na sobie białej koszuli, garniturowych spodni. Na przedramieniu wisiała aksamitna bonzurka, którą kupiła mu w ekskluzywnym sklepie z jakiejś okazji. Rzadko ją nosił. Była zbyt klasyczna, a nadto sięgała do pół uda. Edwin powiadał, że wygląda jak jakiś fircyk.

Zagrała. Choć Edwin zniknął w łazience. Dźwięki uciekały spod palców, tworząc określoną sekwencję, dającą się ująć w linię melodyczną znanych dancingowych szlagierów. Czasem palce nie wcelowały we właściwy klawisz i wówczas fałsz jak zgrzyt podrażnił ucho. Powtarzała więc frazę niczym wzorowa uczennica. Do czasu, gdy melodia była bezbłędna. Najbardziej lubił *Tomaszów*. Nigdy nie zapytała dlaczego. To taka dramatyczna melodia. Łucja grała...

A może byśmy tak, najdroższa,
wpadli na dzień do Tomaszowa?
Może tam jeszcze zmierzchem złotym
ta sama cisza trwa wrześniowa.
W tym białym domu, w tym pokoju,
gdzie cudze meble postawiono,
musimy skończyć naszą dawną
rozmowę, smutnie nie skończoną.

„Może tam jeszcze zmierzchem złotym ta sama cisza trwa wrześniowa...”

Edwin siedział w wannie, przykręcił kurek, by strumień wody nie zagłuszył gry. Było gorąco. Łazienkę wypełniała mglista para. W tym głośnym strumieniu, w tej gorączce, w tym parowaniu luster rosła w nim miłość do żony. Miłość, którą miał w sobie. Do żony, za którą dziękował co dzień. Niezmiennie. Od tamtego dnia w bramie domu strzeżonego przez starego Zyge. Ale przez gardło by mu nie przeszło powiedzenie jej tego „kocham cię”, „nie wyobrażam sobie życia bez

ciebie” czy innych frazesów z mydlanych oper. Może i chciałby jej to powiedzieć, ale wydawało mu się to takie banalne, niemieckie i naciągane.

Łucja wygrywała stare rosyjskie ballady, walc *Na stokach Mandżurii* i *Recuerdos de la Alhambra* Tárregi. Wszystkie te melodie były zasłyszane – a to od ojca, a to podczas wakacji w Hiszpanii.

jakiś czas po TYM

Teraz też podeszła do pianina. Z ociąganiem. Ostrożnie, jakby bała się, że ktoś ją przyłapie na niedozwolonym uczynku. Uderzyła w środkowe C. Dźwięk przeciął ciszę. Przytrzymała klawisz. Objęła palcami prosty akord CEG. Uderzyła jeszcze raz. I jeszcze. I naraz obie ręce opadły na klawisze. Klawiatura zaskowyczała jękliwie. Kakofonia dźwięków wypełniła dom. Ale już po instrument zdawał się udobruchany. Klawisze przestały stawiać opór, miękko wymykały się spod palców, pozwalając im przebiegać dalej i dalej – nawet na coraz bardziej oddalone od siebie przestrzenie. Łucja dobierała akordy, zmieniała tempo, włączała czarne klawisze, przełamując tonację. Klawiatura pianina rozciągała się przed nią w kolejne oktawy.

Kobieta przebiegała wprawnie palcami po gładkiej powierzchni – lewa ręka prowadziła się według zestawu uniwersalnych akordów, prawa snuła melodię. Jakąś melodię. Nie było nic znanego. Łucja wymyślała, przeskakiwała z piosenki na piosenkę, skupiona, by nie dopuścić do fałszu, utrzymać ową harmonię melodii, której nie zdołałaby zapisać, utrwalić, ale która na ten moment była czymś oczyszczającym, czymś „odpamiętniającym”. Na chwilę przeniosła ją w świat, w którym nie istniała przeszłość, nie istniała ona. Ani jej samotność. Ani jej tęsknota.

– Mamo! Mamo!

Dom wypełniony był muzyką. Ciemność zacierała kształty przedmiotów.

– Mamo! – usłyszała przy uchu.

Obok stała Anka. W jej wzroku było tyle złości, że Łucja zapadła się w siebie i spojrzała na córkę przepaszająco, lękliwie. Zamknęła klapę, uważając, by otwarta podstawka na nuty nie uszkodziła klawiszy. Poglaskała z czułością wieko instrumentu.

– Co się z tobą dzieje?! – Anka miotła się nad nią. Wściekła jak nigdy dotąd. – Do cholery! Nie odbierasz telefonów! Musiałam przyjechać! Dobrze chociaż, że miałam klucze! Czy ty myślisz, że ja naprawdę nie mam nic do roboty, tylko ciągnąć się do ciebie?! Mamo! Dlaczego sprawiasz tyle kłopotu?

Chwyciła się rękoma za głowę. Kręciła nią, jakby zamierzała ją odkręcić i wysypać zbędną zawartość. Zupełnie tak, jak się wytrząsa resztki cukru z cukiernicy.

Łucja wstała. Obciągnęła spódnicę. Poprawiła rozsypujące się włosy.

W domu zapadał zmierzch. Włączyła światło. Jaskrawa smuga ekspansywnie wtłoczyła się do jej oczu. Przymrużyła na chwilę powieki, a kiedy ponownie je otworzyła, światło wydawało się jak najbardziej normalne. Czowała, że wraca jej poczucie rzeczywistości, choć wzrok wciąż miała nieobecny.

– Grałam – oznajmiła rzeczowo. Wyminęła córkę i przystanęła w pewnej odległości. Były na wprost siebie. Ich spojrzenia skrzyżowały się na moment, ale zaraz jedna i druga uciekły oczami. – Grałam – powtórzyła pewniejszym nieco tonem – więc nic dziwnego, że nie słyszałam – dodała lakonicznie.

Anka z politowaniem patrzyła na matkę. Było w niej coś żalosego. Pozbawiona życia, energii. Poruszała się lunatycznie.

– Martwiłam się – powiedziała już nieco spokojniej.

Bo rzeczywiście martwiła się o matkę, która od śmierci ojca żyła nie siłą woli, lecz dzięki prawom biologii. Woli nie było w niej żadnej. Czasem udawała, że życie ją jeszcze interesuje, ale kiepsko wychodziła jej ta gra.

– Myślałam, żeby sprzedać pianino – powiedziała Łucja – ale... – zawahała się wstydliwie, spoglądając ukradkiem na mebel, jakby bała się, by nie usłyszał, by się nie pogniewał, nie odmówił jej posłuszeństwa, kiedy zechce do niego zasiąść – ...może wykupię lekcje? Zawsze chciałam grać. Kiedyś nawet zaczęłam... – znów urwała. – Wtedy byłam młoda i mogłam wiele. I miałam wiele do wyboru. I nie wiedziałam, czego chcę. Teraz też niewiele wiem, ale... – zaśmiała się. Dziwny był to śmiech. Bo nie miał w sobie wesołości, a raczej cierpką gorycz jak skarmelizowana skórka pomarańczowa w mlecznej czekoladzie – ...ale... teraz już nie jestem młoda.

Anka przyglądała się matce. Znała ten jej ton. Pełen rozczarowania, rezygnacji i pretensji. Matka używała go od dawna. Jakby tylko ona była w tym wieku i jakby tylko ona była wdową. Anka kochała ojca. Dla niej jego śmierć też była dramatem. Nie rozumiała, jak świat może istnieć, kiedy nie ma jej ojca. Ale z czasem docierała do niej owa banalna prawda, że świat dalej jest taki sam. Te same samochody jeżdżą po ulicach, ci sami ludzie mówią jej do widzenia i dzień dobry. Te same programy telewizyjne, te same piątki i soboty.

– Mamo! No przestań – powiedziała córka łagodnie i rozejrzała się podejrzliwie po domu, ale oprócz nienapoczętej lampki wina stojącej obok lustra, nic nie budziło zastrzeżeń. Musiała uciąć wynurzenia matki. Bo inaczej znowu pozwoliłaby jej, aby pogrzyżała siebie samą, a przy okazji i ją, w tej nieustającej żałobie. Anka nieraz wysłuchiwała skarg Łucji. W zasadzie to nie były jakies lamentacje, rozpamiętywania. Ale krótkie lapidarne stwierdzenie: „Nie chce mi się

żyć”. Było jednak gorsze niż setki słów. I zawsze brzmiało tak, że przez ułamek sekundy nie było żadnej wątpliwości, że Łucja rzeczywiście nie chce już żyć.

Teraz się wzdrygnęła. Zaciśnęła dłonie na ramionach, przesunęła je na szyję, wyciągając brodę do przodu. Jakby obiegł ją niespodziewany chłód. Zamierzała znów powiedzieć „Nie chce mi się żyć”, ale zamiast tego spytała z udawaną troskliwością:

– Napijesz się herbatki? A może przygotować ci coś do jedzenia?

Te pytania zawsze stanowiły bufor. Zapewniały swoistą bezkolizyjność jej kontaktu z córką. „Herbatka”, „pogoda”... to był taki uniwersalny zestaw, który miał niejako oznajmiać, że wszystko jest w porządku. Żadnych refleksji, żadnego smutku. Wszystko jest jak było...

– Nie, nie chcę niczego...

Anka zakręciła się na pięcie i ruszyła w głąb domu. W lustrze zobaczyła swoje odbicie. Duże piersi. Wystający brzuch. Przygarbiona. Jakaś bezkształtna. Lustro kłamie. Wciągnęła brzuch. Mierzyła się wzrokiem, wypinając się przed lustrem.

Była bardzo szczupła. Patrząc na nią, miało się wrażenie, że byle dotknięcie może spowodować, że się najnormalniej w świecie rozkruszy. Jak misterna konstrukcja z zapalek. Chwilowa i efemeryczna. Cienka skóra znaczonej siecią niezliczonych żył i ich rozgałęzień. Miała taką jasną karnację jak Edwin. Kiedy w czasie wakacji wylegiwała się na plaży i wszyscy przyjaciele towarzyszący jej opalali się na brzoskwinię, na buraka albo na morską tonację, a ona tkwiła w upartej bieli, wysmarowana od stóp do głów kremami, śmiali się, że jest opalona jak córka młynarza.

W ogóle była podobna do ojca, choć odzęgnywała się od tego jak diabeł od święconej wody, a kręcone po ojcu włosy najpierw jako dziewczynka ścinała niemal przy samej skórze, zaś kiedy dorosła, prostowała. Łucja nie lubiła jej w tych sztywno leżących na głowie strąkach.

– Masz takie ładne włosy – mawiała. – A ty albo je poprasujesz, albo porobisz jakieś dziwne kolory. Ja chyba zupełnie nie znam się na modzie. Zwyczajnie jestem już stara.

– No, maleńka! Nie ma co się oszukiwać: i jedno, i drugie – żartowała córka. I w takich to kiedyś chwilach Edwin wrzucał swoje cenne słowa. Nie za dobrze przyjmował żarty, w zasadzie miał mierne poczucie humoru.

– Ty prosz Boga, byś za dziesięć lat nie wyglądała gorzej niż mama, a co dopiero, gdy będziesz w jej wieku.

I zaraz odwracał się i szedł do swoich zajęć, jakby zrobiło mu się głupio, bo powiedział za dużo.. Mrugały do siebie porozumiewawczo. Anka robiła miny za jego plecami.

Jednak rzadko zdarzały im się takie chwile swobody.

ileś lat przed TYM

Anka była zawsze w cieniu. Łucja widziała to i sama poniekąd pozwalała jej na trzymanie takiej pozycji. Radziła sobie w życiu. Od pierwszych chwil. Cichutko leżała w łóżeczku, bawiąc się swoimi rękoma, nóżkami. A kiedy nauczyła się chodzić, tuptała do nich w nocy. Bez zaproszenia. Układała się po cichutku na brzegu łóżka, by nie zakłócić ich snu. Przeleżała tak do rana. Kiedy matka się budziła, z przerażeniem dotykała zziębniętych stopek dziecka. I szybko brała je w dłonie, próbując wlać hurtem brakujące ciepło. Anka walczyła o swoje miejsce w życiu – cicho, chytrze i skutecznie. Ale cała troska rodziców skupiała się zawsze na Łukaszu. Słabowitym, efemerycznym, który wciąż ich straszył. Wciąż się bali, że coś mu się stanie. Bo ciągle coś mu się przyplątało, jakieś podejrzanе chorobę, wysokie gorączki, omdlenia. Swoją wątpliwością, niestabilnością i niepewnością nieustannie zajmował uwagę rodziców. Zabierał całą energię. A potem odszedł...

po TYM

Anka krążyła po mieszkaniu. Otwierała drzwi, węszyła niczym wyszkolony pies. Pozapalała wszystkie światła. Ojciec zawsze się irytował, gdy w domu było tak jasno.

– Pali się wszędzie jak w Belwederze! – zrzędził i chodził po całym domu, ostentacyjnie pstrykając włącznikami.

A miał przecież gdzie chodzić. Dom. To już nie ten sam klocek w kształcie komunistycznego prostopadłościanu, ale przestronny, duży, nowoczesny budynek. Krwawica. Anka nie pamiętała trudów budowania, zdobywania pozwoleń, materiałów. Wszystko odbyło się bezboleśnie, wręcz niezauważalnie. Po prostu, któregoś dnia wyprowadzili się z jednego i zamieszkali w drugim, w którym wszystko było już poukładane, poustawiane. Jakby od dawna ktoś zasiedlił ten dom, a potem sobie poszedł. A przecież to był całkiem nowy dom. Pachniał farbami i świeżością. Dla Anki była to zawsze zwykła przestrzeń. Nie zastanawiała się, czy taka – wielka – jest jej potrzeba. Sama ograniczyła się do swojego pokoiku, w którym czuła się bezpiecznie. Tak jak w poprzednim domu... W tym nowym pokoju wszystko było prawie takie samo. Poza łóżkiem i kilkoma rzeczami. Toteż

tym bardziej nie rozumiała sensu tej zmiany. Jej koleżanki w większości mieszkały w blokach, w pokoikach z bratem lub siostrą i zupełnie nie mogły zrozumieć dzikiej radości Anki, kiedy matki pozwalały, by Anka spała u jednej czy drugiej. Spędzały razem noce. Paplały do późnych godzin, a już całkiem nad ranem, kiedy języki plątały się z senności, zasypiały we trzy na jednej wersalce. Rano budziły się zmęczone, z piaskiem w oczach i szczęśliwe.

*

Wprawdzie z dołu dobiegały jakieś dźwięki, ale dom zadziwiał ciszą i spokojem. Po obu stronach korytarzy były drzwi. Otworzyła jedno, drugie, obrzuciła spojrzeniem wnętrza i zamknęła. Drzwi zaskrzypiały cicho. Nic dziwnego. Rzadko otwierane. Dziewczyna nagle uświadomiła sobie samotność matki. Rozległa jak te opustoszałe metry kwadratowe, pozbawione jakichkolwiek form życia. Wróciła na dół. Na stole kuchennym stał niewielki imbryk i dwie filiżanki. Gorący obłok pary unosił się, roztańczając zapach herbaty jaśminowej.

– Powinnaś sprzedać dom – powiedziała nagle do matki. – Jest taki duży. I tyle mieści smutku...

Łucja pominęła uwagę córki.

– Chodź do salonu.

Zapaliła światło i siadła do ławy, stawiając na niej tacę z czajniczką do herbaty i dwie filiżanki. Włączyła telewizor. Na ekranie pojawiły się postacie Szabłowskiej i Szewczyka. Opowiadali bodajże o Mazurównie i Szczepaniku. Zrobiła nieco głośniejsze. Mazurówna z papuzią grzywą i w jakimś old-rockowym stroju przekonywała widzów, że życie zaczyna się po sześćdziesiątce, a chyba nawet po siedemdziesiątce.

– Mamo! Zobacz! Dwadzieścia lat od ciebie starsza i dopiero teraz zaczęło się dla niej życie! W porównaniu z nią to jesteś siusmajtką. – Starła się przybrać żartobliwy ton.

Łucja zerknęła na telewizor, a potem na Ankę. Było tyle rozbawienia w jej oczach.

– Jak chcesz, to znajdę u siebie kilka takich trendowych ciuzzków i jakieś gadzety. A potem hajda wiśta wio i do sanatorium! Taka z ciebie laska! Aż żal, że tak marnotrawiejesz – dworowała sobie z matki, wyczekując aż na jej twarzy pojawi się choćby grymas uśmiechu.

Na ekranie kobieta kręciła piruety. Głowa swobodnie osadzona na szyi poruszała się z gracją. Ręce, które w pewnym momencie pokazane w zbliżeniu nie kłamały – były rękoma starej kobiety, lecz kiedy tancerka weszła na *relevé* z wolną nogą na *passé*, palcami dotykając górnej części łydki, nie było śladu starej kobiety, tylko jakaś dziewczynka, która lekkim, delikatnym *pas de chat* powróciła na

miejsce przy wtórze oklasków gospodarzy programu. Zadziwiająca, jak ulatywały z tancerki lata. Nie była starą kobietą, pomarszczoną jak krepina, ale dziewczyną. Było coś niesamowitego w tym połączeniu starości i lekkości, groteska, w której trwały obok piękno i brzydota.

– Ty zostaw je dla siebie! – odpowiedziała Łucja. Chciała nadać słowom lekkiego tonu, ale jej nie wyszło. Po chwili, niby z przekąsem, dodała:

– Chyba zapominasz, że ty też nie jesteś już pierwszego kwiatu.

Na koniec lekki uśmiech zamajaczył na twarzy Łucji, podniosła dłoń i zrobiła taki ruch, jakby chciała go zmasać. I istotnie po chwili twarz znów była bez żadnego wyrazu.

Ta niby lekka, swobodna rozmowa zdążyła w stronę poważnych tematów, których żadna z kobiet nie lubiła, ale od jakiegoś czasu stawały się one nieodłącznym elementem ich spotkań. Zazwyczaj też takie spotkanie kończyło się jakimś zgrzytem, po którym następowała przerwa w kontaktach, ograniczająca się do zdawkowych telefonów.

– Czas pomyśleć o dzieciach, jakimś mężu. Nie żal ci, jak patrzysz na Magdę, Zuzę... Dziecko, mąż, dom... – zaczęła Łucja. Nie mogła znieść myśli, że córka może być też taka samotna jak ona. Że może poznać ten gorzki smak samotności, to uczucie rozpychania w piersiach, wewnętrzny szloch, który unieruchamia, każe siedzieć w jednym miejscu, wpatrywać się beznamiętnie w swoje odbicie w lustrze, zamyka drzwi na zewnątrz.

– Mamo! Nie zaczynajmy znów tej rozmowy! – rzuciła Anka, wciąż obserwując program telewizyjny.

– Ale ona musi wreszcie dotrzeć do jakiegoś punktu. Musi się zakończyć jakąś konkluzją. Nie możesz wciąż uciekać przed prawdą.

– Jaką prawdą? Mamo, na litość boską! Proszę nie prowokuj mnie znowu do takich rozmów. Magda, Zuza. Sruza... Co mnie to obchodzi? Mnie jest dobrze! Nie narzekam. Mam co robić. W końcu zostawiłaś mi ten swój kramik. Uwijam się, jak mogę. Mamo, wiesz, prowadzenie sklepu, jeśli człowiek zamierza kiedyś z niego żyć, wymaga energii. Ty miałaś go sobie, bo wypełniał ci czas, a ojciec zarabiał na życie. Ja muszę się z niego utrzymać. Zresztą czasem zastanawiam się, dlaczego mi go oddałaś. Teraz miałabyś co robić. A nie... – urwała. Bała się, że znów z czymś wypali. Że wygarnie jej to, że się totalnie od wszystkiego odsunęła, że poza jej rozpaczą nic się już dla niej nie liczy, że co ją obchodzą Anki dzieci. Nie ma ich, to nie! A nawet gdyby były, to Łucja nawet by ich nie zauważyła, bo tak bardzo zajęta jest pielęgnowaniem żałoby.

– Dokończ! – prowokowała Łucja. – No mów.

W głosie matki pojawiała się napastliwość. Anka wiedziała, że to prowokacja. Że matka szuka pretekstów, by jeszcze bardziej się pogłębić. Jakby to cierpienie było dla niej jeszcze za słabe. Potrzebowała bólu!

– Nie! Proszę, mammo! Przecież już to przerabialiśmy! Znowu mnie prowokujesz! A potem ja wychodzę podenerwowana, a ty... ty dalej klinujesz się i sycisz tym swoim wiecznie nieutulonym żalem...

Czuła, że sprawia matce przykrość. Wiedziała, że znów padło o te kilka słów za dużo.

I tak było. Łucja spojrzała Ance głęboko w oczy. Chciała ujrzeć w nich poczucie winy. Patrzyła na córkę z wyrzutem. Cóż ona mogła wiedzieć o smutku? Nikt nie ma pojęcia, jak brak może paraliżować, odbierać oddech, zatykać gardło łzami, które szukają wszelkich dróg, by płynąć? Co może wiedzieć o rozczarowaniu, byciu oszukaną? O tych planach, które z ojcem mieli? Komu ma powiedzieć, że nie zgadza się na takie jego ignorowanie? Że ma wrócić i natychmiast wszystko naprawić! Ma żyć! Może mu jeszcze wybaczy, może uda jej się zapomnieć to, jak ją potraktował.

– Jak możesz tak mówić? Jak możesz twierdzić, że sycę się taty śmiercią? Że jest mi z tym dobrze?

– Mamo! Przecież nie to powiedziałam. – Anka była coraz bardziej zrezygnowana. Kolejny raz pożałowała, że dała się wciągnąć w tę głupią rozmowę. – Chciałam tylko powiedzieć, że nie możesz tkwić w tym wielkim, pustym domu. Musisz się czymś zająć! Mamo! Znów przekręcasz moje słowa!

Łucja poderwała się nerwowo. Filtre na stole zadzwoniły. Chwyliła pilota i odruchowo wcisnęła czerwony przycisk! Jakby się bała, że zmieniające się na ekranie obrazy rozproszą ją lub Ankę.

– Aniu! Ale ja mam co robić. Skąd wam wszystkim przyszło do głowy, żeby mi szukać zajęć!? Teraz siedzę w domu, bo potrzebuję spokoju, jestem zmęczona, potrzebuję wyciszenia. I tyle! Wszyscy śledzicie mnie, pouczenie... Na litość! Nie jestem dzieckiem, sama umiem o sobie zadbać! – Łucja unosiła się. Kiedy już pękło, nie zamierzała się hamować. Musiała dać upust tłumionemu gniewowi. Kolejny raz.

– Dlaczego nie zostawicie mnie wszyscy w spokoju? Mam żalobę! Słyszysz? Kiedy minie, zacznę inaczej. Ale teraz tak chcę! I nie potrzeba mi tych wszystkich mądrości! – krzyczała bez opamiętania. Czyniła tak zawsze, ilekroć ktoś chciał zmieniać jej życie.

Anka kiwała głową. Była wściekła na siebie, że kolejny raz dała się wciągnąć w tę grę. Przecież doskonale wiedziała, że tak będzie. Łucja rzuciła się na sofę, zwinęła się w kłębek. Płakała. Po cichu. Anka patrzyła na jej plecy, które poruszały się szybko w rytm szlochu. Nierówno. Czasem było to szarpnięcie. Chciała podejść do niej. Wyciągnęła rękę, jakby chciała ją pogłaskać, ale ramię zawisło w powietrzu, zatrzymało się w połowie odległości i zostało w takim niedokończonym geście.

– Mamo! Proszę cię! – zaczęła Anka cicho.

Była zmęczona tą sytuacją. Powinna wyjść. Zostawić ją. Ale nie mogła.

– Mamo, od trzech lat żyjesz obok! Obok wszystkich. Nas, wnuków, znajomych, nawet obok siebie!

Łucja milczała. Córka wstała. Zaczęła krążyć po salonie. Zapaliła papierosa. Wiedziała, że matka tego nie lubi. Chciała, by powiedziała cośkolwiek. Żeby nie było jak zawsze. Przestanie się odzywać i tylko będzie czekać aż ona wyjdzie.

Słupek popiołu spadł na dywan, odruchowo wtarła go, pozostawiając tylko co nieco zwichrzoną smużkę na włosiu...

*

Nie chciała tej rozmowy! Przyszła do matki, bo się o nią bała. A potem chciała się napić z nią kawy. A jeszcze potem pomyślała, że mogłaby z nią pożartować, a może wspólnie zaplanują jakiś wyjazd. Może udałoby się wyrwać matkę na jakiś spektakl do Szczecina czy Gorzowa.

Nie chciała wchodzić w jej życie, ale myśl o niej, o jej samotności nie dawała Ance żyć. Ilekroć wyobraziła ją sobie w tym pustym domu, i ją ogarniała złość na ojca, że tak matkę potraktował. Jednak rozumiała, że ojciec umarł. I koniec. Już nic tego nie zmieni.

Gdy była dzieckiem, wielokrotnie w koszmarach sennych Anna wyobrażała sobie śmierć któregoś z rodziców. Budziła się spanikowana. Przeżywała wówczas istny horror, nie umiała go potem w żaden sposób przegonić z głowy. Widziała wszystkie te ceremonie związane z umieraniem, pogrzeby, ową czerń przytłaczającą wszystko wokół, czuła nawet w piersiach ogromny ból, jaki towarzyszy rozpacz, ale jej wyobrażenia nie obejmowały konkretnej przestrzeni czasowej. To były tylko sny! Nie sięgała swoimi wizjami kilka lat w przód. Teraz nie może się nadziwić matce. Minęły trzy lata! Trzy lata, w których nie zmieniło się w niej nic. Odsuwanie od siebie wszystkich, wymijanie, odrzucenie codzienności. W niespełna miesiąc po śmierci ojca poprosiła ich do siebie – ją i Łukasza. Bez żadnych teatralnych gestów, bez żadnych zbytecznych słów, ot, tak naturalnie i tonem nieznoszącym sprzeciwu oznajmiła im, że już nie chce prowadzić sklepu, i albo go sprzeda, albo odda komuś z nich. Co do Łukasza z góry było wiadomo, że go nie weźmie, choć powodziło im się różnie, ale sztuka dla niego była wszystkim. I mimo że jakieś tam zlecenia nie gwarantowały może wielkiego komfortu, stałych dochodów, ale co jakiś czas były znaczącym zastrzykiem gotówki. Poza tym Asia miała swoją szkołę ze stałą pensją. To pozwalało im żyć spokojnie. Anka zaś skończyła studia ekonomiczne i po roku pracy w firmie z zagranicznym holdingiem jako *development manager* głośno rozstała się z firmą, a jeszcze głośniejszym głosem z jej dyrektorem. Już wtedy wiedziała, że nie nadaje się do żadnej pracy w tych nowoczesnych molochach wysysających z ludzi

wszystko, pozbawiających zwłaszcza kobiety owej miękkości, subtelności i tej właściwej im pewnej nieporadności. Od Anki wymagano, że będzie twarda, harda, a jak trzeba, to bezczelna i cyniczna. I była taka. Robiła to dla niego. Była taka, jaką chciał ją widzieć. Zakochana po uszy jak gówniara.

Długo lizała rany po chorej miłości i chorej pracy, a kiedy matka zaproponowała jej prowadzenie sklepu, nie zastanawiała się zbyt, mimo że z pewnością nie było to szczytem jej aspiracji zawodowych. W zasadzie wydawało się wówczas, że czyni to ze względu na matkę, że kiedy ta trochę się otrząśnie po śmierci ojca, to będzie dalej pracowała, bo co będzie robić? Zresztą Anka też musiała za coś żyć, opłacić mieszkanie, które tak trochę nierozważnie zakupiła, pakując się w kredyt. Wtedy jeszcze dałaby sobie głowę uciąć, że Paweł – jej szef i idiotyczna miłość – zostawi śliczną, ustawioną żonę, córkę z włoskami kręconymi jak u cherubinka i zamieszka z nią w tej pipidówce. Kiedy się zorientowała, że jest dla niego tylko formą spędzania wolnego czasu, czy, jak to nazwał w ostatniej rozmowie, „nieszkodliwym pogotowiem seksualnym”, było już za późno. Stała się właścicielką nowego mieszkania, które poza jednym pokojem – umeblowanym z pozbieranych skąd popadło mebli – świeciło pustką.

*

Łucja podniosła się.

– Przepraszam, przepraszam cię, córcia.

Anka była zupełnie zdezorientowana. To wszystko przypominało kiepski melodramat.

– Aniu! – odezwała się Łucja łagodnie, jakby trochę się opanowała. – Żyję tak, jak umiem. Robię wszystko, by żyć, choć na dobrą sprawę nie znajduję żadnych powodów, aby to ciągnąć. Ale żyję! Jem, piję, oddycham! Nawet chodzę na badania! – Jej głos ponownie się unosił. – A co niby mam robić? Przez całe życie nie robiłam niczego szczególnego, żyłam obok niego, z nim... ale nic się nie działo! A teraz co? Jak mam to zmienić?! Przygotowałam dla mnie jakiś scenariusz?

Napięcie rosło. Stała naprzeciw córki, czekając na odpowiedź, a potem się cofnęła. Zawahała się chwilę, jakby zapomniała, gdzie chce iść, a potem ruszyła do kuchni. Anka bała się, że matka zacznie płakać, ale Łucja sięgnęła po lampkę z winem. Powoli, niemal z nabożeństwem, podniosła ją do ust. Cierpki smak rozlał się w niej. Uspokajający niczym relanium.

– Jakie badania robiłaś? Dlaczego? – Anka stanęła za nią. W jej głosie słychać było zaniepokojenie. – Coś ci jest? – dopytywała.

Anka wiedziała, że matka nigdy nie lubiła lekarzy. A poza tym, przecież na nic się nie skarżyła. A może coś jej dolega? Może coś ukrywa przed nią? Bo nie chce nikogo martwić. Bo wystarczy już on – ojciec.

Wzmianka o wizycie u lekarza sprawiła, że zaczęła uważniej przyglądać się matce, szukając u niej jakichś zmian, objawów, ale oprócz nielicznych zmarszczek oraz smutku, owego zubożenia w spojrzeniu, nie znalazła niczego, co mogłoby dawać powody do lęku. Matka wciąż była dla niej piękna.

– Nic – rzekła po chwili. – Nic mi nie jest. Zwykła rutynowa wizyta.

Przechyliła kieliszek. Pociągnęła kolejny łyk wina. Czubkiem języka zlizwała z wargi kropelkę napoju. Chwilę wpatrywała się w puste szkło.

– I daj mi już spokój. Jestem wykończona – poprosiła. Było w tym tyle bezsilnego błagania, jakby to już była zupełnie inna osoba, nie ta sprzed paru minut – agresywna, atakująca.

– Ale ty... ty przecież nigdy nie lubiłaś... a teraz sama, tak po prostu. – Anka zostawiła temat samotności matki, przyczepiła się teraz owych badań.

Łucja była zmęczona wizytą córki, nie zamierzała też tłumaczyć się z niczego. Chciała zostać sama. Już. Teraz.

– Pozwól, że nie będę spowiadała się z tego, że chodzę do lekarza. Zdarza mi się również chodzić do kosmetyczki, do kościoła, na cmentarz... Chcę, żeby wszyscy zrozumieli. – Łucja mówiła wyraźnie i stanowczo, jak gdyby w domu rzeczywiście znajdowało się dużo osób i zależało jej na tym, by jej słowa dotarły do nich. Dokładne, jasne, niewymagające żadnego doprecyzowania. – Ja w ogóle chodzę! I chcę chodzić! Tylko przestańcie mi deptać po piętach, wodzić za rękę! Dajcie mi żyć tak, jak umiem! Może kiedyś nauczę się czegoś innego?! Ale teraz jest tak! Bo tak chcę! Chcę! Rozumiecie czy nie?

– Pójdę już – oznajmiła cicho dziewczyna. Może liczyła, że nie usłyszy, a może czekała, aż ją zatrzyma, ale Łucja nie mówiła nic. Nalała sobie wina. Stała w przedpokoju, gotowa pożegnać córkę. Zawsze tak stawała oparta o szafę, kiedy ktoś wychodził. Musiała zamknąć drzwi na zamki. I tak potem jeszcze wiele razy przed snem sprawdzała, czy na pewno są zamknięte.

– To idę – powtórzyła Anna. Nie wiedziała, co ma mówić. Czuła się bezradna, a jednocześnie było jej żal, że kolejny raz straciła szansę posiedzenia u matki ot tak, pijąc herbatę i gadając o niczym.

Poszła.

Łucja pozostała jeszcze chwilę, oparta plecami o drzwi. Klap, klap, odgłosy kroków Anny. Schody, chodnik, skrzypnięcie furtki.

po TYM

Wróciła do kuchni. Jaskrawe światło lampy odbijało się w lustrze. Pacnęła je ręką, kierując owal tafla na drugą stronę. Stało tu od zawsze. Edwin golił się przed nim, choć tyle razy prosiła go, by szedł z tym do łazienki. Ale stawiał na swoim i nie ruszał się, tłumacząc, że tu ma najwygodniej. Irytował ją ten obraz: on w podkoszulku, z odwiecznym ręczniczkiem pod brodą – wyblakłym przez lata i cienkim od sfatygowania – podwiązany z tyłu u podstawy czaszki jak niemowlęcy śliniak. Czasem kątem oka śledziła precyzyjne ruchy, grymasy ust, które czynił, by podgolić zarost w okolicach nosa. Zdarzało się, że się zaciął i zaraz szły za tym wyklinania i złorzeczenia. Wówczas szybko podawała mu zwitek papieru toaletowego, by zatamował stróżkę krwi. Śmiesznie wyglądał z takimi białymi łatkami, ale dopiero jak ranka zastrupiała, pozwalał sobie na zdjęcie papieru.

W kuchni długo unosił się zapach wody kolońskiej.

*

Na meblach stała napoczęta butelka wina. Ciemnym szkłem odcinała się od jasnych powierzchni. Kobieta przez moment zmierzyła ją wzrokiem, oceniła jej zawartość. Już wychodziła z kuchni, trafiła ręką na kontakt, ale nie nacisnęła przycisku. Wróciła. Rozejrzała się za swoją lampką. Stała w zlewie zalana niebieskim płynem do naczyń. Wyciągnęła z szafki drugą. Uważała, żeby nic nie kapnęło na nóżkę ani na szafkę. Nie znosiła bordowych obwódek pozostawianych przez kieliszek. Z mebli w pokoju schodziły bez trudu, ale na kuchennym blacie pozostawiały sine krążki, jak usta nieboszczyka. Pieczołowicie wywabiała plamy, uciekając się do różnych sposobów. I sól, i cytryna, i inne zabiegi. Czasem schodziło jej dużo czasu, by blaty odzyskały nieskazitelny wygląd.

Zanurzyła czubek języka w cierpkim winie, a potem rozproszyla je po podniebieniu, dźwiękach. Upiła łyk, przymykając oczy i przechylając głowę, jakby chciała, by alkohol popłynął wolno, pozostawiając ślad na ściankach przełyku, a potem dalej rozlał się w niej jak ozdrowieńczy balsam. Znieczulił, pozwolił zapomnieć. Chwiejnym krokiem ruszyła w stronę łazienki.

Małe żarówki halogenowe w suficie wyglądały jak świecące oczyska śledzące każdy jej ruch niczym podejrzliwa kamera. Zgasła część światełek. Kieliszek stuknął o ceramiczny blat umywalki. Poprawiła dozownik na mydło, przesunęła fajansowe kubki. Pojemnik na szczoteczki... Wszystko czarne. Łucja uważała, że takie kontrasty są na czasie, a przy tym eleganckie i nie znużą się szybko. Jemu to odpowiadało.

Za to złościł się, kiedy w pojemniku tkwiło więcej szczoteczek niż było domowników. Upominał wszystkich, by pilnowali swoich. Ciągłe też kupował nowe i każdemu „przydzielał” kolor. Cztery osoby, cztery szczoteczki w czterech otworach fajansowego kubka.

Kiedy Łukasz odszedł z domu, nie mogła znieść widoku pustego otworu w czarnym ceramicznym pojemniku. Po śmierci Edwina... jego szczoteczka uparcie tkwiła na miejscu, ostentacyjnie demonstrując swoją obecność. Łucja nie wyrzuciła jej. Wykruszała resztki zaskorupiałej pasty, dotykała wyschniętej szczeciny, kiedy zdawała się jej przypominać o bezużyteczności swojego istnienia, moczyła ją długo pod ciepłą wodą, aż plastikowe włosie zmiękło. Aż była niemal jak nowa.

jakiś czas po TYM

Łucja udawała przed wszystkimi, że dobrze znosi swoje życie. Na zewnątrz zawsze wyelegantowana. Z kamienną twarzą, na której trudno było dostrzec jakiegokolwiek uczucie. Nie uciekała wzrokiem, nie przemykała z pochyloną głową, nie obnosiła się ze swoją żalobą.

Ale prawda była zgoła inna. Prawda wychodziła na jaw w domu. Za zamkniętymi drzwiami. Czyhała już w momencie, gdy Łucja zrzucała w kącie buty, zdejmowała z siebie płaszcz. Zsuwała spódnicę. Żadnej powierzchowności. Obnażona do głębi. Odarta z trzymającego ją w ryzach gorsetu.

Ukryta w łóżku między kołdrą a poduszką głużyła swój płacz niemal do utraty tchu, do takiego wymęczenia, kiedy jest już wszystko jedno. Nie pozwalała żadnym odgłosom wydostać się na zewnątrz. Rękoma przytykała usta, wydając dźwięk niczym urywany skowyt. Próbowwała się uciszyć, uspokoić. Doprowadzić do takiego stanu świadomości, kiedy granica życia traci swą wiarygodność.

Czasem udało jej się wstać. Otrząsnąć. Bo przecież była mądra i wiedziała, że nie da się tak żyć. Świat rządzi się swoimi prawami, ona im po prostu podlega – czy jej się to podoba, czy nie. Jest jak jest.

jakiś czas po TYM

Ulice opustoszały. Od czasu do czasu ktoś spieszył się schowany pod wielkim parasolem lub zaciągniętym na samo czoło kapturem. Ołowiane niebo straszło. Jakby zaraz świat miała przykryć ciężka płachta. Deszcz smagał po twarzy, bębnił w czaszę parasoli, tłukł w plecy. To dopiero początek września, a w powietrzu już wyczuwało się ten charakterystyczny zapach jesieni. Pożółkłe liście, pordzewiałe na końcach i targane wiatrem przyklejały do się do szyb, twarzy. Aż trudno uwierzyć, że to jeszcze lato. Coraz silniejszy powiew wykręcał druty. Łucja walczyła z mechanizmem parasola, wyklinając pod nosem. Po cholere jej parasol, skoro cała była mokra! Lekkie sandały, które założyła nie wiedzieć czemu, skoro już z okna widziała, co się dzieje na dworze, taplały się w kałużach, potęgując i tak już nieprzyjemny chłód. Cienka kurtka ledwie chroniła przed wiatrem, a co dopiero przed taką plugawicą. Mokre włosy pałętały się po twarzy, wchodziły do ust. Odgarniała je nieporadnie ramieniem, bo ręce miała zajęte taszczeniem siatek. Cóż to za lato?! Wszystko szaro-bure! Wilgoć i zgnilizna! Pożałowała tego wyjścia i mimo że przecież mogła zawrócić, nie zrobiła tego. Mogła nigdzie nie wychodzić. Mogła poczekać, aż plucha przejdzie. A koniec końców mogła wziąć samochód. Nie lubiła jeździć, choć jazda nie sprawiała jej

większych trudności, ale w ostatnim czasie ulice były rozkopane. Wyrwy, objazdy, ograniczenia. Władze miasta przed wyborami wzięły się za porządkowanie wszystkiego, co przez lata od ostatniej kampanii leżało odłogiem. Teraz na gwałt restaurowano zabytki, naprawiano chodniki. Trudno było się poruszać po mieście. Piasek, sterty kostek brukowych, jakieś żwirry nasączone niczym gąbka utrudniały przejście.

– Dzień dobry, pani Łucjo! – Sąsiadka rodziców wyrosła naprzeciw niej. Nie zauważyła jej zupełnie, zajęta własnymi myślami, wymijaniem kałuż i opanowywaniem parasola.

– Dzień dobry, pani Ludwiko! A cóż to panią wygoniło z domu w taką pogodę? – spytała, usiłując wykrzesać z siebie uśmiech.

– Dla mamusi pani po zakupy wyszłam... – odrzekła pani Ludwika. Zaraz też zniżyła głos, rozwinęła dłoń, przytykając ją do ust, jakby zamierzała przekazać jakiś sekret, i dodała: – ...bo coś zaniemogła. Słaba jakaś i mizerna. A mąż pani Marii, szanownej pani tatuś, to już... sama pani wie. Coraz bardziej zapada się w sobie... Czasem człowiek z przestachem na niego patrzy. Bo całkiem jak jakaś figura woskowa. Wygląda na żywego, a... – urwała, zatykając sobie usta, jakby zmiarkowała, że chyba powiedziała ciut za dużo, toteż zaciągnęła powietrze w płuca i refleksyjnym tonem, nieco patetycznie, dodała: – Ano widzi pani, pani Lusi! Taka to starość. Taka starość. Człowiek pomaga drugiemu, ile może, by kiedyś nie zostać samemu jak ten palec, Boże broń!

Łucja popatrzyła na nią. Drobniutka, przygarbiona, dreptała na tych swoich chudych, trzęsących się nóżkach. Wyglądała jak te dobrotliwe babinki z baśni. Te, które, choć same wyglądały tak, jakby niezwłocznie potrzebowały pomocy – kruche, biedne – miały taką moc w sobie, że potrafiły góry przenosić. Ludwika Kanecka mieszkała obok rodziców od początku. I mimo że nigdy nie wywiązała się między rodzinami jakaś ściślejsza więź, gdzieś w sercu czuło się przychyłność, sympatię i miało się tę pewność, że Ludwika ma w sobie tak przeogromne pokłady dobroci, że w razie czego można na nią liczyć. Nigdy nie zdarzyło się, by kogoś obsztorcowała, nigdy nie wdała się w najdrobniejszą kłótnię.

Codziennie przemierzała drogę z domu na cmentarz – deszcz nie deszcz, upał nie upał. Pochowała męża kilka lat przed śmiercią Edwina. Skądinąd Łucja pamiętała, że był to niezły łachudra, z którym rodzina nie miała lekkiego życia i który napsuł krwi nie tylko Ludwice, ale i wszystkim sąsiadom, urządzając systematycznie burdy. Ludwika Kanecka jednak złego słowa nie dała na niego powiedzieć, sama zaś, ilekroć mówiła o mężu, czyniła to z ogromnym szacunkiem: „mój świętej pamięci zmarły nieboszczyk, małżonek” i tu dodawała zawsze, zwracając oczy ku górze: „Świeć, Panie nad jego duszą. To był poczciwy człowiek, a że czasem zbłądził, to wiadomo. Bo po prawdzie żaden człowiek, nawet i ksiądz, święty nie jest. A człowiek jak żyje, to i krzyż swój dźwigać musi. Bo żyć się za

kogoś nie da”.

Staruszka stała na wprost Łucji nieskora do odejścia. Widać coś ją trapiło. Przeszepowywała z nogi na nogę. Odwracała twarz od siekącego na ukos deszczu. Wyczuwało się, że kobieta chce coś powiedzieć, ale nie wiedziała, czy może, czy ma prawo. Kiedy jednak dostrzegła na twarzy Łucji nieznaczny uśmiech, a może tylko wzięła za uśmiech grymas, który spowodowały pełzające po policzkach włosy, cicho napomknęła:

– A pani, droga Lusi, dawno coś u nas nie widać było. Ja to już nawet myślała, że pani wyjechała albo, nie daj Bóg, chora. Bo to teraz długo? Człowiek dziś jest, jutro go nie ma... Zresztą, co ja będę pani mówić, sama pani najlepiej wie.

Łucja poczuła nieprzyjemne klucie. W pierwszym odruchu zapragnęła odwrócić się na pięcie i uciec, ale gdy spojrzała na twarz Kaneckiej, która jakby naraz zreflektowała się, zatkała usta dłonią – odegnała niechęć. Chciała się wytłumaczyć, ale pani Ludwika ośmielona ową przychylnością, ciągnęła:

– Kiedy zapytałam się o to pani mamusi, bo pomyślałam, że skoro pani nie ma, to może czegoś potrzeba. Przecież wiadomo, że samemu ciężko. A choć człowiek sam ma niewiele, ale zawsze jest się czym podzielić... Nieprawda? Jak się tylko chce... Ale pani mamusia szanowna – Ludwika ściszyła głos, jakby wystraszona tym, co zamierza powiedzieć – to tak mnie jakoś ofuknęła, że i zmilczałam. „A co pani się wtrąca do nie swoich spraw? A nie ma pani swoich dzieci?”, prawie krzyczała. Pewnie miała rację... bo co to za zwyczaj komuś w życie zaglądać. Ale ja... ja, pani Lusi, to tak z troski...

Łucja miała ochotę otoczyć staruszkę ramieniem, ale nie zrobiła tego. Było jej głupio za matkę, chciała w jej imieniu przeprosić, ale po chwili Ludwika Kanecka niezrażona specjalnie mówiła:

– A potem już cały czas, kiedy piłyśmy sobie herbatkę, nic nie mówiła. Tylko raz po raz wychodziła do kuchni, a mnie się zdawało, że płacze. – Kobieta jakby się rozkręcała, a widząc, że Łucja nie przerywa, brnęła dalej: – Bo wie pani, pani Lusi. Ja to panią rozumiem... Taki młody mężczyzna... Mój ty Boże! Ale widać Pan Bóg wie lepiej, kto mu tam bardziej potrzebny. Bierze do siebie i starego, i młodego, a nawet i dzieciątka...

Łucja nie chciała tego słuchać. Miała dość wszystkich amatorskich filozofii. Ona je doskonale знаła. Ona wiedziała, że takie jest życie. Że ludzi umierają. Starzy, młodzi. I co z tego!

Kanecka zamilkła, dostrzegając w twarzy Łucji rozdrażnienie, ale po chwili nabrała powietrza i dokończyła:

– Ale dobrze, kochanieńka, bo mokro i zimno. A wie pani, tam na cmentarzu jakoś cieplej – rzuciła jeszcze na odchodne. Musiała dostrzec w jej torbie znicze, bo i skąd wiedziałyby, że Łucja właśnie postanowiła tam iść.

Mimo chlapy i uporczywego wiatru Łucja czuła na plecach wzrok sąsiadki. Nie odwróciła się.

niedługo po TYM

Łucja rzadko chodziła na cmentarz, czym narażała się swojej matce, która z jednej strony nie chciała wybaczyć córce jej kolorowego „noszenia się” po śmierci męża i „nietrzymania” żałoby, z drugiej zaś miała do niej żal, że się odsunęła od ludzi, że nie pozwala sobie niczego przetłumaczyć. Nie ona jedna została wdową. Inne mają gorzej, bo to nie dość, że małe dzieci, to i długów kupa. A ona i dzieci dorosłe, i dom, i pieniądze. I przecież ona niejedyna wdowa. A ile takich, co to jeszcze świat przed nimi i sama młodość!? Jak świat światem, ludzie umierają. Na każdego przyjdzie pora. Pewnie, żałobę trzeba trzymać, ale potem żyć normalnie. A nie jak ten odludek! Łucja zazwyczaj milczała podczas tych matczynych tyrad, czym jeszcze bardziej rozsierdzała Marię, która w żaden sposób nie potrafiła zrozumieć zachowania córki. Przecież widziała swoją matkę, widziała ciotki, pokotki, sąsiadki, ale tego, co wyczyniała Łucja – pojąć nie mogła. Córka za nic nie chciała przyjąć prawdy, że czas goi rany... A jeszcze bardziej dziwiło ją to, że skoro córka tak bardzo rozpacza, to dlaczego nie pójdzie raz i drugi na cmentarz, nie posiedzi przy grobie. A nuż rozpacz by przeszła albo choćby zmalęła. A wreszcie machnęła na to ręką.

jakiś czas po TYM

Ale tak było kiedyś, bo teraz matka niewiele widziała i wiedziała. Spotykały się bardzo rzadko. Łucja wielokrotnie przymierzała się, żeby to zmienić, ale coś ją hamowało. Nie umiała mówić o niczym z matką, a jednocześnie wciąż bała się jej gadania o tym, co powinna robić, jak powinna żyć i że „czas pogodzić się”. Bo matka niezmiennie wygłaszała te proste sądy. Nie było w tym żadnych książkowych wymądrzeń i może owa bezdyskusyjność tych prawd drażniła najbardziej. Kiedy człowiek musi przyjąć rzeczy takimi, jakie są, kiedy nie ma alternatywy. Czasami Łucja łapała się na tym, że myśli o nich – o rodzicach – ze złością. Wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego oni żyją, a on nie. Żadne wytłumaczenia o Bogu i jego wyborach i decyzjach, o śmierci i chorobach dzieci

jej nie przekonywały. Jego nie było.

*

O ile ze zdumieniem i rozczarowaniem, a czasem i ze złością myślała o tym, że jej matka żyje, o tyle wstydziła się takich myśli w stosunku do teściowej. Ta żyła cicho, jak gdyby doskonale czytała w myślach synowej. Mało! Zgadzała się z Łucją, podobnie jak ona nie mogąc odnaleźć logiki w poczynaniach Boga. Według jakiego klucza powołuje, czym sobie trzeba zasłużyć. Ją, Leokadię, postanowił utrzymywać przy życiu. Na przekór? W nagrodę? A ona najzwyczajniej była zmęczona życiem. Nie oczekiwała od niego wiele. Zwłaszcza kiedy Ewin odszedł... Zwłaszcza wtedy. Bo przecież Leokadia, od kiedy tylko Edwin pojawił się na świecie: słaby, wątły, pomarszczony, to już wiedziała, że na zawsze będzie początkiem i końcem jej świata.

Dlatego też Łucja z rzadka odwiedzała i jednych rodziców, i drugich. Nie lubiła patrzeć na żadne z nich, tak jak nie lubiła chodzić do kościoła. Widok dobrodusznych, cierpiących postaci, wybaczące twarze Panów Jezusów wywoływały w niej gniew.

jakiś czas po Tym

Wiatr się nieco uspokoił. Deszcz jeszcze siąpił, ale tyle ledwie co drobne przecinki lekko smagające policzki. Niebo pojaśniało i nawet przez splecione konary drzew porastających przycmentarny park pod gęsto zasnuwającymi niebo chmurami dawało się dostrzec nieznaczne przebłyski słońca. Alejki były wyludnione. Łucji to odpowiadało. Nie musiała się obawiać, że ktoś ją zaczepi, zagai o to czy tamto albo zmusi ją do jakiejś banalnej wymiany frazesów. Łucja postanowiła pospacerować po alejkach cmentarnych. Zasmakować owej ciszy, jaką dają zmarli.

Pani Ludwika mówiła, że na cmentarzu to jakoś cieplej.

– Może od tych świec – wyjaśniała naiwnie, jakby sobie samej usiłowała to wytłumaczyć.

I chyba coś w tym było. Zielone jeszcze, choć niewątpliwie rzadsze już korony drzew coraz odważniej przemycały pojedyncze promienie słońca. Wyglądało na to, że pogoda ma zamiar się wyklarować.

Łucja szła, czytając inskrypcje na nagrobkach *Twoja wola stała się, Panie, Pamięć droższa od słów, Rozłąka jest naszym losem, spotkanie naszą nadzieją.*

Wszystkie trąciły banałem, czczością treści. Co to za słowa?! Jak one się mają do tego, co w Łucji narosło smutkiem, złością, niezrozumieniem? Zatrzymywała się nad datami, licząc, jak długo ktoś żył. Czasem wpatrywała się w fotografię, czasem jej uwagę przykuwały imiona, nazwiska.

Przewiesiła torby na ramię, czubkiem parasola nadziewała opadłe liście.

Szła wolno. Krok za krokiem, jakby nie chciała zdradzać swojej obecności. Gdzieniegdzie, ale z rzadka, jakieś kobiety, których tylko pochylone plecy poruszały się, jakby żadna z nich nie miała twarzy, porządkowały groby. Był to cały ceremoniał, któremu Łucja nieraz się przypatrywała zupełnie bez zrozumienia. Najbardziej zdumiewał ją ten cały cmentarny sprzęt – długie zapalaki, zapalniczki, drapaki, konewki. Cały arsenał ściereczek, gąbek, szmateczek, miotełki, pojemniki z wodą, jakieś płyny o funeralnych konotacjach: „Hadesy”, „Minosy”, „Grobexy”. Room service. Nie! To nie dla niej. Ona zazwyczaj przychodziła na chwilę. Zwłaszcza zaraz po Tym. Zapalała znicze, czasem stawiała jakieś kwiaty. Nie czuła się gospodynią tego miejsca. Nie lubiła patrzeć na mosiężne litery, które tak beznamiętnie obwieszczały, że urodził się i umarł. Prosta, rzeczowa konstatacja! Jakby między bezdusznymi znakami nie było przestrzeni ich wspólnego życia, nie porodziły się dzieci, nie poodchodziły... Każde na swój sposób.

Za to teściowa, mimo podeszłego już wieku, przychodziła tu niemal codziennie, realizując kolejne punkty owego cmentarnego rytuału. Myła kamienną płytę, zdrapywała przyklejone zeschnięte liście, polerowała litery. A któregoś dnia kazała stolarzowi zrobić ławeczkę i postawiła ją na wprost krzyża. By sobie posiedzieć. Powpatrywać się w zdjęcie syna, jedno z nielicznych, na których udało się uchwycić pewną łagodność, jaką miał w spojrzeniu, i lekki uśmiech błakający się w okolicach ust. W Łucji to zdjęcie budziło nieokreśloną złość, bo Łucja nijak nie umiała w pamięci odszukać męża takim, jakim tu był. Tej czułościowości, jaką na nim znajdowała. Może kiedyś, w pierwszych latach, ale tamten ślad już dawno zatarł się w pamięci, spłówiął, pozostawiając białą plamę. Ustawiała znicz na skraju marmurowej płyty, nie chcąc burzyć porządku teściowej. Ona miała swój klucz. Po prawej stronie od krzyża wielki marmurowy wazon z bukietem sztucznych kalii, po przeciwnej stronie donica z wrzoscami o różnych barwach, ale zawsze w jednej tonacji, pośrodku okazały znicz z elektrycznym płomieniem, z przodu przed płytą małe identyczne znicze. Wszystko, co ktokolwiek przynosił, ustawiała po prawej stronie pomnika.

Płomień tańczył w szklanej oprawie. W powietrzu zapachniało woskiem. Kiedyś Łucja kojarzyła ten zapach z andrzejkami, ale od tamtego czasu, kiedy TO się stało, już zawsze będzie jej przypominał cmentarz. Z oddali dochodziły jakieś śpiewy, inkantacje. Głos księdza rozchodził się na całą okolicę. *W krainie życia będę widział Boga...*

Coś jej nakazało wracać. Może dziwne klucie w klatce piersiowej, a może

wspomnienia, które pojawiły się jak przywołane czarodziejskim zaklęciem. Choć na dobrą sprawę Łucja niewiele pamiętała z tamtej uroczystości. Tylko to dojmujące uczucie pustki. Jakby składała się z samych ubrań, pod którymi nic. Jak narysowana na kartce postać. Istotnie wyglądająca jak żywa, ale w której krzty życia nie było.

Pomiędzy drzewami ujrzała posuwający się kondukt żałobny. Chwilę zajęło jej obmyślenie drogi. Byle nie natknąć się na orszak.

Wracała cmentarnymi alejami, oddzielającymi od siebie poszczególne kwatery. Cały ten układ ścieżek tworzył siatkę linii prostopadłych i równoległych, z których co szersze stanowiły granicę między kwaterami. Kwatery. Któż to wymyślił taką nazwę? Tak. Pani mąż leży w siódmej kwaterze. Pójdzie pani prosto, potem pierwsza prostopadła, druga prostopadła, kolejna równoległa do tej i dalej przejść na przedłużenie tamtej, a potem równoległa do tej pierwszej i już kwatery siódma!

Podmuch wiatru strącił krople z drzew, które padły centralnie na okulary. Zalane szkła klóciły obraz. Łucja sięgnęła po chusteczkę. I nagle zorientowała się, że nie ma torebki. Przez chwilę ogarnęła ją panika, ale zaraz uzmysłowiła sobie, że zostawiła ją na ławce obok męża. Szybko pobiegła do grobu. Wprawdzie o tej porze i przy takiej pogodzie kręciło się niewiele osób, ale fakt, że zostawiła torebkę ze wszystkimi dokumentami, kartami i telefonem, powodował, że biegła coraz szybciej, zdenerwowana na samą siebie za takie gapiostwo. Obcasy wbijały się w grząską ziemię. Gdy skręciła już w znaną alejkę, próbowała dojrzeć ławkę, ale w sam raz – jak na złość – zasłaniał ją rosnący nieopodal ogromny krzew. Za nim mniejszy i kolejny. Jakby wyrosły tu w jednej chwili. W Łucji wzrastał niepokój. I może nawet nie tyle bała się o utratę pieniędzy czy telefonu, co myśl o perturbacjach związanych z odtwarzaniem wszystkiego, blokowaniem kont, budziła jej złość na siebie.

Torba jakby nigdy nic wisiała spokojnie na oparciu ławki. Otwarta na oścież. Zmęczona kobieta przysiadła na ławce, by złapać dech. Edwin spoglądał na nią z tym samym, pełnym zrozumienia i łagodności, spojrzeniem.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że zostawiłam torebkę? Leżysz i nic nie robisz, nawet gadać ci się do mnie nie chce – powiedziała z pretensją. Wyciągnęła chusteczkę, by wytrzeć zamglone szkła okularów i oczyścić nos. Wyschnięte ścianki nosa drażniły ją i powodowały, że zaczynała kasłać. – Starej babie pozwalasz tak biegać – dodała. – Dopiero bym miała biegania, jakby to wszystko zginęło. Wyrabianie dowodów, prawa jazdy. Tłumaczenie tym wszystkim ludziom w urzędach, co i jak. I jeszcze musiałabym zrobić zdjęcia! Wiesz, jak ja to lubię! – Wzdrygnęła się na znak wielkiego niezadowolenia. – A ty nic! Nawet nie drgnąłeś! Rozleniwiełeś się zupełnie!

Rozejrzała się dokoła, czy nikt jej nie słyszał. Zaczęła się śmiać. Coraz

częściej jej się zdarzało, że mówiła na głos, ale w domu wśród głuchych ścian. Do lustra. Ale tu? Zaraz po TYM, kiedy pochowano Edwina stawała nad grobem męża i nigdy nic nie mówiła, i chyba nawet nie myślała. Chwilę postąła, zapaliła znicz, zgarnęła zagubione liście i wracała do domu. Do pustego domu. Modlić też się nie umiała, choć matka ją przekonywała, że to pomaga. Znosi ciężar. Niechby tylko szeptem. Odruchowo robiła znak krzyża, ale nawet w myślach słowa nie układały się w żadną modlitewną formułę. W ogóle ilekroć tu przychodziła i stawała, myśli nie dawały się ułożyć, zupełna, bezmyślna pustka. Wszystkie modlitewne błagania o bramy raj, o życie wieczne były cze. Ona chciała, żeby tu był. Tu. Z nią!

Teraz siedziała i było jej nad wyraz dobrze. Odsłonięte w tym miejscu niebo było błękitne i czyste, jakby parę minut temu ktoś zaciągnął na nie inną tkaninę, przysłaniając ciemne chmury. Przebijające się promienie słoneczne coraz śmieiej smagały twarz. Po szybkim biegu wzmagaly uczucie ciepła. Rozpięła się, poluźniła szal, odsłaniając wciąż jeszcze ładną szyję. Pomyślała, że w zasadzie nigdzie jej się nie spieszy, może tu siedzieć choćby do wieczora. W końcu cmentarza, tuż przy zachowanym poniemieckim murze z czerwonej cegły, celebrans wciąż tym samym głosem, jakby za wszelką cenę chciał wykazać się swoimi wokalnymi zdolnościami, śpiewał:

Witaj, Królowo, Matko Litości,
Nadziejo nasza, życia słodkości.

Witaj, Maryjo, Matko jedyna,
Matko nas, ludzi. Salve, Regina.

Nędzne my dzieci Ewy wołamy...

Wysunęła twarz do słońca. Przymknęła oczy. Cmentarz – dużo spokoju, ciszy. I zieleni. To ona tworzyła ramę przestrzeni odgradzającej świat pośpiechu, ruchu od tego nieruchomego świata nasączonego zadumą i mistyką. Rośliny: rozmaite krzewy, iglaki, paprocie łagodziły ostre kształty, jakie nadawano kamiennym pomnikom. Tu wszystko nabierało dziwnej miękkości, traciło kontury. Życie i śmierć splatają się w jedność. Żywy człowiek oddaje cześć martwym kamieniom, które znają i widziały niejedną ludzką historię.

– Długo zamierzasz tu zostać? – spytała Łucja. Jakby od niechcienia, ale w tonie wybrzmiewała pewna niecierpliwość. – Może już wystarczy. Czas wracać, zacząć żyć...

W górze przeleciał ptak. Trzepot skrzydeł rozległ się tuż nad nią. Potrząsnęła głową wystraszona, jakby ptak miał się jej wplątać we włosy, ale ten przysiadł nieopodal na gałęzi i świergotał krzykliwie.

Łucja często wyobrażała sobie Edwina jako ptaka. Kiedy zaraz po jego śmierci, siedząc na tarasie, wpatrzona w nijaką przestrzeń przed sobą, nie szukając w niej żadnych znaków, a nawet nie uświadamiając sobie jej w żadnym stopniu, błagała w myślach: „Pojaw się jakkolwiek! Zadrzyj powietrzem! Przeleć mi

ptakiem!”, zobaczyła gołębia. Wyglądał tak, jakby coś wytrąciło go z trajektorii owych ósemek, które wraz ze swoim stadem kręcił nieopodal jej domu. Przysiadł na balustradzie, gulgając ze skargą. Przekrzywił główkę i robił wrażenie, jakby przyglądał jej się uważnie. Wyciągnęła do niego dłoń. Chciała go pogłaskać po małym łepku, ale spłoszył się, zatrzepotał skrzydłami i odleciał. Długo patrzyła, aż rozmył się na niebie jak wodny krąg. I odtąd często w myślach wołała: „Przeleć mi ptakiem!”. Przelatywał.

Bo to mało ptaków na niebie...

*

– Oni nas słyszą. Tylko udają, że są głusi. Bo tak im wygodnie... – padło gdzieś z boku. Wzdrygnęła się na myśl, że ktoś ją usłyszał.

Obok stanęła kobieta. Była dużo młodsza od niej, choć w oczach miała takie zmęczenie, że można by było obdzielić nim wiele osób, a i tak każda z nich potrzebowałaby wytchnienia. – Ma pani może zapalki? Tak wiało, że nie mogłam zapalić. Wszystkie się wypaliły.

Na dowód potrząsnęła pudełkiem z jesiennym krajobrazem. W środku były kikuty z czarnymi końcówkami. – Niech to cholera jasna z tą pogodą!

Łucja z niechęcią spojrzała na intruza. Właśnie teraz, kiedy zamierzała tyle powiedzieć Edwinowi, zjawia się ktoś nieproszony.

– Oczywiście – odrzekła z nieukrywaną niechęcią i podała zapalki, z góry zapewniając, że jej nie będą potrzebne i może je już sobie wziąć. Sądziła, że taka deklaracja uchroni ją przed kolejnym kontaktem. Myliła się. Młoda kobieta po niespełna kilku minutach podążała w stronę Łucji z wyciągniętą dłonią z pudełkiem. Były w nim zaledwie trzy, może cztery zapalki...

– Dzięki. – Podała Łucji pudełko, a potem przyciągnęła dłoń do ust i dmuchała w nią zawzięcie, sycząc ostentacyjnie.

– Zawsze się poparzę. Dobrze, że wiatr ustał, bo nie miałabym co pani oddawać.

– To mąż? – spytała, przyglądając się napisowi na pomniku. – Też chciałam kupić takie mosiężne litery, ale drogie jak cholera. W życiu nie dał mi nic, a ja? Jak ta głupia latam, kupuję kwiaty, zapalam świece... Pewnie i tam jaja sobie ze mnie robi! Drań! „Głupia pinda”, mówił na mnie, kiedy się tylko wkurzył. A wkurzał się o byle co. I miał rację. Głupia jestem jak sto tysięcy Amerykanów!

Była w tej kobiecie jakaś prostota i bezpośredniość, ale Łucję drażniły jej słowa. Zbyt intymne, jednoznaczne. Było ich zbyt dużo.

Nagle kobieta zaczęła łkać. Łucja, zupełnie zaskoczona, spojrzała na przybyłą. Była zła na siebie, że została, zasiedziała się, a teraz ma. Przyjdzie jej wysłuchiwać żali, pocieszać. Trzeba było wziąć torbę i wrócić. Nie nadawała się na

słuchacza. Nie chciała żadnych historii, niczyjego życia. Spoglądając na zegarek, podniosła się, usiłując wymigać się brakiem czasu, czy obojętnie czym. Sięgnęła po torbę i dopiero teraz zobaczyła sterczący pod brodę brzuch. Jak można było nie zauważyć tak wysokiej ciąży? Jak można żyć tylko we własnym świecie? Przyszło jej do głowy, że może stąd to zmęczenie w oczach dziewczyny. Tak wielkie, jakie widzi się czasem tylko u starych ludzi, którzy już się nażyli.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Łucja z troską. Ominęła formę „pani”, bo dziewczyna była w wieku Anki, a może i młodsza od niej.

Było to jedno z tych banalnych, prostych pytań, które przyszło jej do głowy. Nie spodziewała się jednakże oryginalnej odpowiedzi. O coś musiała zapytać. Nie mogła po prostu sobie iść. Nie chciała. Naraz przestał jej przeszkadzać swobodny ton i niewyrafinowane słownictwo.

Dziewczyna podniosła na nią oczy. Rzeczywiście, była bardzo młoda. Prawie dziecko. Czoło usiane pryszczami, pokryte grubą warstwą fluidu. Rozmazana kredka dodawała dramatyzmu zamglonym oczom, które zupełnie nie pasowały do młodzieńczej, nieco pucołowatej twarzy. Całkiem jakby ktoś powsadzał w oczodoły oczy staruszki.

– Nie! Pewnie że nie! – krzyknęła nieoczekiwanie tamta i zamknęła twarz w dłoniach. – Jak mogę się dobrze czuć, skoro zaraz rodzę, a ten skurwiel zabił się na motorze? – Wycierała zapłakane oczy, ciągnąc czarną smugę po policzku. Popatrzyła na Łucję z takim wyrzutem, jakby to ona była odpowiedzialna za ten stan.

– Przepraszam panią – rzekła skwapliwie. – Już taka jestem głupia. Sama pani widzi, że miał rację. Ale mam już dość! Komu mam powiedzieć, że boję się mieć dziecko? Mówił: „Ale fajnie! Będziemy mieć dziecko! Małe *baby*! Wszystko dla niego!”. A potem... rozpierzdził się na motorze... – Dziewczyna płakała, trzymając się za brzuch, który wydawał się tak ciężki, że Łucja odruchowo chciała przytrzymać go dłońmi.

Była oszołomiona zachowaniem dziewczyny. Podeszła, by pogłodzić ją po plecach. Ta łkała głośno, pociągając nosem. Podała jej chusteczkę. Objęła dziewczynę. Nie odsunęła się. Przyłgnęła do Łucji. W zasadzie tyle tylko, ile pozwalał na to sterczący brzuch.

– A ja mam ledwie siedemnaście lat. Skończę w listopadzie. I jestem sama jak kołek w płocie.

Łucja gładziła delikatnie jej włosy, zdumiona własną czułością.

– Tak, to mąż – oznajmiła nagle, nie patrząc na dziewczynę. – Jemu też nie przyszło do głowy, by mnie uprzedzić. Już tacy oni są. Żyją obok nas, dyktują nam prawa, organizują czas, żądają wierności, trzymają na wodzy... a potem odchodzą. Bez zapowiedzi. Egoiści!

Pierwszy raz mówiła o nim w ten sposób. I to do obcej osoby.

– Rano oszukał mnie. Ogolił się i umarł...

Dziewczyna przestała płakać. Odsunęła się od Łucji, jakby zamierzała się przekonać, czy mówi prawdę, czy tylko tak sobie, żeby ją pocieszyć. Obciągnęła bluzkę. Przez moment można było dostrzec falowanie, które zdeformowało na chwilę jej brzuch, ale jednocześnie wywołało na twarzy nieświadomy grymas uśmiechu.

– Przepraszam! – rzekła cicho. Wyciągnęła z kieszeni małe lusterko. Było stare i zniszczone. W żółtym plastikowym obramowaniu. Z tylnej strony w filmowych uśmiechu wdzięczyła się Marilyn Monroe. Było to powiedziane tak, jakby wyszło od kogoś zupełnie innego. Od dziecka, któremu przydarzyła się jakaś krzywda i oczekuje pomocy dorosłych, mądrych ludzi. – Ale... wie pani... to już sześć miesięcy, a ja nadal nie mogę się pogodzić.

– Wiem... wiem, dziecko. Może nigdy się nie pogodzisz. Czas pokaże.

Łucja przyciągnęła jeszcze na chwilę do siebie dziewczynę, bo w tym momencie poczuła, jak bardzo jest jej bliska, jak rozumie, o czym tamta mówi, a potem wzięła torebkę, rzuciła okiem na nagrobny napis i pomyślała: „A ty myślisz, że trzy lata to za dużo? Drań jesteś!”.

*

Wiele razy jeszcze spotykała tamtą dziewczynę. Z wózkiem. Podobno to była córka – Anna, ale nigdy już tak bezpośrednio ze sobą nie rozmawiały.

jakiś czas po TYM

Alejki cmentarne tonęły w świetle. Niewiarygodne, jak w ciągu kilkudziesięciu minut może zmienić się świat! Na betonowych ścieżkach jaśniały wysuszone przez słońce plamy. Mokra zieleń sprawiała wrażenie ponownie ożywionej. Jakiż jest dynamizm roślin! Jak potrafią zmienić oblicze cmentarza, ożywić martwą materię, powołać na nowo do życia! Ileż ukojenia przynosi spacer po cmentarzu, kiedy to doskonały konglomerat tworzy cisza, mistyka, sztuka i przyroda.

jakiś czas przed TYM

– Ładna z nich para – skonstatował Edwin, patrząc na syna w niedrogim, ale gustownym garniturze. Był wyraźnie speszony. Zwłaszcza gdy do kościoła wchodzili goście, wśród których nie potrafił rozpoznać nikogo bliskiego.

Łucja, odpowiadając na powitania, przytakiwała mężowi, prześlizgując się wzrokiem po zebranych, ale jej uwaga skupiła się na Joannie. Dziewczyna stała niby w środku, ale jakaś onieśmielona, speszona. Splotła ręce z malutkim ślubnym bukietem anemonów ponad brzuchem. Mimo prawie czwartego miesiąca sukienka niemal idealnie leżała w talii, nie zdradzając moszczącego się wewnątrz dziecka. Łukasz obejmował ramieniem przyszłą żonę, czule głaszcząc odsłonięte ramiona dziewczyny. Nieopodal nich stała Anka z narzeczoną. Miała minę, jakby chciała powiedzieć: „Wiedziałam, że ta historia skończy się happy endem!”. Łucja z rozrzewnieniem patrzyła na swoje dzieci. Na pannę młodą, na Ankę kurczowo ściskającą swojego nowego chłopaka (nie lubiła, kiedy ktoś mówił „chłopak”. „To mój partner” – zazwyczaj tak go przedstawiała).

I właśnie wówczas, bodaj po raz pierwszy, poczuła fizycznie przepływający czas. Zakłuło ją wewnątrz. Dotkliwie. I nie był to żaden skurcz czy nerwoból. Była pewna, że tak toczy się w niej czas. Przepływa arteriami, pozostawiając po sobie wyraźne ślady. Patrzyła na swoje dzieci i pomyślała sobie, że oto jest starą kobietą. Oto nadchodziła starość, która w wyglądzie dawała się przegonić, zatuszować kosmetykami, wszelkimi zabiegami, ale wewnątrz była nie do pokonania. Wdzierała się do człowieka przebojem, a potem panoszyła z ogromną satysfakcją. Młodzi o czymś rozprawiali. Anka wymachiwała rękami i śmiała się głośno, ściągając na siebie ciekawskie spojrzenia. Jej partner pociągnął ją lekko za rękaw i po chwili wyszli na zewnątrz.

Łucja jak zaczarowana patrzyła na wszystko, jakby to nie dotyczyło jej, jakby to był nie jej film. Nie opuszczało jej owo uczucie schyłkowości. Miała wrażenie, że czuć ją przemijaniem. Chociaż przecież były obok niej kobiety starsze. Takie, o których mówi się „babcia”. Kilka należało do grona gości, inne wystawały pod ścianą, bez żadnego skrepowania lustrując całe przygotowania do ślubu. Nawet nie próbowały udawać, że interesuje je cokolwiek innego. Bo pewnie robiły tak zawsze, ilekroć w kościele był ślub. Edwin czasem mówił, że są babki cementarne i są weselne. I jedno, i drugie z właściwą sobie gorliwością celebrowały wybrane rytuały.

Łucja już na nic nie czekała, za niczym nie tęskniła. Nie było w niej owej witalnej radości, jaką miały jej dzieci. Czowała się taka dojrzała, bardzo dorosła. Ale nie odczuwała zbyt dużego przygnębienia z tego powodu. Ze spokojem przyjmowała fakt, że oto mija kolejny etap życia i zaczyna się następny.

Ma Edwina, ma rodzinę, pieniądze. Ma wszystko, co daje jej spokój. Spojrzała w stronę męża. Znała go doskonale. I chyba mimo wszystko kochała.

Może jedynie świadomość, że miłość została zdetronizowana przez spełnianie wszelkich zwyczajnych potrzeb, kładła się nieznacznym cieniem na owym poczuciu zadowolenia. Było, jak było. Bez dramatu. I bez szaleństwa. Uśmiechnęła się do siebie.

Edwin przeżywał ślub syna całym sobą, wyrazem twarzy, drganiem żyłek na skroniach, skubaniem kciuka, niespokojnie rozbieranym wzrokiem. Poza lakonicznym zdaniem, że ładna z nich para, nie odezwał się słowem. Przeształ z nogi na nogę i marzył, by już znaleźć się w środku. Usiąść w ławce i czekać na ceremonię.

*

Do kruchty bocznym wejściem, które dawno temu prowadziło do salki katechetycznej, wszedł ksiądz. Podeszedł do pana młodego i szepnął mu coś do ucha, a potem skinieniem głowy powitał wszystkich i udał się do głównej nawy.

Przelotny grymas zdjął na moment uśmiech z twarzy Joanny. Łucja dostrzegła go, podeszła do dziewczyny zaniepokojona.

– Joasiu! Czy wszystko w porządku? – spytała. Syn zdziwił się tym pytaniem, było ono bowiem zbędną supozycją, która wywoływała odrobinę niepokoju. Dlaczego miałyby się źle czuć, czy coś się dzieje nie tak? Stanął na wprost narzeczonej, powtórzył pytanie matki:

– Joasiu! Czy wszystko w porządku?

– Nie. Nie... Znaczy... tak, tak – powiedziała spieszenie, uśmiechając się na wdech i zaraz szepnęła do ucha Łukaszowi:

– Właśnie przez mój brzuch przefrunęło całe mnóstwo pięknych motyli.

Z wnętrza kościoła rozległa się muzyka. Nastąpiło poruszenie. Jacyś wujowie przytrzymywali ciężkie drzwi.

Łucja jeszcze raz spojrzała na dzieci. Sens życia... Ciągłość linii genealogicznej...

dawno temu przed TYM

Anka często obserwowała swoich rodziców. Niewiele dorosłości i doświadczenia potrzebowała, by dość wcześnie dojść do wniosku, że ich małżeństwo to taki zimny związek. Nie było w nim uścisków, przytulań, mydlanych frazesów, pytań i odpowiedzi na codzienne banalne tematy. Kiedy z Łukaszem byli mali, w domu zawsze było cicho. Żadne zbędne dźwięki nie

zakłócały tej ciszy. Ani głośno nastawiony telewizor, ani radio, z którego płynęłaby trendowa muzyka, ani nic. Odkąd Anka sięga pamięcią, zawsze każdy miał swój pokój. Anka nie wiedziała, co to mieszkać w bloku, a tym bardziej z dziadkami, gdzie było tłoczno i gwarno, gdzie w jednym pokoju gnieździło się kilka osób, a do łazienki ustawiała się kolejka. Choć przecież tak było. Krótka, bo krótka. Nie było jej jeszcze na świecie.

Ale za to doskonale pamiętała pierwszy dom. To był taki poczwarny socjalistyczny klocek. Wewnątrz ograniczone klatki – trzy na cztery metry, które należały do poszczególnych członków rodziny. I salon – tak hucznie nazywano największe z pomieszczeń na dole. W istocie był to duży pokój, do którego prowadziły zwyczajne wąskie drzwi, pomalowane farbą olejną na ciemny orzech. Nie było tam nic salonowego – ani tarasu, ani kominka. Na podłodze rozpościł się perski dywan, który miał tyleż wspólnego z Persją, co ten pokój z ekskluzywnym, designerskim salonem, jakie teraz można oglądać w magazynach wnętrzarskich. W początkach lat osiemdziesiątych ojcu udało się kupić meble swarzędzkie. Kolorowe. Intarsjowane. Modne. Na wysoki połysk. Wielkie i przytłaczające, od których należało się trzymać z daleka, by nie pozostawić żadnych śladów, mogących zapewne ucieszyć tylko kryminologów, jeśli byłaby taka okoliczność, ale w stu procentach nie byłyby z euforią witane przez matkę, która potem musiała z pietyzmem ścierać odcisnięte palce. Wiele osób oddałoby wszystkie pieniądze za takie meble. Niekwestionowany symbol statusu i bogactwa. I o ile wszelkie sawy i warsy stały we wszystkich mieszkaniach blokowych, o tyle takie meble były zarezerwowane wyłącznie dla tych, co „ich stać”. Ojciec pękał z dumy. Pamiętała, jak przed zakupem mebli rozgorzała w domu awantura, bo mama planowała zupełnie inny wystrój tego „salonu”. Marzył jej się dom w stylu chippendale. Od wielu miesięcy jeździła na wieś do swoich ciotek, wypytywała ludzi o stare meble, gdańskie szafy, etażery, wymyślne konsole. Buszowała w sklepach ze starociami, a potem gdzieś w piwnicy gromadziła wiekowe ramy, młynki, czajniczki, cukierniczki, sosjerki i jeden Bóg wie, co jeszcze. Niektóre sprzęty były zupełnie zdekompletowane, niejednokrotnie z uszczerbkami. Ale Łucji to nie zrażało, potrafiła spędzić strasznie dużo czasu, by przywrócić owym starociom dawny czar. I udawało jej się to, a wówczas przynosiła taką rzecz – wypieszczoną, odnowioną – do domu i stawiała ją gdzieś w centrum, by w każdej chwili mogła na nią patrzeć. By wszyscy patrzyli.

Z fotograficzną niemal wiernością Anka mogłaby odtworzyć ten dzień, kiedy pracownicy sklepu meblowego z oddalonego o prawie trzydzieści kilometrów Gorzowa wnieśli błyszczące meblościanki, z przyciemnianymi szklami, z dyskretnym ornamentem, popakowane w faliste kartony, tekturowe graniastosłupy o różnych wymiarach.

Dom wypełnił się wielkimi pakami, ustawianymi równo pod ścianą

przedpokoju, a znakomita większość wylądowała w salonie. Ojciec szybko uporał się z uprzątnięciem pokoju, przygotowując go do nowej odsłony. Zaraz potem matka jak w obłędzie miotła się wśród tych pakunków, na przemian płacząc i krzycząc. Zarzekała się, że w życiu do tego pokoju nie wejdzie, że to będzie ojca pokój.

On, swoim zwyczajem, niewiele się odzywał, czekając aż matce minie, ale też nawet przez mgnienie nie przyszło mu do głowy, że zrobił coś nie tak. Kupił meble! Ot! Nadarzyła się okazja. Pieniądze leżały na kupce. Wszyscy takie wtenczas chcieli, tylko jej – Łucji – coś się zawsze ubzdura. Stare graty będzie do domu znosić! Też coś! Niewiele przejmując się tymi fanaberiami żony, machnął ręką. Scedował to na karb okresu, bo nieraz widział, jak Łucja cudowała w tym czasie.

Matka w istocie długo nie zaglądała do salonu. Nawet kiedy ktoś przyszedł, to siadała albo w kuchni, albo, jeśli to był ktoś obcy, prowadziła go do małego pokoiku przyległego do kuchni, który miał być taką ni to spizarnią, ni to – w innej wersji – jadalnią. Koniec końców Łucja zrobiła tam stylową „biblioteczkę”, a przy okazji gdzie bądź poustawiała nieliczne meble, układając na nich zbierane przez lata bibeloty. Może nie był to wymarzony chippendale, ale lubiła to miejsce. Z czasem pokój nabrał takiego charakteru, że nawet ojciec chętnie tam przebywał. Siadali wówczas naprzeciw siebie – ona na miękkim, wyściełanym wytartym nieco pluszem fotelu, on na sofie. Przywiozła sobie ów fotel od wujka Janusza, który tylko ze względu na nieukrywaną sympatię do niej, z trudem i bólem pozbył się tego mebla, który według niego doskonale świadczył o nim samym – był tak samo szlachetny jak on – żartował nieraz.

Łucja nigdy nie przestała się cieszyć tym fotelem, z dumą spoglądała na faliste linie szkieletu, wyściełane oparcie i siedzenie, na cztery nogi – przednie kabriolowe, tylne graniaste. Któregoś razu już miała zmienić tapicerkę, znalazłszy wcześniej ponoć najlepszego w swoim fachu tapicera, ale w czas się opamiętała, ta bowiem była co prawda nieco podniszczona, ale pikowany w układzie sieciowym materiał stanowił o niebywałym uroku tego mebla. Sam zresztą fachowiec, mimo że uciekł mu sprzed nosa niezły zarobek, odradzał jej tę zmianę.

Nie wiadomo kiedy salon przestał być zupełnie używany, a jego funkcję przejął pokój matki. Przesiadawali tam długie godziny. Każde zajęte swoimi myślami. Łucja po cichu słuchała jakiejś muzyki, on nigdy nie powiedział, żeby ściszyła, zgłosiła czy cokolwiek, choć poza tym pokojem zaraz kazał wyłączać radio czy telewizor, kiedy dochodziły stamtąd dźwięki jakiejś klasycznej muzyki.

W nowym domu matka też zarezerwowała jeden pokój na swoją „graciarnię”, ale to już nie było to samo. Skarżyła się, że nie ma w nim duszy. Pozostała tam.

ileś lat przed TYM

Anka lubiła tamten dom, nie rozumiała, dlaczego ojciec buduje nowy, a ten sprzedaje. Tu każdy miał swój naznaczony swoimi znakami świat. Własną bezpieczną przestrzeń. Jeśli tego nie chciała, nie dochodziły do jej uszu żadne głosy. Zamykała się u siebie. Nie słyszała też ciszy. Na swoim kasetowym grundigu, który dostała w nagrodę za dobre świadectwo, puszczała Boba Dylana podsłuchanego u Łukasza i śpiewała do plastikowego mikrofonu, wyobrażając sobie, że jest gwiazdą srebrnego ekranu. Wyginała się przy tym śmiesznie, szarpiąc zabawkową gitarę, jakby była prawdziwym Bobem Dylanem. Kiedy dorosła, często wracała do *Forever Young*, choć wszyscy wokół, na obozach, na biwakach, śpiewali *Blowin' in the Wind*.

Czasem przez uchylone drzwi sprawdzała, czy rodzice wchodzą do jednego pokoju, czy idą spać razem do sypialni. Ance zdawało się, że jej rodzice zawsze są osobno. Nigdy nie widziała, żeby leżeli razem w niedzielę przed telewizorem albo przytulali się do siebie po kątach. Tak jak u jej koleżanek. Ojciec Basi szczypał jej matkę w pulchny pośladek, a ona rzucała mu przeciągłe spojrzenie, pieszczotliwie mierzwiła rzadniejące włosy i nazywała go „swoim Misiakiem”. Niekiedy dziewczyny z pąsami na twarzy opowiadały o tym, że rodzice znikają raz na jakiś czas za drzwiami blokowych sypialni i pod żadnym pretekstem nie pozwalają im tam wejść. A kiedy już z niej wychodzą, to niekoniecznie wyglądają jak ze snu. Miała wtedy może z trzynaście lat i dość dużą wiedzę teoretyczną na temat seksu. W szkole o niczym innym się nie mówiło, a różne świerszczyki podawano sobie pod ławką, zwłaszcza chłopcy, sapiąc z podniecenia w zaciśniętą rękę, drugą przerzucali kolejne strony.

Jakoś w Anki wyobraźni nie mieściło się to, by i jej rodzice mogli ze sobą to robić. Była mała, ale nie na tyle, by niejednokrotnie w telewizji nie uchwycić momentu, kiedy dwoje dorosłych ludzi się kochało. Z zażenowaniem patrzyła na kotłujące się ciała. I choć oczywisty pozostaje fakt, że owe sceny nie miały nic wspólnego z tym, co dzisiaj określa się mianem pornografii, to nawet nie była jakaś erotyka, ale bardziej gra działająca na wyobraźnię, to tak dalece ukształtowały myślenie Anki o seksie, że już jako dorosła kobieta czerwieniła się nawet na widok nagich ciał. I kiedy widywała gdzieś w telewizji Kalinę Jędrusik czy Maję Komorowską, zawsze pojawiały się w pamięci tamte sceny z *Życia rodzinnego* czy *Ziemi obiecanej*. Pamiętała też ten jedyny raz, gdy kiedyś, późnym wieczorem, wyrwana ze snu przez dojmujący ból głowy, wybrała się szukać pomocy u matki i zatrzymała się w pół drogi. Powstrzymały ją stłumione głosy dochodzące

z sypialni rodziców. Wyraźne jęki i posapywania były jednoznaczne. Pamięta swoje zdumienie i zawstydzenie. Wróciła do siebie, choć ból głowy był trudny do zniesienia.

Jednak to z tamtego domu wyniosła te nieliczne wspomnienia, które na długie lata pozwalały jej myśleć o swoich rodzicach jak o parze. Parze kochanków, co to „robią te rzeczy”. I gdy później Łucja oznajmiła w domu, że jest w ciąży, to Ance wyrwało się:

– No cóż, kiedy ludzie śpią ze sobą, może im się przytrafić dziecko.

Pamięta tylko karcące spojrzenie ojca, dla którego ten temat pozostawał absolutnym tabu.

na długo przed TYM

Łucja nieraz nie mogła pojąć, jak to jest: jej mężczyzna, który w łóżku żądał od niej wszystkiego, który nie miał żadnych zahamowań, który oczekiwał łatwości, poza sypialnią stawał się facetem, dla którego seks pozostaje elementem nie tyle wstydlivym, co niepotrzebnym, i nie ma powodów, by o nim mówić lub nie mówić. Wtedy gdy był, po prostu był. I tyle! Nigdy też w ich domu nie było żadnych filmów czy gazet porno, choć czasem ktoś ze znajomych dowcipkował sobie na takie seksualne tematy, czy też czynił świntuszące aluzje. Oni, czyli Łucja i Edwin, nie rozmawiali nigdy na ten temat. A i same zbliżenia odbywały się niemal bezdźwięcznie. Nawet jeśli czasem wyrwał się któremukolwiek z nich jakiś dźwięk, okrzyk, czy westchnienie, to zaraz markowali to kasznięciem, tłumiąc w sobie rozkosz. A kiedy wieczorami ktoś się kręcił nieopodal sypialni, zamierali w bezruchu, połączeni w akcie tak długo, dopóki kłopotliwe dźwięki nie ustały. Czasem zasypiali tak, czekając na ciszę i dopiero gdzieś w nocy wyplątywali się ze swoich objęć. Poza sobą.

Dla Edwina seks musiał być w otoczeniu absolutnego spokoju. Żadnych dzieci. Żadnych dźwięków. Żadnych codziennych spraw.

Z tego też może powodu, kiedy Edwin budował nowy dom, dobitnie sugerował projektantowi, żeby ich sypialnia była w zupełnie innym miejscu niż całe tak zwane „serce domu”, czyli nieco z boku, na końcu korytarza. Był to zresztą oprócz salonu i Łucji biblioteczki, niemal w całości z wszelkimi szczegółami przeniesionej ze starego domu, jedyny pokój na dole należący do domowników i stanowiący niejako niezależne terytorium. Pozostałe – pokoje dzieci, gościnny i jeszcze jeden bez żadnego przeznaczenia – mieściły się na górze. Tam też była osobna łazienka i niewielka garderoba. Łucja z początku ubolewała nad tym, że

musi wchodzić po schodach, by prasować czy sięgnąć po jakieś rzeczy, ale z czasem przenieśli garderobę na dół. Nie było to już osobne pomieszczenie, ale duże szafy, w których wisały jej i Edwina ubrania.

Kiedy dzieci – najpierw Łukasz, po latach Anka – wyprowadziły się z domu, Łucja tęskniła bardzo i wówczas tam, na górze odnajdowała szczególnie spokoj. Otwierała wszystkie drzwi i szukała zapachu dzieci, który rzedniał z roku na rok. Szczególnie brakowało jej zapachu syna. Zbyt krótko się nim syciła...

ponad dwa lata po TYM

Było to pod koniec lata. Sierpień, podobnie jak i lipiec, nie dopisał. Na palcach u rąk można było doliczyć się gorących, letnich dni. Anka wpadła do matki przypadkiem. Nie lubiła tych odwiedzin, pełnych ciężkiego milczenia, czasem tylko przerywanego jakąś zdawkową wymianą zdań. Wracała potem do siebie przygnębiona, obarczając się wyrzutami sumienia, że kolejny raz nic nie zaradziła. Łucja prasowała. Automatycznie wykonywała wszystkie ruchy. Anka widziała, że była to dla niej niebezpieczna czynność, na której skupiała się z przesadną uwagą, prowadząc ciężkie żelazko wciąż w tę i z powrotem, choć na pierwszy rzut oka było widać, że to głupie prześcieradło jest już gładkie niczym tafła szkła. Matka nawet na nią nie spojrziała.

– Co dzisiaj robiłaś? – przerwała ciszę Anka. W duchu jednak знаła odpowiedź. Będzie to zapewne ta sama śpiewka o tym, jak była zajęta cały dzień, ile to rzeczy miała do załatwienia. I będzie w tym pleceniu matki wciąż to samo irytujące wyczekiwanie, by wreszcie sobie poszła.

Anka włączyła telewizor. Młoda kobieta na ekranie ubrana w skąpy strój kąpielowy przeżyła opalone ciało, reklamując biuro turystyczne. Za nią egzotyczna sceneria bajkowych plaż skąpanych w słońcu.

– Niech to diabli z tym latem! Od początku tylko leje i wieje. A może byśmy gdzieś pojechały? – spytała. Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Łucja udawa, że nie słyszy. Anka machnęła ręką. Doskonale znała odpowiedź. Nie pierwszy raz proponowała matce wyrwanie się z domu. Wyjazd gdziekolwiek. Byle tylko opuścić tę twierdzę, w której Łucja się zamknęła. Za każdym razem jednak matka zbywała ją jakimś lakonicznym wytłumaczeniem.

Kobieta na ekranie zapraszała na wakacje marzeń, wymachując stylowym kapeluszem. Ankę przeszył nagły dreszcz, jakby ów dysonans między obrazem z reklam a tym za oknem spotęgował uczucie chłodu. Na zewnątrz wiatr szarpał gałęziami, wielki krople deszczu bębniły o parapet. Powinna przeczeć, ale widok

matki skupionej na jednym posuwistym ruchu w przód i w tył zaczął ją drażnić. Musi iść, zanim sprowokuje kolejną awanturę. Powoli wstała. Obrzuciła pokój krótkim spojrzeniem, jakby szukała dowodu na istnienie jakiegoś ruchu. Cały dom sprawiał wrażenie, jakby wszystko w nim umarło. Czas się zatrzymał. Obeszła dom, zaglądając kolejno do wszystkich pokoi. Miała ochotę coś rozwalić, pozrzucać z mebli nieliczne bibeloty, pozrywać firany – zburzyć niezmienny ład. Drzwi do sypialni były zamknięte. Pchnęła je. Ostrożnie, jakby się zakradała, weszła do pokoju. Gdzieś w środku pojawiło się uczucie skrępowania i wstydu. W pomieszczeniu panował idealny porządek. Przez lekko uchylone okno wpadało wilgotne powietrze. Firanka falowała. Anka niczym złodziej podeszła do szafy. Coś jej nakazywało rozsunąć wielkie lustrzane drzwi. Może choć tam spodziewała się jakichś oznak ruchu, zmian, czegoś, co zdradzałoby życie tego domu. Pamiętała, że jako dziecko lubiła zaglądać do szafy mamy. Na dole piętrzyły się równo poukładane kartony z butami: szpilki na cieniotkich obcasach, wysokich tak, że kiedyś Anka zauroczona patrzyła na matkę, która poruszała się w nich z taką swobodą, jakby to były domowe kapcie. Najbardziej jednak lubiła przebierać rękami w sukienkach, kiedy to dłonie muskały cienkie, wytworne tkaniny. Szczególnie podobała jej się czerwona jedwabna suknia z głębokim wycięciem na plecach, którą matka miała na sobie chyba raz. I chyba to było na ślubie Łukasza. Pięknie wtedy wyglądała. Najpiękniej. Anka pamiętała, że spojrzenia wszystkich gości zatrzymywały się najpierw na Łucji, a dopiero potem wędrowały na młodą parę. Tylko ojciec był niewzruszony. Jakby jej nie widział albo jakby mu się już opatrzyła.

Drzwi skrzypnęły cicho, hamując na wyrobionych prowadnicach. Rozsunęła lewe skrzydło. Zobaczyła w szafie rzeczy ojca. Rzędem powieszono garnitury, koszule jedna w jedną – równo, krawaty na drążku drzwi, powyżej – na półce – w kostkę poskładane swetry, T-shirty. Pod garniturami i koszulami jedne na drugich stały kartony z butami. Ubrania pachniały świeżością. Nie miały w sobie tego specyficznego zapachu, jaki wydzielają rzeczy nieużywane. Anka się wściekła. Dotarło do niej, że matka co jakiś czas wyciąga wszystko i porządkuje na nowo, choć nikt do tego skrzydła szafy nigdy nie zagląda, nikt tam nie bałagani. Wewnątrz unosił się zapach wody ojca. Anka lubiła, gdy ojciec się nią spryskiwał, najpierw obficie psikał w otwarte dłonie, a potem wcierał płyn w kark i nadgarstki. Zakręciło jej się w głowie, przełknęła ślinę, która nagle zrobiła się gęsta i oblepiała ścianki podniebienia oraz język. Tęskniła za ojcem. I jeszcze ten zapach. Jakby wciąż tu był. Jednak myśl o tym, że matka zatrzymała wszystko jak w dniu, kiedy on umarł, wstrząsnęła Anką. Tyle lat, dni, godzin! Nie daje mu odejść. Nie pozwala sobie zapomnieć, choćby na chwilę. Naiwna! Czeka na niego. Jakby wyjechał na trochę, jakby niebawem miał wejść do domu. Otworzyć szafę i wyciągnąć domowy sweter, wygodne spodnie. Jakby nie umarł! Czują, jak rośnie w niej wściekłość.

Zaczęła wyciągać wszystkie ubrania, łapczywie wybierała z półek podkoszulki, swetry, pozwijane w kulki skarpety i rzucała je na podłogę.

– Co ty robisz!?! – Łucja stanęła we framudze drzwi. Szklanka wypadła jej z rąk. Była zupełnie zdezorientowana. Osłupiała na widok piętrzących się Edwinowych swetrów, koszul i krawatów. Pokój wyglądał jak pobojuwisko.

Anka szarpała rzeczy, gryzła. Jak w szaleństwie miotała wykrochmalonymi koszulami.

– Co ty tu do cholery robisz? Zostaw to wszystko! – krzyczała Łucja, rzucając się na dywan, na rozwleczone po nim rzeczy. Wyglądała tak, jakby zbierała w popłochu resztki drogocennych klejnotów, które za moment rozproszą się Bóg wie gdzie, albo ważne przedmioty, od których zależy życie. Zagarniała je do siebie gorączkowo, nie mając pojęcia, jak je uchronić przed niechybną zagładą.

Anka, nie patrząc na matkę, nie widząc szaleństwa w jej oczach, oczyszczała szafę.

– Po co to wszystko trzymasz!?! Po co?! – Przytknęła do nosa sweter. Zapach proszku i perfum załaskotał nozdrza. Odwróciła się do matki. Dopiero teraz dojrzała jej oczy niczym obłąkane, pełne łez i wyrzutów. Na kolanach, rozciągniętymi ramionami obejmowała stertę jego rzeczy.

Litość, jaka wstrząsnęła Anką, odebrała jej głos. Odetchnęła głęboko, by się nie rozplakać, nadludzką siłą powstrzymywała łzy, które czuła tuż pod powiekami.

Siadła na podłodze. Schowała twarz w dłoniach. Kiwała głową, dopóki się nie uspokoiła. W sypialni zapanowała cisza. Żadna z kobiet nie ruszyła się, z obu uleciały siły. Rozwarte wrota szafy wyzierały ciemnymi jamami, na podłodze kłębiły się rzeczy Edwina pachnące dyskretnie, niemal co dzień zlewane jego wodą toaletową.

– Mamo! Chcesz mi powiedzieć, że ty to wszystko wciąż pierzesz, prasujesz, układasz?

Łucja milczała. Podniosła się z podłogi. Tworzyła kolejne kupki, uważając, by nie zrobić żadnej fałdy, żadnego wybrzuszenia. Wszystko jak pod sznurek. Nie patrzyła w stronę córki, nie odpowiedziała jej. Półki nabierały kolorów.

– Mamo!

Anka wyciągała rękę ze swetrem, żeby podać go matce. To był ten, z którego zawsze śmiała się, że mu go schowa albo potnie, bo miał takie śmieszne guziki, które na skutek jakiegoś wietrzenia, czy może prania, zabarwiły się na różowo, co w zestawieniu ze stalowym odcieniem i męskim krojem stanowiło dość zabawne połączenie. Był stary i niemodny. Ale on go lubił, zwłaszcza kiedy siedział w domu, a ogarniał go lekki chłód. Kazał go zawsze kłaść pod ręką.

Łucja nie zareagowała. Zappełniała szafę niczym automat. Córka poczuła się podle. Znała matkę. Wiedziała, że już się nie odezwie. Na dzisiaj przestała dla niej

istnieć. Nie popatrzy na nią.

Może w istocie zbyt brutalnie postąpiła. Nie mogła znieść myśli o jej rozpaczy, wyobraziła sobie matkę, która co rano wyciąga, rozkłada i składa jego rzeczy, obwąchuje, skrapia, by wciąż dawać się oszukiwać zapachowi.

W szafie gęstniało. Jeszcze tylko wygładzić ręką, podsunąć kilka rzeczy, żeby tworzyły prostą linię. Jeszcze kilka takich uładowanych kupek i skrzydło Edwina będzie uporządkowane. Jak zawsze!

– On nie wróci! Mnie też go brakuje. Ale on nie wróci, bo zwyczajnie umarł. Ludzie umierają, mamó. Po prostu... – powiedziała cicho i wyszła z pokoju. Podniosła z podłogi szklanę, ominęła mokrą plamę.

Dopiero w kuchni zabrakło jej oddechu, przestrzeń zawirowała. Chwyła się oparcia krzesła, by złapać równowagę, i kiedy mogła już oddychać, zaczęła płakać. Wybiegła z domu, ciągnąc za sobą cholerny szal. Wsiadła do swojego samochodu. Głowa wbiła jej się w kierownicę. Musiała się opanować. Było jej zimno, łzy zalewały twarz. W oknie dojrzała postać matki, trzymającej następny ułożony stos jakichś podkoszulków czy może slipów.

dawno temu przed TYM

Od kiedy sięgnąć pamięcią, Łucja zawsze była sama. Najpierw to było tak, że matka pracowała, bo wciąż trzeba było dokładać do życia. Rosły wydatki, malały pensje. Nieustannie zmagala się z deficytami, zupełnie jakby nosiła na plecach worek, z którego niewielką dziurką wyciekało wszystko, co mogło wyciec. I niby wciąż do worka dosypywali, ale niezmiennie pustoszał. Potem Maria zajmowała się młodszymi dziećmi, dla niej – Łucji znajdując coraz mniej czasu.

– Mądra jesteś i roztropna, córka – powiadała matka w sytuacji piętrzących się codziennych spraw. Praca, dom, dzieci, a jeszcze Stanisława na głowie. I dodawała naprędce, starając się, by słowom nadać wyraz odczuwanej ulgi: – I Bogu dzięki! – Owa konstatacja miała również stanowić usprawiedliwienie dla braku zainteresowania życiem córki.

Łucji została więc tylko babka Stanisława, która, choć nie mówiła, to słuchała. Słuchała mądrze, wpatrując się bacznie swymi zdjętymi zaćmą, zmęczonymi oczami. Mimo mlecznej powłoki kłócej wyraźne spojrzenie, wzrok Stanisławy przeszywał na wskroś. Eksplorował obszary, niedające się ująć prostym patrzaniem. Sięgał do zakamarków umysłu, wrażał się w przestrzenie niedostępne innym.

To właśnie jej – Stanisławie – Łucja powierzała swoje młodzieńcze rozterki.

A tych znów nie mnożyły się krocie, bo Łucja od dziecka umiała uporządkowywać swój świat. Dość skutecznie rugowała z codzienności sprawy nieistotne. A te ważne rozkładała na czynniki pierwsze, dogłębnie ważąc ich znaczenie, przyglądając się im z analityczną precyzją. I zazwyczaj po takim oglądzie żadna już z poddawanych specyficznej wiwisekcji spraw nie potwierdzała takiej wagi jak na początku. Traciła rangę. Łucja zaś odzyskiwała spokój.

W szkole była zawsze „nowa”. Jedna szkoła, druga, trzecia. Ale to też nie było dla niej jakimś problemem, nie garnęła się do ludzi, oni też z dystansem podchodzili do niej. Ani nie stanowiła obiektu żartów, ani też w starszych klasach nie była zagrożeniem dla żadnej dziewczyny. Była przeciętna, ubrana czysto, gustownie, ale skromnie. Matka przywiązywała ogromną wagę do tego, by nie wyróżniała się spośród innych, ale też na pewno nie pozwoliłaby, by odstawała od reszty dziewcząt. Niemąla w tym była rola Stanisławy, która mimo podeszłego wieku i pewnych niesprawności wciąż chętnie szyla. Tu – bądź co bądź w obcym domu, bo Stanisława nigdy nie wyzbyła się uczucia wyobcowania, mimo wszelkich wygod i „luksusów” – było to jedyne zajęcie, któremu mogła się oddawać. A kiedy widziała wnuczkę w nowej sukience czy fartuszkach szkolnym, który zupełnie nie przypominał tych stilonowych worów, szytych bez wyobraźni, jednakowych jak chińskie kombinezony, cieszyła się ogromnie i z tym większym zapałem zabierała za kolejne ubrania. Maria znosiła do domu całe bele materiałów, wystanych w kolejce, a Stanisława szyla, uśmiechała się przy tym do siebie i zaraz kiwała głową na Łucję, by zdjąć z niej miarę. I coraz to przykładając centymetr od ramion, opasując talię, klatkę piersiową, z uśmiechem zapisywała skrupulatnie w szarym zeszycie wymiary wnuczki, która na jej oczach rosła i doroślała.

Niekiedy zdarzało się, że matka Łucji zatrzymywała się w owym życiowym biegu, przystawała na chwilę jak w zabawie „raz, dwa, trzy – Baba Jaga patrzy”, którą nieraz Łucja obserwowała z okien domu, i pytała:

– A dlaczego ty nie pognasz na dwór? Patrz, dzieciaki się bawią! A i nasze byś może przypilnowała?

Albo czasem, z nagłą wzbudzoną troską:

– A ty nie masz żadnych koleżanek? Ani nie chodzisz nigdzie, ani do ciebie nikt nie przychodzi. Przecież możesz zaprosić sobie kogoś. W domu wstydu nie ma.

Ale, wówczas, kiedy Łucja była mała, lubiła swoją samotność.

*

Pewnego dnia Łucja siadła u babki w pokoju na podłodze. Z początku nie mówiła nic, tylko trzymała głowę w dłoniach opartych na skrzyżowanych kolanach i uśmiechała się. Babka wiedziała, że stało się coś ważnego. Nigdy nie widziała

takich ogników radości w jej oczach. W zasadzie, gdyby babka zastanawiała się nad wyrazem oczu Łucji, to musiałyby jej przyjść do głowy, że są to oczy dorosłej kobiety, zawsze skupione, poważne, może nawet smutne.

Tak więc Łucja siedziała z tymi skrzyżowanymi nogami, jakby zbierała się w sobie. Wreszcie przerwała milczenie, wzięła głęboki oddech, jak przed ważnym występem, kiedy człowiek ostatecznie musi pokonać tremę i wyjść na scenę, potem uśmiechnęła się do babki, a jeszcze potem opowiedziała jej o Edwinie.

Historia była w zasadzie tak zwyczajna, bez żadnych ekwilibrystycznych zwrotów akcji, że nie zajęło jej to wiele czasu. Po prostu tego dnia zagadnął ją na przerwie o harcerstwo, po lekcjach czekał na nią pod szkołą, by odprowadzić ją do domu, i zapytał, czy będzie z nim chodzić. Zgodziła się poniekąd dlatego, że nie umiała znaleźć żadnego powodu, by mu odmówić. Ale była szczęśliwa, bo gdzieś w głębi serca trochę podkochiwała się w nim, chociaż nie tak, że spędzał jej sen z powiek, ale niekiedy fantazjowała sobie na jego temat. Koleżanki po kątach plotkowały o niej, że tak łatwo dała się opętać i tak szybko prowadzi się za rękę.

Matka nie mówiła jej nic. Co tu mówić? Sama wiedziała, że życie to już takie jest i co ma być, to będzie, a niech tylko uważa na siebie, bo zepsuć opinię sobie to łatwo, a trudniej nadrobić. I języki ludzkie to bardziej kąśliwe jak żmija. Sama musi siebie pilnować, bo nikt za nią nie będzie chodził ani jej pilnował. W domu są jeszcze dzieciaki, tamte też patrzą na siostrę, jaki to przykład im da. A na ojca to nie ma co się oglądać, bo tyle ma wszystkiego, że nie wie bidak, gdzie ręce włożyć. I to wszystko dla nich – dla niej – żony i dzieci. Tak więc niech Łucja sobie to zapamięta.

Po skończeniu podstawówki jeździła do odległego o trzydzieści kilometrów miasta, do liceum. Z początku matka przekonywała ją, by została na miejscu. Trochę z obawy, że córka nie poradzi sobie w dużym mieście, bo przecież nie wyglądała na zbyt przebojową, i pieniądze pójdą w błoto, trochę też z tego powodu, że nie widziała sensu utrudniać sobie życia, bo przecież jak człowiek zechce, to się wszędzie uczyć może. Ale Łucja postawiła na swoim. Ojciec ujął się za nią, że niech dziewczyna poznaje wielki świat, a jak trzeba będzie, to już on wie, gdzie uderzyć, by przegnać kłopoty.

Wreszcie matka odpuściła i nawet za bardzo nie nagabywała jej, kiedy ta się uparła, że będzie dojeżdżać, choć pozycja ojca w Partii bez problemu gwarantowała jej internat.

Jednak późne powroty do domu, nawet nauki, do której dziewczyna przykładała się bardzo sumiennie, powodowały, że nie miała czasu na żadne przyjaźnie. W jej życiu była więc tylko szkoła i on – Edwin. Rodzeństwo obok niej rosło nie wiedzieć kiedy. Agnieszka była młodsza od niej kilka lat, tyle akurat, by nie szkodziły sobie wzajemnie i nie potrzebowały siebie. Za to Konrad był tylko o rok młodszy od Agnieszki, toteż nic dziwnego, że tamci dwoje trzymali razem.

na długo przed TYM

Z Edwinem spotykali się w soboty i niedziele. To był ich czas. Zazwyczaj snuli się po przybrzeżnych parkach, spacerowali rzadko uczęszczanymi uliczkami lub zapuszczali się za miasto. Z dala od ludzkich oczu sycili się sobą. Czasem, gdy na dworze lało i wiało, siadali w niewielkiej kawiarence w centrum miasta. Wybierali ustronne miejsce, schowane za filarami ustrojonymi sztucznym bluszczem. Z głośników sączyła się muzyka, kelnerka niespiesznie podchodziła, by przyjąć zamówienie, a zaraz potem znikwała za kontuarem z cegły i ciemnego, mahoniowego drewna, gdzie rozwiązywała krzyżówkę. Od czasu do czasu podnosiła głowę, lecz nie po to, by zerkać na salę, ale, trzymając obgryziony kikut ołówka, zastanawiała się, jak będzie piątka pionowo, na siedem liter, inaczej *koafiura*.

Tam splatali ręce, czasem on muskał ustami jej włosy i rozmawiali. O szkole, o sobie, o przyszłości. Ładna była ich miłość. W tym samym jednak czasie przebudowano ową kawiarenkę i zrobiono z niej restaurację. Była stylowa i ekskluzywna, ale już nie dla nich. Raz – z braku pieniędzy, dwa dlatego, że straciła ze swojego uroku ciasnych przejść, ciemnych świateł i dobrej muzyki. Rzadko decydowali się na jakieś prywatki czy wyjazdy z kolegami lub koleżankami.

Ale któregoś razu natknęli się na opuszczoną kamienicę. Była dobrze zachowana i jeszcze okoliczni menele nie zdołali dokonać tam kompletnej demolki. Może dlatego, że strzegł jej stary Zyga. Upodobali sobie to miejsce i tam w długim korytarzu, z którego rozciągał się przepiękny widok na jezioro, przesiadywali na parapecie. Przytuleni. A kiedy robiło się już naprawdę chłodno, zimowo, szli do niego do domu. U niej zawsze ktoś był. Matka Edwina nie miała nic przeciwko wizytom dziewczyny w domu chłopaka. Ojciec zaś tak dalece zapatrzony był w żonę, że do głowy mu nawet nie przyszło, by cokolwiek zmieniać. Chodził na palcach w swoim własnym domu, kiedy żona, przykładając palec do ust, nakazywała mu być cicho, bo, jak powiadała: „dzieci siedzą w pokoju i uczą się”. On zaś, widząc ją szczęśliwą i spokojną, siadał nieopodal i drzemał z nogami przykulonymi i z głową wspartą na łokciu lub czytał gazetę.

*

Tak było przez kilka lat, dopóki Edwin nie wyjechał na studia. Pisali do

siebie. I to, że są razem, stawało się zwyczajne i oczywiste, że inaczej być nie mogło. Kiedy Łucja zaszła w ciążę, przerwał naukę i poszedł do pracy.

Ani Łucja, ani rodzice nie mieli wpływu na tę decyzję. Żadnych kompromisów. Czuł się odpowiedzialny i tyle.

przed TYM

Łucja i Edwin byli sami. Żadnej rodziny, kolegów z pracy, przyjaźni od serca. Niekiedy Łucja zadawała sobie pytanie, jak to się stało, że mając tyle ludzi koło siebie, są sami. Inni grali w karty, oglądali wspólnie mecze, chodzili na spacer. Oni co najwyżej zapraszali parę osób z okazji ważnych rocznic. Dawniej obchodzili imieniny, ale jakoś tak się porobiło, że nie odwzajemniali wizyt, i grono osób zapraszanych uszczuplało się, aż w końcu została tylko Janka i Janusz. Z Janką znały się jeszcze z dzieciństwa. Mniej więcej w tym samym czasie przeprowadziły się do tego samego miasta. Nigdy nie była to taka przyjaźń „na śmierć i życie”, nie było tu szeptanek, pokątnych knowań czy chichotania. Raczej wymieniały się książkami albo chodziły na spacer do pobliskiego lasu, najczęściej rzucając jakieś zdawkowe informacje, nic szczególnego, intymnego. Jeśli któraś była nieobecna, druga przychodziła z zeszytami, zadaniami... ot, taka koleżeńska przysługa. I nawet kiedy już były w liceum, forma ich zażyłości pozostawała niezmienna. Był w tej relacji chłodny dystans, ale wydawało się wówczas, że żadna z nich nie potrzebuje jego skrócenia. Kiedy pewnego razu, niemal w środku nocy, Janka przybiegła do niej zaryczana, trzęsąc się i nie mogąc wypowiedzieć słowa, bo właśnie ojciec zostawił ich – ją, brata i matkę i odszedł do starszej od siebie księgowej, Łucja zachowała rezerwę. Podała jej chusteczki do nosa, zrobiła herbaty. I chociaż wówczas Janka została u niej na noc, chociaż spały w jednym łóżku (w zasadzie nie spały, bo chlipanie dziewczyny i pociąganie nosem nie pozwalały zasnąć) i bliskość była absolutnie fizyczna, to Łucja nie znalazła żadnych słów, które w jakikolwiek sposób mogłyby ulżyć cierpieniu Janki. Leżała jak skamieniała, nie umiała wyciągnąć ręki, choćby tylko po to, by uściskać ramię koleżanki, które unosiło się w cichym szlochu.

Ale to Janka została jej jedyną druhną na ślubie. To Janka była chrzestną matką Łukasza. To Janka dzwoniła, by zapytać, co słyhać. To Janka pojawiała się nieproszona i głądziła o czymś, co Łucji jednym uchem wlatywało, a drugim wylatywało.

Łucja bardzo długo nie umiała wyobrazić sobie żadnych świąt, a zwłaszcza Wigilii, bez Janki. Bo Janka była stałym elementem jej życia. Na co dzień mało

zauważalnym, ale w kluczowych momentach brak owego ogniwa był nader dojmujący. Tak więc ciężko przeżyła któryś rok, kiedy to Janka wyjechała na święta do swoich dzieci, gdzieś w głąb Niemiec, bo najpierw wyprowadził się tam syn Filip, potem córka Kamila, oboje doszukawszy się w genealogii niemieckich korzeni po jakichś babkach nie-babkach, ciotkach pokotkach. Zresztą po pewnym czasie i jedno, i drugie, dorobiwszy się jakichś pieniędzy, wróciło do Polski.

Łucja wiedziała, że jej rodzeństwo – Agnieszka i Konrad są bardzo ze sobą związani. Może przed laty coś tam zakłuwało ją w sercu, kiedy wyobrażała sobie ich śmiejących się i opowiadających sobie o swoich dzieciach, żonach, mężach, o kłótniach i przeprosinach, awansach i porażkach. Ale potem jakoś zatarło się owo wyobrażenie.

*

A kiedy Łukasz odszedł z domu, tym bardziej nie mogła i nie chciała gościć kogokolwiek, bo nie umiałaby mówić o synu, a o niczym innym nie myślała.

I tak zostali prawie sami, co nie znaczy, że byli wyobcowani. Nie! Żyli w pewnych relacjach z innymi, ale to oni decydowali o jakości tych relacji, ich sile.

Tak to wyglądało. Był to również taki czas, gdy z Edwinem rozumieli się w pół słowa, chociaż powinno się to nazwać „wpół-milczeniem”. Milczeli ze sobą niemal doskonale, co strasznie dziwiło Janki męża, Ryszarda, który twierdził, że jego żonie w domu buzia się nie zamyka i w związku z tym żartował, by „zainstalować” Jankę u Łucji i Edwina, przypisując ich domowi magiczne właściwości, odbierające ludziom głos.

przed TYM

Świat Łucji był dość mocno określony. Scentralizowany na rodzinie, wpuszczający zewnątrz w minimalnym stopniu – o tyle, o ile było to niezbędne do normalnego funkcjonowania. W czasach, kiedy były z nimi jeszcze obydwójce dzieci, Łucja nie odczuwała braku innych osób. Nie tyle może była zła, jak ktoś zjawiał się u nich, co sama nie lubiła wychodzić. Praca, dom.

– A tobie to tak trudno odwiedzić rodziców? Pojawiasz się od wielkiego dzwonu – mawiała jej matka z wyrzutem, kiedy wreszcie się zjawiała. Łucja muskała ją w policzek, rzucała ojcu, zapatrzonemu w telewizor, zdawkowe pozdrowienie.

– Wiesz, mam, że cały dzień siedzę w sklepie, to i czasu nie mam, a i często

nie mam siły gdzieś się włóczyć – odpowiadała, wiedząc doskonale, że to, co mówi, nie jest szczere, ale i specjalnie nie dbała o to, by pozostało inne. Przysiadła na moment, ale ledwie dotykając krzesła jakby zaraz miało ją z niego wystrzelić.

– Tak, bo ty jedna masz pracę! – sarknęła matka. – Herbaty czy kawy też pewnie się nie napijesz? – rzuciła od razu pytanie, w którym właściwie była już odpowiedź, i na dobrą sprawę, nawet gdyby Łucji naraz przyszła ochota, by napić się jednak maminej herbaty, z plastrem cytryny wypełniającym całą powierzchnię szklanki w słomianym koszyczku, to pewnie i tak nie usatysfakcjonowałyby matki.

– Agnieszka, Konrad są niemal codziennie. Choćby na chwilę. Sprawdź, czy matka z ojcem żyją. Nikt ci nie każe rozsiadać się, ale odwiedzić matkę, ojca... to chyba nie jakiś znów wielki wyczyn.

– Daj dziewczynie spokój – wtrącał się ojciec. – Wiesz, ile trzeba się naganiać przy prywatce. To nie to, co na państwowych, odbębnisz osiem godzin i fajrant. Tu to człowiek i tam w firmie myśli o robocie i robotę do domu zabiera.

– Ale do matki, to dziecko zawsze powinno drogę znaleźć i czas, choćby na ślepo i bodaj na kolanach... – Maria nie dawała za wygraną.

Łucja niemal za każdym razem żałowała tych odwiedzin i coraz częściej ze złością odkrywała, że matka na starość robiła się roszczeniowa i zaborcza. Używała tylu niepotrzebnych słów. Nawiedzała ją w domu bez zapowiedzi, nigdy nie szcędząc uwag, a to dotyczących prowadzenia domu, a to wychowania, jakby zapomniała, że życie i tak, i tak pójdzie swoim torem. Teraz, kiedy odeszły jej obowiązki związane z pracą, z dziećmi, została sama z ojcem, czas jej się dłużył, a ona nie miała pomysłu, jak go wypełnić. Klasyczna pustka emerytalna. Z czasem pojawiała się coraz rzadziej, ojciec chorował. Nogi zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa, z tygodnia na tydzień słabł. Po śmierci Edwina to już prawie w ogóle nie stał o własnych siłach. W domu Konrad porobił barierki, poręcze. Całe mieszkanie było przystosowane do niego, tylko w ten sposób można było odciążyć matkę, która nie była w stanie prowadzić ojca pod ramię. Jakiś czas temu lekarz zlecił mu stałą opiekę pielęgniarki, ale wiadomo, jak to jest. Własnych nóg nic nie zastąpi, a starość bywa bezlitosna. Prze do przodu, nie zważając na ludzkie słabości.

– Jakby babka żyła, tobyś przychodziła – kończyła z przekąsem, wzruszając ramionami na znak dezaprobaty.

I pewnie tak by było, bo babka nigdy nie oczekiwała od niej niczego, nie czekała, nie wymuszała żadnych zachowań. Jej oczy jaśniały, gdy tylko Łucja stanęła w progu pokoju, dreptała ku niej, by przytulić pomarszczoną rękę do jej twarzy. Potem wracała na tapczan, sadowiła się wygodnie. To był sygnał, że jest gotowa do wysłuchiwania. Łucja uwielbiała głaskać ją po siwych włosach, a ona łąsiła się pod jej ręką i pomrukiwała jak kot. I było w tym dźwięku tyle miłości

i ciepła, że potem Łucja mogła nim obdzielać Edwina i swoje dzieci.

*

Maria była zazdrosna o więź, która łączyła jej matkę i jej córkę. Sama ani z jedną, ani z drugą nie umiała rozmawiać, choć przecież obydwie były dla niej bardzo ważne. Kochała je obie. Łucja z babką były do siebie bardzo podobne. Czasem Maria myślała, że może to Krótka je naznaczyła, może przemyciła każdej z nich tamten smutek? Nie lubiła wspominać tamtych lat, dlatego tak rwała się do wyprowadzki. Kiedy więc zaproponowano mężowi mieszkanie, to ani przez chwilę się nie wahała. Niczego stamtąd nie chciała zabrać, jakby było przeklęte.

– Mamo, daj spokój! Nie będziemy do nowego mieszkania w mieście sprowadzać tych poniemieckich gratów. Wszystko to stare i zużyte.

Stanisława z rozrzewnieniem patrzyła na kuchenny kredens, całkiem dobre krzesła, święte obrazki. Ostatecznie wyprosiła, by choć maszynę do szycia zabrać. Dobry poniemiecki singer.

Maria niekiedy z ukrycia obserwowała, jak jej matka z jej córką obdzielają się wzajemnie czułościami. Wówczas wszystko w niej rwało, dusiło, tak bardzo chciałaby się do nich przyłączyć. Ale nie umiała wyzwolić w swoim zachowaniu w stosunku do nich takiej tkliwości, jak do innych. Ręce stawały się sztywne, głos grubiał i robił się szorstki. Trudne lata w domu rodzinnym odbiły się na niej. I może to, co łączyło Łucję i Stanisławę – ten dom na Krótkiej, który jeżeli już pojawiał się we wspomnieniach, zawsze rozdrapywał, kaleczył, jątrzył. Dom, który nigdy nie był dla Marii enklawą spokoju, ciepła i miłości.

Z drugiej strony Maria, obserwując obie, szukając wytłumaczenia dla tego status quo, musiała przyznać się sama przed sobą, że ta komitywa młodości i doświadczenia była jej na rękę. Bo miała pewność, że żadna z nich nie jest całkiem pozostawiona sama sobie.

po TYM

Łucja obudziła się rano w swoim ogromnym łóżku. Iluzoryczne światło tańczyło w wielkich taflach luster, ale cały pokój z zasuniętymi szczelnie roletami tonął w przyjemnym mroku. Sama. Który to już raz obudziła się sama? Przesunęła ramię po powierzchni gładkiej kołdry. Rozczapierzonymi palcami naciskała na pościel, jakby liczyła na to, że pod dłonią wyczuje wypukliny ciała. Unoszący się tors, krągłe ramiona, szpiczaste kolana. Gładkość równiny łóżka kolejny raz

odczuła boleśnie. Cofnęła rękę.

Zimny pot zrosił jej czoło, ciało zwilgotniało, jakby wyszła spod prysznica. Wystraszyła się, że bierze ją jakieś choróbko, ale po chwili uświadomiła sobie, że to menopauza. Ten zimny pot, na przemian z uczuciem gorąca, to właśnie to.

Już dawno przestała traktować ten fakt jako niepojęte zło i ostateczność. I tak była wdzięczna losowi, że klimakterium pojawiło się dopiero teraz. Właściwie jakieś tam symptomy obserwowała dużo wcześniej, ale tak naprawdę nie miało to żadnego znaczenia. Bo niby jakie? Zawsze bała się niechcianej ciąży. Wszystko inne – męczące menstruacje, zwariowane hormony – nie stanowiło dla niej problemu. A teraz? Nie musiała się obawiać niechcianego dziecka, bo... bo los już zdecydował, pozbawiając jej Edwina. A ponadto doskonale wiedziała, że tak już w życiu jest. Owo życie nie jest tylko trwaniem w czasie, ale zmaganiem się z wszelkimi swoimi etapami i już tak jest, że człowiek musi doświadczyć możliwie wszystkiego. I skoro Łucja się narodziła, skoro dorastała, skoro porodziła dzieci, skoro kiedyś będzie musiała umrzeć, to najpierw też musi przekwitnąć. I to były prawa, które przyjmowała bez żadnego żalu, bez zbędnej egzaltacji. Jest układ między człowiekiem i Panem Bogiem. Było to oczywiste, a wszystko, co oczywiste, stawało się dla Łucji łatwe do przyjęcia. Ale odejście Edwina nie było dla niej już tak oczywiste. Na ten układ ona absolutnie się nie godziła.

Leżała otulona szczelnie kołdrą, przyciskając ręce do łona. Fala ciepła przebiegła przez ciało. Zacisnęła mocno uda. Starła się przegonić z głowy uczucie bezwstydu. Daremnie. Brakowało jej mężczyzny. Przeraziła ją ta świadomość, a zwłaszcza to, że nie pomyślała „Edwin”, ale „mężczyzna”, jakby to było to samo. Nie widziała twarzy męża, nie czuła jego dotyku, zapachu. Odczuła brak – taki fizjologiczny, pierwotny brak – i natychmiastową ochotę zaspokojenia go. Przez mężczyznę.

Oto ona, bodaj pierwszy raz od czasu, gdy TO się stało, z ogromnym oporem musi przyznać się przed sobą, że jej ciało zatęskniło za pieśczętą, bez żadnego porozumienia z rozumem. Łucja nie potrzebuje męża, ale mężczyzny. Myśl ta była dokuczliwa i poniekąd bolesna. Chciała przywołać twarz Edwina, ale rozmywał się niczym rozpikselowany obraz.

Jeśli kiedykolwiek zdarzało jej się fantazjować na jakiś miłosny temat, to zazwyczaj każdy facet, którego sobie uroiła, i tak miał twarz Edwina, mówił jego słowami – był złożony z elementów Edwina. Łatwo jest tworzyć mity, kiedy te pozostają w sferze idealistycznego myślenia, które z prawdziwym życiem niewiele mają wspólnego. Takie, które nie mogą być z przyczyn oczywistych zweryfikowane.

Łucja nie tyle zawstydziała, co wystraszyła się uczucia, które ją dopadło. Jej ciało, całe życie trzymane w ryzach, teraz domagało się spełnienia, wołało o mężczyznę. Jakiegokolwiek. Który zaspokoiłby głód. Uspione unerwienia

odzywały się bez żadnego sygnału, bez zapowiedzi. Odruchowo powiodła ręką w dół, palce wędrowały w załuki podbrzusza. Rozkoszne pulsowanie stawało się coraz intensywniejsze, ciało prężyło się, poczuła przyjemną wilgoć. Odrzuciła kołdrę. Podciągnięta wysoko koszula odkrywała piersi. Zatokowała wilgotnymi palcami krąg wokół twardniejących sutków. Długo tłumione pożądanie rozlewało się po całym ciele. Przymknęła oczy, wydając z siebie cichy, przeciągły jęk. Chciała mężczyzny. Już! Natychmiast! Onieśmielona wstała raptownie, poczuła złość na sobie za brak kontroli nad swoim ciałem, za trywialność doznań... I to paskudne przeświadczenie popełniania grzechu, że dopuszcza się zdrady. Pamiętała to uczucie.

*

Strugi wody dziobały twarz, ramiona, spływały do ust. Łucja stała w kabinie, dopóki chłód jej nie wygonił. Zmarznięta owinęła się ręcznikiem. Dygotała z zimna. Sięgnęła do szafy. Na drugiej półce pod puchatymi ręcznikami leżały szlafroki. Zawahała się, a w końcu zdecydowanym ruchem wyciągnęła szlafrok Edwina. Kupiony na któreś Boże Narodzenie. Granatowy, w marynistycznym stylu, z haftowanymi wyłogami. Nie lubił go. Był zbyt wytworny. Miękki dotyk tkaniny stawał się coraz przyjemniejszy i z wolna przeganiał uczucie chłodu. Mieściła się w nim cała. Postawiła kołnierz, przyciskając go do twarzy. Szukała zapachu.

Wyszła z łazienki. Stała na wprost lustra w korytarzu. Rozsupłała pasek, poły szlafroka odchyliły się, odsłaniając całą sylwetkę. Zsunęła go nieco z ramion. Uważnie przyglądała się sobie. Lustro ukazywało drobną kobietę. Trzy cięższe łaskawie obeszyły się z jej ciałem, nie wyrządziły większych szkód. Wciąż miała niezłą figurę, drobne piersi, kształtne ramiona, wąską kibić. Niewielki i niemal płaski brzuch, tylko blizna po wyrostku szpeciła jego kształt. Szyja długa i gdzieś tam tylko poprzecinana niewielkimi nitkami zmarszczek, które pod pewnym kątem pozostawały prawie niewidoczne. Palcami zataczała kręgi wokół ciemniejszych brodawek. Uświadomiła sobie, że pierwszy raz tak z rozmysłem patrzy na siebie, swoją nagość. Dotykem eksploruje niemal centymetr po centymetrze i ani ów dotyk, ani nagość jej nie peszą.

Nigdy nie lubiła nagości, żadnej. I nawet może nie chodziło o niezadowolenie z wyglądu, czy wstyd, co po prostu ciało nie było dla niej czymś ładnym samym w sobie. Było funkcjonalne. Wszystko miało swoje przeznaczenie. Nogi do chodzenia, piersi do karmienia, oczy, uszy – wszystko czemuś służyło. Edwin nigdy nie mówił jej, że ma piękne ciało czy krągłe pośladki. Czasem wymknęło mu się: „Ładna ta kiecka”, ale to na samym początku małżeństwa. Rzadko też oglądali siebie. Kochali się, sypiali w jednym łóżku. To wystarczało.

Niewiele siebie potrzebowali. Nauczyli się tak żyć, że nawet kiedy zostawali sami, zupełnie nie wiedzieli, co ze sobą począć.

kiedyś przed TYM

Z Edwinem rzadko się dotykali. Gdzieś w pamięci zapadł się ten moment, kiedy przestali do siebie lgnąć. Wcześniej na każdym kroku ocierali się o siebie niby przypadkiem, a każdy dotyk wywoływał dreszcz. Kiedy któreś z nich prowadziło wózek, zawsze dłoń nakrywała dłoń. Nocą zasypiali ze splątanymi nawzajem kończynami. Bluszcz i drzewo. Jeśli przebudziła się w nocy, nie czując jego ciała, wpadała w panikę. Wybudzała się z najgłębszego snu, a potem rozpaczliwie szukała. Był. Przytulała się do jego pleców, szczelnie niczym hermetyczna folia przyklejała się do niego, wypełniając swoim ciałem wszelkie zagłębienia. Obtulała go rękami i po chwili, oddychając w jego kark, znowu zasypiała uspokojona.

A może odzwyczaili się od swoich ciał? Od dotyków, lgnięć, muśnięć po ciąży z Anką? Łucja źle znosiła tę ciężę, a Edwin źle znosił jej rozdrażnienia, humory i fobie. Odsuwali się od siebie.

A potem już jakoś tak zostało. Trudno jest wracać do młodzieńczych gestów, gdy ma się dwoje dzieci i prawdziwe życie.

kilka lat przed TYM

To było kilka lat przed jego śmiercią. Za namową Anki wyjechali do Rewala.

Edwin był zmęczony. Zmęczenie znaczyło jego twarz, oczy. Kiepsko sypiał. Najczęściej zwinięty w kłębek drzemał przed telewizorem, a kiedy Łucja go wybudziła, bywało, że nie zmrużył oka do rana. Przerzucał się z boku na bok. Wstawał, kręcił się po domu. Często żałowała, że nie pozostawiła go w salonie, bo zarywał jej noc. Czasem z niepokojem patrzyła na to nocne szamotanie, ale rzadko zdradzała się z tym, że nie śpi. Wtulona w poduszkę markowała równy, spokojny sen. On leżał obok. Czowała jego oddech na karku. Zarzucał rękę wokół jej talii, oplatał nogami jej nogi, chropowatą stopą przejeżdżał po jej łydce. Wstrzymywała oddech, czekając na to, kiedy jego ręce zaczną błądzić po jej ciele. I zawsze, gdy

o mało co nie odwróciła się, by obdarować go pieścizotami, wymykał się z łóżka i krążył po domu. Niekiedy udało jej się ponownie zasnąć. A rano widziała męża w pełnym rynsztunku. Gotowego do pracy. I tylko zapadnięte oczy świadczyły o kolejnej kiepskiej nocy.

*

Od początku, jak zaczęły się wakacyjne wojaże, jeździli z dziećmi. Były to zorganizowane wczasy w jakichś polskich kurortach. Najczęściej Pogorzelica, Niechorze. Tam, gdzie tłok, ale i place zabaw, i stołówki. Gdzie zatrzesienie straganów. Gdzie wszędzie roztaczały się zapachy smażonych ryb, szaszłyków i słodkich gofrów.

– Po co wypuszczać się gdziekolwiek? Jakies zagranice, cuda-wianki, skoro u nas tak ładnie – przekonywał Edwin, uprzedzając tym samym ewentualne prośby o zmianę kierunku.

Była w tym niewątpliwie pewna racja, bo podróż wiązała się z wieloma przygotowaniem. Walizki dla każdego, łóżeczka (kiedy dzieci były małe). I te wszystkie sprzęty, zabawki, żeby tylko nie nudziły się i nie żądały ciągłego kupowania czegokolwiek na tak zwane zabicie nudy. A więc targali ze sobą rowerki, wrotki, gry planszowe. Summa summarum wracali z bagażnikiem jeszcze bardziej wypełnionym. Tak, że przy byle wyboju podskakiwał, straszac otwarciem i wybebeszeniem.

Kiedy Łukasz odszedł, siłą rzeczy jeździli tylko z Anką. Tak było całe lata. Już nawet jako dorosła panna pakowała się z nimi do samochodu. Zamieszkiwali jakiś pokój z trzema wąskimi tapczanami, rzadziej trafiał im się większy bungalow. Zazwyczaj po plażowaniu każde zajmowało się sobą. One czytały książki, przerzucały najnowsze „Twoje Style”, „Panie” i inne kolorowe gazety, Edwin zaś wgapił się w telewizor lub zasypiał odwrócony do ściany i po cichu niecierpliwiał się, kiedy ten wypoczynek się skończy i wreszcie będzie mógł wrócić do swoich zajęć.

*

Koniec marca tamtego roku był wyjątkowo słoneczny. Zaraz po ostatnich śniegach zazieleniło się. Świat nabierał barw. Anka chodziła z głową w chmurach. Była zakochana. To był pierwszy raz, gdy zakochała się „do końca życia”. Z Nikodemem, studentem pierwszego roku ekonomii, układała sobie przyszłość. Budowali domy, urządzali w nich pokoje, rodzili dzieci, nadawali im imiona. Ale zanim ta przyszłość dalsza miała się ziścić, obmyślali wspólne wakacje. Na samą myśl twarz Anki płonęła, a wyobrażenia tworzyła różne obrazy. A to płomienne

pocałunki w świetle zachodzącego słońca, a to kąpiel nocą w morzu połyskującym jak srebrzysto-granatowy jedwab.

– Mamo! Wiesz, jak ja lubię morze – powiedziała do niej zaraz na początku wiosny, kiedy to już zazwyczaj rozglądali się za terminem i domem wczasowym. – Ale w tym roku z wami nie pojedę.

Ton głosu był stanowczy i nieco zaczepny. Łucja spojrzała pytająco na córkę, potem skierowała wzrok na męża, jakby szukała potwierdzenia, że podzieliła jej zdumienie tą nagłą informacją, która była zupełnie poza jakimkolwiek kontekstem. Edwin uznał jednak sprawę za mało istotną i nadal śledził zmieniające się na ekranie obrazy. Był to jakiś reportaż ekonomiczny, w którym dziennikarz w ciemnych ray-banach z wielkim przejęciem rozmawiał z rolnikiem spod Olsztyna o pompie ciepłej, która w cudowny sposób wykorzystuje ziemię dla pozyskania nieograniczonej i taniej energii. Edwin z podziwem kiwał głową i mruczał pod nosem.

– A tobie skąd naraz przyszły do głowy wczasy? To dopiero marzec... Gdzie do lata? – bagatelizowała Łucja i próbowała zamknąć temat.

Anka jednak nie dawała za wygraną. Przysiadła na brzegu sofy.

– Wiem! Ale to zwykle o tej porze załatwiacie wszystko, więc bałam się, żeby tego nie przeoczyć. Bo będzie tak, jak w zeszłym roku. Znowu postawicie mnie przed faktem na chwilę przed wyjazdem. Nie pytaliście mnie, czy mam jakieś plany. Zdecydowaliście i już! – ciągnęła z pretensją, coraz bardziej podnosząc głos.

– Aniu, ale my jeszcze nie... – Łucja próbowała uspokoić córkę, ale ta przerwała ostro:

– No właśnie! Z wami tak jest! Teraz jeszcze nie, a nie wiadomo kiedy i dlaczego będzie już po... A poza tym, może wreszcie zauważysz, że nie jestem już małą dziewczynką. I też mam jakieś swoje plany – dokończyła z naciskiem.

Istotnie, to już nie była ta sama mała dziewczynka, która bezkrytycznie przyjmowała wszelkie polecenia rodziców. Którą prowadzili tam, dokąd sami zmierzali. Od kiedy zdała maturę, z dnia na dzień stawiała się coraz bardziej niezależna. Co wpędzało Łucję w paniczny lęk związany ze świadomością, że przyjdzie czas, kiedy oświadczy im, że odchodzi z domu. I co wtedy? Jak będzie żyła? Czy wystarczy jej życie tylko z Edwinem? Obawa ta zdawała się zupełnie nieuzasadniona, gdyż fakt bycia Anki w domu niczego nie zmieniał, nie gwarantował też zbytniego ożywienia – tego tętna, pulsowania życia, które wyczuwa się w innych domach. Ale mimo to obecność córki odczuwali i ona, i on. Nawet wówczas, gdy zamknięta była w swoim pokoju.

Ukradkiem zerknęła na męża, by zbadać jego reakcję. Edwin nieznacznie przyciszył telewizor, wyostrzył słuch, ale nie zamierzał mieszać się do rozmowy. Udawał, że jest zainteresowany programem, choć nabrzmiała żyłka na skroni

wskazywała na stan napięcia. Od odejścia syna Edwin rzadko zabierał głos w takich sprawach. Być może bał się kolejnej porażki, może bał się, że drzwi znowu zamkną się za kolejnym dzieckiem. A może po prostu łatwiej mu było przerzucić ciężar wszelkiej odpowiedzialności na barki Łucji.

– Myślałam, że lubisz te nasze wyjazdy. – Łucja zawiesiła głos. Chciała, by zdanie zabrzmiało, jakby czuła się trochę urażona. W gruncie rzeczy miała myśli zajęte zupełnie czymś innym. Anka pogłaskała jej ramię, przytuliła twarz do jej twarzy i pragnąc udobruchać matkę, tłumaczyła:

– Mamo! Ja nie mówię, że nie lubię. Nie o to chodzi. Ale już nie chcę! Chcę być sama albo... nie sama. Z kimś!

Urwała, śledząc reakcję rodziców.

Edwin chrząknął, Łucja spojrzała badawczo na córkę.

– Co to znaczy „z kimś”? Kto to jest ten „ktoś”? – spytała.

– Daj spokój, mamo! Tak tylko mówię. – Anka zbyła pytanie matki. Do głowy by jej nie przyszło, by powiedzieć o chłopaku. Zresztą nigdy jej się nie zwierzała. Między nimi nie było tej formy bliskości, jak między jej koleżankami a ich matkami. Marta to nawet opowiedziała matce o pierwszym zbliżeniu, a tamta podobno przytuliła ją, a potem długo tłumaczyła, jak ustrzec się przed niechcianą ciążą.

Łucja i Anka w kontaktach przemykały ponad wszelkimi intymnymi tematami. Zadawały się codziennymi komunikatami o obiedzie, pogodzie i zdrowiu.

– A poza tym to powinniście pojechać sami. Z daleka od domu, ojca firmy, babć, dziadków... Sami... jak młode małżeństwo... Plaża, słońce i te inne duperele... figo fago – za wszelką cenę usiłowała nadać rozmowie lekkości, trochę zbagatelizować, bo od razu dostrzegła tę czujność u matki, która wyrażała się uniesieniem głowy i charakterystycznym wyciągnięciem szyi. Wyglądała trochę niczym łabędzica z tą swoją wydłużoną szyją, kiedy to samica puszy się niebezpiecznie w poczuciu zagrożenia.

– Musicie pobyć trochę sami... Całkiem sami... – dokończyła dziewczyna tonem spokojnym, pełnym teatralnego spoufalenia, jak wyspecjalizowana terapeutka.

– Zostawmy to na razie – skostatowała matka krótko.

Sięgnęła po książkę. Nie mogła się skupić. Przesuwała wzrok kilka razy po zadrukowanej kartce, ale litery uciekały jej jak spłoszone ptaki i w głowie nie pozostawało nic.

Łucja nie chciała się przyznać również przed samą sobą, że częstokroć marzyła o takich kiczowatych obrazkach – morze, plaża, piasek, wiele słów – oklepanych miłosnych frazesów, wiele gestów, przytuleń. Ale przecież w ciągu tych lat już doskonale zrozumiała, że to nie ten schemat zachowań. Oni żyli

powściągliwie. Surowi w słowach i gestach.

tamtego lata przed TYM

Jednak tamtego lata pojechali sami. Sami. Już fakt pakowania się – na dwie walizki – krył w sobie coś podniecającego. Wprawdzie Edwin jeszcze kilka razy podejmował próby nacisku, by córka pojechała z nimi. Bo jak to tak zostanie sama? Albo pojedzie z jakimś wyrostkiem, który to od pewnego czasu „zadomowił się” u nich? Czy to nie za wcześnie i skąd taki pomysł? Ale on się nie odzywa. Skoro Łucja jest matką, to niech decyduje. Bo potem znowu będzie na niego, jak to było z Łukaszem. To już niech tak będzie, jak chcą, ale muszą wiedzieć, że jemu to się nie bardzo taki pomysł podoba.

Łucja wrzucała do swojej walizki specjalnie na ten wyjazd zakupioną nową bieliznę: cienkie koszulki, koronkowe majtki. Przymierzała je po kryjomu. Stawała przed lustrem, dokładnie oglądając się z każdej strony. Jej twarz pałała rumieńcem. W domu zapanował nastrój podniecenia.

Wieczorem przed wyjazdem Łucja szykowała posiłki dla Anki, która koniec końców deklarowała pozostanie w domu i trzymanie nad nim pieczy. Edwin podszedł do niej w kuchni, niezdarnie przyciągnął ją do siebie i zatrzymał tak blisko, że przez moment nie mogła złapać oddechu, ale nie wyrywała się. Napotkała jego spojrzenie. Było w nim oczekiwanie i głód. Dawno tak na nią nie patrzył.

To były te momenty, które zbierała, chowała głęboko w zakamarkach mózgu i przywoływała, kiedy życie z Edwinem wydawało się nieznośne.

*

Droga do Rewala mijała w milczeniu. Z radia sączyła się jakaś cicha muzyka raz po raz przerywana irytującymi komentarzami dziennikarza, który klepał piąte przez dziesiąte, jakby zupełnie nie miał pomysłu, co mówić. Zdania były niespójne, brakowało kontekstów. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że chciał być na siłę zabawny, ale totalnie mu to nie wychodziło. Edwin wyjął ze schowka jakąś kasetę. Plastikowe pudełko nie chciało poddać się jego palcom, ale w końcu puściło. Nie

odrywając wzroku od drogi, wsunął ją do kieszeni odtwarzacza. Samochód wypełnił chrapliwy głos Boba Dylana. Łucja uśmiechnęła się kącikiem ust. Bob Dylan i Edwin! Jakich zabiegów musiał użyć, by wydobyć od Anki tę kasetę? Nie odważyła się zajrzeć, jakie jeszcze niespodzianki krył samochodowy schowek, ale czuła, jak rozpanoszona wewnątrz niej ekscytacja daje znać o sobie. Przyjemny dreszcz obiegał jej ciało. Była znów młoda! Bała się spojrzeć w bok. Na niego. Bała się, że utraci tę chwilę. Że stanie się tylko impresją. Momentem.

*

To był niewielki kompleks wypoczynkowy położony na klifie, złożony z kilku pomniejszych domków letniskowych. Całkowicie przeszklona elewacja od strony morza każdego z budynków robiła ogromne wrażenie. Do wewnątrz wpadało tyle światła, że zdawało się, jakby pomieszczenia w ogóle nie miały jednej ściany. A już szczególnie efektownie wyglądało to wtedy, gdy w tych wielkich połaciach szyb odbijał się zachód słońca. Właściciel kurortu dołożył też wszelkich starań, by goście mieli zapewnioną intymność. Każdy apartament miał osobne zejście z indywidualnego tarasu ogrodzonego od innych wysokim, ale gustownym przepierzeniem z łodyg bambusa. Gdyby komuś przyszło do głowy zaglądać do sąsiada, musiałby włożyć w to nie lada wysiłek. Tylko po co? Każdy, kto tu przyjeżdżał, przywoził ze sobą własne sprawy, które go tak zajmowały, że nie było potrzeby zaglądania w cudze „garnki”.

Ich pokój znajdował się niejako od szczytu szeregowej zabudowy. Co z jednej strony zabierało część widoku na rozległe morze i horyzont, ale z drugiej pozostawiało możliwość obserwowania owych czarownych, spektakularnych zachodów słońca niknącego za wysokim klifem.

*

To właśnie tam, po wielu latach, Łucja chyba pierwszy raz odkryła, że mężczyzna, który przywiódł ją w to miejsce, mimo upływu czasu, mimo wszelkich zdarzeń, w które byli wplątani, to wciąż ten sam chłopak. Chłopak sprzed lat. Który w starej kamienicy, strzeżonej przez starego Zygę, trzymał ją w ramionach, szepcząc słowa, kołaczące teraz się w jej głowie niczym magiczne zaklęcia.

*

Jeszcze dobrze nie zdążyli wnieść bagaży, obejść pomieszczeń – dużego salonu, przyległej sypialni i niewielkiego aneksu kuchennego, kiedy Edwin zaszedł ją z tyłu. Czuła na szyi pożądlivy oddech męża. Odgarnął jej włosy. Odsłonił kark

znaczony paciorkami kręgów. Z początku poczuła mrowienie, narastające sztywnienie, ale zaraz ustąpiło. Przymknęła powieki. Pozwoliła uczuciu błogości wtargnąć w siebie. Od razu. Bezkompromisowo. Głowa opadała jej i unosiła się, zataczając powolne kręgi wokół własnej osi. Z każdym jego oddechem wiotczała.

Przygarnął ją silnymi rękoma. Bez słów. A potem ciężkimi pocałunkami od nasady głowy poprzez szyję, kark, plecy położył ją na wielkim łóżku.

Łucja nie pamięta, jak to się stało, że wszelkie rytuały związane z pójściem do łóżka – mycie, balsamowanie – zostały pominięte. Jakby naraz pootwierały się zaryglowane drzwi. Jakby naraz opadły ciężkie kurtyny. Jakby nie było obwarowań, ograniczeń...

Leżeli obok siebie nadzy, w środku dnia, przy pełnym świetle, onieśmieleni swoją nagością. Sufit wirował. Ściany traciły pion. Słyszać było tylko głośne, przyspieszone oddechy.

Wstała. Speszona. Uciekała przed jego wzrokiem.

W łazience zmywali z siebie swoje zapachy. Zakłopotani. Zdumieni sobą.

Kiedy znaleźli się z powrotem w pokoju, zalanym światłem – surowym, naznaczonym tymczasowością – zachowywali się z dystansem. Jakby nic się nie zdarzyło. Nie było szaleńczego seksu, płataniny ciał. Jakby wyszła spoza nich.

Łucja rozpakowała walizki. Miała ogromną potrzebę zadomawiania się. Gdziekolwiek jechali i nieistotne na ile, zawsze zabierała się do rozpakowywania i tworzyła namiastki domu – półki dla niej i dla niego, miejsce w szafie, kosmetyki w łazience, szafki nocne. Wszyscy mieli swoje minidomy. I dopiero wtedy, gdy pochowała walizki, znaki tymczasowości – oglądała nowe miejsce, oswajała się nim.

Teraz również ta nowa przestrzeń została przez nią konkretnie podzielona i naznaczona. Na jego szafce gazety i jego notes, i etui z kluczami, na jej – książka, mała kosmetyczka i lustro.

*

– Ładnie tu – powiedziała, przyklejając twarz do ogromnej przeszklonej ściany.

Bo rzeczywiście było ładnie. O tej porze dnia – takiego późnego popołudnia i wczesnego wieczoru niebo przybierało niesamowity odcień błękitu zmieszanego z gasnącym poczerwieniałym słońcem. Morze ciemniało. Linia horyzontu rozmywała się. Był tylko bezmiar wszelkiej niebieskości nieba i wody, którego monotonność zakłócały miejscami białawe bałwany spienionych fal. Przechodziła przez przestrzeń przygłuszony szum morza.

*

Tamtej nocy pierwszy raz spała nago. Owinięta niczym egipska mumia w białe prześcieradło, szeleszczące od krochmalu. Było gorąco. Nagrzane za dnia pomieszczenia utrzymywały ciepło.

Wczesnym rankiem obudziła ją cisza. W domu nigdy nie było tak głucho. Tu szczelne okna i drzwi nie przepuszczały żadnych dźwięków. Podeszła do okna. Naga. Było w tym coś ekshibicjonistycznego. Było gorąco. Kamienne kafle przyjemnie chłodziły stopy. W oddali, gdzieś pod nimi, majaczyły postacie ludzi spacerujących brzegiem morza, było chyba jeszcze wcześniej, bo piasek był niezdeptany. Patrzyła na nich z góry. Przez moment kobieta pomyślała o tym, jak musi wyglądać z zewnątrz – taka rozpostarta na szybie – bez tajemnicy.

Edwin spał. Nieznaczną strużką śliny znaczyła swój ślad na poduszce. Pochrapował cicho. Było w nim tyle spokoju. Wyraz zadowolenia malował się na jego twarzy. Przez chwilę kusiło ją, by wrócić do łóżka, przylgnąć do jego nagich pleców, zarzucić mu nogę na biodra. Wciąż miała w sobie uczucie podniecenia. Jej ciało było tkliwe i głodne.

Usiadła na brzegu łóżka. Najdelikatniej jak mogła. Jeszcze chwilę chciała na niego popatrzeć, ponapawać się jego obrazem. Edwin otworzył oczy. Trzeźwe i wyspane.

– Co ty robisz? – spytał rzeczowo. – Dlaczego już wstałaś? Śpijmy jeszcze.

Ogarnął ją spojrzeniem, trochę dłużej zatrzymując się na krągłych, ładnych piersiach. Położyła się na łóżku, okręcając się w szeleszczące prześcieradło. Skłębila poduszkę, podsuwając ją pod głowę.

– Pół godziny – rzuciła przeciągle i sennie.

Odpywała. Pokój tracił kontury. Zapadała w sen, kiedy poczuła dłoń męża mierzwiącą jej włosy. Leżał tuż za nią wsparty na łokciu. Oddychał nierówno, czuła ciepły strumień powietrza błędzący od nasady włosów po łopatki. Wcisnęła się mocniej w materac. Jego ręce stawały się coraz bardziej natarczywe i bezwzględne. Jeszcze chwila błęgiego balansowania na granicy jawy i snu, i Łucja wiedziała, że za moment się odwróci i podda jego pieczętom. Jeszcze się przeciągała, zaciskała uda, ale już czuła, jak mężczyzna całym sobą napiera na nią. Przytrzymała jego dłoń, która delikatnie, ale stanowczo rozchyłała jej uda. Palce drugiej ręki ugniatały piersi, drażniły brodawki, które robiły się coraz twardsze, zdradzały jej gotowość, demaskowały ją. Łucja zapragnęła, by w nią wszedł. Szybko i zdecydowanie. Chciała poczuć tę jedność, bliskość po brzegi.

Kochali się z jakąś teatralną, niemal sztuczną zachłannością, wsysając się w siebie, wgryzając, wpijając palcami. Nie było żadnych słów między nimi, tylko krótkie, zduszone pomruki i rozlegający się w ciszy łoskot uderzanych o siebie ciał, szuranie po prześcieradle.

Łucja z ociąganiem wstała z łóżka. Przeszła do łazienki, znacząc kafle

śladami wilgotnych stóp. Kinkiety zawieszono nad lustrem rzucały snopy ostrego, zimnego światła. Naprzeciwko jej twarz i uśmiech, w którym czaiła się bezwstydną lubieżność. Czuli się kobieca. Dawno wyparte uczucie powróciło. Dotykała twarzy, palcami obrysowywała oczy, naciągając skórę wokół nich, gładziła szyję. Układała usta w wąski dzióbek, stroiła miny, jakby ćwiczyła mimikę przed ważnym spektaklem.

Stała, zapatrzona w swoje odbicie. Piersi znaczyły jeszcze zaczerwienione ślady pieszczot. Palcami powoli rozmasowywała różowe ścieżki.

Łucja przybliżyła twarz do lustra, jakby chciała dojrzeć własne wnętrze. Oczy naprzeciw oczu, usta w usta. Ciepłe powietrze zostawiło na powierzchni lustra okrągły obłok.

Trwała nieruchomo. Woda szemrała, rozbijając się o ściany kabiny. Nie zauważyła, jak stanął za nią. Nagi, z czerwonymi kreskami paznokci na ciele.

– Wychodzisz? – spytał niemal szeptem.

Skinęła tylko głową zawstydzona, jakby dała się przyłapać na gorącym uczynku. Edwin wycofał się.

Z pokoju dobiegły jakieś głosy. Cicho sączyła się muzyka.

Cały dzień nosiła w sobie pamięć ranka.

wiele miesięcy po TYM

Anka przyniosła jej krem. Od pewnego czasu używała wielu kosmetyków. Na początku ich małżeństwa były one zupełnie nieistotne. Owszem, jakieś podstawowe: mydło, szampon. Nieszczerze przywiązywała do nich wagę, nie było też mody na dbanie o ciało. Wiele lat używała nivea, rano i wieczorem bez żadnej finezji wklepywała niewielką ilość w twarz i dekolty. Czasem pokusiła się o flakonik „Być może”, którego szyprowy zapach długo się za nią ciągnął. Albo pamięta, jak w liceum... – nie, to było później, bo nosiła już ciężę wysoko – Janka przyniosła jej mydło „z darów”. Przyniosła też masło orzechowe i szampon Fa. Oni nigdy nie dostawali niczego z „z darów”, bo rodzicom Łucji pomagała Partia, więc powodziło im się dobrze, a poza tym ojciec miał na pieńku z Kościołem. Mydło nazywało się bodajże „Gessy” i pachniało jaśminem tak słodko, że nic nigdy nie budziło takiego zachwyty. Celebrowała mycie, pieściła ciało puszystą, lekką pianą. Każdy milimetr jej ciała pachniał. I ona to czuła. Któregoś razu, na kilkanaście dni przed rozwiązaniem, Edwin przyłgął do niej, muskał ją delikatnie i szeptał pełen podniecenia:

– Boże! Jak ty pięknie pachniesz!

I te słowa sprawiły, że mimo ociążałości, wielkiego brzucha, nabrzmiątych, pełnych piersi poczuła się piękna. Dotykali się długo w nocy, całowali, dopóki nie odczuł ulgi. I tak już potem zostało. Kupowała balsamy, lotiony, emulsje, toniki. Zachwycała ją miękkość włosów, aksamit ciała. Ale najbardziej lubiła zapachy. Zapachy.

Tamtym razem zdała sobie sprawę z siły ich oddziaływania. I już zawsze pozostawał tym z bodźców, na który jej zmysły reagowały najwcześniej i najsilniej. To one zapadały w pamięć. Umiała je porządkować, rozróżniać, przypisywać ludziom, sytuacjom. Jakby zapach stał się jej najdokładniejszym narzędziem poznawczym.

To po zapachu rozpoznawała obcego w domu.

– Kto był u nas? – pytała po powrocie do domu. Jeżeli był to ktoś znany, pytanie stawało się nieistotne. Najdziwniejsze jednak było to, że niemal idealnie potrafiła ocenić człowieka po tym jak pachnie, czym pachnie. Nigdy też nie zdarzyło się, by ktoś, kogo nie lubiła, pachniał tym, co jej się podobało. I wcale niekoniecznie to, co określa się jako woń przyjemną, musiało łączyć się z tymi wszystkimi grupami nazw odnoszących się do ekskluzywnych zapachów z drogich perfumerii. Owszem, szczególnie upodobała sobie wszelkie szlachetne wody, w których pobrzmiwały aromaty morskiej bryzy, białych kwiatów lub też wyrafinowane połączenia ciepło-zimnych nut cytrusów ze słodkimi orientalnymi drzewami.

I lubiła zapachy domu, potraw, pór roku.

kilka lat przed TYM

Kiedy pierwszy raz wyjechała sama do Paryża, przywiozła Edwinowi bardzo drogą wodę toaletową kupioną w jednej z tych renomowanych perfumerii na Champs-Élysées. Choć nazwa zupełnie uleciała z pamięci, to jednak tamten zapach niewątpliwie rozpoznałaby bezbłędnie. W owym czasie delectowała się tą wodą, wdychała ją, prasując męża koszule. I było tak wiele lat, aż zapach spowszedniał. I to ona postanowiła go zmienić. On przyjmował to zwykle bez dyskusji. W przeciwieństwie do Łucji nie zajmowało go zupełnie, czym pachnie. Czy to był jakiś Paco Rabanne, czy Gaultier, czy wreszcie Boss, który do końca już pozostał jej ulubionym. Mieszały się w nim nuty świeże, korzenne i drzewne. Skrapiała leciutko ścianki półek, rozprowadzała wodę po całej szafie. Szafa była świątynią jego zapachu i za żadne skarby nie pozwoliłaby nikomu tego zmienić.

wiele miesięcy po TYM

Z lustra patrzyła na nią twarz kobiety. Łucja zastanawiała się, ile lat dałaby tej kobiecie, gdyby mijala ją na ulicy. Regularny owal twarzy. Gładkie czoło, skóra wokół oczu zaledwie draśnięta pojedynczą zmarszczką. Usta nieco bledsze niż ileś lat wstecz, ale wciąż zachowujące ładny kontur. Naprzeciw była kobieta bez wieku... Równie dobrze mogła mieć trzydzieści kilka, co i pięćdziesiąt lat. Może tylko oczy, pozbawione żywotności i blasku, zaciągnięte poświatą smutku i obojętności zdradzały kogoś, kto nie mógł być zbyt młody. Człowiek nabiera smutku wraz z latami i doświadczeniami. Więcej widzi. Lepiej widzi, bo jego oczy są szerzej otwarte.

Łucja zdjęła okulary, które zaszyły mgłą. Wilgotnym wacikiem zmywała makijaż. Ciemne smugi rozmazanego tuszu szpeciły twarz. Wyglądała, jakby założyła wenecką maskę.

Odkręciła słoiczek z kremem. Pacnęła lekko palcem czubek kremowego zawijasa. Rozprowadziła ociupinkę pod nosem. Delikatny, ledwie wyczuwalny zapach. Zapewne był to jeden z tych drogich specyfików, których ceny szokowały Edwina.

– W życiu nie wydałbym tylu pieniędzy na jakieś mazidła! – sarkał, kiedy Anka zachwyciła się jakimś kosmetykiem, wymieniając trudną nazwę. Nie sprawdzał nigdy, ile żona wydawała na takie produkty. Niepotrzebna mu była ta wiedza. I o ile zdarzało mu się robić zakupy: jakieś cukry, mąki czy nawet wędliny, to sam chyba nigdy nie był w drogerii. I nawet szamponu do włosów czy mydła nie kupił przez te wszystkie lata.

Ale za to na początku ich małżeństwa zdarzyło mu się obdarowywać ją biżuterią.

Nieraz zdumiewało ją, jak to jest, że on – od topornych robót budowlanych: betonów, szalunków, cegieł – miał tę subtelność, wysmakowanie, bo zawsze było to coś niebywale pięknego.

Zanurzyła opuszki palców w kremie. Rozcierała go, bawiła się jego konsystencją. Maznęła twarz w kilku miejscach. Wyglądała jak wówczas, gdy jako dziecko zachorowała na ospę. Mama na każdą krostę nałożyła grubą warstwę maści cynkowej, która, nawet jak zaschła, nie dawała się zmyć od razu, pozostawiając jaśniejsze plamy.

– Widzisz, nie daję rady. Wariuję – wyszeptała do lustra, przybliżając twarz tak blisko, jakby nie chciała, by oprócz tej w lustrze ktokolwiek ją usłyszał. Na powierzchni pozostała biała chmura. Stała naprzeciw lustra i stroiła miny:

wydymała wargi, mrużyła oczy tak, by pozostały tylko małe szparki, przez które podglądała tamtą kobietę.

Żarówka pod sufitem zamigotała, kinkiety przygasły na moment. Odruchowo spojrzała w górę, ale po kilku razach wszystko się uspokoiło. Łazienkę wypełniło jasne światło.

– Wiem, że to nie ty. Ty umarłeś. A teraz to już nawet nie wiem, czy tam całkiem nie zapomniałeś o mnie. Musi ci tam być strasznie dobrze, że nie chcesz tu wracać. A zresztą może wywiało cię w jakimś kierunku i nawet nie wiesz, jak mnie znaleźć. Swoją drogą, czy tam też są jakieś kierunki?

Łucja usiadła ciężko na stołku. Oparła stopy o półkę, przyciągnęła do siebie skrzydło lustra. Teraz miała siebie blisko. Odwracała twarz od odbicia, a za chwilę ponownie patrzyła na siebie. Za każdym razem siłać się na jakiś wymyślny grymas. Czula, że to, co robi, jest idiotyczne. I co z tego? Przecież jest sama. Podniosła do ust kieliszek z winem. Przechyliła głowę, pozwalając, by gęsty alkohol osadzał się na ściankach podniebienia, a potem spływał tunelami gardła. Od jakiegoś czasu uwielbiała przesiadywać w łazience. Była niewielka. Przytulna i do ogarnięcia. Szczelna. Pozostałe pomieszczenia domu były duże... za duże dla niej samej, wiały pustką. Tu pustki było jakby mniej.

– Żebyś chociaż mnie uprzedził! – Kobieta wzięła do ręki szminkę, która leżała tuż pod lustrem. Odkręciła nasadkę. To była jedna z tych, których kilkanaście wałało się po mieszkaniu w różnych miejscach, w torebkach, w schowkach w samochodzie. Wszystkie takie same. „Rose Passion numer 160”. Starannie obrysowała usta, wydymając je przesadnie, następnie nałożyła grubą warstwę pomadki. Starła jej nadmiar, pocierając wargę wargą. Zlizala czerwone ślady z zębów. Patrzyła. Jak mechaniczna lalka przechylając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. Wino uderzało do głowy. W cudowny sposób odrealniało jej świat, burzyło wszelkie blokady. Wstała. Przestrzeń zawirowała. Przedmioty wielokrotniały. Wystudiowanym ruchem podniosła kieliszek. Objęła ustami szklany rant, pozostawiając na nim krwisty półksiężyc. Z luster patrzyły na nią jej twarze. Na przemian ganiły, drwiły z niej, smagały złym wzrokiem. Boczny prostokąt lustra zniekształcał, a może to twarz traciła wyrazistość. Cmoknęła mocno, odciskając czerwony ślad ust na tafli.

– Czuję cię! Pewnie jesteś, by zobaczyć, jak płaczę! Zadowolony? I oczywiście nie powiesz nic. Nigdy nic nie mówiłeś, zawsze brakowało ci słów albo zwyczajnie nie chciało ci się mówić. Ale dzisiaj nie będę płakać. Po co ci są moje łzy? Po co? Nie wystarcza ci moja samotność?! – Wyrazy plątały się, głoski ścierały, tworząc niewyraźny szumiący ciąg.

Przerwała. Powiodła ręką na półkę. Sięgnęła po opróżnioną do połowy butelkę wina. Uzupełniła lampkę. Zakołysała nią, wino rozbijało się o ścianki szkła.

– To absurdalne! Mówię sama do siebie – wybełkotała. – A może do was? – Wskazała na swoje odbicia w lustrach.

– Zobacz, ile mnie jest? Dwie... cztery... Żadnej nie chcesz?! Samotne wdowy! – mówiła coraz bardziej niewyraźnie i coraz głośniej.

Obraz zaczął się rozmywać, kształty traciły ostrość. I kolejny raz wentyl puścił. Z początku cichy szloch targnął ciałem, a potem już nic nie mogło jej powstrzymać przed wybuchem płaczu. Odkręciła kurek. Woda wartkim strumieniem lała się, rozbryzgując na boki. Łucja nabierała ją w zagłębienia dłoni i chlapała na twarz. Łzy mieszały się z wodą, połykała słonawą ciecz. Niemy skowyt. W lustrach odbijała się żalсна karykatura: poczerwieniałe białka, rozmazana pomadka. Oszepecona Kolombina.

*

Przebudziła się zmarznięta. Skulona, przekrzywiona, z głową leżącą na zimnym blacie umywalki. Nie wiedziała, ile czasu minęło. Chłód owładnął jej ciałem. Otrząsnęła się, jakby chciała zrzucić z siebie pamięć minionych minut. Wyglądała żałośnie. Obmyła się ciepłą wodą, starła gąbką ślady szminki. Tłusta czerwień stawiała opór. Postanowiła zająć się tym nazajutrz. Była zmęczona. Gdyby Edwin żył, nigdy nie pozwoliłaby sobie na taki eksces. Zawsze dbała o swój wizerunek. Nawet kiedy była szpitalu, gdy rodziła kolejne dzieci, po porodach, nie pozwalała mu wejść na salę, dopóki nie doprowadziła się do porządku. I taką ją widział całe życie. Nie było w tym względzie żadnych kompromisów. Żadnych słabości.

Przezesła włosy palcami. Dom tonął w mroku, tylko z zewnątrz wpadały smugi światła rzucane przez uliczne lampy. Zasunęła rolety. Musiało być późno. Nie miała potrzeby sprawdzać godziny, czas nie był dla niej ważny. Cisza domu. W sypialni uchyliła drzwi szafy, wdychając uwięziony jego zapach.

Łóżko zaskrzypiało znajomo. Zwinięta w kłębek zakopała się w pościeli.

Od czasu jego śmierci lubiła spać.

w tamtym życiu, na długo przed TYM

Łukasza nie było już bardzo długo. Tak długo, że Łucja przestała liczyć dni i tygodnie. Dom powoli odżywał. Głównie za sprawą Anki, która niezwykle gwałtownie przeżywała swoje pierwsze miłości, nosząc ciężar swoich problemów ostentacyjnie i z wszelkimi znakami okresu dojrzewania – płaczem, rozdrażnieniem lub burkliwością, głupkowskim śmiechem lub demonstracyjnym

milczeniem. Wszystko, co tylko można sobie wyobrazić. I właśnie wtedy okazało się, że Łucja jest w ciąży. Nie dramatyzowała, ale i nie skakała z radości. Przyjęła fakt. Edwin wydawał się zachowywać spokojnie, zresztą praca pochłaniała go zupełnie i nic nie zapowiadało, że nagle cokolwiek się zmieni. Czasem Łucji zdawało się, że bywa częściej rozdrażniony, że kątem oka obserwuje ją, jakby szukał potwierdzenia w wyglądzie, w sposobie poruszania się. Zwłaszcza kiedy się wyłączała, zajęta swoimi myślami. Zastanawiała się nad swoim wiekiem, czy to nie za późno, by rodzić, ale w końcu pozostawiała te dylematy, ponieważ i tak nic zrobić nie mogła. Niekiedy tylko budził się w niej niepokój, że nie może przyzwyczaić się do myśli o nowym dziecku. Rosło w niej, ale wciąż było nienazwane, niewyobrażone. Jednak i to kładła na karb wieku i działania hormonów. Zwłaszcza hormonów! Naczytała się, naoglądała. Mając tyle lat, można się spodziewać różnych sensacji ze strony swojego ciała.

Kiedy brzuch stał się tak duży, że nie sposób było tego nie zauważać, a Łucja zrobiła się powolniejsza, poruszała się niezbyt zgrabnie, Edwin zabrał ją pewnego dnia na spacer.

To była niedziela. Podjechali samochodem za miasto, na skraj lasu. Mimo wczesnej godziny niewielki parking leśny był pełen samochodów. Ale nie było widać nikogo.

Było ciepło. Słońce prażyło i tylko schronienie się pod gęstymi konarami rozrośniętych buków dawało ulgę od gorąca. Las pachniał żywicą i grzybami, choć był to środek lata i nie pora na grzyby. Sucha ściółka szeleściła pod nogami. W pobliskich zaroślach porastających brzeg przylegającego do lasu jeziora kwiliły ptasie pisklęta. Stamtąd też szła od wody przyjemna wilgoć. Nieco dalej, w głębi, gdzie buczyna przechodziła w las mieszany, znajdowały się dwa niewielkie jeziora, do których zmierzała niezliczona ilość drobnych strużek i źródełek. Niektóre z nich były krystalicznie czyste. Woda szemrała w nich cicho, pieszcząc omszałe kamienie. Łucja pamiętała je jeszcze z czasów narzeczeństwa, bowiem las wówczas dość często grodził ich od powszedniości zwykłych ludzkich spraw, a ponadto poza starą kamienicą mogli tu ścisnąć i całować się do woli, nie narażając się na wścibskie spojrzenia. Sycić się sobą tyle, by wystarczyło do kolejnego spotkania.

– Musisz oddychać świeżym powietrzem. Prawie nigdzie nie wychodzisz – mówił mąż. – Choć pewnie i słusznie, w mieście wszędzie smród – dodał.

Trzymał ją mocno za rękę. Było w tym tyle nieporadności, że rozczulało ją to w takim stopniu, iż nie cofała dłoni, choć trudno było jej poruszać palcami. Edwin z tą swoją z trudem odgrywaną romantycznością zdumiewał ją. To wszystko wyglądało jak mdły amerykański film, a przecież Łucja dość twardo stąpała po ziemi. Z początku doszukiwała się w nim powodów takiego dziwnego zachowania, ale machnęła ręką. Było cudnie. Nagle zniknęły wątpliwości i to był, z pewnością,

jedyny raz, kiedy czuła się szczęśliwa z tą ciążą. W przypiływie uczucia położyła dłoń na brzuchu. Dziecko w środku drgnęło...

– Rusza się – szepnęła, przyciągając do brzucha jego dłoń. – Czujesz?

Przystanęli. Nie czuł. Zresztą nigdy już nie poczuli – ani ona, ani on. Ale wtedy stanęli w tym lesie naprzeciw siebie, oboje dziwnie onieśmieleni tym, co robili. A później stali pod drzewem, w tym samym lesie i całowali się. Długo i namiętnie.

Nigdy potem nie wracali do tego spaceru. Gdyby nie kilka zdjęć, jakie pstryknął tak od niechcienia, to ani po tym spacerze, ani po ich dziecku nie pozostałby żaden ślad.

w tamtym życiu na długo przed TYM

Tamtej nocy, kiedy odwiózł ją do szpitala, uparł się, aby zostać, chociaż nie oczekiwała tego. Przemierzał korytarz. Kilkanaście razy. Równe kroki. Miarowy rytm. I choć co chwilę ze szpitalnych sal odzywały się krzyki noworodków, to znów przyciszone rozmowy pacjentek lub komenderowanie położnych, odbierających porody, on niczego nie słyszał. Przystanął, dopiero gdy w sali, gdzie leżała, zrobił się ruch. Wciąż dochodziły tam inne osoby. Ktoś biegał z jakąś aparaturą, słyhać było podniesione głosy. Na korytarzu młoda pielęgniarka pchająca stojak z podwieszoną do niego kroplówką rzuciła mu pełne współczucia i zrozumienia spojrzenie.

Kiedy położna wyszła z sali ze spuszczoną głową, czuł, że stało się złe. Ona leżała na metalowym łóżku, z twarzą zwróconą do okna. Na dworze wiatr szarpał gałęziami, które uderzały w szyby okien, jakby chciały wtargnąć do wewnątrz.

Wrócili do domu. Nie powiedział żadnego słowa. Na drugi dzień też nie. Ona również milczała. Anka chodziła od matki do ojca, ale zbywali jej pytania lakonicznie. Nikt jej niczego nie wytłumaczył, a ona nie mogła zrozumieć, dlaczego siostra zmarła. Chciała przerwać milczenie, które zaległo w domu. Ciężkie jak ołów. Pełne smutku i żałoby. A poza nim nie było nic, ani słów, ani płaczu. Ona też nie płakała. Nawet nie widziała siostry, nie zdążyła się do niej przyzwyczaić. Bardziej bolała ją myśl o rozpaczycy matki niż poczucie straty.

Po cichym pogrzebie sprawy wróciły niejako na swój tor – każdy zajmował się sobą. Łucja snuła się po domu. Z nabrzmiałymi piersiami, z wystającym brzuchem. Czasem tylko chwytła się za brzuch, głównie podczas inwolucji. Anka widziała wówczas jej cierpienie, związane z poczuciem pustki, wyrażające się grymasem twarzy i nieruchomym spojrzeniem na wprost. Kiedy jednak

podchodziła bliżej, nadstawiając się do pogłaskania, do przytulenia, matka jakby wracała z tej pustki, ale wciąż nieobecna.

*

Za oknem było już zupełnie biało. Zrobiło się tak z dnia na dzień. Jeszcze tydzień wcześniej zmiatała zawieruszone gdzieś zeschnięte liście. W powietrzu unosił się zapach zgnilizny. Była to jedna z tych paskudnych zim, które nie mają nic wspólnego z bajkową scenerią przesyconą bielą i srebrem. Ogołoczone, skulone drzewa poddawały się porywom wiatru, brunatne trawniki były nasączone niczym gąbka. Niebo było szare i ponure, tylko tumany dymów na okolicznych dachach mówiły o tym, że w domach jest azyl, że nie warto wychodzić na zewnątrz.

Zwały śniegu przylgnęły do szyb, w słońcu skrzyły się tysiącami mikroskopijnych światełek. Załamane promienie rozproszyły niewielką tęczę.

– Odrobiłaś lekcje? – zapytała, kiedy przypadkiem Anka mignęła jej przed oczyma. To od zawsze było takie bezpieczne pytanie.

Córka obrzucała ją wtenczas wzrokiem pełnym ironii. Nie była już małym dzieckiem. Pragnęła być matki przyjaciółką, opowiedzieć jej o sobie. Dystans między nimi rozciągał się niebezpiecznie.

– Mamo! Potrafię już sama pilnować tych rzeczy, a poza tym są ferie... – skwitowała, starając się zwrócić uwagę na to, że matka całkiem straciła poczucie rzeczywistości. W oczach Anki pojawiała się rozczarowanie i smutek. Wzruszyła ramionami, pokiwała z niezrozumieniem głową. Matka była daleko poza nią.

– No tak, rzeczywiście... – zgodziła się, chcąc dać jej do zrozumienia, że to tylko jakieś chwilowe rozkojarzenie. Anka jednak doskonale zdawała sobie sprawę, że tak nie jest. Nic dla matki nie było rzeczywiste!

– Mamo. Ja jestem! Niestety. Tylko ja ci zostałam! – wyskandowała, z trudem hamując się, by nie wykrzyknąć swej samotności, poczucia osierocenia. – Wróć wreszcie do nas!

Spojrzenie Łucji natknęło się na Ankę. Dziewczyna miała w sobie coś dziwnego, czego Łucja nigdy wcześniej u niej nie widziała. Była to miłość, pełna gniewu, której wystarczy moment, by zmieniła się w nienawiść.

Wyciągnęła rękę, by pogłaskać córkę po twarzy, ale cofnęła, bojąc się, że zostanie odrzucona. A ona przecież nie miała jeszcze sił, by walczyć. O cokolwiek.

Córka stała naprzeciw, pełna napięcia. Gotowa do eksplozji. Trudno było przewidzieć, co się stanie. Czy wybuchnie spazmatycznym szlochom, czy rzuci się z pięściami.

– Faktycznie, Aniu. Patrz, jaka ze mnie gapa – przyznała powtórnie, starając się, by głos zabrzmiał swobodnie. Chciała zbagatelizować słowa Anki, ale w gruncie rzeczy nagle boleśnie odezwało się w niej poczucie winy. Do jej

świadomości dotarła myśl, że tak bezwolnie poddała się upływowi czasu, pogubiła dni, córkę, męża. „Jak daleko można uciec od wszystkiego, żeby nic nie widzieć...” – pomyślała z przerażeniem.

Anka wpatrywała się w nią wyczekująco. Matka próbowała pozbierać myśli, które tłoczyły się jedna po drugiej, jakby dotąd uwięzione gdzieś w zakamarkach umysłu, nagle znalazły ujście. Zdała sobie sprawę, że od tamtego dnia, kiedy mała zmarła, nie odezwała się ani do niej, ani do niego. Czy to była jakaś ogromna rozpacz? Z pewnością nie. Łucja nie umiała określić swojego stanu. Bo wydawało jej się, że już od początku tej dziwnej ciąży pogodziła się z faktem, że dziecko jest słabe. Często z niezrozumiałym dla samej siebie spokojem wyobrażała sobie to, co zdarzyło się naprawdę. Gdzieś w podświadomości, bojąc się przyznać nawet przed samą sobą, miewała tę okrutną myśl, że może w pewien sposób byłoby to dla niej najlepsze. Bała się czasu. Że go jej zabraknie, że kiedyś stanie przed faktem pozostawienia dziecka samemu sobie. Bała się, że dziecko urodzi się chore. A najbardziej bała się tego, że nie jest w stanie obudzić w sobie tej wielkiej miłości macierzyńskiej, wykrzesać z siebie taką jej dawkę, która starczy na całe życie. Jak mogła pokochać kolejne dziecko tak silnie, kiedy zabrakło jej dla Łukasza? Gdyby umiała kochać tak prawdziwie, uchroniłaby jego i siebie przed rozstaniem. Może to i racja. Wracały do niej słowa matki, które padły, kiedy na wiele miesięcy przed rozwiązaniem powiedziała jej o ciąży. Bezwzględne, pełne dezaprobaty i oskarżenia:

– Bój się Boga, dziewczyno! Dziecko w twoim wieku! Jednego nie umieliście utrzymać przy sobie, a kolejne robicie.

I choć te słowa na zawsze zakotwiczyły się w jej pamięci i już zawsze były skierowane przeciwko matce, to coraz częściej dochodziło też do niej, że mimo wszystko – powoli i z mozołem – prawie nauczyła się żyć bez syna. Nie lubiła tak myśleć.

A teraz będzie też żyła bez tego nowego dziecka.

Nawet nie zadzwoniła do Łukasza, kiedy zegnali Magdę.

A tu teraz stoi przed nią córka! Łucja przygarnęła ją do siebie. Anka nie broniła się, choć ręce trzymała zaciśnięte w kieszeniach spodni. I nagle Łucja poczuła, jakby się przebudziła po długim śnie. Nie pamiętała, co w nim było, ale w głowie kołatała jej jedna myśl: „Muszę się obudzić”.

– Chodź, przygotujemy coś dobrego ojcu na kolację – zaproponowała.

Anka zerknęła na matkę podejrzliwie, jednak nie chciała niczego analizować. Miała dość. Poszła za nią.

*

Edwin wrócił z pracy późno. Po ruchach, po sposobie poruszania się widać

było, że jest znów bardzo zmęczony. Ostatnimi czasy jakby wychudł, a może tylko kilkunastu zarost czynił go innym. Łucja przyglądała się mężowi badawczo, ale oprócz zwykłego zmęczenia nie doszukała się niczego niepokojącego. Wciąż był przystojnym mężczyzną. Mimo niewielkiego przerzedzenia na skroniach jego włosy prawie zupełnie nie posiwiały, utrzymując ten sam brązowy odcień. Niewątpliwie mógł się podobać kobietom i podobał się, choć sam jakby absolutnie zdawał się tego nie dostrzegać i było mu to obojętne.

Łucja żywiła przekonanie, że Edwin nigdy by jej nie zdradził. I to nie tyle ze względu na wielką miłość czy uznanie wierności jako jakiejś wartości szczególnej, czy też dlatego, że nie miał okazji. Bardziej dlatego, że mu się zwyczajnie nie chciało. Cenił sobie spokój ponad wszystko. W rodzinnym domu Edwina ojciec całkowicie zdał się na matkę, to ona – Leokadia była dla niego wyrocznią, ona stanowiła dla niego całe dobro i piękno świata. Nie wymagała od niego niczego, nie oczekiwała niczego. Po prostu ją kochał. Edwin wzrastał w takim domu i też nigdy przez myśl mu nie przeszło, że może być inaczej. Nie potrzebował słów, gestów – jego świat był oczywisty.

Zdarzało się, że bywał zazdrosny o żonę, ale szybko wymiatał z głowy takie myśli, bo było to dla niego najzwyczajniej niepojęte. A przy tym jakiegokolwiek znaki zazdrości wywoływały w żonie ironiczne rozbawienie. Była ładną kobietą, ale miała takie mniemanie o sobie, jakby atrakcyjność, seksapil były pojęciami zupełnie jej niedotyczącymi. Zupełnie poza nią, jakby była niemożliwa do oglądania przez innych. Ciało amorficzne.

Właściwie Edwin miał ów szalony komfort psychiczny, bo tam, gdzie inni zmagali się z namiętnościami, bronili się przed słabościami, skokiem w bok, a potem cierpieli, ponosząc wszelkie konsekwencje, jemu było to oszczędzone. Nie miał w sobie myślenia o zdradzie.

*

Siedzieli przy stole. Anka zadbała o świece. Dwoiła się i troiła, aby wytworzyć ciepłą atmosferę. Oprócz zaproszenia do stołu i kilku zdawkowych zdań na temat pogody nic nie przychodziło jej do głowy. Stół zastawiony szybko przyrządzonymi przystawkami, na środku dzbanek z gorącą kawą. Zapach kawy szeroką strugą pary unosił się w jadalni. Między nimi rozpościerała się cisza pełna niepokojącego wyczekiwania, przerywana odgłosem uderzających o naczynia sztuców.

Anka przenosiła wzrok kolejno na każdego z rodziców, chrząkała znacząco, jakby dawała matce do zrozumienia, że już czas. Czas przerwać ten marazm. Wreszcie zaczęła grzebać widelcem w talerzu. Nieprzyjemny zgrzyt wydawał się ostatecznym sygnałem, po którym nastąpi katastrofa.

Łucja gorączkowo szukała słów. Zwykłych prostych. Ale naraz wszystkie pouciekały. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, żaden z obmyślanych zestawów nie przystawał do sytuacji tak, by nie wionął sztucznością. Przez chwilę spojrzenia małżonków spotkały się, ale zaraz każde uciekło w bezpieczną przestrzeń.

Kolacja minęła bez słów. Łucja zabrała się do sprzątania ze stołu, Edwin odbierał telefon. Tylko Anka ostentacyjnie wyszła, trącając specjalnie krzesło, które narobiło rumoru. Po chwili z pokoju dobiegła głośna muzyka. Ściany tętniły mocnymi basami.

*

Ale to tamtej nocy po raz pierwszy od kiedy zamilkli, Łucja leżała w łóżku, długo tuląc się do męża. Nie chcieli seksu, ani jedno, ani drugie, ale bali się poruszyć, by nie zmienić tej konfiguracji ciał dopasowanych do siebie jak elementy puzzli.

jakiś czas po TYM

Drzwi w garażu skrzypiały niemiłosiernie. Od dłuższego czasu domagały się naoliwienia. Nie była to czynność skomplikowana, ale przez sam fakt kojarzenia jej z męzczyzną stawała się niewykonalna. Ilekroć Łucja zabierała się do jakiś męskich zadań, wszystko w niej budziło sprzeciw. Nigdy nie garnęła się do żadnych remontów, malowań. Ani w domu rodzinnym, ani tym bardziej tu, niczego takiego od niej nie oczekiwano. Ponadto Edwin nigdy by nie pozwolił, aby Łucja brała do ręki jakieś narzędzia. Jeszcze tego brakowało, żeby mu się kobieta do śrubokrętów brała! Mało to w domu jest roboty dla niej? Od takich rzeczy jest on albo inni fachowcy! Nie miała technicznego umysłu, nie miała pojęcia, co do czego przyłączyć, by zadziałało. Nigdy też nie przyszło jej do głowy, że kiedykolwiek zostanie z tymi rzeczami sama.

Nic więc dziwnego, że po TYM każda mała usterka, spalona żarówka czy też zaciek na ścianie boleśnie uświadamiały jej brak męża. Edwin był perfekcjonistą. W domu i poza nim, w jego firmie, wszystko musiało funkcjonować bez zarzutu. Na tip-top. Nie uznawał kompromisów. Może tylko światło w łazience czasem szwankowało, ale to też nie wynikało, uchowaj Boże, z jego zaniedbania, lecz z jakichś komplikacji z czasów budowy. I tak naprawdę żaden z oglądających instalację elektryczną fachowców nie mógł dojść, o co chodzi, więc nie pozostawało nic innego, jak wymienić całą instalację. To miało być na przyszłość.

Chwilę szarpała się z metalowymi garażowymi drzwiami, ale w końcu zamek się poddał. Odciągnęła na bok ciężkie skrzydła, opuściła stopkę zabezpieczającą przed zamknięciem. Z półmroku wypełnionego zapachem benzyny wymieszanej z jakimiś innymi chemikaliami, wyłaniał się obraz garażu, pośrodku którego stał samochód. Jej peugeot. Lśniący lakier, połyskujące zderzaki, reflektory jak wielkie oczyska...

Samochód Edwina sprzedała zaraz po TYM. Na kilka tygodni przed TYM kupił nowego SUV-a. Jakąś toyotę. Łucja nie miała głowy do typów czy marek samochodów. Było jej to całkiem obojętne. Ale jemu nie. Tak bardzo się cieszył z tego nabytku. Dumny właściciel, za każdym razem, wsiadając, powtarzał słowa diler, który podkreślał połączenie nowoczesności i elegancji. A potem gestem szarmancko wyciągniętej ręki zapraszał ją na przejażdżkę. Bez celu. Czuła, jak rozpiera go radość.

Od czasu odejścia Edwina nic się tu nie zmieniło. Panował idealny porządek. Z boku przy ścianie na specjalnych garażowych regałach stały równo poustawiane jakieś smary, płyny, skrzynki z narzędziami. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by się temu przyglądać, sprawdzać ich przeznaczenie. Teraz jednak brała do ręki jedne po drugich. Szukała czegoś, czym mogłaby przesmarować drzwi. Znalazła niewielką puszkę W5, w pojemniku na niższej półce jakieś pędzle, drapak. Wpuściła smar w otwory, pociągnęła pędzelkiem zawiasy, potem kilkakrotnie poruszyła drzwiami, nasłuchując skrzypienia. Cisza. Włożyła klucz, przekręciła w tę i z powrotem. Wszystko działało idealnie. Pierwsze koty za płyty. Dumna z siebie, odłożyła puszki na miejsce i wytarła palce w stary ręcznik. Przez moment zamierzała podnieść go do twarzy, by poszukać w nim zapachu męża, uświadomiła sobie bowiem, że tylko on tego dotykał, że może jeszcze pośród metalicznej woni czai się jego zapach. W połowie drogi zaniechała tego, odrzucając ręcznik na półkę. „Absurd” – pomyślała. „Jak mogłam się spodziewać, że po takim czasie przetrwa jego zapach!” Cały ręcznik był niemal gruby od tłustych mazi.

Wsiadła do auta. Rozpostarła się wygodnie na siedzeniu. Mimo że samochód od wielu lat należał do niej, nie zdążyła w nim wyrobić wgłębień dla swoich kształtów. Tapicerka była sztywna, wciąż niedopasowana do właścicielki. Ustawiła siedzenia, zagłówki, lusterka. W przednim widać było czubek jej głowy. Przechyliła je. Ujrzała twarz pobrudzoną smarem, widocznie musiała niechcący musnąć się brudną szmatą. „Ale się umorusałam” – pomyślała z rozbawieniem, usiłując zetrzeć ręką smar, ale pośliniony palec tylko jeszcze bardziej rozcierał brud.

Przypomniała sobie, jak Łukasz bronił się przed takim czyszczeniem. Ilekroć zdarzyło mu się umorusać, choć było to niezwykle rzadko, Łucja śliniła palec i starała się doprowadzić syna do porządku. Na co ten wzdrygał się niemal z obrzydzeniem, ale wówczas Edwin napominał ją:

– Weź na litość boską chusteczkę i nie śliń go jak jakiegoś pisklaka! Co to za zwyczaj?!

A wtedy Łukasz nagle przestawał się wykręcać i oddawał się cierpliwie jej zabiegom. Jakby chciał udowodnić ojcu, że matka może wszystko i jest dobrze.

Przekręciła kluczyk. Silnik zawarczał. W małym pomieszczeniu dźwięk potężniał. Samochód trząsał się i wszystko wraz z nim. Rozgrzewał się. Wcisnęła sprzęgło. Dodała gazu, jedynka. I auto powoli wytoczyło się na zewnątrz. Zamknęła drzwi garażu i wróciła do domu, by zmyć smar, ubrać się i poprawić makijaż.

Było jeszcze wcześniej, ale Łucja nie miała zielonego pojęcia, która to może być godzina. Czas przestał mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Gdy Edwin żył, jej życie miało określony rytm wyznaczany godzinami. O siódmej wstawała, potem cała poranna toaleta, która też jak wszystko w jej życiu odbywała się według ustalonych reguł. Potem jego praca, jej praca. Schematy. Przywykła do nich. Może dlatego, jeśli coś zdarzało się poza schematem, wytrącało ją z tego rytmu. I potem trudno jej było ponownie wpaść w znany tryb.

Nie spieszyło jej się nigdzie, nie miała żadnych planów. Omiotła wzrokiem ogród. Rozpłożone jałowce okryły wszystko bujnie wypuszczonymi nowymi pędami, chowając niepielone rabaty. Gdzieniegdzie wystawały główki innych roślin, domagających się pewnie już resztką sił swojej przestrzeni i prawa do słońca. Pomyślała, że wszystko wymaga pielęgnacji. Kiedyś się tym zajmie. Ogród dawniej był częścią ich życia. Pozwalał im być obok siebie, na wyciągnięcie ręki. On zajmował się górą, czyli przycinał i formował krzewy, robił dla nich podpórki, konstrukcje, pergole. Decydował o tym, która roślina pozostaje na miejscu, a która wymaga przesadzenia, bo się kłóci z resztą lub przesłania coś innego. Do Łucji należały rabaty. Obsadzała je, obsiewała, pikowała, pieliliła, przesadzała. W istocie, kiedy nadchodził czas kwitnienia, kolorowe wstęgi wszelkich kwiatów roztaczały zapachy, od których nieraz mogło zakręcić się w głowie. Zwłaszcza wieczorami, kiedy to kwiatowe kielichy datury śmiało wyglądające spod jasnozielonych liści, w połączeniu z werbeną, o której niegdyś wyczytała, że według starodawnych legend jest rośliną, co to jakoby miała odczyniać uroki i spełniać marzenia, oraz pospolitymi – maciejką i kocimiętką uwalniały swoje wonie tak intensywnie, że niekiedy zamykała okna od tej strony ogrodu, bo zapach wdzierał się z taką siłą, że trudno było przy nim zasnąć. Edwin też nie bardzo lubił takie „cudowanie”, dlatego w ich domu nie było żadnych odświeżaczy w kontaktach, żadnych kadzidełek czy świec. A kiedy Anka przemyciła coś takiego, prosił, aby zgasić to i wyrzucić. I okna otworzyć, aby wywietrzało, bo aż w nosie kręci. I wytrzymać nie można, bo takie to duszące i drażliwe. I czemu to ma służyć? Jak jakieś narkotyki! Kto wie, skąd to jest i czego do tego cholerstwa dodają!

Dom ma pachnieć domem, powiadał.

Kiedyś pourywał kiście hoi, bo zakwitła po iluś latach i szalała zawieszonymi na cienkiej odnodze kwiatostanami niczym piękna, różowa girlanda, wypełniając cały salon słodką, mdłąwą, duszącą wonią. Potem roślina nie kwitła, ale kiedy jednak z rzadka przytrafiało jej się wypuścić swoje cudne bukiety, Edwin konsekwentnie ją z nich ogałacał, aż w końcu obrażona przestała na zawsze kwitnąć.

*

Ulica, przy której mieszkali, była nieszczęśliwie ruchliwa. Samochody jeździły rzadko, zwłaszcza że kolejne posesje zamieszkiwali ludzie starsi, którym się nie spieszyło i często odległość do tzw. centrum miasta pokonywali pieszo. I to tylko wtedy, gdy mieli konkretne potrzeby: kościół, lekarz. Wokół bowiem było wiele zielonych miejsc. Tam spacerowali, gdy naszła ich ochota zaczerpnąć świeżego powietrza. A i tego potrzebowali tylko nieliczni, bo większość miała wokół swoich domów małe poletka. Zapewne nadejdzie dzień, gdy ludzie z innych części miasta upomną się o te tereny i zechcą tam budować swoje domy.

Wyjechała z podjazdu. Droga była wolna. Dawno nie jeździła sama. Nigdy też nie znajdowała szczególnej przyjemności w prowadzeniu. Brała samochód, kiedy musiała, kiedy Edwin wyjechał lub byli gdzieś z wizytą i trzeba było wrócić do domu. Co zresztą mu wypominała, żartobliwym tonem, tuszując pretensję. I nie chodziło tylko o to, kto wypije, a kto nie, ale bardziej o możliwość wyboru. Lubiała się z nim przekomarzać. Z perspektywy czasu widziała, że to było niezwykle rzadko...

Na skrzyżowaniu zawahała się, ale przecięła je i skierowała się prosto na drugi koniec miasta.

Postanowiła jechać do rodziców. Naraz poczuła przemożną ochotę ujżenia ich. Obydwojga. Nie mogła odkopać z pamięci, kiedy ostatnio ich widziała. Czy to było tydzień, miesiąc temu? Wcześniej widywała matkę, która tłukła się na drugi koniec miasta i zaraz jak tylko zamykała za sobą drzwi, narzekała na Łucję, że okopała się w domu, że nie wyjdzie na krok, że gdyby nie sąsiadka Kanecka i od czasu do czasu Konrad, a jeszcze kiedyś Agnieszka, to pies z kulawą nogą do nich nie zajrzy. I Łucja wiedziała, że ten pies z kulawą nogą to była ona. Maria niestrudzenie usiłowała nakłonić córkę do życia. Siedziała u niej, nie zdjawszy nawet płaszcza, z torebką na kolanach, i głądziła. I choć po prawdzie Łucja puszczała gderania matki mimo uszu, to jednak zachowywała pozory, raz po raz potakując.

Ale gdy jakiś czas temu, podczas kolejnych odwiedzin matka zaczęła znów swoją śpiewkę, że Łucja musi się wziąć w garść, że nie jest dzieckiem, że najlepiej, jakby znalazła sobie jakiegoś faceta, nerwy puściły i stanowczo, a nawet

niegrzecznie, zakazała matce wtrącać się w jej życie, a potem przyniosła jej płaszcz i po prostu odprowadziła ją do drzwi.

Do dziś widzi matkę zdziwioną, z zastygłym pytaniem na ustach: „jak to tak?” i siebie, jak popycha ją do wyjścia.

Tamta stała przez chwilę za drzwiami z głową obróconą do wejścia. Łucja zaś chwilę stała przyklejona do drzwi, a potem usłyszała matki kroki. Ciężkie, spowolnione, jakby wciąż wahała się, czy nie zawrócić. Ale nie wróciła. Łucja nie pamięta, czy to od tamtego dnia matka przestała do niej mówić o Edwinie, bo od tamtej pory zjawiała się rzadko z wizytą, która trwała krótko i kończyła się po banalnej wymianie zdań: co słyhać, jak się czuje.

A od kiedy jednak z ojcem było gorzej, matka zupełnie przestała ją odwiedzać. Było to Łucji na rękę, bo męczyły ją oczy matki, pełne litości na przemian z wyrazem wiecznych pretensji i wyrzutów.

*

Tak. Zamierzała zobaczyć rodziców. Przycisnęła pedał gazu. Jakiś mężczyzna z telefonem przy uchu wtargnął na jezdnię. Przyhamowała ostro. Chciała mu nawtykać, ale zanim otworzyła szybę, zniknął za zakrętem, wyklinając coś pod nosem i robiąc na czole kółeczka. Mijała kolejne ulice i nagle odniosła wrażenie, że rodzice mieszkają na końcu świata. Droga jej się dłużyła i z każdym metrem nie mogła się doczekać, kiedy dojedzie. Ogarnęła ją jakaś absurdalna, paniczna myśl, że może nie zdążyć. Nagle uświadomiła sobie, że są po prostu starzy. Jakby ich starość pojawiła się nagle, nieoczekiwanie i jakby nikt się jej nie spodziewał. Jakby wcześniej nie dostrzegała siwych włosów u matki, która już dawno przestała je malować na ciemną wiśnię, bo nie dawała sobie rady z odrostami tworzącymi jasną ścieżkę wokół głowy. Jakby nigdy nie dziwiły jej głębokie bruzdy pod oczami i twarz pocięta siatką zmarszczek. Jakby nie zwróciła uwagi na coraz bardziej przygarbione plecy, co czyniło matkę i ojca mniejszymi, przykurczonymi. Jakby wcześniej nie dawało się zauważyć ich spowolnienia, zniedołężnienia.

Przez te wszystkie lata, od kiedy wyprowadziła się z domu, nie zastanawiała się nigdy nad tym, czy ich kocha, czy nie. To, że są, od zawsze, było tak oczywiste, że nie miała potrzeby drażnić w myślach tego tematu. Byli wpisani w jej porządek świata i na dobrą sprawę nie zajmowali jej myśli w jakimś bardziej znaczącym stopniu.

Ale... kiedy Edwin umarł, nie mogła zrozumieć, dlaczego oni wciąż są. To ich winiła za nieprzestrzeżenie kolei życia, a nie jego. To oni żyli za długo, a nie on za krótko. Potem wstydziła się tych myśli, ale nie mogła cofnąć czasu, nie mogła udać, że tak nie było.

Teraz zapragnęła przytulić się do nich. Poczuć na skroni dłoń matki, sięgnąć głęboko w oczy ojca. Chciała do rodziców.

*

Rodzice od lat mieszkali na osiedlu. Była to jedna z tych paskudnych pozostałości po komunie. W mieście było takich osiedli kilka. Wszystkie miały takie same napuszone nazwy: Jedności, Tysiąclecia, Walki Młodych. Wówczas nikt nie nazywał zbioru betonowych klocków Doliną Marzeń, czy Ogrodami Ludwiki. Jakie czasy, takie nazwy. Robotnicze dzielnice. Szczyt marzeń. Dobrze chociaż, że oddalone od siebie, bo gdyby je jeszcze zestawić ze sobą, to obraz mógł być jeszcze bardziej nieciekawym.

Rzędy takich samych bloków straszyły swoim bezkształtem. Wprawdzie ostatnimi czasy spółdzielnie starały się jakoś wypięknąć te szkarady, a to malując je różnymi kolorami – tu żółty klinkier, tam pomarańczowy baranek, a to dobudowując daszki, jakieś przeszklone klatki. Jednak co by z tym nie robiono, betonowe graniastosłupy na zawsze pozostaną znakiem przeszłych czasów. Jedyne, co było ładne na tym osiedlu, to park. Powstawał razem z blokowiskiem. Wówczas wytyczono aleje, obsiano trawniki, obsadzono ścieżki klonami, kasztanowcami, smukłe zaś topole stanowiły ramę całego parku. To one rosły najszybciej i w przeciągu kilku lat wyznaczyły wyraźną granicę parku. To tutaj mieszkańcy osiedla spędzali wiele czasu, bo mimo bliskości ulicy rozrośnięte krzewy i drzewa skutecznie tłumiły wszelkie odgłosy miasta, odgradzały tę strefę od miejskiego zgiełku i ruchu.

Tak się jakoś ułożyło w mieście, że na tym osiedlu w zasadzie mieszkali ludzie starzy. Mało kto się stąd wyprowadzał. Jakby się umówili, że zrobią tu sobie takie osiedle seniorów. Potwierdzali porzekadło, że starych drzew się nie przesadza. Z rzadka widywało się tu wózki dziecięce, a po dawnym placu zabaw pozostała jedna huśtawka siodełkowa i mała, pordzewiała karuzela, która skrzypiała przy każdym poruszeniu. Trawniki zieleniały na wiosnę i rosły sobie niezadeptane przez chłopców grających w piłkę czy dziewczynki rozkładające się latem ze swoimi kocami i lalkami. Ale za to tu więcej niż gdzie indziej było psów, które paskudziły zieleńce. Nikt jednak nikomu nie zwracał uwagi. Ludzie rozumieli się wzajemnie – stary człowiek potrzebował towarzysza – albo dla bezpieczeństwa, albo by uchronić się przed samotnością.

*

Łucja bez trudu znalazła miejsce do parkowania, i to tuż pod klatką rodziców, bo podobnie jak i na jej osiedlu, samochodów było niewiele. Trafił się

jakiś maluch albo dobrze zachowany polonez. Jeżeli podjechał jakiś zagraniczny wóz, to najczęściej należał do syna, córki czy wnuka. Czasem parkował tu jakiś mechanik od pralek lub telewizorów.

Zamknęła auto i biegiem przemierzyła dwa piętra. Już na ostatnim stopniu przed drzwiami zatrzymała się, postąpiła chwilę wsparta o plastikową poręcz, by wyrównać oddech. I nie zdradzać pośpiechu. Starła się przybrać wyraz twarzy, który najmniejszym szczegółem nie zdradziłby tej ochoty, tego zewu, który ją tu przygnał.

Zastanawiała się, co powie mamie, że niby po co przyszła, że się wystraszyła, że umrą, że pozostawią ją bez słów, że zostanie już zupełnie sama...

Zapukała, bo wydało jej się, że to będzie skuteczniejsze niż wciśnięcie guzika na wysłużonym kontakcie. Dźwięk dzwonka był cichy i przytłumiony, jakby zużył się przez lata tak jak guzik. Usłyszała szcęk odpinanego łańcucha i nim zdążyła dość do siebie, zobaczyła matkę. Ich spojrzenia się spotkały. Łucja nagle zobaczyła przed sobą starowinkę, powykrzywianą, drobną, przygarbioną.

– A co ty, dziecko, tu robisz? Coś się stało dzieciom? – zapytała, ale było to tylko formalne pytanie. I nie czekając na odpowiedź, rzuciła kolejną serię:

– Jesteś głodna? Napijesz się herbaty? Zimno?

Wytarła ręce w fartuch i zaraz potem wyciągnęła je w stronę córki, jakby chciała ją przygarnąć do siebie. Zawahała się na ułamek sekundy. Łucja wyczuła ten moment i szybko podsunęła się do matki, zanim jej ręce opadły w kieszenie fartucha. Chwilę stały wtulone w siebie. Łucja zauważyła z rozczuleniem, że matka stała się krucha, jakby zaraz miała się rozsypać. Maria puściła córkę. Zamknęła drzwi, sprawdziła zasuwę łańcucha i podreptała za Łucją.

*

– Marysiu! – usłyszała słaby głos ojca. – Czy ktoś przyszedł?

Był w swoim pokoju. Rozłożona kanapa z górą poduszek stała pod ścianą, którą do połowy pokrywała słomiana mata, a od połowy winogronowy wałek. Nad nią wisiał krzyżyk misyjny, który matka przyniosła z jakichś rekolekcji i który niezbitnie miał zaświadczać o tym, że to jest dom chrześcijański. Dlatego też dobrą reprodukcję pewnego francuskiego impresjonisty, przedstawiającą rozpikselowany pejzaż z niebieskim domem w centralnym punkcie, a podarowaną przez Łukasza na któreś święto, Maria nakazała zdjąć i położyć na szafie, która stała naprzeciwko kanapy. Poza tym w pokoju była tylko toaleta z dużym podłużnym lustrem, przy którym ojciec się golił, choć matka nieustannie go upominała, że to nie jest miejsce do golenia, i za każdym razem wynosiła jego przybory do łazienki.

Ojciec dużo leżał, bo nogi całkiem przestawały go słuchać. Podkurczone, chude jak patyki. Patrząc na nie, trudno było wyobrazić sobie, by na takich

chudych nogach można było się utrzymać, podźwignąć całe ciało. Jeszcze do niedawno walczył, siłował się, chwytając kule, które wysuwały się i upadały z łoskotem. Zbierał je niezgrabnie z podłogi i nie poddawał się. Strasznie nie lubił balkonika, który pewnego dnia przytargał do domu Konrad, ciesząc się, że po wielu trudach udało mu się w końcu po znajomości załatwić sprzęt za całkiem przyzwoite pieniądze.

Balkonik kojarzył się ojcu z nieodwracalnym kalectwem.

Teraz leżał przykryty do połowy ud wzorzystym kocem, bo krążenie w nogach miał upośledzone, więc szybko mu marzły i siniąły od czubków palców aż po pachwiny. Nieogolony. Szary. Jak nie on. Bo ojciec Łucji od zawsze za punkt honoru poczytywał sobie codzienne golenie. Żadnych golarek elektrycznych czy jednorazowych bubli, a tylko solidna metalowa maszynka z wymienianą żyłką. Matka kiedyś prawie całe miasto schodziła w poszukiwaniu żyłek, a kiedy okazało się, że tu nigdzie ich nie uświadczy, pojechała do dużego miasta i tam we wszystkich kioskach RUCH-u o nie rozpytywała. Kiedy żyłki stały się towarem deficytowym, za każdym razem, gdy ktoś wyjeżdżał dokądkolwiek, prosiła, by je kupili, jeśli tylko napotkają. Tym też sposobem zgromadziła ojcu taki zapas, że pewnie wystarczy mu do końca życia. Polsilver. To były żyłki Polsilver.

Łucja ujrzała ojca trzymającego się kurczowo framugi. Nogi wykrzywione nienaturalnie trzęsły się. Widać było ów nadludzki wysiłek.

– To ty, córcia! – W jego głosie zabrzmiała radość. Objęła go w pasie i przeszli do drugiego pokoju. Czowała, jaki jest niepewny w ruchach, ile wysiłku kosztuje go przemierzenie tych kilku kroków. Przystawał. Odchyłał głowę do tyłu, nabierał powietrza i ciągnął się wsparty na niej do stołu.

Nagle ogromna przykrość opanowała ją wewnątrz i targnął ją dziki gniew. Na tę ich starość, nieporadność.

Matka zniknęła w kuchni, ale zaraz pojawiła się z powrotem, niosąc na tacy z metalowym ażurem po bokach szklanki z herbatą w koszyczkach pasujących do tacy. Obok na talerzyku leżały ułożone w medalion plastry cytryny.

– A co ty taka porozbierana? Goła szyja! Zaraz będziesz chora! – strofowała Łucję, jakby zapomniała, że nie jest już małym dzieckiem. – Napij się gorącej herbaty! Z cytryną. Postawiła szklanki na stole. Wrzuciła żółty plaster, który wypełnił całą powierzchnię szklanki. Zadzwoiła łyżeczką, a na koniec strzepała ją o rant, oblizwała i położyła na tacy.

Łucja zdjęła buty, schyliła się, by wyciągnąć z szafki jakieś kaptcie. Było tu kilka par: małe, duże, męskie, damskie. Nawet Edwinowe, filcowe w kratę leżały upchnięte w kącie. Wyciągnęła je. Były poprute z boku, prawy bardziej wykoślawiony od lewego. Oba znoszone. Wsunęła stopy do środka.

– Bój się Boga! Co ty za rupcie wzięłaś? Zabijesz się w nich! – wykrzykiwała skrzypliwie matka.

Była uradowana, choć w żaden sposób nie chciała tego zdradzać.

Ojciec swoim zwyczajem uśmiechnął się kącikiem ust, wydawał się bardzo ożywiony.

– Daj jej spokój! Jakie chciała, takie ma.

Siedział naprzeciwko Łucji i wpatrywał się w nią jak urzeczony. Łucja czuła się zakłopotana tym przyływem czułości. Jak daleko sięgała pamięcią, nie mogła odnaleźć wielu takich chwil. Ale teraz to było nieistotne. Bo teraz, mimo tylu lat, które miała za sobą, poczuła, że pozostała dla niego jego małą księżniczką, tatusia córusią, której nigdy nie powiedział, że ją kocha, że kocha ją najbardziej ze wszystkich. Ale ona to czuła. Przez te wszystkie lata jednak odrzucała tę myśl, może dlatego, że nigdy nie mogła znaleźć powodu tej jego ogromnej miłości, a nadto miała świadomość, że nie zasługuje na to wielkie uczucie.

I kiedy teraz przypominał jej się tamten żal za to, że on żyje, a Edwin nie, nie pragnęła niczego tak bardzo w tej chwili, jak powiedzieć mu o tym i usłyszeć, że on wie, i że rozumie. Ale przecież nie mogła. Nikomu nie można liczyć lat. Niechby żył i ponad sto. Nikomu. Nikt nie ma prawa ustalać kolejności. Nikt.

Trzymała szklanekę w obydwu dłoniach. Gorący metal parzył palce. Spod pochylonej nad parującą herbatą głowy obserwowała swoich rodziców.

– Uważaj poparzysz się! – ostrzegła Maria.

A kiedy próbowała zaczekać, by herbata przestygła, matka znów odzywała się:

– Pij, póki gorąca! Toż zimna jest nic niewarta!

Łucja wciągała ustami małe łyeczki, siorbiąc przy tym i dmuchając w szklanekę.

– A jak tam Łukaszek? – spytała matka.

– Łukasz! Mamo, Łukasz! To już nie jest mały chłopczyk!

Od długiego czasu nie może wytłumaczyć matce, że to już Łukasz. Ma swoją rodzinę, pracę, życie, które pochłania tyle energii, że niewiele pozostaje na inne sprawy. Maria zatrzymała się na czasie odejścia Łukasza z domu. I tak tkwi w tym stanie tyle lat.

– Dobrze – rzekła Łucja. Znała ją świetnie i wiedziała, że nie zależy jej na opowieści, ale na skrupulatnym określeniu stanu.

– A Anula? – Maria ciągnęła dalej tę swoistą inwigilację.

Tu, niestety Łucja nie mogła ogarnąć tego jednym słowem. Westchnęła, szykując się do odszukania jak najbardziej odpowiedniego.

– Wiesz, mamo... Ania jak to Ania... – zaczęła, ale matka z miejsca jej przerwała, jakby odpowiedź córki była całkiem nieważna. Ważne zaś było to, co ona chce przekazać.

– Myślę, że każda z was musi na poważnie rozprawić się ze sobą. Cóż to za życie w samotności? Człowiek nie ma do kogo gęby otworzyć.

Podniosła wzrok na Łucję i urwała. Czuła, że i tak powiedziała za dużo, i bała się reakcji córki.

Tym razem Łucja nawet nie zdenerwowała się na matkę, nie podjęła tematu, bo pewnie kolejny raz skłóciłyby się, rozkrzyczały jedna na drugą. A potem byłoby trzaśnięcie drzwiami i kolejne dni bez kontaktu. Milczała. I nie zamierzała tego zmieniać. Nie teraz, kiedy rozgościł się w niej wewnętrzny spokój. Tu, w tym starym mieszkaniu, Łucja poczuła się spokojnie i błogo.

*

Łucja podeszła do okna. Zebrała w garść lekką firanę, upiętą finezyjnie na metalowym karniszu. Równe fałdy. Jedna w jedną. Jak matka sobie z tym poradziła? Za oknem rozciągał się widok na osiedle. Wyłapywała z krajobrazu znajome punkty. Ławeczkę na skraju parku, rozłożysty dąb, który za jej czasów był już wprawdzie dorodnym dębem, ale nie miał w sobie tego majestatu co dziś. Tylu lat potrzeba! W myślach liczyła te minione. Jak łatwo przychodzi takie rachowanie. Rok, dwa, pięć, dwadzieścia... Tysiące ważnych dat, tysiące zdarzeń, nieodwracalny bieg rzeczy. Była mała, mogła mieć jakieś dwa, trzy lata, kiedy wprowadzili się do tego mieszkania. Pamiętała tamten czas. Swoją pokój, nową wersalkę, którą krótko dzieliła z babcią Stanisławą, bo później rodzice urządzili jej osobny pokój. Też na krótko, bo potem wprowadził się do niego Konrad.

To był dobry czas. I wtedy miała Stanisławę, której głosu nie słyszała, ale wiedziała, że całym sercem jest z nią. Wówczas jako dziewczynka doskonale rozumiała babkę, mimikę jej twarzy, szerokość otwieranych powiek, układ ust, ruchy głowy – to były te elementy kodu, które pozwalały im na idealne porozumienie. I słowa były niepotrzebne. To do niej kierowała się zaraz po powrocie do domu, już od progu krzycząc:

– Babciu! Jestem!

I zanim zdążyła odłożyć tornister, babcia już przydreptała do niej, a potem szły do kuchni. Stanisława szykowała jej coś do jedzenia, a potem podpierała twarz na rękach, patrzyła na wnuczkę, a ta jadła i gadała, jadła i gadała, jakby nie mogła się zdecydować, czego chce bardziej. Któregoś dnia babka nie wyszła do niej. Łucja przyjęła to jako naturalną kolej rzeczy. Była najstarsza w tym domu. Nie zapłakała po niej ani razu, choć bardzo jej Stanisławy brakowało. Rozumiała. Wtedy rozumiała. Jej świat poddawał się prostej logice. Była młodość i była starość. Ludzie rodzili się i umierali.

W oddali, na końcu chodnika zamajaczyła postać Kaneckiej. Jak zwykle obarczona siatkami, pewnie znów komuś pomagała.

*

Matka zebrała puste szklanki i wróciła do kuchni. Kręciła się po niej dużo wolniej niż kiedyś, ale wyglądało na to, że tu, w domu starość jakby nieco odpuszcza. Uwijała się wokół garnków, to znów tuptała po mieszkaniu, by tu i tam zetrzeć kurz, wstawiała pranie. Wykonywała te wszystkie czynności, które nie wymagały od niej większego refleksu. I tylko powolność jej ruchów nieodparcie kojarzyła się z oglądaniem filmu w zwolnionym tempie.

Ojciec drzemał z półotwartymi powiekami z wyrazem cierpienia zastygłym na twarzy.

Łucję ogarnęła wielka czułość.

Ona kaszłająca, on zgięty w dwoje – niczym dziad i baba z bajki. Takie dwie biedy, zdane na siebie.

*

Duży pokój. Meblościanka, stół do kompletu, bordowy dywan i ciężkie zasłony. Stara wersalka z żakardową narzutą i poduszkami ustawionymi w rogach. Pamiętała czasy wszystkich domowników. Porządna, na sprężynach. Do spania na noc zdawała się trochę za twarda, sprężyny wpijały się w plecy i chrzęściły, ale tak, by ciągu dnia wyciągnąć nogi – i owszem. Łucja wodziła oczami po ścianach, meblach. Promienie słońca odbijały się w taflach szyb. Czystych, bez żadnych śladów palców. Pamiętała, jak matka chodziła z flanelową ścierką i wycierała meble po każdym dotknięciu. Od mebli zawsze trzeba było się trzymać z daleka. A kiedy ojciec czasem przystanął zagapiony w ekran telewizora i oparł się o drzwiczki na wysoki połysk, matka ze złością furkała na niego i z miejsca leciała ze ścierką.

– Bo politurę zetrzesz – dowcipkował sobie, ale zaraz się też odsuwał, nie chcąc wszczynać niepotrzebnych kłótni. Znał ją. Taka była. Traktowała mieszkanie z wielką powagą i żadne przygaduszki, że dom to muzeum, do niej nie trafiały. Miało być czysto.

Teraz też było czysto, choć gdzieś w kątach zebrały się koty, a pod sufitem, zwłaszcza wokół żyrandola imitującego kryształowe sople lodu, wisiały cienkie pajęczne nitki.

Łucja z pewnym rozczarowaniem przyjęła fakt, że nic tu po niej nie zostało. Jakby nigdy tu nie mieszkała. Mama nie miała w zwyczaju obwieszania ścian portretami czy jakimiś innymi obrazkami. Może tylko poza Matką Boską i słabą reprodukcją *Ostatniej Wieczery*. W ogóle Maria zdawała się mało sentymentalna.

*

Nie wiedziała, kiedy odpłynęła. Pod powiekami wciąż miała obraz swojego pokoju, po którym jak na pokazie slajdów pojawiała się spokojna i wiecznie smutna twarz Stanisławy. Z nieokreślonej dali dochodziły do niej dziecięce głosy brata i siostry. Tyle lat! Tyle zmian! Rzadko wracała do czasów dzieciństwa, bo i wtedy nie działo się nic szczególnego. Tygodnie z odwiecznie ustaloną kolejnością dni. Czas przesuwał się tak monotonnie, że człowiek po tylu latach zdumiony jest tym, że cokolwiek się zmieniło, bo trudno było uchwycić choćby najkrótszy moment tych zmian. Od zawsze wszystko pozostawało takie samo, a jednak... Tyle zmian!

Obudziło ją spojrzenie ojca, który od początku siedział przy niej, niemal nieruchomo, wpatrując się w każdy detal. Był tak bardzo szczęśliwy, że oto ją ma pod swoim dachem, pod swoim oknem. Tak bardzo pragnął ją ochronić przed wszelkim złem, ale to i tak wyciągnęło po nią swój pazur. Krucha, szklana córka.

jakiś czas po TYM

Nie minęły dwa tygodnie, jak umarł.

To była taka dobra śmierć. Bez zaskoczenia, bez hysterii. Spokojna i potrzebna wszystkim, chyba najbardziej jemu. Od czasu, gdy choroba zaczęła postępować, nad wyraz widoczne się stało, jak życie już niecierpliwilo go i drażniło. Nie miał siły dłużej żyć, wypełnił się jego czas.

Rano zwyczajnie nie wstał. Miał dobrą karmę, lepszy będzie jego los. Matka pewnie nazwałaby to niebem. A Łucja po prostu cieszyła się, że już nie musi cierpieć, patrzeć z obrzydzeniem na swoje kalectwo, ciągać nieposłuszne nogi za sobą.

*

Jak przystało na porządną pogrzeb, matka prowadzona była przez Konrada i Łukasza. Sama pewnie już też nie dałaby rady. Cała na czarno jak prawdziwa wdowa. Wycierała chusteczką na przemian oczy i nos, razem z księdzem śpiewając: *Niech Aniołowie zawiodą cię do raju*. Tuż obok Joanna z dziećmi.

Łucja szła w kondukcje w drugim rzędzie. Pozostali członkowie rodziny też się jakoś podobierali, tylko ona szła sama. Uświadomiła sobie wówczas, że właściwie od dawna była poza wszystkimi, z boku. Tak wybrała. Tak on wybrał, Edwin, choć nigdy nie zażądałby tego tak otwarcie.

Nie знаła tych pieśni pogrzebowych, więc milczała. Trzymała kwiaty.

Bukiet białych kalii. Ogromny wieniec „od kochającej córki” jechał karawanem zawieszony na specjalnych uchwytych, obok innych przyniesionych przez równie „kochających”. Kiedy ksiądz zaintonował *Witaj królowo! Matko litości!*, wybuchła salwa płaczu. To było takie chóralne zawrodożenie. Ona stała... Żadnych łez...

A potem wszyscy rzucili się na siebie, oj, tyle lat cię nie widziałam, nic się nie zmieniłeś, a to moja żona, nie poznałem cię, ale wyrosłaś.

Łucja pomyślała, że nie ma żadnego patosu w tym pogrzebie. Miało się uczucie, że wszyscy przyjęli ten fakt bez żadnego zaskoczenia, naturalnie. Nikt nie pytał: „Jak to się stało? Dlaczego?”, nie wzdychał, że „taki młody jeszcze, że mógł pożyć”, nie żałował mu nieprzeżytych zdarzeń.

Nawet pogoda była nijaka. Gdyby nie kolor liści, bo iglaki i tak pozostawały w większości zawsze zielone.

*

Maria nie trzymała się kurczowo życia. Pewnie któregoś dnia przyznała mężowi rację, że już wystarczy i nie ma co się zapierać, skoro i tak musi umrzeć. Zresztą, co to za życie!

Nie minął miesiąc, kiedy Łucja szła tą samą drogą. Ci sami żałobnicy, chyba nawet nie potrzebowali zmieniać ubrań, jakby czas wessał te dwadzieścia kilka dni. Jakby zczekał. Wszystko to samo! Łucja szła – też sama i niosąc taki sam bukiet białych kalii, pomyślała: „Bzdura! Jakby nie mogli zrobić tego razem! Szkoda fatygi tych wszystkich ludzi”.

po TYM

Kiedy Łucja wróciła do domu, czuła, że wszystkie łzy, które nie wyleciały tam na cmentarzu, teraz pchają się bez jej woli.

Pozbywszy się eleganckiego opakowania, subtelnych szarości i czerni: eleganckiego kostiumu, kaszmirowego golfu, satynowych pończoch, wysokich butów, nie mogła odgonić od siebie uczucia osierocenia. Otulona ramionami, z podkurczonymi nogami zwinęła się w kłębek w rogu kanapy. Jak kot. Nie miała nikogo. Wprawdzie Anka zaproponowała, że ją odprowadzi, ale Łucja, widząc jej nowego przyjaciela i jego zniecierpliwione spojrzenie, podziękowała. Ważniejsze niż perspektywa samotności było dla Łucji, by córka nie straciła „notowań” u nowego mężczyzny, by nie zdradziła się przed nim przywiązaniem do matki, które może stanąć na drodze ich związku. Nie okazała się słaba i zależna.

A Łukasz? On też ma swoje sprawy.

Owszem, byli jeszcze Leokadia i Andrzej, ale dla nich pozostanie tylko synową. Wiedziała, że może na swój sposób ją kochają, ale nigdy nie zastąpi im jego.

Była sama. Znow była sama.

*

Nie wie, jak długo tkwiła wciśnięta w miękką sofę, pogrążona w pustce. Pokój wypełnił się szarością. W uchylonym oknie tańczyła firanka. W domu było rześko, ale jej nie było zimno. Musiała zapalić światło. Zmierzch ją drażnił. Załzawione oczy, pociemniałe kształty odrealniały świat. Wszystko stawało się cięższe do przyjęcia, trudniejsze do wytłumaczenia. Przed nią stał kieliszek z wczorajszym winem. Przykryty szczelnie serwetką, obwiązany żółtą wstążeczką, co miało chronić przed muchami, pajakami i innym dziadostwem, wyglądał jak smakowita konfitura ze starego kredensu. Na ściance odcisnięty znak ust. Wypiła. Cierpki, tani czny smak ulotnił się, pozostawiając zwietrzałą ciecz. Skrzywiła wargi.

Otworzyła barek. Rzędem ustawione butelki nie różniły się od siebie niczym. Te same etykiety, smukłe flaszki z wysokim szyjkami, owiniętymi krwawym pozłotkiem. Sięgnęła po pierwszą z brzegu. Wczytywała się w obco brzmiącą nazwę *Chateau le Joncieux* z taką uwagą, jakby widziała je pierwszy raz. Kilka wprawnych ruchów korkociągu i znajomy dźwięk otwieranego korka uwolnił zgromadzony w butelce gaz. Wino było młode. Pluskało, rozbryzgując czerwone krople po blacie. Dopełniła kieliszek po brzegi, a potem szybko wychyliła.

Boso, w białym przebraniu przemknęła do korytarza. W lustrze odbijała się znajoma twarz. Kobieta patrzyła na nią. Bezcelnie. W jej spojrzeniu można było uchwycić prześmiewczy wyraz. Była rozebrana, wydęte wargi, sylwetka pozbawiona jakiegokolwiek pozy. Wyzywająco zbliżyła się do niej.

– Co chcesz mi powiedzieć? – padło pytanie pełne gniewu i prowokacji. – Że jestem sama? Wiem! Do cholery jasnej! Wiem!

Oparła się dłońmi o lustro. Drapała paznokciami, chcąc poczuć fizyczność tamtej postaci. Ale oprócz drażliwego zgrzytu, skrzywienia powodującego spięcie wszelkich synaps, nie udało jej się dotknąć ciała. Łzy Łucji połączyły się z tymi spływającymi po lustrze. Tkwiła tak przyklejona do tamtej kobiety, oddzielona tylko cienką ścianką zwierciadła.

– Myślisz, że jest dobrze? Gówno prawda! Że łatwo tak żyć bez nikogo? Samemu jak palec! Jesteś zapewne przekonany, że to ciebie pokrzywdziło, bo odszedłeś w tak młodym wieku? Że to ty straciłeś? Patrzcie, państwo! Taki młody! Tyle życia przed nim. Co za strata! Co za strata! – prychnęła z pogardą w stronę owych wyimaginowanych ludzi. – Biedaku! A pomyślałeś o mnie, kiedy przestawało ci się chcieć żyć, oddychać? Pamiętałeś, jak obiecywałeś, że mnie nie opuścisz? Aż do śmierci! Ja tobie też. Pewnie! Ale wówczas, kiedy to mówiłam, to do głowy nie przyszła mi twoja śmierć! Miałeś mnie nie opuścić do mojej śmierci! I gdzie jesteś teraz?! No gdzie?! Jak zawsze podjąłeś decyzję beze mnie, z góry zakładając, że przyjmę ją bez dyskusji. Dlaczego, do cholery, chociaż, wtedy, w ten piątek, mnie nie zapytałeś?

Kobieta w lustrze uśmiechała się krzywym uśmiechem. Drwiła z tego monodramu. Łucja z impetem uderzała w wielką taflę. Lustro zadzwoniło trwożnie. Rozczapierzonymi palcami próbowała zamazać obraz. Jakby był prawdziwy, jakby kobieta gapiąca się na nią stała naprzeciw – prowokatorska i cyniczna – a nie pozostawała tylko bezlitosnym artefaktem, sztucznym tworem, wobec którego rodziły się skrajne emocje – od chęci zjednoczenia się z nią, podziękowania za wyzwolenie z samotności, za towarzystwo, aż po gniew i nienawiść. Za tworzenie ułudy, za kłamstwo.

– Przecież powiedziałabym ci „nie uciekaj przede mną...”, że jeszcze chwila... i sama bym odeszła... – szepnęła do lustra konfidencjonalnym tonem, jakby bała się, że usłyszy ją ktoś nieproszony. Wyciągnęła rękę, pogłaskała gładką połąć. Srebrzysta tafla to doskonałe narzędzie konfabulacji, nakazuje wierzyć w perspektywę, która nie istnieje, głębię, której brak, prowokuje, by dotykać ciała, którego nie ma!

Dom tonął w ciszy. W pewnym momencie Łucja się zamachnęła. Trzask tłuczonego szkła! Wzdrygnęła się wystraszona, jakby wszystko działo się poza nią. Drobinę szkła rozproszyły się po podłodze, ale lustro było prawie nienaruszone, tylko minipeknięcia w dolnym rogu nieznacznie zdeformowały odbijający się obraz. Poczula zawrót głowy. Usiadła naprzeciw, pod ścianą, oparła głowę o niską komodę, na której leżały poskładane równo w kostkę szale. Chwyciła pierwszy lepszy. Szorstką dzianiną wytarła mokrą twarz. Prawą rękę położyła na podłodze, odłamek szkła wbił się w dłoń. Syknęła, klnąc pod nosem. Czowała, że słowa wychodzą z trudem. Cienka strużka krwi plamiła wykładzinę. Łucja podniosła rękę do ust. Przytomniała. Jeszcze z ociąganiem podnosiła się z podłogi, gdy rozległ się natarczywy dzwonek u drzwi i jednoczesne chrobotanie zamka u drzwi. Upadła. W świetle drzwi stanął Łukasz.

– Co tu się dzieje? – zapytał, ale jego wzrok utkwiał w krwawiącej ręce. – Co tu się stało?

Wydawał się zdezorientowany, gorączkowo rozglądał się po domu, chcąc

szybko określić przyczynę tego stanu rzeczy, lecz nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Wyciągnął klucz, zamknął pospiesznie drzwi wejściowe. Zimne powietrze wkradło się do wewnątrz.

Patrzyła na niego nieobecny wzrokiem. Chłód owionął jej ciało, otrząsnęła się i naraz uświadomiła sobie, że jest rozebrana. Rozejrzała się po korytarzu, szukając czegoś, by się zakryć. Łukasz stał zażenowany, starał się uciekać spojrzeniem gdzieś ponad nią, ale widok zranionej ręki przykuwał je niczym magnes.

Wreszcie zdecydowała się przemaszerować przed synem w majtkach i biustonoszu. W łazience obmyła twarz, założyła szlafrok, szczelnie obwiązując się paskiem. Otuliła szyję grubym kołnierzem.

*

Łukasz przeszedł do kuchni. Był coraz bardziej wściekły na siebie. Co go podkuśiło, by tu przyjechać?

Gdy wracali z cmentarza i potem w restauracji na obiedzie, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że matka kiepsko się trzyma, ale pochłonęły go rozmowy z ciotkami, wujkami, dawno niewidzianą rodziną. A pewnie i trochę świadomie odsuwał od siebie myśli o niej. Po jakimś czasie zauważył jej zniknięcie, siostra rzuciła, że matkę bolała głowa albo coś równie banalnego. Zrobiło mu się jej żal, że taka samotna. Asia go przekonywała:

– Jedź do niej. To twoja matka. Nie powinna być teraz sama.

Wahał się, ale zdecydował się jechać do niej. Gdzieś podskórnie zawsze bał się takiego intymnego spotkania – matka i on. Sam na sam. Co miał jej powiedzieć, że rozumie? Że jest mu przykro? Że zawsze może na niego liczyć? A jakby co, to niech jedzie z nimi.

Nie pamięta, kiedy byli sami. Tylko ona i on. Zawsze był ktoś. Choćby tylko dzieci.

Ileż to razy planował, by porozmawiać z matką. Chyba od dawna chciał tego. Ale wciąż absorbowwały go różne sprawy – a to wystawa, a to dzieci, rodzina. I też niezbyt umiał. Czasem wyglądało to tak, jakby, podobnie jak Edwin, nie lubił słów. Wszystkie wydawały się nietrafne. Inna sprawa, że mieszkał daleko, a rozmowa przez telefon już zupełnie mu nie wychodziła. Ulatywały mu różne rzeczy. Należał do tych ludzi, którzy telefon traktują tylko jako narzędzie do przekazywania treści wyłącznie informacyjnych.

Rzadko przyjeżdżał do domu, choć starał się bardzo, by ojciec zapomniał mu tamto jego wyjście. Sam zachowywał pozory, że jest okej, ale chyba mimo wszystko pozostał mu uraz. Z czasem po prostu się odzwyczaił.

Łukasz rozglądał się po domu. Wszystko było w nim obce. Kiedy ojciec go

zbudował, mieszkał tu bardzo krótko. Najpierw internat, a potem, tamtego dnia wyszedł... i już nigdy na dobre nie wrócił. Zawsze już był gościem. Wszystko go zaskakiwało, nie znał topografii domu, wszelkich sprzętów. Nieraz chciał poczuć się jak u siebie, ale nie szło. Nigdy nie miał owego poczucia „to jest moje miejsce”, toteż ilekroć przyjeżdżał do rodziców, chodził niemal na palcach, patrzył, żeby wszystko, czego dotknie, znalazło się z powrotem na dokładnie tym samym miejscu. Miał tu swój pokój, ale tylko oni nazywali go „pokojem Łukasza”. W rzeczywistości pozostawał mu tak samo obcy, jak wszystkie inne pomieszczenia.

*

Joasia nie mogła go zrozumieć. Kiedy leżeli w jego dawnym łóżku, nawet jej nie dotykał. Spał skulony, żeby jak najmniej śladów pozostawić po sobie. A rano wygładzał prześcieradło, strzepywał kołdrę, jakby zacierał ślady. Przez kolejne lata, kiedy pojawiły się dzieci – Hania i potem Franek – Łukasz drżał, żeby nic nie zniszczyły, nie poprzestawiały. Może i to stało się powodem coraz radszych odwiedzin. Dzieci nie bardzo chciały przychodzić do domu dziadków, gdzie nic im nie wolno, a Joasia czuła owo zeszywnienie męża. Po każdej wizycie znikał na długo w swoim „atelier”, gdzie tygodniami zamalowywał przeszłość. Nieraz truchlała nad kruchą psychiką Łukasza. Bała się, że byle zdarzenie jest w stanie ją rozkruszyć, a ona nie podoła ponownemu zlepianiu jego części. Może właśnie ta kruchość ujęła ją wtedy na korytarzu szkoły, w której chciał się zatrudnić jako konserwator. Taki od śrubokrętów i szpachli. A okazał się ze szkła...

Edwin na pierwszym spotkaniu po powrocie syna wręczył mu klucze, ale ten sporadycznie z nich korzystał. Jeśli zdarzyło mu się przyjechać, a akurat nikogo nie zastał, wolał iść do dziadków niż wejść do domu. Dziadkowie otaczali go od zawsze wielką miłością, on ich zresztą też. Babka Maria była bodaj jedyną osobą, która brała jego głowę w dwie ręce i mocno całowała w usta. On pochylał się, żeby jej to umożliwić, choć tkwienie w takiej pozycji było wysoce niewygodne.

Nic więc dziwnego, że kiedy nadeszły czasy gremialnego przekształcania mieszkań ze spółdzielczych na własnościowe, dziadkowie, wykupiwszy swoje, z miejsca przepisali je najstarszemu wnukowi.

Teraz, kiedy i Maria już umarła, oto stał się spadkobiercą tego mieszkania. Czuł się niezręcznie wobec pozostałej rodziny, dlatego też od razu zaproponował, by każdy wziął sobie z domu po dziadkach to, co chce. Nikt niczego nie chciał... Po obiedzie w restauracji wiele osób udało się do ich mieszkania, ale tylko po to, by jeszcze posiedzieć tam, zapamiętać, utrwalić sobie to miejsce. Łukasz nie zamierzał tam niczego zmieniać. Nie miał pomysłu na to mieszkanie. Teraz stanął przed koniecznością uporządkowania wszystkich spraw finansowych, opłat za

czynsz, za media, za wiele innych rzeczy.

Przez moment przeleciało mu przez głowę, żeby jak najszybciej je sprzedać, pozbyć się całej tej krzątaniny związanej z wszystkimi formalnościami, ale szybko wyrugował tę myśl, głównie ze względu na matkę. Obawiał się, że mogłoby to być źle odebrane w rodzinie. Może nie tyle przez matkę, ale jak do tego by podszedł wuj Konrad i ciotka Agnieszka. W końcu było to mieszkanie ich rodziców. Być może za jakiś czas, kiedy śmierć dziadków nie będzie budziła emocji... Ale nie teraz. Jeszcze nie.

*

Palcami bębnił o blat mebli. Żenował go widok matki w takim stanie. Zaczął grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Potrzebował papierosa, by uspokoić palce.

Łucja weszła do kuchni. Opatrzyła rękę. Zdawała sobie sprawę z niezręczności sytuacji, wstydziła się przed synem. Nie przychodziło jej do głowy żadne racjonalne wytłumaczenie. Po chwili milczenia zapytała, siłąc się, by zabrzmiało to jak najbardziej naturalnie:

– Zrobić ci herbaty? A może coś zjesz?

Łukasz palił. Zaciągał się szybko i głęboko. Tak śmiesznie trzymał papierosa, w sztywnych palcach. Trochę teatralnie. Szybko prowadził go do ust, przytrzymując tak długo, że robiło się wgłębienie, a wreszcie wypuszczał w górę całe hałdy siwego dymu, który ulatniał się leniwie uchylonym oknem.

Wypukła żyłka na skroni pulsowała rytmicznie, nieznacznym tik zdradzał zdenerwowanie. Między synem i matką wyczuwało się krępujące napięcie.

*

Łukasz był wyższy od Edwina, miał bardziej kędzierzawe włosy, ale wszystko pozostałe stanowiło niesamowitą kopię ojca. Łucja dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Wcześniej, gdy ktokolwiek sugerował owo niezwykle podobieństwo obu mężczyzn, uznawała to za formę grzeczności. Ojcowie z dumą przyjmują takie insynuacje. Niezaprzeczalnie potwierdzają ich ojcostwo. Ale Łucja rzadko zadawała sobie trud odszukiwania owych stycznych, nie miało to dla niej znaczenia. Teraz doszło do niej, że owo podobieństwo jest boleśnie uderzające. Tak bardzo, że przez ułamek sekundy chciała podejść, wtulić się i podziękować, że w końcu przyszedł, pojawił się, że przestał się wygłupiać i zrozumiał, że nie umie bez niego żyć.

Ale ten mężczyzna, to nie był on – Edwin, lecz ich syn. Wydawał się zmęczony. Wciąż przygarbiony nienaturalnie, jakby trudno mu było dźwigać

brzemie swojego życia. Jakby wciąż chował się przed nim.

– Zrób mi herbaty. Zmarzłem! – zdecydował. Rzucił kurtkę w korytarzu. Nie miał już na sobie garnituru. Szary sweter nałożony na T-shirt. Lekki szal niedbale opleciony wokół szyi, sprane dzinsy. Wyglądał na dwudziestoparolatka.

Woda głośnym strumieniem lała się do czajnika, po chwili nadmiar rozchlapał się po kuchni. Duże krople osiadły Łucji na twarzy. Osuszyła ją końcem szlafrokowego paska. Szukała wina. Chciała czymś zająć ręce, pokryć zmieszanie.

Łukasz badawczo przyglądał się matce. Z opatrzonej wcześniej rany wydostała się krew, kapiąc na stół wielkimi kroplami.

– Co ci się stało? – zapytał. W oczach syna czaiła się nieufność i nieokreślona obawa. – Mamo, chyba nie próbowałaś... – szukał odpowiednich słów. Nie pasowały mu żadne w stylu „podciąć żyły”, „popęłnić samobójstwo”, ale właśnie o tym pomyślał, widząc ją na tej podłodze. Rozebraną, zapłakaną, sponiewieraną... Samotną starą kobietę.

Łucja zrozumiała jego sugestię. Poczula się fatalnie. Nie miała pojęcia, jak wytłumaczyć swój stan. Nie znajdowała żadnego rozwiązania, które nadawałoby się na wersję dla syna. Co niby miała mu powiedzieć, że dzień po dniu zarzuca pretensjami ojca, że ją zostawił? Że wciąż nie potrafi znaleźć odpowiedzi, dlaczego jej to zrobił? Że nie stawia się kogoś, kogo się kocha, w tak idiotycznej sytuacji. Mało mu było! Zabrał jej ojca i matkę! I tylko ją zostawił! Cholera wie po co?

Odgarnęła włosy z czoła, poprawiła spinkę, spod której uciekały niesforne kosmyki. Przełknęła ślinę zalegającą w gardle. Zbitą, suchą jak kłębek waty.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Owszem, jest mi smutno. W końcu w krótkim czasie straciłam ojca i matkę. Mam prawo do płaczu. To chyba nie powinno dziwić.

– Nie o tym mówię. – Wskazał głową na jej rękę.

– A, to? – spytała naiwnie i pokazała na zabandażowany już nadgarstek. – Zwykłe skaleczenie. Upadła mi lampka... I tyle...

Łucja nie starała się, by to, co mówi, trzymało się kupy. Bo niby dlaczego właśnie teraz miała trzymać formę, tłumaczyć się przed nim, czy przed kimkolwiek, z tego, co robi?

– Aha – powiedział łagodnie, ale nie wierzył jej. Nie spodziewał się, że będzie wylewna. Zdawał sobie sprawę, że nie ma prawa rozgrzeszać matki ani jej oceniać, że tak naprawdę ta kobieta, która przed chwilą objawiła się przed nim – obnażona, zapłakana, żałosna – jest mu tak bardzo bliska, a jednocześnie tak dalece niepoznana. Jak mógł tyle lat odsuwać od siebie myśl o niej? Wmawiać sobie, że wszystko jest w porządku. Zbudował swój bezpieczny świat – żona, dzieci, praca. A w zasadzie to tylko pozwolił, aby zbudowano mu taką przystań. Świat był dla niego nader łaskawy. On sam nie szukał splendoru. Robił swoje. Malował. Od czasu do czasu ktoś się zachwyił. Jakiś dziennikarz porobił kilka fotek. Padło

kilka prostych pytań, na które odpowiedział oszczędnie. Na jakichś portalach przerzucano się nazwiskami malarzy, z którymi usiłowano go zestawić. Nie traktował tego poważnie. Tamci byli wielkiego formatu, z ustaloną pozycją. A on? Ale zaczęło być o nim coraz głośniejsze. Prezes konsorcjum zrzeszającego organizacje turystyczne zakupił jego obraz, za nim pojawili się kolejni nabywcy, dostrzegając w Łukaszu nowego następcę Beksińskiego. Robił sobie nazwisko! Jej nazwisko! Matki!

Łucja wstała, zatoczyła się nieznacznie. Zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, czy wypła jedną lampkę czy dwie? Czy to wino było tym otworzonym wczoraj, czy już dzisiaj. Wrzuciła pustą butelkę do kosza na śmieci. Wyciągnęła z lodówki kolejną. Taka sama etykieta, taka sama butelka. Korkociąg z oporem wkręcał się w kruchy korek.

– Zostaw! Ja to zrobię – powiedział, odbierając go jej z rąk. Patrzyła na niezgrabne ruchy syna i pomyślała, że ona już dawno rozprawiliby się z tym korkiem, ale tymczasem wyciągnęła z szafki czystą lampkę.

– Ja też proszę kieliszek. Chętnie się napiję – usłyszała.

– Przyjechałeś?

– Tak, ale zostawię samochód u ciebie.

– Ale jest zimno. Będziesz się ciągał pieszo na drugi koniec miasta? – upewniała się z troską.

– Dam radę – uśmiechnął się. – Jestem młodym starcem. To, że łysieję... to nie znak. Mam to po ojcu!

Łucja usiadła na wprost syna. Wiedziała, że zbiera się na rozmowę, i wiedziała też, jak mu to idzie z trudem. Nigdy nie był w tym dobry, jak jego ojciec. W końcu obaj cierpieli na deficyt słów.

Upił nieznaczny łyk, wykrzywiając się przy tym jak niegdyś za czasów dzieciństwa podczas spożywania tranu. Otrząsnął się niemal z obrzydzeniem. Wino należało do tego rodzaju win, które oswoiły sobie określoną grupę wielbicieli, których zachwyty nad tanicznym smakiem pozostawał głęboką tajemnicą dla większości ludzi.

Obserwowała syna. Jego nieporadność. Czego oczekiwał od niej? Po co przyszedł? Objął palcami nóżkę lampki, przechylając ją to w lewo, to w prawo. Siedział tak naprzeciw matki. W głowie wciąż miał długi korytarz i ją – półnągą, pobrudzoną krwią, z oczami nieprzytomnymi, podkrążonymi, obwiedzionymi rozmazanym tuszem. Była mu bliska jak nigdy dotąd, ale nie umiał jej tego powiedzieć.

Cisza, jaka zawisła między nimi, stawała się coraz cięższa, trudna do zniesienia. On nie spuszczał oczu z czerwonej toni kieliszka, ona patrzyła na niego, ale nie było w tym tej nachalności, która drażni.

– Myśleliśmy z Asią... – zaczął powoli i Łucja miała wrażenie, że na

poczekaniu wymyśla kolejne słowa. Tak, że sens tego jest absolutnie przypadkowy.
– Może przyjechałabyś do nas na jakiś czas.

Łucja dałaby sobie głowę uciąć, że to nie był pomysł, z którym specjalnie przyjechał. Wymyślił go sobie. Na poczekaniu.

– Dzieci by się ucieszyły... – mówił dalej. Nie było w tych słowach żadnego przekonania. Musiał o tym wiedzieć.

– Przecież one mnie nawet nie znają – ucięła Łucja. Bez żalu ani pretensji. Tak po prostu się zadziało. Kiedy Edwin żył, byli u nich kilka razy, i to wówczas, kiedy były zbyt małe, by coś pamiętać. A potem... Potem umarł, a ona nauczyła się żyć sama i w jej przestrzeni życiowej, w jej żałobie nie było miejsca dla nikogo.

– To może czas to zmienić! Mamo, czas wiele rzeczy zmienić – dodał z naciskiem i istotnie ostatnie zdanie wyszło bardziej jak nakaz, bo kobieta uniosła brwi zdziwiona. Tylko on – jej mąż mówił do niej takim głosem, choć nikt obcy nie dostrzegłby ani wyższego tonu, ani najmniejszego nacisku. A jednak ona wyczuwała ową minimalną zmianę intonacji i nigdy nie potrafiła się temu przeciwstawić. Ale to nie był Edwin! Nie zamierzała niczego zmieniać!

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – zapytała, nie kryjąc nawet ironii. – W tym waszym ciasnym mieszkaniu?

Było coś nieprzyjemnego w jej tonie, ale on odczytywał to jako zagubienie, wciąż znajdował wytłumaczenie dla zachowań matki, rozumiał bezmiar jej udręczenia.

– Wiesz, Franka wzięlibyśmy do siebie, a ty z Hanią... – Jego entuzjazm gasł. Sam nie wierzył w to, co mówi.

Może, jak w migawce, Łucja widziała siebie w tym obrazku, ale tylko przez moment. Bo kiedy usiłowała sobie wyobrazić te codzienne rytualne czynności, które przecież nie dałyby się ot tak sobie pozostawić – obchód domu, układanie w jego szafie, wieczorna lampka wina i rozmowa z lustrem – była pewna, że nie uda się przeprowadzić tego planu.

Poza tym od tak dawna była sama – dniami i nocami, że z pewnością nie umiałaby już dzielić się swoim czasem z kimkolwiek. Kochała swoje wnuki, ale to była taka dziwna miłość. Nazywała je w myślach najczulszymi słowami, czuła bezgraniczną potrzebę przytulania ich, drżała na myśl o tych wszystkich zasadzkach i zakrętach, które na nie czyhają. Ale kiedy znajdowały się blisko niej, ręce robiły się kwadratowe jak ręce Edwina, a z ust wydobywały się jakieś banały. Ależ wyrosłaś, Haniu! Jak tam w szkole, Franku? Nic osobliwego! Zdania, które można wypowiedzieć do każdego. Wnuczki też nie garnęły się do niej i zazwyczaj po wyuczonym pocałunku schodziły z pola widzenia, jakby wyczuwały, że ich bliskość może babcię krępować. Marzyła, by to zmienić, ale za każdym razem okazywało się, że nie starcza jej sił albo zabraknie czasu, albo najzwyczajniej sposobności. Nieraz zdarzało się, że wpadała niemal w histerię, kiedy

uświadamiała sobie upływ czasu, swoją niemoc i coraz większy dystans, który dzieli ją i dzieci. Strach ją oblatywał, kiedy wyobrażała sobie mur, jaki buduje się między nimi.

– Może kiedyś... – odezwała się w końcu. – Ale z pewnością jeszcze nie teraz. Mam trochę spraw do załatwienia, poza tym, wiesz, są jeszcze drudzy dziadkowie... – Wzruszyła ramionami, co zdawało się oznaczać „sam rozumiesz...”.

Łukasz doskonale wiedział, że to tylko preteksty. Do przejścia. Jak wszyscy inni wiedział o tym, że Łucja nie ma żadnych spraw, że każdy jej dzień wygląda podobnie, że sama niemal z nabożeństwem kultywuje codzienne bezsensowne rytuały sprzątnięcia, wietrzenia, podlewania, że jej życie jest jakimś niekończącym się marazmem, z którego nie chce się wyrwać. Mówi o dziadkach? Kłamie. Po prostu kłamie. Owszem, odwiedza ich. Ale dzieje się to sporadycznie i głównie wtedy, kiedy teściowa wyraźnie ją o to prosi, a to zdarza się bardzo rzadko. Wszyscy znali Leokadię. Leokadia nie prosiła nigdy. I nikogo.

Łukasz wiedział również i o tym, że matka nieustępliwie broni tego swojego absurdalnego porządku od śmierci Edwina. Przez ten czas niczego nie zmieniła w swoim życiu. Niczego. Nawet on, przyjeżdżając tu, traci zupełnie rachubę czasu, traci porządek lat, miesięcy, dni. Łucja zatrzymała czas. Zrobiła to, co nikomu się nie udało. Nie może jednakże cofnąć go, choćby o ten jeden dzień... do tamtego piątku...

– Jasne – skończył syn.

Spojrzał na zegarek i zaraz, jakby coś go ponaglało, rzucił:

– Pójdę już. Asia pewnie się niecierpliwi.

Już nie mówił o samochodzie, że zostawi albo pojedzie. Chciał jak najszybciej wyjść z domu. Przygarnął matkę do siebie, musnął ustami jej włosy, ale jego spojrzenie było już skierowane na drzwi. Jedną ręką je otwierał, drugą jeszcze wsuwał w rękaw kurtki, chwilę się z nim szamocąc.

Zadzwoił telefon, ale Łukasz się nie zatrzymywał. Odebrał w biegu, na schodach, zapewniając, że już zaraz będzie, za jakieś siedem minut, tak tak, wszystko w porządku, on też całuje.

W zamku zachrobetał klucz. Zasunęła łańcuch. Wpuściła nadmiar powietrza. „Dobrze, że poszedł” – pomyślała. „Dobrze, że nikogo nie ma”.

*

Podeszła do okna. Wiązka samochodowych świateł rozjaśniała przestrzeń, ale zaraz mrok spowijał okolicę. Niebo było zasnuwane chmurami, gdzieś tam wyglądało jak rozciągnięta do granic wytrzymałości tkanina, przez którą niemrawym światłem prześwitują gwiazdy. Wydały się Łucji całkiem pospolite,

bez żadnej magii. To z pewnością nie były te, co to zapalają się i gasną, kiedy ktoś się rodzi czy umiera, symbole życia i śmierci, a jedynie jakieś banalne skupiska powiązanej grawitacyjnie materii w stanie plazmy. Żadnej mistyki.

dzień przed TYM

W tamten piątek nic nie zwiastowało końca świata. Tego dnia poczuła, że zdrowieje. Postanowiła wstać, ubrać się jak Bóg przykazał, może nawet zrobić coś z włosami i podmalować się.

Było jeszcze wcześniej, gdzieś wczesnym przedpołudniem, gdy z okien sypialni zobaczyła go idącego szybko od furtki. Zdziwiła się. Rzadko zdarzało mu się być o tak wczesnej porze. Pierwsza myśl ją ucieszyła – pomyślała, że to być może ze względu na nią. Przez ostatnie dni była bardzo chora, a on jak na złość miał tyle pracy, że prawie się nie widywali. A kiedy wracał, był tak zmęczony, że najczęściej przysypiał przed telewizorem i trudno było zagonić go do sypialni. Bywało, że trafiał do łóżka nad ranem. Zmarznięty, wyrwany ze snu kręcił się później do świtu. Nieraz z niecierpliwością czekała piątej trzydzieści, żeby już wstał i zostawił jej jeszcze trochę spokoju.

Potem przez chwilę zdawało jej się, że mąż jest jakiś zmieniony, ale szybko przegoniła tę myśl, zarzucając sobie w duchu, że wymyśla problemy. Coraz częściej się na tym łapała, wciąż szukała dziury w całym. A to wynajdowała jakieś „złe przeczucia”, a to budziła się w środku nocy, by odpędzić niedobry sen. A już od ostatnich urodzin coraz namolniej wyszukiwała u siebie znamion upływającego czasu. Co dzień przeglądała się z lustrze, śledziła niewielkie złobienia na czole i wokół oczu, czy się nie pogłębiają, czy nie przecinają skóry dalej. Rozmasowywała je pieczołowicie i wzdychała pod nosem, że się starzeje. Być może to przez tę gripę, która dopadła ją i wycięła z jej życia dobrych kilka dni. I choć zdrowiała, to jednak zostały jej jakieś ubzdurane „sentymenty”. Syndrom starzenia?

Edwin wszedł do domu, jak co dzień zbierając spod skrzynki reklamówki i wysypującą się korespondencję. Firmy wszelkiej maści wydawały nieprzeliczalne tysiące na coraz bardziej zachęcające reklamy. Gazetki były coraz grubsze, na lepszym papierze. Kolorowe jak dziecięce rysowanki.

– Tylko kłopot z tym tałatajstwem. Ani tego wyrzucić, bo zaraz pełen kubeł, ani spalić, bo śmierdzi jak cholera! – narzekał, zdejmując kurtkę, stawiając czarną aktówkę równo w szafie i jednocześnie wyciągał rękę pełną papierzyk, żeby odebrała je od niego. Nie lubił, kiedy wałały się w nieładzie na półkach

w korytarzu i zaraz gdy tylko włożył kapcie, szedł do kotłowni, by powkładać nowe ulotki do specjalnie przeznaczonych do tego skrzyni.

Ogrzewali dom gazem, a kolorowe, kredowe papiery nie były dobrym materiałem do rozpalania w kominku. Rzeczywiście dymiły i rozciąły nieprzyjemny, chemiczny zapach. Łucji zdarzało się, że przerzucała je pobieżnie, nie zatrzymując jednak na niczym na dłużej wzroku. Nie należała do osób, które wyczekują okazji, promocji. Gromadzą zapasy, kupują co się napatoczy. Edwin nauczył ją rozsądnego życia. Wszelkie zakupy planowali, obmyślali.

Każda rzecz w domu, zanim się w nim znalazła, miała swoje miejsce i przeznaczenie, i było to wyznaczane niejako dożywotnio. Jeśli pozwalali sobie na jakieś „szaleństwo”, to dotyczyły głównie jakichś drobnostek, dodatków dla niej. Bywało, że Łucja z zazdrością obserwowała kobiety – takie *pretty women* targające wielkie kolorowe torby z ekskluzywnymi ubraniami. Jak kroczyły na wysokich do nieba szpilach, rozrzucały długie falowane włosy i roześmiane, kurczowo trzymały za łokieć jeszcze bardziej uradowanych mężczyzn, ubranych w drogie marynarki Camel. Ale to przydarzało się rzadko. Dość wcześnie, na pierwszych etapach swojego życia z Edwinem, zrozumiała, że model jej związku nie zakłada takiego „szaleństwa”. Udawało jej się zdusić w zarodku takie tęsknoty, a może przyjęła prostą prawdę, którą Edwin powtarzał każdemu i przy byle okazji, że wszystkiego mieć nie można. Pogodziła się z takim stanem rzeczy. Przecież była specjalistką w godzeniu się na wszystko.

ostatnie dni przed TYM

Podczas jej choroby teściowie przychodzili codziennie. Był to pomysł Edwina, który obarczony wieloma sprawami firmy, nie zdołałby zapewnić opieki żonie. Skoro na nic zdały się gorące zapewnienia, że da sobie radę, i decyzja zapadła nieodwołalnie, Łucja zaproponowała, by na ten czas po prostu wprowadzili się do nich. Dom duży, miejsc dla wszystkich wystarczy, a poza tym to zaoszczędzi fatygi. Jednak upór teściowej w niczym nie ustępował uporowi syna. Nie bez kozery powiadają, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. I już wczesnym rankiem wyczuwało się niemal bezszelestną obecność Leokadii i Andrzeja.

W chwilach większej świadomości Łucja cieszyła się, że teściowa jest blisko. Matka Edwina wprowadzała spokój, porządkowała wszystko w absolutnie naturalny sposób, nie czyniąc przy tym niemal żadnego ruchu. Wszystko robiło się jakby samo. Samo się sprzątało, gotowało. Kiedy Łucja zapadała w gorączkowy, męczący sen, podchodziła do łóżka, ocierając pot, głaszcząc po głowie i szepcząc

jakieś słowa, niby czarodziejskie zaklęcia.

– Tylko go nie zostawiaj. Bo co on by bez ciebie zrobił? – szeptała jej, upewniwszy się przedtem, że śpi. – Tyle lat minęło i jeszcze tyle przed wami. Popatrz na nas. Trzymamy się najpierw siebie, a potem tego życia. I po co? Powiedz mi, dziecinko, po co? Ale widać tak już jest. Kto to wie, ile komu będzie się palić lampka Pana Boga. Kiedy on, tam na górze, zdmuchnie płomień, przygniecie knot. Czy będzie mu tam kto potrzebny, a czasem to i może dla kaprysu... Ale czemuż by miał się i wami zabawiać?

Łucja otworzyła na moment oczy, ale wzrok był zamglony, nieobecny. Odwróciła się plecami do Leokadii i coś tam pod nosem szemrząc, na powrót zasnęła.

Czasem zdawało jej się, że teściowa śpiewa jej jakieś ballady, ale pewnie to były chorobowe urojenia. Łucja nie pamięta, by kiedyś była tak chora. A jeśli nawet, to nigdy jej się tak dobrze i bezpiecznie nie chorowało. Chyba może jeszcze wtedy, gdy jako dziecko miała anginę ropną. Babka Stanisława karmiła ją wówczas jakąś taką papką, to była legumina, w takim samym stopniu słodka, jak i cytrynowa. I kiedy swoimi niemówiącymi ustami nakazywała jej otworzyć buzię i przełykać, to jakimś cudem ogień w gardle łagodniał, a tamten smak zapamiętała już na zawsze.

Teraz Leokadia też unosiła jej głowę, wlewając łyżeczką jakiś syrop. Wiele lat potem Łucja dowiedziała się, że to syrop z tych żółtych kwiatów mniszka pospolitego, które razem z teściem zbierali, a potem odliczali pięćset, bo taką liczbę podała jej jakaś sąsiadka. Nie zrobiła nigdy tego syropu, nie miała już dla kogo. Dla niej samej szkoda było grzebaniny.

dzień przed TYM

Teściowa krzątała się po jej kuchni, ale cokolwiek robiła, poruszała się niczym duch, niezauważalnie i bezgłośnie. Oczywiście był z nią również mąż, ale on jak zwykle siedział i tkwił w zachwycie. Chyba że Leokadia wyznaczyła mu jakieś zadanie, ale to było raczej wątpliwe. Od zawsze uważała, że wszystko, co jest związane z domem, należy do kobiety. Siedział więc z rękami ułożonymi na kolanach i kręcił młynki. Trudno się było nadziwić tej jego miłości – niemej, a jednocześnie tak silnej i niezmiennej.

– Edwin już wrócił – oznajmiła cicho, akurat w momencie, kiedy niestaranne cmoknął ją w skroń. Następnie wyminął ją, skinął głową ojcu na powitanie, a na końcu podszedł do matki i zaglądając przez ramię do garnka, pogładził ją po

plecach i pochwalił:

– A co to dzisiaj, niedziela? Rosół z kluseczkami? Ty to wiesz, jak synowi dogodzić! Moja żona nie nauczyła się takiego gotować.

– Nie narzekaj, nie narzekaj. Ona ci lepsze frykasy gotuje – broniła synowej, uśmiechając się z zadowoleniem. Obydwie wiedziały, że ani w tonie, ani też w doborze słów nie było nic, co mogłyby odebrać jako zarzut. Edwin lubił przypochlebiać się matce. Zresztą jedzenie matki smakowało mu w takim samym stopniu, co kuchnia Łucji. Może tylko poza tym, że matka nie przywiązywała wagi do wystroju, zastaw, obrusów. Miała jedną zastawę poniemiecką: śliczną, ręcznie malowane kwiaty z wypukłymi złoceniami, i równie stary okazały haftowany obrus. Ale używała tego tylko podczas wigilii i nigdy nie odstępiała od tego swojego zwyczaju.

Nikt nie wiedział, jak te rzeczy: porcelanowe talerze, obrus z misternym haftem i ów zabytkowy portykowy zegar, który na jakąś rocznicę podarowała synowej, piękne i wyszukane, piękne, a skądinąd drogie, znalazły się w posiadaniu Leokadii.

*

Zasiedli do stołu. Łucja nakryła dla wszystkich, chociaż teściowie się wzbraniali, że oni dziękują, że zjedzą u siebie, że nie będą ich objadać.

– Mama nie może mi tego zrobić – oświadczyła Łucja, kładąc rękę w okolicy splotu słonecznego. – Bo znów się rozchoruję – straszyla żartobliwie.

Pomyślała sobie, że brakowało tylko dzieci, aby obiad nabrał takiego charakteru obiadu wielopokoleniowego. Ale Łukasz od dawna był poza domem, a Anka od pewnego czasu nocowała „gdzieś” i każdą próbę matki dojścia do prawdy kwitowała lekkim uśmiechem, za którym czaiła się dziwna ekscytacja.

Czasem Łucję nachodziła myśl, że być może przyjdzie taki czas, że będzie musiała otoczyć opieką rodziców. Swoich lub jego. Jej – odeszli. Jedno po drugim. A rodzice Edwina? Kiedy któregoś razu wspomniała o tym, zbył temat milczeniem, ale ona wiedziała, że za nic w świecie, jeśli przyszłaby taka konieczność, nie zostawiłby żadnego z nich na pastwę losu.

Nie on. Na pewno nie on. Z tym swoim poczuciem obowiązkowości, z tą swoją niemodną prawością.

Rosół był gorący. Obłoki pary unosiły się nad stołem. Woń gotowanej kury i lubczyku mieszała się z mdławym zapachem makaronu. Na talerzach leżały splecione cienkie nitki klusek, posypane drobno pokrojoną marchewką i zieleniną.

– To dobrze, dziecko, że już ci lepiej. Jeszcze jutro wpadniemy, a potem już damy wam spokój – oświadczyła Leokadia, ostrożnie nabierając zupy na łyżkę i raz po raz spoglądając na męża, jak sobie radzi, czy czasem nie narozlewa, czy nie

nachlapię. W domu wciąż go napominała, by uważał, by przesunął bliżej talerz do siebie, by położył ścierkę na kolana, bo ona też już nie ma siły codzienne prać, prasować. A on potulnie wysłuchiwał tych jej wskazówek, chociaż za każdym razem tłuste plamy świeciły się na spodniach. I on się starzał i niedołęźniał.

Łucja chłęptała rosół, dmuchając w łyżkę i ukradkiem przyglądała się teściowej. Ileż ona mogła mieć lat? Przyszło jej do głowy, że od zawsze jest taka sama, nietknięta przez czas. Twarz wciąż jasna i pogodna. Mądre oczy, które już na samym początku ich znajomości uwiodły ją swoim ciepłem i łagodnością, a nade wszystko głębią, która raz przybierała odcień idealnie niebieski, innym zaś razem szarzała, jakby ktoś ów nieskazitelny błękit przysypał popiołem. Sylwetka Leokadii była wciąż wyprostowana. Teściowa była wysoką kobietą, kiedyś niewiele niższą od swojego męża. Teraz on się skulił w sobie, zgarbił, skurczył, a ona nadal trzymała fason. Włosy co do jednego posiwiałe związywała w kok uformowany w banan. Z tą swoją rosłą sylwetką, nienaganną fryzurą wyglądała po prostu szlachetnie. Łucja nie znajdowała bardziej adekwatnego słowa. Jedyne ręce zdradzały, że oto mamy przed sobą starą kobietę. Zupełnie jakby nie należały do teściowej. Pomarszczone, żylaste, pokryte cienką skórą, tuż pod której powierzchnią widać było, jak miejscami pulsuje krew w posiniąłych żyłach.

– Mamo – zaczęła żartem Łucja – jest nam tak dobrze, że możecie się wprowadzić na stałe. I Edwin będzie miał obiady ze wspomnień. – Spojrzała na męża, by zobaczyć, czy usłyszał ten drobny przekaz, ale nie szukała żadnego zadrażnienia. Zawsze żartowała sobie, czy to w domu, czy gdzieś w towarzystwie, że podjęła się ogromnego ryzyka, wychodząc za jedynaka i przed nią całe życie walki z teściową o serce mężczyzny.

– A gdzie tam, dzieci, wam stare grzyby potrzebne – odpowiadała Leokadia i też w tym nie było ani żadnego żalu, ani poczucia krzywdy. Łucja zawsze podziwiała teściową za ten jej odwieczny stan godzenia się z losem. Leokadia nie walczyła z nim, lecz przyjmowała to, czym ją obdarowywał. Może i też dlatego był dla niej łaskawy, skąpił jej nieszczęść czy tragedii.

Kobiety jeszcze rozmawiały o wszystkim i niczym, jedna drugą zapewniała o „wdzięczności” i że „nie ma sprawy”. Ojciec tkwił nieruchomo wzrokiem, a może drzemał z półotwartymi oczami.

*

Edwin zjadł obiad, nie wdając się w pogawędkę. Odstawił talerz i wstał. Zachwiał się. Łucja poderwała się, ale okazało się, że to tylko przypadkowe potknięcie, po prostu kapeć mu się zsunął i usiłując go wsunąć z powrotem, stracił na moment równowagę. Kobiety wymieniły się spojrzeniami, ale nie doszukawszy się niczego szczególnego, zabrały się do sprzątnięcia ze stołu.

*

W telewizji dziennikarz najpierw przekazał jakieś lakoniczne informacje pogodowe, a za chwilę strasznie przeżywał jakiś wypadek. Teatralność gestów i nietrafność słów była irytująca. Edwin siedział rozparty w fotelu i zżymał się, że już nawet prognozy pogody nie można wysłuchać bez aktorstwa. Wszyscy grają inną rolę, niż jest im przypisana. Jakby nie można było normalnie, zwyczajnie powiedzieć, oznajmić. A nie! Trzeba idiotycznie szafować emocjami! Nic więc dziwnego, że już wszystko stało się takie powszednie. I morderstwa, i gwałty, i oszustwa. Ważne sprawy stały się banalne, a banały – ważne. Cholera jasna! – komentował Edwin złośliwie relację reporterską.

Rzeczywiście reportaż był wyjątkowo irytujący. Jak myślisz, Jarku, a co kierowca czuł? A czy myślisz, że kierowca widział? A wiesz, jak długo jeździł? A co spowodowało, że w takim stanie wsiadł do samochodu? A może zasnął, a może rozmawiał przez telefon, a może... Srele morele! I cała seria banalnych pytań, które tak naprawdę niczego nie wyjaśniały, nie tłumaczyły. A tu znów zginęły cztery osoby. Codziennie giną. Śmierć stała się tak powszechna, że zupełnie przestała robić wrażenie.

– Przełączcie może gdzie indziej! Słuchać się człowiekowi tego nie chce – odezwał się ojciec Edwina, do tej pory siedzący cicho i milcząco. – Zresztą, mama, my już chyba pójdziemy powoli. Nie?

*

W tym momencie wpadła Anka. Jakby słyszała Łucji myśli. Zdjęła buty. Zsunęła z ramion rozchełstany płaszcz. Szamotała się chwilę z drzwiczkami szafki w korytarzu, ale zamek trzymał, więc nie zawracając sobie dłużej nim głowy, przeklęła pod nosem, rzuciła ubranie niedbale na oparcie krzesła, uciekając zgrabnie przed karcącym spojrzeniem matki. Anka, trzymając przy uchu telefon i prowadząc jakąś ożywioną rozmowę, biegała i ścisnęła wszystkich po kolei. W domu zrobił się ruch, jakby ktoś uruchomił zatrzymany mechanizm.

Od kiedy córka skończyła studia i organizowała w mieście jakieś biuro rewelacyjnej „firmy”, „cudownego szefa”, nie miała na nic czasu. Każda prośba, rozmowa, kwitowana była: „Paweł przyjeżdża”, „Paweł czeka”, „Paweł liczy”. Łucja po cichu podejrzewała, że córka jest bardzo zaangażowana w te relacje, ale ta nie wtajemniczała matki. Dopiero kiedy okazało się, że Anka kupiła mieszkanie, bo „Paweł uznał”, że tak będzie najlepiej, i dziewczyna wzięła kredyt, który „razem z Pawłem w mig spłaca”, Łucja postanowiła z nią porozmawiać. Od kilkunastu dni córka urządziła się, nie przychodziła na noc, tłumacząc się ojcu jakimiś

służbowymi wyjazdami. Kłamała jak z nut, posługując się tymi pospiesznymi zdaniem, w których zawoalowany był faktyczny powód jej znikania z domu. Edwin z rosnącym napięciem przyglądał się córce, ale nie potrafił zapytać wprost. Zawsze brakowało mu właściwych słów, a od pamiętnej kłótni z Łukaszem wszelkie trudne sprawy pozostawił żonie. W domu było ciężko od niedomówień i kręctw.

Łucja zwlekała z rozmową, zamierzała powiedzieć Edwinowi. Niebawem.

*

– O! widzę, że już lepiej się czujesz. A ty, co? – skierowała pytanie do ojca, który leżał z półprzymkniętymi oczami. Jeszcze wpatrywał się w szklany ekran, ale powoli przysypiał.

– Cholerka, ten dom to siedlisko choroby! Teraz dopadło tatę – zażartowała.
– Wobec tego zrykam zaraz, bo jeszcze mnie dosięgnie, a ja nie mam czasu na takie pierdoły. Ups! – Spojrzała na dziadków przepraszająco.

Edwin nie zareagował. Był znużony. Potrzebował odpoczynku. Chwila snu dobrze mu zrobi. Zbyt duże tempo życia, zbyt wiele na głowie. Musi to zmienić.

Anka udała się do swojego pokoju, z którego dochodziły stukania, chrobotania, przesuwania. Wszyscy spoglądali po sobie ze zdumieniem, czekali na wyjaśnienia. Dziewczyna co chwilę wychylała się z pokoju, wypytyując o to i owo. W końcu wytargała z góry wielką walizę. Wypuściła z ulgą powietrze.

– Uff! To chyba ostatnia! – I zaraz zatkała sobie usta, spoglądając w stronę ojca. – Śpij! Sorry! Nie chciałam cię obudzić.

– A ty dokąd się znowu wybierasz? – spytał, nie podnosząc powiek, ale pytanie było już jakby z innego świata. Balansował na granicy jawy i snu. Po chwili dało się słyszeć ciche pochrapywanie.

– Obiecałaś porozmawiać z ojcem – szepnęła z wyrzutem Łucja. – Chyba należy mu się wyjaśnienie. Nie można, ot tak sobie, wciąż się wyprowadzać. To tu, to tam.

– Ciii! Jutro będę nieco wolniejsza, to pogadam z nim – uspokajała szeptem Anka i by zakończyć tę niewygodną rozmowę, zwróciła się do babci:

– Mnie, oczywiście, nie należą się te kluseczki i rosółek? – Próbowała ostatecznie odwrócić uwagę od drażliwego tematu, przemykając za plecy starszej pani, całując ją w kark. Leokadia wstała spiesznie, by podać obiad wnuczce, ale ta zatrzymała ją w pół drogi, przygarniając z czułością do siebie.

– Babciu! Żartowałam! Nie jestem głodna – zaśmiała się nienaturalnie.

Starsza kobieta była już w połowie drogi do kuchni. Odwróciła się, taksując wnuczkę od stóp do głów i rzuciła poważnym tonem:

– Anusiu! Wiesz, że nie zgrzeszyłabyś, gdybyś ociupinkę zjadła, niedługo

cię wiatr porwie. E tam! Wiatr! Tylko zefirek starczy. Siadaj do stołu! Wszystko jeszcze ciepłe. Zostało tyle, że żal, by się zmarnowało.

Anka jednak spojrziała na zegarek. Cmoknęła kilka razy, pokręciła z niedowierzaniem głową, że niemożliwe, to już ta godzina.

– Nie porwie, babciu, nie porwie. Kamienie w torbie noszę. – Nie spuszczała ze swobodnego tonu i, pokazując na biżuterię: ciężki wisior i bransoletę, dodała:

– O! I jeszcze to mnie trzyma przy ziemi.

Leokadia pokiwała głową na znak, że Anka jej nie przekonała. Ona miała swoje zdanie na ten temat.

W rzeczywistości Anka należała do tego typu młodych kobiet, które dokładnie sprawdzają, co jedzą, z czego to coś się składa, ile to coś ma kalorii. Sprawdzają wszelkie indeksy glikemiczne, katują się różnorodnymi dietami, by w gruncie rzeczy, jak mawiała ciotka Gienka, wyglądać coraz gorzej. Gdy któregoś razu zobaczyła Ankę na jakimś rodzinnym spotkaniu. niby od niechcenia prawiała swoje mądrości, wypinając z dumą obfite piersi, górujące ponad okrągłym brzuchem:

– Co to za kobieta, która nie ma ani cycka, ani tyłka? I że niby co, chłopu się taka chudzina spodoba? Chłop nie pies, na kości się nie rzuca! – kończyła sentencjonalnie. Anka broniła się nietrafną konstatacją, że chuda to była Aneta Bodnar, o której było głośno, kiedy okazało się, że zapadła na anoreksję i po nieudanej walce z chorobą zmarła. Ponoć była tak lekka i mała, że po śmierci tanatopraktor miał nie lada problem, by tak ją przygotować, żeby rodzina nie przeraziła się jej widokiem, bo już za życia Anety mieli dość jej tragicznego wyglądu. Skóra i kości.

A ona, Anka, była szczupła. Szczupła. A człowiek szczupły to człowiek zdrowy.

I Łucja jednak do pewnego czasu zdawała się nie zwracać uwagi na ową chudość Anki, ale – od czasu, kiedy w jej życiu pojawił się ów osławiony Paweł – matkę niepokoiło dziwne zachowanie córki. Za każdym razem po posiłku dziewczyna znikła za drzwiami łazienki, a kiedy wynurzała się z niej po długim czasie, widać było zmęczenie i wynędznienie. Kilka prób podjęcia tematu spęzło na niczym, za to wielokroć dawało się słyszeć, „jak to szef mi kadzi, że mam figurę modelki”.

*

Anka pchała wyładowaną walizę w stronę wyjścia. Niby spieszyła się, ale udawała, że mimo wszystko tak ciężko jest opuszczać dom. Jakby to nie był pierwszy raz, a ona wyprowadzała się na inny kontynent, a nie, zaledwie kilka przecznic dalej, gdzie pobudowano nowe osiedle. Developer zacierał ręce, bo

mieszkania były ładne, okolica ciekawa, więc lokale rozchodziły się na pniu. Łucja patrzyła na córkę z politowaniem. „Żeby się nie okazało, że za chwilę wrócisz znów do domu, bo kolejna miłość okaże się wielkim niewypałem” – pomyślała w duchu, głośno zaś przypomniała:

– Musisz porozmawiać z ojcem.

Nagle w korytarzu rozdzwijał się dzwonek u drzwi i, nie czekając na otwarcie, w progu stanął Łukasz. Zażenowany, jak zwykle onieśmielony tym, że tu jest i że tak bez zapowiedzi. Kiedy zobaczył dziadków, śmieiej przestąpił próg. Objął ramieniem siostrę, przytulił matkę i zaraz podszedł do dziadka i babci. Dopiero po chwili zobaczył ojca. Przeprószył, że tak głośno, i zapytał:

– Co to? Tata chory?

– Nie, skąd! – uspokajała matka ściszym głosem. – Skończyli na dzisiaj robotę. Babcia nagotowała smakołyków, to ojciec pojadł, a teraz jeszcze sobie pośni – dodała, udając oburzenie, w gruncie rzeczy z wielką tkliwością zerkając na drzemiącego męża.

W twarzy mężczyzny dało się zauważyć zdumienie. Wodził wzrokiem po wszystkich, czekając, aż mu wyjaśnią, co się tu dzieje, dlaczego w domu, który zazwyczaj świeci pustkami, naraz znajdują się wszyscy. Czy coś go ominęło? Czy o czymś zapomniał? Był coraz bardziej zmieszany.

Leokadia wytłumaczyła wnukowi po kolei, że matka zachorowała, że ojciec poprosił i tyle! A Anka, jak to Anka, pojawia się i znika.

*

Edwin przebudził się. Ileż mogą zrobić skradzione w ciągu dnia minuty! Był rześki i wypoczęty. Dom był pełen ludzi. Co tutaj było niezwykłą rzadkością. Przyzwyczajali się, że są sami, a jeśli nawet ktoś przychodził, to najczęściej Janka z mężem. I to też ostatnimi czasy coraz rzadziej.

Teraz dom tętnił życiem – taka wielopokoleniowa namiastka. Edwin pomyślał, że to mu się nawet podoba, ale nie odezwał się nic. Wewnętrzna radość wypełniała go po brzegi. Już nie liczyła się niedawna niedyspozycja, minęły nerwy związane z firmą. Był w domu. I byli wszyscy. Miał ich wszystkich w swoim domu. Jego domu. Gdzieś w głębi serca był dumny z siebie. Tak! Sprawdza się! Jako mąż, ojciec... Ojciec... Tamto było dawno. Czas odpuścić sobie. I jako syn.

W pomieszczeniu było gwarno. Wszyscy wszystkich o coś wypytawali. Leokadia była ciekawa wszystkiego. Co u Asi, Hani, Frania... Chłonęła wieści uważnie i zachłannie, jakby zamierzała za chwilę przekazać je dalej jak w zabawie w głuchy telefon. Śmiech Anki, która wróciła na okoliczność odwiedzin brata, wypełniał całą przestrzeń. Było w nim jednak wciąż coś sztucznego. Kobieta co chwilę nerwowo zerkając na wyświetlacz telefonu, a gdy wreszcie ten rozdzwonił

się jakimś symfonicznym kawałkiem, wyszła szybko, przytrzymując aparat tak blisko ucha, jakby bała się, że ktoś może usłyszeć dźwięki płynące z tamtej strony.

Z korytarza dochodził nieco podenerwowany, ale jakby przymilny, irytująco szczebiotliwy ton, którym obiecywała, że zaraz będzie, żeby Dziubek się nie denerwował, że wszystko załatwi i zdąży. I na pewno Dziubulkowi wynagrodzi. I pa pa. I buziaczki.

Łucja wyostrzyła słuch, niedobrze się robiło na ten dziecinniejący ton, pełen uległości. Nie znajdowała w sobie spokoju, jeśli chodzi o córkę. Ta jej miłość też nie budziła w niej żadnego zaufania, wręcz przeciwnie, czuła, że coś złego, fałszywego kryje się w tym związku, o który Anka walczyła rękami i nogami i który wciągał ją niczym grząskie bagnisko.

Po chwili Anka jeszcze z kiepsko skrojonym uśmiechem, ale już stanowczo oświadczyła, że ona musi iść, „bo Paweł, znaczy szef, coś tam, coś tam”. Zakręciła się, pocmokała wszystkie policzki, jeszcze wystukała pospiesznego esemesa i zniknęła za drzwiami.

Łukasz sączył herbatę. Nie chciał jeść. Było w nim wieczne onieśmienie. Nie podnosił oczu, gdy mówił. Patrzył w jakiś jeden obrany punkt na podłodze albo w całkiem skrajnym kierunku – gdzieś wysoko ponad wszystkimi. Dopiero gdy opowiadał o wystawie, którą przygotowuje w BWA, ożywił się. Mówił dużo, gestykulując. O operowaniu symbolem, o epatowaniu grozą, o ucieczce od kiczu, jego łatwości, powtarzalności. O liniach, fakturach, kreskach, warstwach. Nie sposób było nie przyjąć tej prawdy, że Łukasz ma świat alternatywny dla tego, w którym oni stanowili jeden z elementów. Może nawet i ważny. Ale tamten drugi – to był jego świat, w którym on się czuł absolutnie spełniony.

A potem Łukasz zadeklarował, że odwiezie dziadków do ich domu.

Zrobiło się cicho, ustał ruch.

noc przed TYM

Leżeli w łóżku. Cicho sączyła się muzyka. *7 seconds*. Łucja nie miała pojęcia, o czym jest ta piosenka, ale to nie miało większego znaczenia. Zapewne treść musiała być przejmująca jak głos wykonawców. Chyba śpiewali w jakimś całkiem nieznanym języku, bo trudno było wychwycić z całości chociaż jedno rozpoznawalne słowo. Oczywiście poza owym *siedem sekund*. Siedem sekund, siedem sekund. Łucja bawiła się wymyślaniem tego, co może się zadziać w ciągu siedmiu sekund. Co mogłaby zrobić w ciągu siedmiu sekund? Na pewno nie udałoby jej się ugotować obiadu ani umalować się, ani porozmawiać. Albo siedem

sekund nie wystarczyłoby, żeby zmarznąć, ogrzać się. Na pewno to niewystarczające, by zmienić coś na zawsze. Choćby dom, fryzurę, miasto. I zbyt mało, by się zakochać. Ale na pewno udałoby jej się ustać na jednej nodze. I mogłaby nie oddychać przez siedem sekund. Nawet pod wodą. I strasznie wciągnęła ją ta wyliczanka. Siedem sekund. Ile tysięcy, milionów, a może nawet miliardy sekund przeżyła? Ile owych siedem sekund przeszło zupełnie niezauważonych. Siedem sekund. Czy może zmienić życie człowieka? Siedem sekund. Czy można przestać istnieć w ciągu siedmiu sekund?

Teraz śpiewała chyba kobieta, a w tle słychać było skrzypce... Łucja zastanawiała się, czy oni prowadzą dialog, czy każde mówi o sobie. Czekala na głos spikera. Musiała wiedzieć. Siedem sekund? Czy mowa o tak samo ulotnych sekundach, jak te w jej życiu... Ale wtenczas po co o tym śpiewać?

Niski głos redaktora stacji muzycznej, jak na życzenie, oznajmił, że... właśnie wysłuchali państwo lirycznej piosenki senegalskiego wokalisty i kompozytora Youssou N'Doura i wspaniałej szwedzkiej raperki Neneh Cherry, którzy to w lirycznych tonach podnoszą temat okrucieństwa i bezwzględności świata. Siedem sekund to czas, gdy rodzi się dziecko i jeszcze nie wie, że świat, który go właśnie przyjął, jest jaki jest...

Czy jej dzieci rodziły się w ciągu siedmiu sekund? To było tak odległe, ale Łucja pamiętała, że z pewnością trwało to o wiele dłużej.

Ściszyła radio.

W powietrzu unosił się zapach eukaliptusa, pachniał szlafrok, który wchłonął rozgrzewającą ciało maść.

– Posmaruję ci plecy – oświadczyła, kiedy Edwin, trzęsąc się, wyszedł z łazienki. Miał sine z zimna usta. Był nieswój. Śmiesznie wyglądał owinięty szczelnie, szczękający zębami, na chudych, porośniętych jasnymi kłaczkami nogach.

Nie bronił się, chociaż na co dzień nie odczuwał potrzeby bliskości. Poddawał się jej dotykowi. Z początku niechętnie, jakby z przymusem, ale już przy pierwszych ruchach delikatnych, gładkich dłoni pozwalał, by wklepywała aromatyczną maść, gładziła jego plecy, przesuwając palcami wzdłuż kręgosłupa aż do jego nasady. Naciskała punktowo. Czuł, jak odprężenie idzie od łądźwi ku górze, ale gdzieś w zakamarkach czaił się niepokój. Nie szukał jego źródła. Był zmęczony. Zbyt zmęczony.

*

Leżał chwilę z zamkniętymi oczami. Wiedziała, że nie śpi. Co jakiś czas wstawał, wyglądał przez okna, jakby na coś czekał, snuł się po pokoju bez celu. Przez uchylone okno wkradał się chłód. Bała się, że owieje go i jutro będzie

jeszcze gorzej.

– Połóż się w końcu. Tłuczysz się jak marek po piekle – niecierpliwiła się Łucja, chciała się do niego przytulić. Położył się ciężko obok.

– Czy coś się wydarzyło? Coś w firmie nie tak? – wypytywała męża. Zawsze tak było, że gdy pojawiały się jakieś kłopoty, okupywał to bezsennością, zapadał się w głąb siebie, jakby tylko tam mógł znaleźć rozwiązanie. Rzadko wtajemniczał ją w swoje sprawy.

– Nic takiego. Jak zawsze. Jakieś głupoty – uspokajał żonę.

Łucja wtuliła się w zagłębienie ramienia. Chciała spać. Jeszcze resztkami przytomności przywoływała miniony dzień. Mimo osłabienia, mimo niepokoju związanego z Anką uznała, że to był dobry dzień. Czuła się szczęśliwa. Była to jedna z tych skąpych chwil, kiedy szczęście rozpychało jej piersi. Bo Łucja wiedziała, że szczęście nie jest stanem stałym i ciągłym, ale jeśli już zdarzało jej się je odczuwać, dziękowała Bogu, że to się zdarzyło i że właśnie z nim. Z Edwinem.

Edwin przesunął delikatnie dłoń w kierunku jej piersi, zatoczył wokół nich krąg, przesunął palce na czubek sutka. Drugą rękę wsunął między uda. Przyjemne uczucie ciepła rozzuchwalało. Przyłgął mocno do jej pleców, ale ona na wpół śpiąca mruknęła tylko coś, odsuwając od siebie jego ręce.

sen przed TYM

Była gdzieś w jakimś hotelu. Bardzo ekskluzywnym. Przed wejściem, do którego prowadziły wielkie przeszklone drzwi, rozciągał się szeroki pasaż. Nie był to jednak zwykły chodnik wybrukowany tandetną kostką, ale lśniący, wyłożony białym trawertynem trotuar. Wokół nie było nikogo. Pewnie wszyscy weszli do środka. Na dworze panował męczący upał. Nawet liście krzewów przybrały przydymiony zielony kolor, a pnącza bugenwilli wciśniętej w najciaśniejsze szpary murów pozwijały umęczone słońcem podsadki, kryjące blade kwiaty. Wewnątrz panowała taka cisza, jakby upał stłumił wszelkie dźwięki.

Na kontuarze z pięknego tekowego drewna leżał klucz od jej pokoju. Siedem. Obróciła go w dłoniach. Był ciężki, masywny i zupełnie nie pasował do nowoczesnego wystroju hotelu, bardziej do jakiejś wiekowej posiadłości, w której komnaty zamykały się na cztery spusty. W blacie kontuaru odbijała się jej twarz. Wyglądała wytwornie. Perfekcyjna fryzura, olśniewający makijaż. (Nigdy sama takiego nie zrobiła. Nie przywiązywała do tego wagi. Wystarczyło lekkie pociągnięcie kredki i pomadka. Tak. Pomadka była najważniejsza).

To nie była pierwsza jej wizyta w tym hotelu, bo знаła doskonale rozkład korytarzy. Nie zadziwiła jej ogromna przestrzeń, surowość ścian, minimalizm. Nie czekała na windę, choć czerwona strzałka w dół i lekkie drżenie podłogi sygnalizowały, że zaraz nadjedzie. Miała ze sobą tylko niewielką walizkę. Bardzo lekką, chociaż spakowała do niej sukienki, buty, kosmetyki. Cały dom! Przed nią ciągnął się długi korytarz. Z okna na samym końcu wpadał snop światła. Oślepiający. Potykając się, przysłaniała oczy dłonią. Mijała kolejne pokoje. Wszystkie drzwi były pootwierane na oścież, ale nigdzie nie było nikogo. Wszędzie było czysto i pusto. Wreszcie na drzwiach dostrzegła numer siedem. W pomieszczeniu tu i ówdzie walały się kartony z butami, z jakimiś sukniami, z pelisami. Podnosiła rzeczy, jedno za drugim. Chciała je przymierzyć, wystroić się w nie. Jak Kopciuszek. Rzuciła się zachłannie, odczytując etykiety. Dech zamarł jej w piersi. Ubrania były z najwyższej półki. Niektóre nazwy nawet nie zamajaczyły w jej głowie. Łapczywie rozrywała kolejne kartony. Wreszcie wyciągała jedno po drugim, a wszystko ciągnęło się jak w prestidigitatorskiej sztuczce z kapeluszem i wstążeczkami. Rzeczy były albo poplątane, albo pozszywane. Tkwiła tak przez chwilę uwięziona w tym kokonie szaleństwa, w tych sukniach, bluzkach, płaszczach, narzutkach, nie mogąc ani przecisnąć się przez ich otwory, ani ich zdjąć z siebie. Rozrywała je, szarpała, pruła. Wybiegła, z trudem łapiąc oddech. Chyłkiem przemykała korytarzem. Na końcu zobaczyła otwarte drzwi. Pokój był przyciemniony, ale było tu pusto. Tylko łóżko. Odwrócone wezłowie od drzwi. Na łóżku leżał Edwin. Spał spokojnie, jakby nigdy nic. Wsunęła się pod kołdrę. Był gotowy do kochania. Z poczuciem ulgi wdychała jego zapach. Obudził się. Nie było w nim żadnego zdumienia. Próbowwała opowiedzieć mu o tym dziwnym hotelu, tych ubraniach, butach, ale on jej nie słuchał. Przygniatał ją sobą, oddychając szybko. Nie mogła dojrzeć jego twarzy, ale to był on. Jego dłonie, jego zapach. Potrzebowała, by do niej przemówił. W końcu poddała się. Poruszali się w jednym rytmie, bliscy krańców spełnienia. Nagle on wyszedł, zostawiając ją samą. Zaczął chodzić od jednego pokoju do drugiego, szukając swoich butów. Jeszcze chwilę leżała, nie zmieniając pozycji, czekała na finał. Rozkosz czaiła się tuż powyżej ud, pomiędzy nimi, nieco powyżej... Ale on nie wrócił. Ubrała się w jakąś koszulę i wyszła go szukać, ale wszystkie drzwi były zamknięte na klucz. Biegła korytarzem bez końca. Nigdzie nie było wyjścia, żadnych schodów, żadnej windy, tylko pokoje po jednej i drugiej stronie. Trzymała się ciągnącej się dookoła metalowej obręczy jak na rondzie, bez żadnego zjazdu...

Wreszcie jakimś cudem udało jej się wyjść. Wypadła na zewnątrz. Oślepiający blask słońca przysłaniał wszystko. Chciała biec, ale gorący kamień parzył bosa stopy, jakby stąpała po rozżarzonych węglach. Wróciła do hotelu. Szukała Edwina. Na łóżku, na którym się kochali, była tylko granatowa bonzurka. Ta sama, którą mu podarowała... Wołała:

– Edwin! Edwin! Edwin!

noc przed TYM

Był tuż nad nią. Szarpał jej ramię. Obudziła się z tego snu. Jeszcze nie była do końca zdrowa, bo czoło się skropliło, ciało zwilgotniało ranną rosą. Trzęsąc się, naciągnęła na siebie kołdrę, szczelniej zapychając ją wszelkie luki. Z ulgą dotykała jego ciała, centymetr po centymetrze, rozpoznając znajome wgłębienia, szorstkość skóry. Syciła się jawą, cielesnością męża, odgłosem jego oddechu. Bała się zamknąć oczy, by sen nie wrócił. Zasnęła.

Wysunął się z jej rąk.

Za oknem wiatr kołysał gałęziami drzew, burząc nocny bezruch. Mikre światło z okolicznych lamp rozświetlało czerń nocy. Blask migotał, zmieniał natężenie. Radio trzeszczało, ciszej, głośniejsz, gubiąc słowa innego nocnego konferansjera, który już nie zajmował się senegalskim wokalistą, ale wyciszonym głosem rozmawiał z alkoholikami, „rozumiejąc ich doskonale”, „życząc im dobrej nocy i pogody ducha”, a potem chór Piwnicy pod Baranami śpiewał *Dezyderatę*.

Znał i ten głos, i tę pieśń, bo chyba nie można lekko nazwać tego „piosenką”. Zawsze puszczali to na koniec programu. Potem następowała głucha cisza. Edwin zdawał się zaszuchany w słowa, przerywane zakłóceniami. Podniósł się, wydając z siebie bezdźwięczny syk rozdrażnienia. Obracał anteną, regulował guzikami, pokrętłami, aż nareszcie trafił na dość czysty dźwięk. Zdążył jeszcze z ostatnią frazą *...przy całej swej złudności, znoju i rozwianych marzeniach jest to piękny świat, jest to piękny świat*.

Czuł, jak ogarnia go sen, ulotnił się niepokój. Zapowiadała się pierwsza od wielu dni spokojniejsza noc.

ranek, kiedy TO się stało

Rano oszukał ją. Umarł. Dzień wcześniej wszyscy jakby przeczuwali, zjawiali się w przypadkowej kolejności. Zjawiali się ot tak! Tylko ona pozostała, wprawiona w zdumienie. Z brakiem jakiegokolwiek czujności. Dlaczego właśnie ona, ta, która znała go najlepiej, nie dostała żadnego znaku, nie odczytała żadnego

sygnału?

*

Lekarka stwierdziła niewydolność krążeniowo-oddechową. Trzy wyrazy!

– Niewydolność krążeniowo-oddechowa.

Spojrzała na Łucję.

– Niewydolność krążeniowo-oddechowa.

Powtórzyła:

– Niewydolność krążeniowo-oddechowa.

Słuchawki wisiały na chudej szyi lekarki jak niepasujący naszyjnik. Srebrna lira stetoskopu odcinała się od czerni wysokiego golfu kobiety.

*

Diagnoza bez żadnej konsultacji, wątpliwości. Tak oczywista, że nikt nawet nie śmiałyby jej kwestionować.

kilka lat przed TYM

Palma to było to miejsce na świecie, w którym czuła się naprawdę cudownie. Łucja znała ją niemal na pamięć. Od kilku lat przyjeżdżała tu razem z Edwinem. Kiedy pojechali tam pierwszy raz – a wybór miejsca na zawsze pozostał dla Łucji dziwną zagadką, wiedzieli, że zrobią wszystko, by wrócić.

Pomysł na Majorkę zjawiał się zupełnie nieoczekiwanie. Urodził się w głowie Edwina w niewyjaśnionych okolicznościach, chociaż najprawdopodobniej stało się to po jednej z wizyt u jego dentystki, która z obsesją maniaka oglądała programy podróźnicze. Na ekranie przesuwały się kolorowe obrazy. Dla niego były to niepoznane światy. Lektorka o aksamitnej barwie głosu mówiła, mówiła, mówiła. Padały jakieś obco brzmiące nazwy, które wymieniała z takim nabożeństwem, że nie trzeba było wiedzieć, czego dotyczą, aby zrozumieć, że miejsca są szczególnie piękne. I chyba powtarzana „Majorka, Majorka” tak się wszczepiła w jego umysł, tak się w nim umocowała, że któregoś razu zaciągnął Łucję do Szczecina, do biura podróży. Od początku wiedział, dokąd idą i po co. Ona zresztą nie pytała. Posłuszna. Łucja nigdy nie dowiedziała się, dlaczego Edwin tak się uparł, by tam pojechać. Gdyby to były Włochy, Grecja, to być może znalazłaby jakieś wytłumaczenie. Ale tam? Ni z gruszki, ni z pietruszki.

Weszli do niewielkiego pomieszczenia, wyklejonego szmaragdowymi morzami, palmami i szczęśliwymi ludźmi w skąpych strojach kąpielowych. Smagłych od słońca. Kobiety z rozwianymi włosami. Mężczyźni jak greccy bogowie. Gdy automatyczne drzwi rozwarły się przed nimi niczym wrota Sezamu, młody mężczyzna w białej koszuli, pod krawatem, poderwał się na ich widok. Na jego twarzy odmalował się szczerzy uśmiech, jakby zobaczył najlepszych przyjaciół, na których akurat czekał. Szerokim gestem poprosił, by usiedli. Najpierw może kawy lub wody do picia. Uprzejmym tonem zapytał, co ich interesuje, i zapewnił, że na pewno znajdą coś odpowiedniego. W międzyczasie rozłożył przed nimi oferty biur – kolorowe, kuszące egzotyką. Piękna dziewczyna, wyglądająca, jakby właśnie wyszła z którejś fotografii, podała im kawę w małych filiżaneczkach z widocznym logo biura. Łyzeczka położona na spodku zachwiała się i dzwoniąc lekko, spadła na podłogę. O mały włos kawa nie rozlała się na kolana Edwina. Mężczyzna zmierzył dziewczynę strofującym wzrokiem, ale zaraz ponownie nałożył ów uroczy uśmiech i spytał:

– Czy interesuje państwa coś szczególnego, czy chcecie państwo spuścić się na mnie?

Było coś irytującego w sposobie bycia i mówienia tego człowieka. Jakże szybko zmienił swoje oblicze! Wyostrzone rysy, karcące spojrzenie rzucone tamtej dziewczynie w sekundę zamienił na lekki, poufaly ton.

– Majorka! – odpowiedział od razu Edwin. – Tylko Majorka nas interesuje.

– Czy macie państwo upatrzoną jakąś szczególną miejscowość? Cala Millor? Can Picafort? Alcúdia? A może coś bliżej lotniska? El Arenal? Can Pastilla?

Pracownik z biura wymieniał te wszystkie nazwy tak, jakby były powszechnie znane, co najmniej jak Kraków czy Paryż.

Edwin rozłożył ręce, pokręcił głową. Wymienione miejscowości nic mu nie mówiły i właśnie to zamierzał powiedzieć temu młodemu człowiekowi, kiedy on sam się zreflektował i zapytał, wciąż uśmiechając się przymilnie:

– Czy obojętnie państwu? Po prostu ma być Majorka.

Owo „Majorka” wypowiedział tak dobitnie, jakby sam wybór miejsca znaczył prestiż przybyłych petentów.

– Bo, wiecie państwo, mam wspaniałą ofertę... na wschodnim wybrzeżu... przepiękna miejscowość Porto Cristo... – Zerkał z w stronę Edwina, chcąc ocenić stan jego wiedzy na temat Majorki.

– Obojętnie – przerwał mu dość szorstko Edwin. Wertował katalogi, wpatrując się w błękitne baseny, kolorowe parasole, panoramiczne zdjęcia pokoi, które tu wyglądały na wielkometrażowe apartamenty, ale na dobrą sprawę jego wzrok nie zatrzymywał się na niczym. Wszelkie nazwy były totalnie obce i w jakiś sposób obojętne. I nie po to jechał tyle kilometrów, by ktoś mu czynił wodę z mózgu. Chciał na Majorce. I tyle! Złościł go pracownik tego biura.

Rozkładał katalogi, podsuwał mu kolejne zdjęcia, po to, by za moment je zabrać i podawać kolejne i kolejne. Jednocześnie sprawdzał coś w Internecie, odbierał telefony, aż wreszcie przechylił się przez biurko w ich kierunku, tak że mieli go tuż przed swoimi twarzami, i promieniejąc ze szczęścia, oświadczył, że ma! I oto okazało się również, że świetnie się składa, bo jak w sam raz ma dla nich niewiarygodnie korzystną ofertę. Cóż za fart! Bo akurat dosłownie przed paroma minutami zrezygnowała jakaś para. Zadzwoił do niego kolega z zaprzyjaźnionego biura. I patrzcie państwo, a to zbieg okoliczności! Co za szczęściarze! Ponoć okazało się, że kobieta jest w upragnionej ciąży, a ta od początku była z gruntu zagrożona. Cena była „szokująco niska”. Takie super, super *last minute*. Ależ im się udało! Jakby specjalnie dla ich. Na pewno będą tam bardzo szczęśliwi. Zresztą – tu ton zmieniał się na bardziej familiarny, co coraz bardziej irytowało Edwina, Łucja zaś wykazywała większe zainteresowanie, przerzucając folder o Majorce – na pierwszy rzut oka widać po nich, że mają szczęście, że tacy dobrani. A poza wszystkim to świetna decyzja. Bo trzeba wyjeżdżać, bo to zawsze lepszy czas i w ogóle... W Polsce wcale nie taniej, a brudno i drogo...

Facet był denerwujący i nachalny, ale zgodzili się. Edwin zapłacił i wyszli.

*

To miały być ich pierwsze zagraniczne wczasy. W zasadzie poza pobliskim Berlinem i Pragę, którą Edwin zachwyił się podczas jakiegoś wyjazdu służbowego organizowanego przez konsorcjum budowlane, z którym od lat współpracował, nie wyjeżdżali na urlop za granicę. Owszem, jeździli na wczasy, prawie co rok, ale ani nigdy nie myśleli o żadnej egzotycznej wyprawie „gdzieś daleko”, ani nie było w niej – zwłaszcza w niej, Łucji – żadnych takich pragnień. Łucja nie próbowała się nawet zastanawiać, gdzie co leży, bo i tak wszystkie obco brzmiące nazwy kurortów pozostawały zupełnie daleko poza spektrum jej oczekiwań. Ona miała swój Rewal czy Międzyzdroje. Do tej pory sprawa wyjazdów wakacyjnych była swego rodzaju formalnością. I choć zawsze wspólnie wybierali wczasy i w zasadzie nie zajmowało ich to szczególnie, bowiem upodobałi sobie te dwie miejscowości i na przemian jeździli to do jednego, to do drugiego kurortu, to jednak wybór tego konkretnego w danym roku zawsze należał do Łucji.

– Tam, gdzie wybierzesz, pojedziemy – oświadczał Edwin i już do czasu wyjazdu nie zaprzętał sobie tym głowy.

tamtego lata na Majorce, na jakiś czas przed TYM

Samolot miał kilkugodzinne opóźnienie. I tak udało im się, bo w trakcie oczekiwania mieli okazję obserwować rozjuszoną grupę turystów, którym odwołano lot do Grecji. Okazało się, że samolot, który miał lecieć z Warszawy, uległ awarii i po wcześniejszych komunikatach ogłaszających coraz to większe opóźnienia, w końcu lot odwołano. Oni szczęśliwie wsiedli nad ranem do airbusa.

Było bardzo wcześnie, na zewnątrz dopiero szarzało, ale kiedy wyszli z samolotu na płytę lotniska, buchnęło w nich gorącym powietrzem. Tak parnym, że trzeba było natychmiast wyswobodzić się z długich rękawów. Odruchowo odgarnęła włosy, które od razu przykleiły się do zroszonego potem czoła.

Setki ludzi z różnych kierunków świata, ogromny polifoniczny tłum parł ruchomymi chodnikami do wyjść oznaczonych strzałkami. Terkotały walizy, z głośników padały wielojęzyczne komunikaty. Pierwszy lot mieli za sobą. Przyczepieni wzrokiem do pary, od której z podsłuchanej mimowolnie rozmowy dowiedzieli się, że jadą do tego samego hotelu, ciągnęli swoje bagaże, bacząc, by za żadne skarby nie stracić tamtych z oczu. Lotnisko w Palmie przerażało swoim ogromem. Wydawać by się mogło, że taka przestrzeń jest w stanie zapewnić każdemu swobodny metr kwadratowy. Tymczasem ludzie ocierali się o siebie, obstukując się bagażami. Zewsząd słychać było uniwersalne „sorry, sorry”, nawet nie konkretnie do kogoś, ale gdzieś ponad, w tę ludzką masę, pozbawioną na ten czas tożsamości. Nieprzebrane tabuny ludzi, którzy właśnie tu rozpoczynali swój pęd do gorących plaż, wieczornych spacerów, egzotycznych drinków na tarasach bulwarowych kawiarenek, pubów, do przesyconych seksem nocy – wyczekany, wypracowany, wymarzony cel podróży. Konkretyzacja bajki.

Łucja zmęczona, cokolwiek wystraszona i upocona po czubek głowy, klęła w żywy ogień na ten pomysł. Jakby nie mogli – jak co roku – spędzić urlopu w Rewalu, gdzie знаła wszystko, gdzie też wszelkie zdarzenia toczyły się wolniej. Kółka walizki zaklinowały się gdzieś w prowadnicach ruchomych chodników, taśma się zatrzymała. Nieprzebrany tłum omijał ich, potrącając, popychając, złorzecząc pod nosem. Na domiar złego ich ruchomy punkt orientacyjny zniknął z pola widzenia. Ktoś zniecierpliwiony rzucał jej krytyczne spojrzenia, inny ktoś kręcił głową z politowaniem. Była wściekła, zgrzana i niemal bliska płaczu. Miała ochotę zostawić to w cholerę. Z furią puściła uchwyt walizki i odeszła na bok, chłodząc się zabraną nie wiedzieć po co z samolotu ulotką o tanich liniach lotniczych. Tłum dokoła w najmniejszym stopniu nie zwracał na nią uwagi, zupełnie jakby była jakimś nieistotnym elementem lotniska, który ktoś postawił w niedogodnym miejscu. Co niektórzy furczeli coś pod nosem w swoim języku i spieszyli dalej, tarabaniąc walizami z przyklejonymi paskami informacyjnymi i przywiązanymi różnymi wstążeczkami, mającymi ułatwić namierzenie swojego bagażu.

– Cholera! – wyrzuciła z siebie Łucja. – Ja się nie nadaję na takie wyprawy! Mam gdzieś takie wakacje!

Edwin zszedł z taśmy i z boku starał się uwolnić bagaż. Był opanowany, jakby zupełnie nie przeszkadzał mu ani dokuczliwy upał, ani ciągnący się w nieskończoność tłum. Pomógł mu jakiś młody człowiek, zapewne należący do służb porządkowych lotniska. Wymienili się uśmiechami. Chłopak, widząc zdenerwowanie kobiety, wskazał ręką, dokąd mają iść. Zaraz też znaleźli się w wielkiej hali, gdzie bodaj całą ścianę stanowiły wyjścia z terminali, tam już po zejściu z ruchomych chodników widać było szpaler pań i panów z dużymi planszami, plakatami z nazwami biur turystycznych wyłapujących swoich klientów, by skierować ich do poszczególnych autokarów. Pośpiech i nerwowość. Tylko kierowcom owych autobusów absolutnie nie udzielała się ta atmosfera. Wręcz przeciwnie. Stali nieco znużeni, oparci plecami o pojazdy, paląc papierosy. Z autobusów dobywała się głośna muzyka. Musiał to być jakiś lokalny hit, bo wszyscy podrygiwali rytmicznie i głośno nucili słowa refrenu.

Otwarte luki wypełniały się walizami, które kierowcy wprawnie lokowali we wnętrzu.

Z nieopisaną ulgą usiadła w autokarze, choć jeszcze trzęsło się w niej wszystko tak, że niewiele słyszała z ust opalanej, równie jak kierowcy nieco znużonej rezydentki ich biura. Owo rozmemłanie, znużenie to chyba jakaś południowa przypadłość, o której powszechności miała okazję później przekonać się wielokrotnie.

Wreszcie autokar ruszył, zostawiając za sobą ów zamęt i chaos. Łucja czuła, jak uchodzi z niej niczym z balonu złość, a jej miejsce zastępuje dziewczęca ekscytacja. Przysunęła się nieco bliżej Edwina, tak, by ich ciała szczelnie się stykały. Nie napotkała się na żaden opór. Delikatnie przechyliła głowę na ramię męża. Wyobrażała sobie pokój, taras, łóżko. Zapragnęła już znaleźć się tam, pieścić, całować. Po kilkunastu kilometrach kierowca wyjechał z Palmy i skierował się na autostradę. Oczom ich ukazał się zupełnie inny krajobraz. Na wprost rozciągała się rozległa nizina, po której lewej stronie na horyzoncie niebiesciło się morze. Pobocza porośnięte były niską roślinnością obsypaną kwieciami o niezliczonych odcieniach różu i czerwieni. Od czasu do czasu monotonię rozległych równin burzyła zieloność lasów piniowych i oliwkowych gajów. Zarówno powykręcane pnie drzew oliwnych, jak i gęste, szerokie korony pinii o parasolowatym kształcie wywoływały okrzyki zachwytu Łucji, która co rusz trącała męża.

– Zobacz! Jakie to piękne! Zobacz teraz, teraz! – wykrzykiwała niczym dziecko.

Cieszyła go reakcja żony, jej fascynacja. Uśmiechał się kącikiem ust, widząc ją tak rozemocjonowaną. Trudno mu było uwierzyć, że to ta sama Łucja. Kobieta

poważna, nieco chłodna, stonowana. Teraz zapomniała się, emanując dziecinną spontaniczną radością na widok wszystkiego, co pojawiało się przed jej oczami. Autobus wolno wtoczył się na podjazd prowadzący do niewielkiego hotelu, położonego niemal w samym centrum nadmorskiej miejscowości. Mimo wczesnych godzin panował tu gwar, szybko zameldowali się i wreszcie znaleźli się sami.

Rzeczywiście ziścił się jej sen. Był pokój z tarasem i widok na morze, i miłość pełna tęsknot, wyuzdania i determinacji. I to była ta chwila, która już niekoniecznie musiała się powtórzyć.

Wszystko budziło jej zachwyty. Czerwona ziemia, zielone gaje, białe budowle noszące ślady mauretańskich wpływów uwiodły Łucję bez reszty.

Już po pierwszym spacerze ciasnymi, błyszczącymi od kamienia ulicami wiedzieli, że będą musieli tu wrócić. I wrócili – raz i jeszcze raz, a potem następny.

*

Wszystko tam było gorące i jasne. W powietrzu czuć było ten charakterystyczny zapach, który kojarzył się z Rewalem, kiedy byli tam kilkanaście lat temu i cały urok małej, nie bardzo jeszcze rozstawionej miejscowości nadmorskiej burzył smród kanalizacyjny. Jakiś czas temu...rozwiązano ten problem. Zresztą, niedługo po tym Rewal zyskał miano kurortu – jednego z najatrakcyjniejszych na Wybrzeżu.

Jednak tam na Majorce szybko przywykli do tego zapachu, nie psuł im pobytu. Stawał się niewyczuwalny. Czasem, kiedy wracali do pokoju wieczorem, a powietrze było ciężkie od temperatury, kiedy nagrzane ażurowe ściany oddawały gorączkę wymieszaną z wilgocią, pojawiał się w pewną intensywnością. Ale zmysły szybko się do tego przyzwyczajały.

*

Któregoś dnia wybrali się na wycieczkę po wyspie. Autobusem pojechali do Palmy. Jak zwykle w czasie jakichkolwiek wycieczek wyposażeni w plany, mapy i rozmówki. Wiezorami uczyli się podstawowych zwrotów, choć wiedzieli, że jak przyjdzie co do czego, zamuruje ich, będą łamali niemiecki, angielski i w końcu jakoś uda im się porozumieć.

Wysiedli na Plaça d’Espanya i stamtąd udali się niedaleko na stację kolejową zbudowaną w stylu *fin de siècle*, z której odjeżdżał staroświecki pociąg do Sóller. Czekał ich niemal dwugodzinny przejazd przepiękną Doliną Sóller z licznymi sadami pomarańczowymi przez dziesięć górskich tuneli wykutych w skałach. Podróż kolejką odbywała się w zupełnym milczeniu. Łucja, przyklejona do ramy

okna, w którym nie było szyb, nie wychodziła z oniemiaenia, było to chyba do tej pory najpiękniejsze widowisko, jakiego doświadczyła. Gorące powietrze chłodził wiatr. Przesuwające się obrazy z widniejącymi na nich kotlinami górskimi, w których przycupnęły zlane zupełnie z krajobrazem zagubione małe wioski dalekie od cywilizacji, wyglądały jeszcze piękniej niż te z turystycznych przewodników. Krajobraz zmieniał się jak w kalejdoskopie i już za moment przed oczami wyrastały dzikie i wyniosłe górskie szczyty, które chowały między sobą rozległe panoramy turkusowego morza. Widoki zapierały dech w piersiach, Łucja nie mogła oderwać od nich oczu. Szczypała się, by się przekonać, że to wszystko dzieje się naprawdę. Najdziwniejsze wszakże było to, że chwilami nie myślała zupełnie o niczym, jakby nie było w niej, w jej głowie, niczego innego – ani jej, ani Edwina, dzieci, wspomnień, marzeń, a tylko to, co za oknem. Szukała określeń kolorów, ich wariantów, kształtów, choć w istocie dominowały tu zaledwie dwa, może trzy kolory i niezliczona ilość ich odcieni: wszelkie zielenie, te żywe, malachitowe, butelkowe czy mniej ostre khaki, oliwkowe i jeszcze brązy ochrowe, sjena, ugier. Nade wszystko jednakże urzekały błękity, które w zależności od kontekstu były lazurowe, grynspanowe, szafirowe. Nawet nie umiała ich nazwać. Dość jednak, że te niezwykle połączenia kolorów oderwały ją całkowicie od rzeczywistości.

Nie zwróciła nawet uwagi, gdy Edwin przysiadł się blisko niej, objął ją, raz po raz wydając z siebie ni to pomruk zachwytu, ni westchnienie. Siedzieli. Wtuleni. Wpatrzeni, nie zamieniając ani słowa.

W pewnej chwili z za zakrętu wyłoniło się miasteczko. Znajomy zapach uderzył w nozdrza, tylko wówczas nie drażnił już, nie zniechęcał, ale stał się bardziej sygnałem rozpoznawczym, identyfikującym. Wysiedli z całą grupą innych turystów na pięknym secesyjnym dworcu w Sóller, stamtąd wzdłuż torów tramwajowych skierowali się na Plaża de la Constitució, pozostawiając nieco za sobą modernistyczną fasadę kościoła Sant Bartomeu. Mimo natłoku turystów odnosiło się wrażenie, że jest tu jakby jeszcze ciszej. Ludzie zdawali się mówić szeptem, jakby bali się, by ich rozmowy nie podsłuchali miejscowi, którzy o tej porze udawali się na sjęstę do swoich kamiennych domów.

Przysiedli w jednej z wielu przyklejonych do starych budynków kawiarenek. I tu było jakby ciszej, a ruch, o ile nie zamierał zupełnie, to z pewnością powolniał. Przy pobliskich budynkach ustawione były ławeczki, stoliczki, przy których zasiadali pewnie miejscowi mężczyźni, sącząc świeże soki lub piwo i pykając fajki. Wyglądali tak, jakby absolutnie ten tłum ludzi wyległy z owej kolejki, z autokarów, samochodów nie robił na nich żadnego wrażenia. Półprzymknięte oczy rzadko otwierały się choćby w najmniejszym zdumieniu.

Łucja wyobraziła sobie Edwina opartego o drewniane, stare krzesło, nieruchomego, przytrzymującego czas. Pomyślała, że chciałaby tu przyjechać, gdy

już będą tacy starzy jak ci mężczyźni.

– Widzisz ich? – zapytała. – Zobacz, nie przeszkadza im ani upał, ani ludzie. Pewnie siedzą tu codziennie od lat. Całkiem jakby ktoś im nakazał być elementem krajobrazu albo jakby bawili się w raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy.

Edwin popatrzył na nią z lekką kpina, jakby zupełnie nie rozumiejąc, co ma tu do rzeczy Baba Jaga i skąd takie skojarzenia, ale uśmiechnął się i wziął się do czytania rozmówek. Młody kelner, lawirując między stolikami, podszedł właśnie do nich, witając ich serdecznie uśmiechem. Łucji nie wiedzieć czemu zrobiło się go źal. Musi biegać jak poparzony, bo oto zachciało się wszystkim a to piwa, a to kawy, a to wina, zamiast kimać wśród cienistych krzewów. Chłopak podał im menu. Szybko, wskazując palcem poprosiła o deser lodowy i wino.

– Chciałbyś tu żyć? Tak wolno, leniwie. Myślisz, że oni mają inne problemy?

Mężczyzna najwyraźniej nie wykazywał chęci do rozmowy, jak tutejsi poddał się owej sennej atmosferze sjesty.

Sóller jeszcze drzemało, gdy postanowili ruszyć jego ulicami. Pozamykane, charakterystyczne okiennice podobne trochę do rolet, trochę do żaluzji wyglądały niczym zielone prostokąty na kamiennych murach, tak samo wysokie, jakby wykonane na zamówienie dla wszystkich mieszkańców. Miasteczko stanowiło płataninę wąziutkich, biegnących we wszystkich możliwych kierunkach uliczek. Było pusto, tylko od czasu do czasu mijały ich pary podobne do nich, które próbowały zagubić się w tym labiryncie wąskich zaułków, wygłaskanych chodników, domów oddalonych od siebie niemal na wyciągnięcie rąk, tak że częstokroć naprzeciwległe balkony dotykały siebie, a rośliny płątały się w niezwykle girlandy kolorowych kwiatów, które miejscami tworzyły wspaniałe kopuły przysłaniające niebo.

Szli, trzymając się za ręce, delektując się owym niezwykłym widokiem. Raz po raz Edwin mocniej ścisnął dłoń żony, na co ona reagowała oplatanie palców wokół jego ręki i przytulała się do jego ramienia. Zamierzali jeszcze przejechać się starym tramwajem z otwartymi wagonami, ale zrezygnowali. Pchani zrodzonym tu nieoczekiwane pożądanie, chcieli jak najszybciej znaleźć się w hotelu. Przemieszczając się bocznymi uliczkami, dotarli do przystanku, skąd za kilka minut lokalny autobus miał ich zawieźć do Palmy.

Do Palmy była zaledwie godzina jazdy. Gigantyczne szczyty Serra d'Alfàbia robiły wrażenie, jakby miasta oddzielone były od siebie o setki kilometrów, a nie znajdowały się tuż za górą. Droga wiła się dziesiątkami serpentyn, przed nimi rozciągały się bajeczne widoki na połyskujące morze, w którym zachodzące słońce topiło pierwsze promienie. Opuszczali Dolinę Pomarańczy.

*

W pokoju dopadli do siebie, wygłodniali, w gorączkowym pośpiechu, zrzucając z siebie ubrania. Kochali się bezsłownie, długo. Nawet nie zauważyli, jak zrobiło się ciemno, a na ulicach wzmógł się ruch. Różnokolorowe światła bulwarowych kawiarni, tawern, restauracji i pubów odbijały się w morzu, które mieli na kilkanaście metrów przed sobą. Kakofonia dźwięków. Zlewały się, mieszały, jakby ktoś nagle uwolnił wszystkie odgłosy świata. Tuż pod ich tarasem jakiś skończony saksofonista z trzydniowym zarostem, w niedopranym dzinsach ciał – nawet dość dobrze, z doskonałym wyczuciem rytmu – *Unforgettable*. Nieco dalej przy kamiennym murku graniczącym z parkiem, w którym od rana obserwowali rozkrzyczane zielone papugi niski Peruwiańczyk o sfatygowanej twarzy wygrywał na „fletni Pana” (tak głosił odręczny napis na kartonie, za którym ustawiona była skrzyneczka na datki) cikliwą *La Palomę*. Z pobliskich restauracji dobiegały dźwięki gorącej południowej muzyki, a tuż za nią Julio Iglesias swym aksamitnym, seksownym głosem śpiewał *Amor, amor, amor. Nació de tí, nació de mí, de la esperanza...* Na murkach przy deptaku rozkładali się kolejni muzycy, prestidigitatorzy, mimowie – ci, którzy tutaj szukali zarobku. A nad tym wszystkim huczało morze.

Było już koło północy, a gwar nie cichł, tłum robił się coraz gęstszy i głośniejszy. Ludzie spacerowali, spaleni słońcem, szukający wytchnienia od upału. Miasto budziło się do nocnego życia.

Stała na tarasie, wdychając powietrze z taką siłą, jakby chciała pochłonąć i morze, i ludzi, i cały ten nocny zgiełk. Kafle wciąż grzały w stopy. Powietrze drżało z gorąca. Wróciła do pokoju. Przymknęła okno. Tu było cicho. Tylko jednostajny szum klimatyzacji. Edwin spał, zwinięty w kłębek jak kot. Na podłodze obok walało się wymięte prześcieradło. Położyła się do łóżka. Dopiero teraz poczuła, że bardzo pragnie mężczyzny. To, co się skończyło zaledwie pół godziny temu, było zaledwie preludium. Edwin oddychał równomiernie z zadowoleniem zastygłym na twarzy. Trąciła lekko jego ramię. Wymamrotał coś niewyraźnie. Jeszcze chwila i zostawi ją samą z tym niespełnieniem. Musiała go sprowokować, rozbudzić, zachęcić. W ich małżeństwie nigdy nie mówiło się o seksie otwarcie. I chociaż w łóżku zdarzało im się przekraczać wszelkie granice, poza nim temat pozostawał tabu. Teraz leżała, ściskając uda, próbując zdławić w sobie uczucie podniecenia, ale ono rozplątywało się po niej jak światło w ciemnym korytarzu. Było gorąco. Postanowiła wstać i pójść pod natrysk. Zapaliła światło w łazience, jeszcze raz jej wzrok zatrzymał się na ciele jej męża coraz głębiej zapadającego w sen. Strumień letniej wody chłodził przyjemnie. Spływał po plecach, piersiach, brzuchu. Przymknęła oczy, pozwalając wodzie wtargnąć do nosa, uszu, do ust. Spijała ją, wypływając nadmiar. Mokre pasma włosów przyklejały się do twarzy, oblepiały plecy, zgarnęła je w zaciśniętą dłoń, zwinęła w ślimak i spięła luźno klamrą.

Wróciła do łóżka. Mokrym ciałem przyłgnęła do Edwina. Z początku poruszył się niecierpliwie, ale zaraz potem odczytał sygnały, bo w pełnej gotowości przystąpił do gry. Kochali się powoli, z rozmysłem. Płatali się ze sobą. Rękoma. Nogami. Pokój wypełniały odgłosy ich westchnięć, uderzanie ciał o siebie, stłumione krzyki.

Kiedy skończyli, Łucja rozciągnęła się na łóżku z poczuciem niewyobrażalnego zadowolenia, z ulgą spełnienia, choć w gdzieś w podbrzuszu czaił się pewien niedosyt.

Uśmiechała się do siebie.

– W ogóle nie smarujesz się tym balsamem, który ci kupiłam – rzekła. – Masz całe ciało suche, łuszczące się. – Przeciągnęła ręką po jego plecach. Wzdrygnął się lekko. Zabrała rękę.

– No widzisz – odpowiedział jakby zupełnie bez związku. Zasnęli. Zaspokojony. Dumny ze swej męskości.

– Muszę wstać, napisać coś – powiedziała w noc, bo on już spał, pochrapując. – Nie chrap! – szepnęła. Edwin pomruczał coś i ucichł.

*

Na zewnątrz cichło, od czasu do czasu słychać było pojedyncze przyciszone głosy. Ale upał nie odpuszczał. Żadnego ruchu powietrza. Z sąsiednich pokoi dochodziły jakieś strzępy rozmów w obcym języku, gdzieś obok kobieta płakała spazmatycznie, gruby męski głos usiłował przebić się przez szloch, ale chyba nie bardzo się udawało. Było bardzo późno. Na horyzoncie niebo łączyło się z morzem, tworząc nieskończoną przestrzeń. Łucja pomyślała, że właśnie tak może wyglądać nicość. Jakiś koniec. Tylko bezgraniczna czerń.

Nie chciało jej się spać. Czuła się wolna.

*

Wracali na Majorkę co rok... Ona dla tych myśli i widoków, on zaś dla spokoju i błogiego lenistwa. I jeszcze dla niej, bo wydawała mu się szczęśliwsza. Taka dawna, jaka tkwiła w jego umyśle i którą przywoływał niezwykle rzadko i tylko wtedy, kiedy coś nakazywało mu oderwać się od realnego świata „tu i teraz” i spojrzeć wstecz.

któryś dzień po TYM

Łucja usiadła na wprost lustra. Jak co dzień. Patrzyła na siebie. Miała siebie naprzeciw, tę znaną, z przerobionym zestawem min. Czasem jej uwagę przykuwały detale, które mnożyła: a to rysa na czole, a to plamka na szyi, to znów pajęczyna żyłek na twarówece. Ale bywało i tak, że patrzyła zupełnie bezwiednie. Jakby naprzeciw nie było jej twarzy, ale jakaś nienazwana, absolutnie nieokreślona pustka. To chyba nazywa się „nic”. Podparta na łokciach przytrzymywała rękoma głowę, jakby ta miała za chwilę spaść i poturlać się w nieznanym kierunku jak piłka. Zastanawiała się, co ją jeszcze w życiu czeka. Jakimś zrządzeniem losu musi żyć, nie wiedzieć po co i jak długo. Zresztą przyszłość jest bzdurą i przeszłość była bzdurą. Nie umie sobie odpowiedzieć na pytanie, co dotychczas było sensem jej życia. Jaka była przeszłość, w której mieszkała? Jaki był czas, w którym żyła? To wszystko za dużo dla niej, by ogarnąć to myślami.

Mięśnie mimiczne jej twarzy były absolutnie nieporuszone. Jakby z lustra wyzierała woskowa maska. Zmarszczyła czoło, wykrzywiła usta. A więc ta w lustrze to wciąż ona. Nie wyszła poza przeciętność, nie doświadczyła ani żadnego dramatu, ani niewiarygodnego szczęścia. Bo przecież odejście Edwina nie było dramatyczne. Było zaskakującym faktem, niepoprzedzonym żadnymi przesłankami. Bo przecież zauważyłaby... A nawet jeśli nie... To była chwila, w której on zrezygnował z niej. A może też – jak ona – nie miał pomysłu na przyszłość. Ich przyszłość. Może miał dość życia od poniedziałku do piątku. Tej monotonnej powtarzalności.

Najbardziej bodaj w świecie przerażała Łucję jej nijakość. Teraz wiedziała. Zabrakło jej konkretnych rysów, wyraźnych kształtów, indywidualizmu, który mogłaby nosić z godnością. Takiej plakietki „To ja – Łucja”. Ona przystała na wszystko, co się zdarzało. Bez dyskusji, bez refleksji. A on? Czy tego właśnie od niej oczekiwał?

*

Kiedyś Łucja chciała nauczyć Edwina mówić, ale nie udało się. To było wtedy, kiedy ich jedność straciła dotychczasową spoistość. Zaczęło się to wówczas, kiedy ona miała dzieci, a on firmę. Tak krok po kroczku przestawali stanowić wspólną część. I wówczas Łucja dostrzegła jego brak i na powrót zapragnęła być częścią jego życia, podzielić się z nim swoim życiem. Ale nagle, nieoczekiwanie dla siebie samej zauważyła, że już nie może. Że w międzyczasie zdarzyło się coś, co pozostaje poza jej wolą. Nieokreślone odrętwienie. Totalna niemoc. A czas robił swoje. Godziła się na upływ czasu. Niekiedy, gdy byli blisko, szukała słów, ale one uleciały, rozproszyły się. Albo zatrzymywały się w pół drogi, wisząc ciężko nad nimi jak gradowa chmura.

I tak zostało między nimi. Wszystko działo się bez potrzeby używania słów.

Jeśli padały, to nieistotne. I Edwin takie lubił. Kiedyś lubił jej głos, jego barwę nieco niską, aksamitną. Lubiał, jak mówiła. Wsłuchiwał się w melodię jej głosu tak, jak słucha się piosenek w obcym języku, gdzie sens zdaje się nieistotny. Ale z czasem Łucja przestała też mówić.

*

Siedziała przy lustrze. Stały zestaw rekwizytów. Kobieta z lustro, mężczyzna z fotografii i wino. Była samotna. Żalostne jest takie sformułowanie, żalostne zwłaszcza po tym, co jej zrobił. Bo przecież chyba zawsze była samotna. Może tylko z wyjątkiem tych kilku lat owej młodej miłości do dnia, kiedy z Łukaszem przekroczyła próg domu. Dziecko wywraca świat, choć jest takie maleńkie, słabe i nieświadome. Wtedy zdawało się, że wszelkie zmiany są tylko na chwilę. Na chwilę więc zrezygnowała z miłości, z wolności. Na chwilę odsunęła się od Edwina, by nauczyć się nowej roli. A potem już nauczyła się perfekcyjnie odsuwać od wszystkiego. I zawsze na chwilę. Przyzwyczała się do tego swojego poczucia tymczasowości. Wówczas jednak z całej siły wierzyła, że wszystko będzie można zmienić, a powrót do początku będzie tylko banalnym przestawieniem się, bo przecież Łucja nie zakładała żadnej zmiany. Było dobrze. Ale z czasem okazało się, że już nic nie jest takie samo.

Na początku małżeństwa tęskniła za tą miłością ze starej kamienicy, za szeptami, za słowami, za jego niecierpliwymi rękoma, ale nie wiedzieć kiedy tęsknota zmieniła kształt, a właściwie stała się bezkształtna. Pojawiała się z rzadka, ale Łucja rozpoznawała ją bezbłędnie. Po kluciu w piersiach. To był taki znamieny ból, z jednej strony uciskał, ale w rzeczywistości mościł się w tkankach, krążył w krwiobiegu, wzmagał się, nabrzmiewał, a na koniec, kiedy już nie miał ujścia, wylewał się na zewnątrz. A wtedy Łucja zakrywała twarz, udając, że kicha, i potem jeszcze przez chwilę chowała głowę w dłoniach, na wypadek gdyby jakaś łza przedostała się na zewnątrz.

Edwin nigdy nie pytał. Edwin nigdy nie widział. Edwin nie zadawał sobie pytań: czy jest jej dobrze, czy jest szczęśliwa, czy czegoś pragnie. Jakoś w ogóle trudno jej było sobie wyobrazić myślenie Edwina. Edwin myślał o faktach, nie o emocjach.

Z roku na rok coraz bardziej odgradzała się od świata niewidzialnym murem, jemu też było tak dobrze. Miał ją w domu, na wyłączność. Jak jego ojciec matkę. Nie chciała myśleć, że to on – Edwin stał się przyczyną, że trzymała się z dala od rodziców, od rodzeństwa, od koleżanek. Tych w zasadzie nie miała, ale i nie szukała. Wygasły w niej wszelkie potrzeby, uspiły się. A potem bała się je zbudzić, bo już nie wiedziała, co z nimi począć. Nauczyła się być taka minimalna. Niekiedy odzywała się w niej tęsknota. Niekiedy uwierało ją to jak ciasny gorset, ale szybko

przeganiała to uczucie.

Mogła kiedyś od niego odejść. Nawet czasem chciała. Ale brakowało powodu. Nie odchodzi się, gdy brak winy. Kogo miałaby obarczać winą? Jego za brak słów czy siebie za nieokreślone tęsknoty?

pewnego czerwca kilka lat przed TYM

To było na osiemnastce Anki. Anka intensywnie przeżywała wkraczanie w dorosłość. Już na kilka miesięcy wcześniej piekliła się w związku z imprezą. Gdzie, ile osób. Znajomy Edwina, który miał wobec niego pewne zobowiązania, zaproponował, by urządzili urodziny córki w jego nowej sali, którą postawił wraz z kilkoma bungalowami na uboczu pobliskiej wsi.

– Po co macie przepłacać tu w mieście, u mnie półdarmo, a dodatkowym plusem jest, że z dala od ludzi. Nikt nikomu nie będzie przeszkadzał.

Zresztą już jakiś czas temu chciał się pochwalić i zapraszał ich serdecznie. Przestrzeń była na tyle duża, że spokojnie mogli się pomieścić i znajomi Anki (sprosiła chyba z pół szkoły), i rodzina. Oprócz nich i dziadków była jeszcze tylko Janka z mężem oraz Konrad – sam, bo wówczas już był po rozwodzie, i Agnieszka z mężem. Łukasza nie było. Rzadko brał udział w takich spotkaniach. Odstał od rodziny. Łucja czasem myślała, że syn postępuje dokładnie tak jak oni. Przysłał Ance jakiś drobiazg, choć zapewne była to sprawa jego żony. Wszystkie kartki świąteczne, imieninowe wychodziły spod jej ręki. Łukasza świat był wciąż nieco przymknięty. I chyba dobrze mu było tkwić tak trochę w ukryciu.

Miejsce rzeczywiście było ustronne i pięknie położone. Na samiutkim końcu wsi. Nawet jeszcze porządnej drogi nie było. Od głównej należało skręcić w lewo i szutrową drogą pełną wybojów dojeżdżało się na skraj lasu. Dom stał przy niewielkiej rzeczce, która podczas większych ulew stawała się krnąbrna i niebezpieczna. Wszędzie pachniało wilgocią i grzybami. Cisza i spokój, tylko ptaki świergotały poskrywane w gęstych koronach.

Jakoś wcześniej razem ustalili, że Edwin nie będzie pił i wróć do domu. Mieli wprowadzić zaproszenie właściciela, co było poza kosztami urodzinowego rozliczenia i mogli swobodnie pozostać na nocleg, ale ciężko było im się zdecydować. Głównie też za sprawą Anki nie chcieli tu spać, bo część pokoi i pobliskie domki mieli zająć jej goście. Poza tym doskonale wiedzieli, że Anka po cichu marzyła o tym, by trochę się pogościli z innymi dorosłymi, a potem dali jej wolną rękę. Zwłaszcza że przecież w programie była jeszcze zabawa, a młodzi jak to młodzi nie zmierzali po wszystkim iść grzecznie do łóżka. Zresztą od początku Anka nie była ucieszona z pomysłu, by odbyła się jedna impreza dla jej rodziny

i dla jej przyjaciół. Chciała to rozdzielić, ale ojciec stanowczo zaproponował, kalkulując koszty urodzin. Wreszcie ustąpiła, choć wymusiła na nich, by po części oficjalnej pojechali do domu. Że to obciach, żeby rodzice byli do końca i że będą się z niej śmiać. I jak tak, to po co było tyle jechać, skoro można było to zrobić na miejscu! Ona, jak zawsze, musi inaczej niż inni! Jej koleżanki urządzały osiemnastki w klubach, a rodzice pojawiali się tylko, by dowieźć piwo i na koniec, by zapłacić. Może jeszcze niech zakupią ileś egzemplarzy śpiewnika harcerskiego! Nie mogą uwierzyć, że ona ma dość rozsądnie poukładane w głowie. Nie na darmo przecież jest ich córką, bo to niedaleko jabłko... Sami tak powiadają!

Koniec końców zdecydowali, że wrócą wcześniej. Poza tym Edwin był bardzo zmęczony i chciał najzwyczajniej na świecie mieć córki urodziny z głowy. Przez kilka ostatnich tygodni realizował wielki projekt, który chyba nieco wyrastał ponad jego możliwości, nie w sensie finansowym, czy też wykonawczym, ale bardziej fizycznym. Wymagał bowiem wiele energii, a również i powściągnięcia emocji, bo wiadomo jak to z budowlańcami. Jak człowiek nie rzuci mięsem, nie trzaśnie drzwiami raz i drugi, to trudno do nich dotrzeć. Łucja przymykała więc oczy na to, że był wciąż albo poirytowany, albo nieobecny.

*

Koniec czerwca tego roku był szczególnie gorący. I choć od lasu i rzeki szedł lekki powiew, to i tak nawet pod wieczór powietrze było nagrzane. Impreza kręciła się. Anka biegła szczęśliwa jak nigdy dotąd. Zapomniała o wszystkich fochach. Młodzi ze starymi, nawet dziadkowie dowcipkowali z Anki kolegami, widać atmosfera zabawy i im się udzieliła. Łucja miewała właśnie te chwile szczęśliwości, w których zapomniała o sobie, cieszyła się szczęściem innych. Edwin był dumny z siebie. Bo to dzięki jego koneksjom córka brylowała wśród swoich znajomych z rozpalonymi policzkami. Rozsyłała uśmiechy. Co jakiś czas cmokała ojca, dziękując za wszystko. To za jej namową Edwin skusił się najpierw na symboliczną lampkę szampana, a potem leciały toasty: za rodziców, za przeszłość i przyszłość, za miłość córki i do córki. Puściło napięcie, zapomniał o przerwanych obowiązkach. Po którymś głębszym nawet nie spoglądał na telefon. Czuł w sobie ten luz, przed którym zawsze się wzbraniał.

– I jak wrócimy do domu? – spytała Łucja, kiedy znaleźli się oboje z kieliszkami w dłoni na tarasie. Las pachniał żywicą. Momentami dochodził specyficzny zapach pieczonych kielbas.

Machnął ręką.

– Jakoś to będzie. Najwyżej przenocujemy tu. – Lekko chwiał się na nogach, język mu się plątał.

Było to rozczulające. Już dawno nie widziała go w takim stanie. Śmiesznie

wglądał, strojąc miny, kiedy za wszelką cenę chciał ułożyć tak usta, by słowa były wyraźne. Nagle zapragnęła się do niego przytulić, chciała go całować, dotykać. Miała w głowie zamęt. Wyobraziła sobie, że są znów młodzi, że znajdują się w starej, opuszczonej kamienicy, że uciekli przed całym światem i tylko stary Zyga strzeże ich intymności. Ale to alkohol. I emocje. Wszystko naraz. Było jej jednak obojętne. Pragnęła go. Podeszła do Edwina. Chciała go objąć, położyć głowę na jego ramieniu. Była o krok, ale nierówności desek spowodowały, że potknęła się, wylewając zawartość kieliszka na Edwina. Brzęk tłuczonego szkła otrzeźwił ich oboje.

Odskoczyła na bok. Pusty śmiech wstrząsał jej ciałem.

– O Jezu... Edwin... ale... prz... rze... praszam...

Nieopanowany chichot zamieniał się w bełkot. Próbowwała mu jakoś pomóc, ale słaniała się, nie potrafiąc przestać się śmiać. Nie widziała błyskawic w jego oczach, nie zauważyła, że nagle się spał, wytrzeźwiał.

– Jesteś pijana – syknął wściekły, nieporadnie ścierając plamę ze spodni. Schyliła się, żeby mu pomóc, ale papierowa chusteczka pozostawiała białe farfocle, a plama jak była, tak była. Jej zmagania były bezsensowne. Dopiero po chwili ich spojrzenia się spotkały. I nie było to miłe spotkanie. Wyczekujący wzrok Edwina, pełen zdumienia i złości. Jakby liczył na to, że oto ona nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, spowoduje, że plama ciach-mach zniknie.

– Nic z tego! Musisz pozostać z takim rozlewiskiem. – Chciała, by to zabrzmiało zabawnie. Podniosła się z klęczek. Wyrzuciła chusteczkę do kosza.

– Jak ty to sobie... wyobrażasz – zachnął się Edwin. Rękoma próbował przysłonić plamę. – Jak będę chodził? Przecież to wygląda, jakbym się posikał... Wyglądam jak... jak... jakiś obwieś!

Łucja znów buchnęła śmiechem. Oto jej niemy mąż odzyskał głos, bo wylała mu wino na spodnie. I mówi, mówi, mówi...

– To ściągnij spodnie! Przecież jest ciepło! No już! Wypiorę, wyprasuję i zaraz przyniosę. O! Pss! Czary-mary... – żartowała.

Co mogła zrobić? Wymaga od niej cudów! Ale przecież ona świetnie radzi sobie w takich sytuacjach. Rozlane rosóły na niedzielnych spodniach, strącone z widelca kawałki mięsa na niedzielnym obrusie. Przecież to jej codzienność! Napięcie rosło, ale teraz jej wszystko wydawało się bez znaczenia. Wino szumiało w głowie.

W oddali słyhać było muzykę, rozbawione głowy. Zabawa trwała w najlepsze.

– Łucja! Proszę cię! Nie żartuj ze mnie! – Był coraz bardziej naburmuszony. A ona jak nigdy wesółą, swobodną, jakby naraz puściły wszystkie wentyle. Rozbawiła ją ta sytuacja.

W pewnej chwili spojrzała na męża. Był naprawdę wściekły. Nerwowe tiki,

które tak dobrze kojarzyła, przecinały jego skroń. Usta zaciśnięte mocno, że prawie nie było ich widać, tylko ciemniejsza kreska jak namalowana flamastrem. Gdzieś z podświadomości dochodziły do niej sygnały. Starła się je odczytać. Coraz dokładniej składała wszystkie znaki i po chwili wiedziała, że dla nich zabawa już się skończyła. Nagle zapragnęła kłótni. Awantury. Chciała krzyczeć i żeby on krzyczał. Chciała zobaczyć jego nerwy. Usłyszeć cokolwiek, co podważyłoby podejrzenie, że jest po prostu tylko zwykłym chłodnym gburem, który zagubił gdzieś wszelkie uczucia.

– Nie żartuję! A... a... właśnie, że żartuję! – rzuciła zaczepnie. – Tak, żartuję! Z ciebie, z całej tej bzdurnej sytuacji! A co mam zrobić? Zdmuchnąć ci płamę? A jakie ona ma znaczenie? Płama! – Wzruszyła pogardliwie ramionami. – To idiotyczne! Może mam na kolana paść? Co?! Błagać o przebaczenie? – Teraz w niej wzbierał gniew. Nie miała pojęcia, co robić. To było nienormalne! Głupia płama! Tyle lat nie podnosił głosu. Wszystko, cokolwiek mówił, brzmiało tak samo. Żadnych tonów, żadnych przycisków. A tu nagle. Głupia płama! I co ona może na to? Pstryknąć palcami! Ot! Zaczarować!

Łucja odwróciła się w stronę męża i powiedziała coś, co nigdy jej się nie zdarzyło. Nie te słowa. Nie ten język.

– Wiesz co? – zaczęła powoli. – Gównu mnie obchodzą twoje spodnie.

I zmierzała w stronę wyjścia. Wszelkimi siłami starała się iść prosto.

– Wobec tego idź już spać! – usłyszała za plecami. – Rzeczywiście jesteś pijana.

W ostatnich słowach była niechęć i pogarda, jakiej się nie spodziewała. Wszystko się w niej obruszyło, chciała się bronić, tłumaczyć:

– Ależ...

Zrezygnowała. Głos jej utknął gdzieś w połowie między krtanią a gardłem.

– Sam idź do cholery!

Odwróciła się. Zeszła z tarasu. Musiała się opanować. Nie chciała, by ktoś poznał po niej, że coś się wydarzyło. Rosa zebrana na trawie przyjemnie chłodziła, z oddali dochodziły głosy jakiejś ściskającej się pary. Była wściekła i rozgoryczona. Nie rozumiała zachowania męża. Od początku wieczoru był dla wszystkich przyjemny i jakby całkowicie wyluzowany. Wiedziała, że ostatnimi czasy firma zajmuje go bez reszty, ale dzisiaj wydawało się, jakby sobie nieco odpuścił. A tymczasem okazało się, że wszystkim darował spokój i humor, tylko nie jej. Poczwała, jak łyzy napływają jej do oczu. A może rzeczywiście za dużo wypila? Wracala już do sali. Zabawa trwała.

Był w środku, zaraz też zajął się żegnaniem Konrada, który wyjeżdżał, zabierając ze sobą rodziców Łucji oraz Agnieszkę, która uparła się, że musi razem z rodzicami wracać do domu. Janka miała jeden z tych podłych dni, kiedy to nie radziła sobie z bólem głowy. Wszyscy znali historię omdleń, karetek, wymiotów.

Nie pozostawało nic innego, jak tylko współczuć, choć przez lata zdołano się przyzwyczaić do tej niedyspozycji, która tak szybko jak się pojawiała, tak szybko i znikwała.

*

Przyjaciele Anki bawili się w najlepsze. Edwin rozmawiał z Janki mężem, Ryśkiem. Gestykulował z ożywieniem, ręką wciąż pokazywał na spodnie. Była pewna, że psioczył na nią, bo tamten co chwila zerkał w jej stronę. Naraz zostawił Edwina.

– Łucja!– zawołał Rysiek na jej widok. – Zatańczymy? Chodź, pokażemy dzieciakom, jak się tańczy.

Nie przepadała za mężem Janki, ale odezwała się w niej jakaś dziecinna chęć zagrania własnemu na nerwach. Chciała go ukarać.

Trzymając się sztywno, by udowodnić mu swoją nienaganną dyspozycję, poszła tańczyć. W lustrze za plecami zdołała zobaczyć Edwina idącego po schodach. Poszedł spać. Udało się przenieść dwie koleżanki córki do któregoś z domków.

*

Na sali panował półmrok. Kilka par przestępowało z nogi na nogę, bardziej gadając, niż tańcząc. Z głośników ustawionych pod ścianą, na której rozpięta była rybacka sieć z powtykanym mnóstwem kolorowych kwiatów, pomiędzy którymi wiły się żywe gałęzie bluszczu, dochodziły dźwięki *I like Chopin*. Ktoś zgasił światło. Dziewczyna, którą Łucja pierwszy raz w życiu widziała na oczy, jakaś kolejna koleżanka Anki, łąsiła się do rudego chłopaka o twarzy jednego z bohaterów filmu *Stawiam na Tolka Banana*. Na szarym końcu płaśła zlepiona inna para. Zastygła jak ryba w galarecie.

Gazebo – włoski Libańczyk wciąż wyśpiewywał swą sentymentalną *I like Chopin*.

Świat tracił kontury. Znikały pionowy i poziomy. Było tylko falowanie.

Łucja była na parkiecie. Trochę zamroczona, trochę wściekła. Mocny uścisk Ryszarda i przyspieszony oddech, w którym czaił się zapach trawionego alkoholu, nakazywał jej trzymać fason. Mężczyzna niezłe poruszał się w tańcu. Czowała, jak raz po raz zaciskał palce na jej plecach, to znów okręcał ją, przechylał, wisząc tuż nad jej twarzą. Taniec porywał ją. Co chwilę wypadała z ramion Ryszarda i znów w nie wpadała. On zaś wyginał się, wykonując sprawne, sprężyste ruchy biodrami niczym wytrawny tancerz. Lekko zachrypłym głosem wtórował soliście, przesywając ją wzrokiem. Łucja poddawała się rytmowi, chciała być zmysłowa.

Kokietowała. Nie przestawała też i wówczas, kiedy dotyk mężczyzny stawał się jednoznacznie nachalny. Zdawała sobie sprawę z tego, że mąż jej przyjaciółki ją emabluje. Czuła, że to, co się dzieje, jest nienaturalne, że zbliża się do niebezpiecznej granicy, ale nie wzbraniała się. Potrzebowała tego. Szumiało jej w głowie. Nagle Anka wpadła z propozycją przeniesienia się do ogniska. Że na zewnątrz cudnie jest, że ognisko do nieba. Wszyscy z aplauzem przyjęli ten pomysł.

Noc przyniosła ulgę od całodniowego upału. Blask od ognia rozrywał wszechpanującą ciemność. Nie zareagowała, kiedy Ryszard położył rękę na jej ramieniu, choć zdawała sobie sprawę, że z koleżeńskim gestem niewiele ma to wspólnego. Ale taka atmosfera, taka dziwna noc...

Młodzi zaczęli jakąś zabawę, której towarzyszyły salwy śmiechu. Łucja patrzyła na rozdawaną córkę.

Chwilę przyglądali się młodym, a potem postanowili wrócić.

– Tak przyjemnie, chodźmy może przejść się kawałek, szkoda nocy – zaproponował Ryszard.

Zgodziła się. Nie miała pojęcia dlaczego.

Szli powoli, rozciągając kroki, jakby chcieli sobie dać czas na myślenie. Milczenie, które zapadło między nimi, przerywały jakieś banalne słowa. Tak! Jest pięknie i ciepło, choć to przecież jeszcze nie lato. Impreza udana. Anka! – Oj tak! Nie wiadomo, kiedy ten czas minął. Wyrosła. Osiemnaście lat! Jakby to było wczoraj.

Śmiechy młodych oddalały się. Któryś z kolegów zaczął grać na gitarze i po chwili las wypełnił się śpiewem. Anka ironizowała, żeby kupili śpiewniki, a tu proszę! Leciały w przestrzeń ballady ogniskowe. Łucja знаła je, choć rzadko kiedy bywała tam, gdzie grano i śpiewano. Ale dźwięki gitary zawsze budziły w niej uśpione tęsknoty.

Lekki wiatr poruszył gałęziami i zaskrzypiało, jakby ktoś czał się gdzieś w pobliżu. Kobieta rozejrzała się, ale nikogo nie było, tylko jakieś małe zwierzę czmychnęło pod nogami. Może wiewiórka.

Mężczyzna oddychał głośno, słycać było jak głośno wypuszcza powietrze i przelyka ślinę. Czuła się odurzona, leśnym zapachem, alkoholem.

Oddalali się od ogniska. Było ciemno. Tylko słaba poświata majaczyła spomiędzy gęstych zarośli. Poczła lekkie szarpnięcie. Zdecydowanym ruchem przyciągnął ją do siebie. Nie protestowała, gdy jego język wsuwał się w jej usta. Nerwowo i despotycznie. Przycisnął ją do drzewa. Ręce niespokojnie błądziły po jej ciele, bezwolnie poddawała się ich ruchom. Tłumiła w sobie westchnienia i jęki. Do czasu, kiedy zdawało jej się, że stan jej podniecenia sięgnął już tego punktu, w którym nic nie będzie mogło powstrzymać jej od krzyku. Zatykała usta wierzchem dłoni, wgryzała się w skórę. Wszystkie jej tkanki, mięśnie prężyły się

bezwstydnie. Krew przetaczała się burzliwie. Miała wrażenie, że zaraz upadnie, gdyby nie mocne ramiona Ryszarda oparte o pień drzewa. I ona uwięziona w środku.

Kiedy skończył, obciągnęła spódnice. Tkwili tak jeszcze wtuleni w siebie, wytrzeźwiali, zdumieni tym, co się stało. Delikatnie, ale zdecydowanie wyswobodziła się z jego objęć, musnęła go w policzek.

– Chodźmy spać – powiedziała spokojnie, jakby nic się nie stało, jakby fakt, że przed momentem bez najmniejszych skrupułów oddała się mężowi jedynej przyjaciółki, pozostał tylko nieistotnym zdarzeniem, niewymagającym ani refleksji, ani komentarza.

Rano obudziła się obok Edwina. Spał. Łucja leżała z szeroko rozwartymi oczami. Musiało być jeszcze bardzo wczesnie. Była wyspana i rześka. Za oknem czubki sosen dziobały błękitne niebo, na którym nie widać było żadnej chmury, tylko jaśniejące słońce. Dzień zapowiadał się pogodny. Przypomniała sobie minuta po minucie wydarzenia minionej nocy. Nie żałowała niczego, nie przejęły jej żadne wyrzuty sumienia ani wstyd. Wiedziała, że już nic nie pozostanie takie samo. Nie cofnęłaby czasu... Ale chciała już o tym zapomnieć. Na zawsze.

Edwin wstał, nie powiedział nic, zupełnie jakby poprzedniego dnia nie było. Ot! Tak zwyczajnie, jakby ktoś wyrzucił jedną kartkę i z nią wszelkie minione zdarzenia.

*

Potem nadeszło lato. I wszystko jakoś się rozmywało i bledło...

jakiś czas przed TYM

Ale potem był ten wyjazd w góry.

*

Mając tyle lat, przeszedłszy tyle i dobrego, i złego, nie spodziewała się, że życie ją jeszcze raz zaskoczy. Zaskoczy tak nieoczekiwanie dla niej. Pojechała razem z pracownikami Edwina na organizowane przez konsorcjum, które zrzeszało też i firmę męża, spotkanie integracyjne. Edwin musiał zostać, bo firma. Firma to, firma tamto. Zresztą Łucja nie mogła oprzeć się wrażeniu, że mąż wciąż chowa do niej urazę. Czasem myślała, że może jakimś dziwnym sposobem domyślał się tego,

co zaszło między nią a Ryszardem, chociaż to było absolutnie niemożliwe. Ani ona nie zdradziłyby się choćby w najdrobniejszym szczególe, ani tym bardziej Ryszard. Zresztą nie widzieli się od tamtej nocy, nie dzwonili do siebie.

Wyjechała więc w Bieszczady. Wyjechała mimo wszystko – miała to być jej odpowiedź na obojętność ze strony Edwina. A poza tym potrzebowała oderwania od wszystkiego. Nie dawała rady. Ciężko znosi się życie samej, bez wsparcia, bez miłości – samotnie. Tak samotnie, że w środku aż boli. Chciała przedumać, przechodzić smutki, rozczarowania, oczyścić się, nabrać sił, rzucić wszystko górom, by mieć siły do walki, którą miała stoczyć. Wyobrażała sobie rozległe zielenie przelamane już o tej porze roku czerwieniami o tylu odcieniach, że nawet nie usiłowałyby ich liczyć. Miały pochłonać to, co złe. Owa zieleń uspokajająca, kojąca ból, mająca magiczną moc uzdrawiania miała ją odświeżyć, wyposażyć w nowe pokłady energii, udroźnić żyły, oplecione smutkami. Cieszyła się na ten wyjazd. Nie szukała niczego. Nowych wrażeń, miłości, szczęścia. Pojechała, bo tak się trafiło. Pojechała trochę na przekór. A wreszcie może też, by tam w górach ostatecznie uporać się z ową zdradą, której się dopuściła, a której mimo wysiłków nie mogła wyrugować z pamięci. Wciąż czuła na sobie dotyk i smak ust. I mimo że Edwin nie był zadowolony z jej wyjazdu, Łucja czuła, że mąż dość lekko wypuszcza ją ze swoich rąk. Jasne, że „firma, interes firmy”, wiadomo, że „pańskie oko...” i tak dalej. Chyba obojgu potrzeba było wytchnienia od siebie.

*

Pojechała.

Ekipę stanowiła grupa niezależnych ludzi z różnych miejsc kraju. Niektórzy się znali, pozdrawiali się nawzajem, żartowali. Ale w większości były to dwu- lub trzyposobowe grupki. Łucja była sama. Edwin nie dzwonił. Jej telefony odbierał bezsłownie.

W ciągu dnia szli w góry. Autokar wiozł ich pod szlak i po żmudnej wędrówce połoninami czekał na nich na końcu szlaku. Nie lubiła, gdy ktoś chciał się do niej przyłączyć, i kiedy tak było, zbywała go milczeniem, aż w końcu ten ktoś zostawiał ją samą ze swoimi myślami. Szła sama, szła ciężka zdarzeniami, które ostatnimi czasy miały miejsce. Nie mogła powstrzymać płynących łez, zupełnie jakby wylewały się bezwolnie. Nie chciała płakać. Zlizywała słońcą wilgoć, jakby pragnęła, by ponownie weszła w jej krwiobieg, wypełniła tętnice, pulsowała w niej. Modliła się, podziwiała, tłumiała krzyk, który w żaden sposób nie dawał się zamknąć w piersiach. Obolała, ale oczyszczona wracała do pensjonatu.

Wieczorami wszyscy spotykali się w dużej sali, z której rozciągał się przepiękny widok na panoramę gór. Przy suto zastawionym stole, ciągnącym się wzdłuż okna przez całą salę, przy kolacjach zakrapianych grzańcami, piwem

i wszelkiego rodzaju drinkami śmiała się wraz z uczestnikami wycieczki, choć nie opuszczało jej wrażenie, że wszelkie żarty przechodzą poza nią, że jest niewidoczna dla innych albo przezroczyista. W istocie tak było. Przywykła do milczenia, obierała pozycję obserwatora.

tamten wieczór na jakiś czas przed TYM

Tamtego wieczoru okazało się, że on tam jest. Ryszard. Zobaczyła go. Pensjonat był ogromnym kompleksem zbudowanym w kształcie litery L, jego pokój mieścił się w dłuższym skrzydle. Nie widziała dokładnie jego twarzy, ale to był on. Stał na tarasie, oparty o metalową barierkę. Długo patrzył na okolicę, a potem jego wzrok przeniósł się na okna. Widocznie czegoś wypatrywał, bo głowa poruszała się wolno, chwilę zatrzymując się na kolejnym oknie. Odruchowo schowała się za zasłoną. Zgasiła światło. Obserwowała go. Widziała, jak podnosi telefon, rozmawia z kimś chwilę i zaraz wychodzi pośpiesznie. Nie zgasił światła. Widziała włączony telewizor. Obrazy zmieniały się, ale nie miała pojęcia, co leci. Obok w pokoju trwała jakaś ożywiona rozmowa. Kojarzyła głosy. Jeden należał do korpulentnej blondynki, która była bardzo hałaśliwa i przez cały czas przy byle żarcie wybuchała perlistym śmiechem, trzęsąc się i ukazując śnieżnobiałe zęby. Równe i kształtne. Całkiem jak z reklamy pasty Colgate. Inne głosy należały do małżeństwa z Gdyni. Chyba przeglądali zdjęcia w laptopie, bo zarówno on, jak i ona co rusz wpadali w zachwyty i od razu sięgali do przewodnika, by sprawdzić to, co ich tak bardzo zachwyciło. Z sali bankietowej cicho rozlegały się dźwięki *Tanga Budki Suflera*. Wokalistka o niskim głosie bez powodzenia naśladowała lidera zespołu.

Oparła się plecami o ścianę. Otuliła ramionami. Przymknęła oczy. Czowała rozplywające się ciepło, jakby wspomnienie tamtego wieczoru schowane gdzieś głęboko za warstwami wszystkich spraw, nagle wypęzło. Tęskniła za dotykiem.

Kiedy usłyszała pukanie do drzwi, zamarła. Żadnego ruchu. Oddychała przez nos, krótko i szybko. Czowała, jak jej ciało płonie. Dłonie spotniały. Wytarła je w rękawy. Pukanie, nieco silniejsze, powtórzyło się. Przyklejona do ściany przesuwiała się w kierunku drzwi.

– Łucja! Proszę, otwórz! To ja! – szeptał.

Był o kilkanaście centymetrów od niej. Dzielił ich ledwie krok, cienka hotelowa ścianka i drzwi. Klamka się poruszyła. Raz. Drugi.

– Proszę! Otwórz! Wiem, że tam jesteś. Łucja!

Przekręciła klucz. Tylko tyle. Nie miała siły nacisnąć klamki. Bała się jego

spojrzenia, jego ręk, a w końcu bała się siebie.

– Dlaczego? – zapytała, nie patrząc na niego. Wsunął się do środka.

Chwytał jej twarz w dłonie. Całował czoło, nos, usta... Nerwowe palce wplątywały się w jej włosy. Stała z opuszczonymi ramionami. Bezbronna.

– Dlaczego? – zdołała powtórzyć, ale już jego wargi gorączkowo znajdowały jej wargi.

– Powiedz, że nie chcesz. Powiedz to... – Rozpinał jej bluzkę. – Wyjdę, wyjadę.

Odepchnęła go od siebie. Poprawiła bluzkę. Trzymała go na odległość ramion.

– Ryszard, proszę cię – zaczęła. – Tamto nie powinno się zdarzyć! Musisz pozwolić mi o tym zapomnieć. Ty... ty też musisz zapomnieć... To wstrętne!... Janka...

Nie słuchał jej. Jeszcze raz zagarnął ją do siebie. Zdecydowanie poruszał w jej ustach językiem. Był silny i zdeterminowany. Napierał na nią całym ciałem. Wiedziała, że tylko chwila dzieli ją od zguby. Była podniecona. Powoli napięcie mięśni zniknęło.

– Nie dzisiaj. Nie teraz – powiedziała. – Błagam, daj mi czas...

Twarz ją piekła, patrzyła mu prosto w oczy.

– Idź. Idź – poprosiła ledwie słyszalnym szeptem, jakby wcale nie chciała, by poszedł. By jej posłuchał.

Położyła mu głowę na ramieniu. Wdychała jego zapach. Przytulał ją, gładząc wzdłuż pleców. Chciała, by świat się skończył. Teraz. Teraz, kiedy było jej dobrze. Wystarczająco dobrze, aby nie brnąć dalej.

Pocałował ją znowu. Nie było w tym pocałunku nachalności. Ich spojrzenia się krzyżowały.

Jego wygłodniałe oczy budziły w niej kobietę, teraz czuła się nią, chciała być piękna, zalotna, atrakcyjna. Dla niego.

– Muszę zostać sama. Zrozum. To wszystko... Ja... – Właściwie nie miała pojęcia, co mu chce powiedzieć. Myśli krążyły jak oszalałe.

– Wyjdę. Dzisiaj wyjdę. Ale wrócę tu jutro. Przecież wiem, że też tego chcesz... – Było w tym stwierdzeniu coś bezczelnego. Ale miał rację. Chciała.

Wyszedł. Po prostu. Cicho zamknęła z nim drzwi.

*

Tej nocy Łucja została w swoim pokoju. Tęskniła za nim, szukała jego rąk, próbowała wyobrazić sobie ich ciepło, czuła się otulona nimi. Wypierała z głowy myśli, że to mąż jej przyjaciółki, wypierała Edwina. Nie mogła spać. Rzuciła się niespokojnie na łóżku. Na górze słuchać było głośne bulgotanie wody. Mocny

strumień trzaskał o wannę. Włączyła telewizor. Na ekranie jakaś ostra scena erotyczna. Kobieta stała rozparta na ścianie jakiegoś korytarza, mężczyzna klęczał między jej nogami. Ona wzdychała głośno, wykrzywając twarz w paroksyzmie rozkoszy. Gdyby nie fakt, że uprawiali seks, patrząc tylko na jej twarz, która wyglądała, jakby była wykrzywiona bólem, można by przypuszczać że to jakaś brutalna scena. Obydwoje byli bardzo ładni i młodzi. Przełączyła na inny program. Tu trwał jakiś talk show. Ściszyła tyle tylko, by zagłuszyć dźwięki z łazienki. Chciała zasnąć. Ale nie udawało jej się. Na zegarze wpół do trzeciej. Cyfry na monitorze zmieniały się wolno. W na wpół sennych wizjach widziała jego przy sobie, czuła jego oddech. Była kobietą. Pragnęła go. Ta myśl, tak uparta, nie dała się zastąpić żadną inną. Była tyle zdumiona sobą, co szczęśliwa. Czy nie zrugła siebie za tę frywolność, za brak odpowiedzialności, za tę szaloną zuchwałość, za nieuchronny grzech? Pewnie, że się besztala. Ale nie pomagało. Pragnęła go całą sobą. Chciała być niegrzeczną dziewczynką, niesubordynowaną żoną, wyzwoloną kobietą. Chciała zaryzykować. Wszystko. Dla miłości, której pewnie nie ma, którą w swoim przepełnionym książkami, wszelakimi wizjami mózdzku wymyśliła.

*

Obudziła się z bólem głowy i piaskiem w oczach. Chwilę trwało, nim dotarła do niej świadomość. Poprzedni wieczór stanął jej przed oczami. A więc to nie był sen. On tu jest.

Dzień był niewiarygodnie długi. Czekala na wieczór. Na niego. Już wiedziała, że go wpuści, że pozwoli mu na wszystko. W myślach dokonywała matematycznych spekulacji, które miały jej odpowiedzieć na pytanie, jak długo z nim będzie. Liczyła godziny na szlaku, dojazdu, kolacje. Czas zdawał się jej robić na złość. Wiedziała, że zachowuje się coraz bardziej nieracjonalnie. Ot! Stara baba, której ubzdurala się młodzieńcza miłość. Czasem pojawiała się pewne zaniepokojenie: nie po to przyjeżdżała. Nie po to! Nie takiego chciała zaznać uspokojenia! Ale przeganiała je jak natrętną muchę. Nagle pomyślała, że skoro spotyka ją to tak nagle, w tak nieprzewidzianym czasie – to może to ważne. Zrzuciła więc wszystko na karb psotnego losu, który to najpierw piętrzył przed nią problemy – odejście Łukasza, Edwina cynizm i obojętność. Może to właśnie los postawił naprzeciw niej mężczyznę, może równie samotnego. Przypomniała jej się piosenka, *a gdy się zjedną raz i drugi kobieta z przeszłością, mężczyzna po przejściach*. Uśmiechnęła się do tej myśli. A potem pomyślała, że oto może ona po tylu latach, pierwszy raz w tym dorosłym życiu, jest po prostu zakochana. Ten niepokój, to rozedrganie. Wszystko w niej dygotało.

Dlatego zadzwoniła do niego...

– Idę – usłyszała przyciszony głos.

Nie wiedział, jak boli ją jego głos, jak bardzo chciała, by tak zostało. Chyba nawet nie o seks chodziło, ale o jego ręce, o tę tęsknotę za przytulaniem, za ciepłem, a w końcu o to, by poczuła się kochana, szczęśliwa.

Była szczęśliwa. Jeszcze przez trzy noce. Ryszard został kilka dni dłużej.

*

Łucja wiedziała, że fascynacja minie. Wróci do życia, jakie by nie było, przygotuje barki na ciężary, ostudzi uczucie, bo tak naprawdę była realistką. I będzie myśleć o nim – coraz rzadziej, coraz mniej intensywnie, aż zatrze jej się zupełnie, bo wiedziała, że tak być musi. Było, minęło...

tamta noc w górach, na jakiś czas przed TYM

Do ostatniej chwili leżeli w łóżku, zmęczeni seksem, niewiele mówili do siebie. Jakiegokolwiek słowo wydawało się albo banalne, albo sztuczne, albo zwyczajnie nieadekwatne. Nie było zatem żadnych wyznań, deklaracji, czy choćby wzajemnych usprawiedliwień lub oskarżeń. Stało się.

Nie miała czasu rozprawić się ze sobą ani z tym, co się stało.

wiele miesięcy po TYM

Wino było wyjątkowo wytrawne. Z każdym łykiem krzywiła się, zarzekając w myślach, że to już ostatni. Wyglądała źle. Podkrążone oczy, sińce pod nimi zdradzały kolejną nieprzespaną noc, kolejną pustą butelkę. Trzymała lustro w rękach, jakby bała się, że ktoś je wydrze albo nie daj Bóg obróci i dopiero wówczas będzie sama. Kołysała lekko ramą – w górę, w dół. Czerwona szminka była jeszcze gdzieś widoczna, wyglądała na ustach jak złuszczonej farba na ścianie. Grudkowała się w zagłębieniach i była podobna do ciętej rany.

– Wiesz, dzisiaj kolejny raz zrozumiałam, że mój czas się skończył – mówiła sobie w twarz. – A, co gorsza, dotąd nie znalazłam niczego, po co miałabym żyć. Niczego. To po co mam dalej to ciągnąć... Głupi ten świat!

Kształty w lustrze rozmywały się, oddech alkoholowy tworzył mleczne plamy na szklanej tafli. Rękawem przecierała powierzchnię. Coraz wyłaniała się jej

twarz, zamazana, zboląła. W tyle patrzył na nią z fotografii on – Edwin.

Słowa stawały się coraz trudniejsze do wymówienia. Starła się. Powoli, z rozmysłem układała usta, by nie bełkotać, jakby ćwiczyła jakąś teatralną kwestię.

– Jak trudne jest przyjęcie prawdy końca, końca wspólnych lat... Oto jawi mi się koniec... Nie liczę na nic...Koniec, którego... zupełnie nie potrafię sobie wyobrazić. Zgubiłeś mnie dawno, zostawiłeś samą, zarówno w te chwile bardzo, bardzo szczęśliwe, jak i te dramatyczne, w których tkwiłam sama, bez możliwości dzielenia się. Nie ma cię obok! Nigdy cię nie było...

Łucja spojrzała za siebie. Edwin obojętnie przyjmował jej słowa. Drewniana rama trzymała go w ryzach. Żadnych znaków, drgnięć żyłek na skroni, żadnego chmurnego błysku w oczach.

– A kiedy się pojawiaasz, to po to, by rozdrapać bliźniącą się ranę, wsączyć trochę jadu, pozbawić wszelkich złudzeń. – Teraz w jej głosie wybrzmiewała pretensja, pełna żalu i gniewu.

Kobieta przechyliła butelkę. Była pusta. Odstawiła ją na bok. Wstała. Była pijana. Doskonale rozpoznawała ten stan. Chwiała się. Ręka wodząca po ścianie pomagała jej utrzymać pion. Już wychodziła, ale jakby przypomniała sobie coś, bo odwróciła się, przytrzymując mebli, pochyliła się do lustra i starając się wzbudzić sardoniczny ton, dokończyła:

– Czasem myślę, że lubisz napawać się widokiem mojego cierpienia, upokorzenia, niemocy; to na tym budujesz swoją siłę. Zwyczajnie mnie olałeś... któryś raz...

Pogroziła palcem w powietrzu.

W sypialni upadła bezwładnie na łóżko. Zasnąć. Tylko to było ważne. Dochodziła trzecia. Dość kolejnego dnia, przebijania się przez życie, wielokrotnego przedzierania się przez gąszcz przeżytych zdarzeń, przez kłamstwa, złudzenia... Dość świata zbudowanego na wiecznym braku.

Jutro będzie tak samo...

w tym życiu, Boże Narodzenie, długo po TYM

Święta zaskoczyły Łucję absolutnie. I gdyby to była Wielkanoc, może nawet nie wymagałoby to wielu tłumaczeń. Dla osoby niepracującej, omijającej kościół, zasklepionej w sobie, mogły przejść niepostrzeżenie. Żadnych świateł na ulicach, girland, Mikołajów w oknach, czy też przejmującego chłodu. Owszem, Wielkanoc ze swoją żółcią i zielonością, mniej krzykliwą, bardziej popularną i opatrzoną – w istocie mogła przejść obok. Ale Łucję zaskoczyło właśnie Boże Narodzenie! Nie dość, że śpiewające Mikołaje, kolorowe lampki, grające bombki, nie tylko

w wystawowych oknach, ale i na drzewach, latarniach, dachach, krzyczały do niej, to jeszcze przerażający ziąb, który winien był ją otrzeźwić, oprzytomnić, nie robiły na niej żadnego wrażenia. Jakby cały zewnętrzny świat pozostawał poza nią, odgradzając się od niej, a właściwie to ona odgradzała się od niego. Ustawiła wokół siebie ekrany jak przy autostradach, żeby wygłuszyły wszystko. Czasem przemykając obok tak zwanego prawdziwego życia, mijając prawdziwych ludzi, którym odpowiadała „dzień dobry”, „dziękuję”, „tak, w porządku”, przypatrując się ze zdumieniem zdarzeniom, kształtom, zastanawiała się, czy to przypadkiem nie jest jakąś złudą. Prawdziwy świat pochowała razem z Edwinem. To, co widzi, pozostaje więc niczym innym jak wytworem jej wyobraźni, w najlepszym zaś wypadku formą retrospekcji, ale tak odległej, że już też straciła znamiona prawdopodobieństwa. Bo wokół niej nie było nic. Kiedyś nawet zamierzała iść do lekarza, by pomógł jej uporządkować ten egzystencjalny bałagan, ale nie poszła.

Łucja żyła automatycznie, kierując się jakimś odwiecznym instynktem samozachowawczym. Jadła, piła, myła się, spała. I wszelkie funkcje życiowe spełniała niejako poza świadomością. Mechanicznie. Życie jako takie nie wymagało refleksji. Toczyło się samo przez się.

*

– Matko Boska! – usłyszała Łucja głos córki tuż za sobą, kiedy wsiadała do samochodu pod sklepem, w którym jednak niczego nie zakupiła. Pokręciła się trochę po regałach. Wzięła do ręki jakąś puszkę, ale zaraz odstawiła ją z powrotem. Podobnie jak paczkę makaronu. Wreszcie rzuciła kosz przy kasie i ruszyła do auta z pustymi rękami.

– Zwariowałaś?! Na dworze jest minus piętnaście stopni! A ty w jakimś zapyziałym płaszczyku! Rozmemłana!

Dziewczyna wyrosła znikąd i krzyczała do niej, wypuszczając z ust kłęby pary. Wyglądała jakby ktoś w jej wnętrzu nagle zwolnił ucisk z pojemnika wypełnionego białym gazem. Kiedy Łucja odwróciła się w jej stronę, chmura zajęła jej okulary. Przetarła je rękawiczką, pozostawiając smugi na szklach. Ale można było już ujrzyć cokolwiek. Spojrzała na córkę. Anka trzęsła się, opatulona wielkim szalem, z kapturem naciągniętym na czoło, że ledwie było widać jej oczy. I Łucja nagle poczuła, że jest jej niesamowicie zimno. Zapięła się pod szyję, naciągnęła szal na głowę. Pogoda była pod przysłowiowym psem. Wiało, sypało śniegiem.

Łucja dopiero teraz zauważyła, że szyby przymarzły, a przed nią była tylko jakaś przezroczysto-mgława przestrzeń. Włączyła silnik, przekręciła gałkę z nawiewem na cały regulator. Dmuchawa zakłócała ciszę, szumiała, brzęczała. Wszystko skrzypiało. Zamarznięte.

Jak wyrwana nagle w środku nocy, przetarła oczy i rozejrzała się wokoło. Było białe. W oknach wystawowych rozproszone światła czyniły cuda, cała feeria barw! Z zewnątrz dobiegały dźwięki *Jingle Bells* we wszelkich możliwych realizacjach. Świat napierał na nią kombinacją dźwięków, kolorów, kształtów.

Anka usiadła obok. Zsiniąła od mrozu albo wściekłości. Odruchowo wyciągnęła papierosa. Zaskwierczała zapalka. I zaraz dym wypełnił auto, dławiał oddech, był chyba bardziej irytujący niż chłód. Nie patrzyła na matkę. Łucja odganiała od siebie siwe opary.

– Dzwonię do ciebie i dzwonię – zaczęła córka, wypuszczając za drzwi samochodu obłoki dymu. Głos jej drżał. Od kilku dni usiłowała skontaktować się z matką, ale zarówno komórka, jak i stacjonarny milczały jak zaczarowane. Nieraz tak było i Anka odpuszczała. Rozmowa z matką wciąż jej nie wychodziła.

Po wszystkich oklepanych szablonowych pytaniach do matki w stylu: „Co słychać?”, „Jak się czujesz?”, „Co robisz?”, miała już zmagazynowanych w pamięci kilkaset jej odpowiedzi na takie lakoniczne pytania. Nic. Dobrze. Nic. W porządku. Nic... I na koniec: Do usłyszenia. Albo i niesłyszenia... Jasne!

Ale teraz Ance też było źle. Potrzebowała matki, a telefon Łucji nie odpowiadał, więc szła do niej.

W ostatniej chwili zobaczyła jej samochód, zaparkowany przy dyskoncie. I oto miała ją przed sobą. Nieobecną. Wciąż nieobecną. I właśnie mówiła do niej i oczekiwała odpowiedzi. Marzyła o tym, by matce wrócił słuch, by mogła jej wykrzyknąć, że nie może kontrolować jej życia, że matka sama wystawiła jej czerwoną kartkę i że Anka sama jest zmęczona i głęboko nieszczęśliwa, i osamotniona... i w ogóle.

Właśnie lizała rany po nieudanym związku, powoli i nieufnie włączając na nowo do swojego słownika pojęcia „facet”. Przez jakiś czas nie chciała słyszeć tego słowa. Nie chciała znać żadnego faceta. Marzyła, żeby oni wszyscy poszli do diabła. Potem trochę odpuszczało. Rzuciła się w wir pracy, która absorbowowała ją całą. Rozwijała firmę. Zaczęła spotykać się z ludźmi. Rana po – jak sama to nazwała – toksycznym związku przestała już boleć, a o byłym facecie nauczyła się myśleć: „duppek”, „gnój”, „świnia”. Chcąc nie chcąc, zaczęła zauważać, że grupa ludzi wokół niej rzadnie. Każdy kogoś ma, a potem ma dzieci, a potem są wspólne tematy – zapracowanych mężów, ząbkowań, wózków i różnych szkół wychowania. Ona pozostawała niejako z boku, niekompetentna z uwagi na stan posiadania, a bardziej na brak owego stanu. W końcu zaczynała się nudzić w tych towarzystwach. Innych też nie miała – tych wyzwolonych, studenckich, o problemach egzystencjalno-filozoficznych, wsłuchanych w określoną muzykę, raczących się różnymi środkami „pomagającymi zaakceptować otaczającą ich rzeczywistość”, oczywiście „trudną i niezrozumiałą”. Dla tych drugich zrobiła się nieoczekiwanie za stara. Dopiero wieczorem dopadało ją poczucie, że właściwie

nie ma co ze sobą począć. Książki? Jasne. Filmy? Też fajnie, że można nadgonić to i owo. Ale Anka wiedziała, że to tylko pozory. Ona chciałaby ten film „z kimś”, a tę książkę odłożyć, „bo ktoś...”. Otwierała więc coraz częściej oczy i nagle zaczęła zauważać obok siebie mężczyzn. Świdrowała ich spojrzeniem, sprawdzała, czy są zaobrączkowani, czy inteligentni, czy dowcipni, czy czuli, odpowiedzialni, spełnieni i tak dalej. Dawna ansa złagodniała na tyle, że Anka zaczęła tęsknić. Do mężczyzny. Bo Anka przecież pamiętała! Mężczyzna miał swój zapach, feromon agregacyjny. Ona go poznała, zaznała go. Jej ciało bezwstydnie domagało się mężczyzny. Poznawszy raz smak rozkoszy, nie popuściło jej. Tylko teraz już Anka nie personalizowała tej tęsknoty. Nie miała już konkretnego imienia – na przykład Paweł – to była tęsknota ciała. Ance brakowało dotyku, pocałunków. Żyła samotnie ze swoim brakiem, ale doskonale zdawała sobie sprawę, że musi to zmienić. Nie może tak żyć. Znała ten schemat. Widziała, jak trudno jest żyć z takim brakiem.

*

– Czy coś się dzieje? Mamo? – spytała Anka. Ostatnie słowo wymówiła miękko i musiała włożyć wiele starania, by utrzymać głos na wodzy i nie poddać się płaczowi, który pojawił się dokładnie w tym momencie, kiedy kilka minut temu zobaczyła matkę wychodzącą ze sklepu. Szła, jakby na dworze nie było zimy. Jakby nie sypało, nie wiało. W rozpiętym płaszczu. Miała puste ręce.

Dziewczyna przesuwiała wzrok po aucie, a w końcu zatrzymała się na twarzy matki. Ta siedziała nieruchomo, z rękoma ułożonymi na kierownicy, oczami na wprost niczym złodowaciała figura.

– Mamo? – powtórzyła jeszcze ciszej i niemal aksamitnie. – Pytam... Już zupełnie nie wiem, o co chodzi. Nie dajesz rady... Widzę... Ale ja też jestem... – Trudno było złożyć słowa. Poczowała, jak puszczają jej nerwy. Chciałaby zatopić się w ramionach matki i najnormalniej na świecie się rozplakać. Głośno, może nawet krzyknąć. I by ona też zapłakała. A potem opowiedziałyby jej wszystko. Po kolei, o swojej samotności, o tęsknocie, o strachu, że już do końca życia będzie sama... jak ona. Wszystko, byleby tylko nie siedziała tak katatonicznie obojętna. Zupełnie bez wyrazu, jakby była figurą woskową. Wypuściła zmagazynowany wewnątrz nadmiar powietrza, unosząc głowę ku górze, nakazała łzom cofnąć się gdzieś w głąb siebie. Łucja to zauważyła. Nie wiedziała, co ma powiedzieć, czego Anka od niej oczekuje. Nie chciała mówić o sobie. Szyby tajały. Wycieraczki zebrały śnieg, odsłaniając widok na ulicę i chodniki.

– Aniu! O co chodzi? Czy coś się stało? Pojedźmy do domu. Napijemy się herbatki. Jesteś strasznie zmarznięta – powiedziała Łucja. Jakby nigdy nic. Jakby naraz ożyła. Jak w teatrze.

Córka wiedziała, że to gra. Znała doskonale jej sztuczki. Jej zdolność odsuwania od siebie prawdy. To, że matka nie wpuści jej do swojego świata, było dla Anki oczywiste. Zawsze cierpiała z tego powodu. Wiedziała, że matka potrzebuje pomocy. Ale teraz to ona ma wszystkiego po brzegi. Zbierało jej się, zbierało, a w końcu tama się przerwała. Musiała wyrzucić z siebie toksyny, które ją toczyły. I dlatego dzwoniła do niej. I dzisiaj, gdy żaden telefon nie odpowiadał, to szła do niej.

*

Przez te wszystkie lata obie nauczyły się zręcznie kłamać. Gdy Łucja dzwoniła, zbywała ją słowami: „zadzwoń, bo jestem zajęta” lub „muszę kończyć, bo bateria siada”. Często z kolei Łucja nie odbierała. I wtedy też Anka oddychała z ulgą. Nieodebrane na wyświetlaczu u matki połączenia były jej usprawiedliwieniem. Dzwoniła. Tak, myśli. Oczywiście, że się troszczy. A jakże!

A gdy udawało im się wreszcie do siebie dodzwonić, rozmowa za każdym razem przybierała niemal identyczny kształt:

– No cześć, mamó! Co słyhać?

A potem po drugiej stronie matka mówiła:

– U mnie dobrze, w zasadzie bez zmian. A dlaczego dzwonisz, coś się stało?

A Anka uspokajała:

– Nie, skąd. U mnie wszystko w porządku. Co robisz?

A Łucja wymyślała za każdym razem, co mogłaby robić. Bo niby jak miała każdorazowo odpowiadać „nic”? Wczoraj nic, dzisiaj nic, jutro nic! Mówiła więc:

– Dzisiaj podcinałam iglaki, bo zbrązowiały, a potem przesadziłam trzmielinę i rozchodniki.

Albo:

– Dzisiaj odpoczywałam, bo wczoraj myłam okna w całym domu.

A Anka mówiła:

– I po co się męczysz? Zostaw to w cholerę!

A Łucja na to:

– Wiesz, coś muszę robić – i wtedy zawieszala głos, bo odkrywała, że w całej tej rozmowie tylko to ostatnie zdanie było prawdziwe. Coś musi zrobić!

Prawda była zgoła inna. Prostsza. Obie ją znały. Łucja nie robiła nic! Snuła się. Nawet jeśli wykonywała jakiegokolwiek czynności, które mogłyby być postrzegane jako „proza życia”, szarość dnia, nudy, to Łucja absolutnie sobie tego nie uświadamiała. Za to skrupulatnie liczyła minuty i godziny od snu do snu. Tylko wtedy przenosiła się w świat, który niczego od niej nie wymagał i tworzył się niezależnie od wszystkiego. To, co zdarzało się we śnie, było. Lubiała czas, kiedy organizm błagał ją, by się położyła. Lubiała myśleć, że skończył się następny dzień.

Byle do jutra. Byle do następnego wieczoru, kolejnego snu. We śnie była gdzie indziej, zupełnie poza czasem. Lubiła śnić, posiadała nawet umiejętność śnienia odcinkami. Czasem zapamiętywała sen i wieczorem przywoływała go, by dokończyć. Zmieniała bieg wydarzeń albo powtarzała coś, co jej się podobało. Tak, Łucja lubiła śnić. Nawet jeśli sen nie nadchodził, to Łucja właśnie wtedy czuła mijający czas. Tylko upływ czasu gwarantował zmiany. Jego okrucieństwo, jego powolność, jego bezwzględność były być może trudne do przyjęcia, ale stanowiły również warunek ruchu. Bo w ciągu dnia Łucja trwała, wciąż w tym samym miejscu, w zastygłym czasie terazniejszym.

*

A tu okazuje się, że czas przeleciał nie wiedzieć kiedy. Oto już Boże Narodzenie za pasem! No tak! Zimno jak cholera! Trzeba jakieś zakupy i prezenty i... ojej! A ona taka porozbierana! Cóż za roztargnienie, by nie powiedzieć – bezmyślność! Kiepski spektakl!

– Dobrze. Mam trochę czasu. Chętnie napiję się herbaty – zdecydowała Anka, choć już z góry wiedziała, że dzisiaj też jej nic nie powie.

Samochód buntował się, przygasał raz po raz, ale w końcu na dobre zaskoczył. Wycieraczki skrzypiały, nie nadążały ze zbieraniem spadającego śniegu. Łucja kątem oka zerkała na Ankę. Córka szczekała zębami. W rękach gięła nowego papierosa. Kruszyny tytoniu spadały na jej płaszcz. Patrzyła, jak wyciąga z papierosa długie farfocle, kula je w rękach i rzuca na podłogę. Łucja pomyślała, że obok niej siedzi kobieta, którą powinna dobrze znać i która powinna być jej bardzo bliska. Zdziwiła się, że jest podobna do niej. Chciała ją kochać najmocniej jak umiała. I może tak było, ale nie umie jej tego powiedzieć. Od dawna. Chyba nigdy tak prosto nie powiedziała jej: „Aniu kocham cię”. Gdy była mała, tuliła ją, pieściła, mówiła, że jest śliczna, że pięknie robi to czy tamto. Ale „kocham cię”...

Jak to się stało, że uciekło jej ileś lat?

*

Zapadał zmierzch. Dziwna to była pora. Zaledwie siedemnasta, a już odczuwało się koniec dnia. Miasto jednak, na przekór ponurej porze roku, było kolorowe i nader żywotne. Pełne światła, ruchu i dźwięku. Magia świąt! Jak każda magia potrzebna. Jako przeciwwaga dla toczącego się życia. Odszkodnia.

Ulice były białe, świeży śnieg utrudniał jazdę. Bolał ją kark od sztywnego siedzenia za kierownicą. Wpatrywała się w szybę między pracującymi wycieraczkami. Nagle zachciało jej się ciepła i herbaty. Rondo, prosto, światła i już w prawo, i już pod domem. Znajome miejsca!

– Wejdz do domu, zanieś zakupy, ja wprowadzę samochód – zarządziła. Córka zapytała wzrokiem o zakupy, bo matka przecież niczego nie miała. Widziała, jak wracała ze sklepu z pustymi rękami.

– W bagażniku. Wożę je.

Anka zabrała torby. Zestaw herbat, proszek – jeden, ale duży, papier toaletowy, karton win, jeszcze jakieś płyny i plastry na mole. Pomyślała o szafie ojca i tym zapachu, który mieszał się z jego wodą kolońską.

W domu zionęło chłodem. Rzuciła płaszcz gdzie bądź. Położyła rękę na grzejnikach. Były ledwie letnie.

– Dlaczego nie odkręcasz ciepła? – spytała, gdy Łucja właśnie wchodziła do domu.

– Mnie jest ciepło – oznajmiła matka, choć wielki szal, którym się owinęła, wskazywał zupełnie na co innego. Skulona, wciąż dygotała z zimna.

W kuchni było pusto. Żadnych śladów zwyczajnego funkcjonowania. Żadnych garnków na płycie, talerzy czy jakichś misek, tylko kurz. Anka otworzyła zmywarkę. Właściwie nie wiedziała, po co to zrobiła, czego szuka, za czym węszy. Wewnątrz znajdowały się tylko szklanki, jakieś kubki i kieliszki do wina. Na oko oceniła, że to zbiór z kilku dni. Ani jednego talerza czy widelca...

– Ty nic nie jesz? – zwróciła się do matki. Trzasnęły drzwiczki zmywarki. Korciło ją, by jeszcze przejrzeć szafki i lodówkę, ale dała spokój. Wróciła do korytarza po sweter. Obszerna otwarta przestrzeń domu potęgowała uczucie chłodu. Tylko sypialnia była zamknięta. Chciała tam wejść, otworzyć szafę, wyczuć zapach...

– No co ty? Przecież nie żyję powietrzem. – Łucja próbowała zmienić na lekki, żartobliwy ton. Anka sięgnęła po papierosa, ale zaraz pomyślała, że matka zechce wietrzyć, więc chwilę miętoliła go w palcach i schowała do paczki. Łucja stała plecami do Anki, usilnie poprawiała sznureczki od saszetek, owijała je kilkakrotnie wokół uszka kubka, wciąż odwrócona czekała, aż pstryknie wyłącznik czajnika. Unikała spojrzenia córki. Zalała herbaty. Aromat uwalniał się stopniowo, wypełniając kuchnię. Wdychała go z półprzymkniętymi oczami. Szkoda, że wszystkie herbaty rozczarowywały Łucję. Kupowała ich całe mnóstwo. Różnych. O egzotycznych nazwach. W celofanowych woreczkach. W wyszukanych puszkach. Ale za każdym razem smak mijał się z wyobrażeniem. Może przez brak cukru. Przestała słodzić dawno temu, ale przez te wszystkie lata udawała, że lubi gorzką herbatę. Nie lubiła. Była pewna, że odrobina słodczy wydobyłaby całą głębię aromatu i smaku, a jednak się nie złamała.

– Słodzisz? – spytała, kręcąc łyżeczką w kubku.

Córka zignorowała to pytanie. Jakby ten cholerny cukier był teraz najważniejszy. A poza tym matka doskonale wie, że nigdy nie słodziła. Niczego!

– Jadłaś coś? – Starła się, by ton głosu nie był zaczepny, ale kiepsko jej to

wyszło. Matka obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem.

– Aniu! Po co ta spowiedź? Oczywiście, że tak.

– Jasne! – prychnęła z lekką ironią. – Wciąż karmisz się swoim bólem. – Miała jeszcze coś powiedzieć, ale urwała. Wycofała się z ataku.

Łucja wyczuwała prowokację, ale postanowiła ją ignorować. Naprawdę chciała napić się z kimś herbaty. Zapaliła światła. Nie znosiła takich półmroków, a szczególnie wówczas, kiedy ktoś był w domu, jakby światło potrzebne jej było do dokładnego identyfikowania gościa. Żeby się nie pomylić, żeby, nie daj Bóg, nie wpuścić kogoś obcego. Od czasu, gdy TO się stało, Łucja mało kiedy przyjmowała gości. Kiedyś matka, rzadko teściowa, od wielkiego dzwonu Janka, chociaż tej starała się unikać, co nie było trudne, bo Janka wciąż miała milion spraw. I oczywiście Anka, która zaraz po śmierci ojca wpadała bez zapowiedzi jak huragan. Ale od dawna i ona coraz rzadziej.

Herbata parzyła ręce i usta. Anka dmuchała w nią, rozgarniając kłęby pary, sączyła małymi łyżkami. Omiotła wzrokiem dom, szukając jakiejś zmiany, czegoś nowego, co mogłoby ją zdziwić czy zaskoczyć. Na próżno. Dom trwał niezmiennie niczym monumentalny pomnik. Sarkofag z oknami i wyjściem na zewnątrz. Anka poczuła nieodpartą chęć, by wstać. Przeszawiać meble, sprzęty, powynosić do garażu część rzeczy, pozrywać firany wiszące w oknach jak zemdlone. Zrobić cokolwiek, co by wskazywało, że dom żyje. Wyobrażała sobie furję matki. Przypomniała sobie, jak dotknęła szafy ojca, jak wyrzucała jego ubrania.

Nie chciała awantury. Nie teraz. Jeszcze nie teraz. Może kiedyś, niedługo... Musi dokonać zmiany, zmusić matkę do przewalenia swojego życia.

– Zostajemy w kuchni? – zapytała Łucja, choć widać już podjęła decyzję, bo dokończyła: – No dobrze, posiedzimy tu. O! Już się nagrzewa. Zaraz będzie ciepłutko. Zresztą tu można przytulić się do grzejnika – zaśmiała się, dotykając kaloryfera. Nie było w tym śmiechu bodaj krzty naturalności. Córka wiedziała. Znała matkę. Doskonale wychwytywała jej nastroje, choć na pozór wyraz twarzy nie zdradzał żadnych sygnałów. Kamuflaż, który zapewniał Łucji pewną formę nietykalności. Ale miała coś w spojrzeniu, jego głębi, kolorze, wielkości źrenic.

Anka przypomniała sobie, po co chciała widzieć się z matką. W środku poczuła nieprzyjemne uczucie. Tę pustkę, która tak jej dokuczwała. Ten strach przed przyszłością, który nie chce dać się przegonić. Ale nie teraz, nie dzisiaj. Nie w tym domu, w którym poza jej samotnością, rozpaczą, żalobą nie ma już miejsca na nic.

Atmosfera między kobietami była sztuczna, pełna niedomówień. Wyczuwało się ten ogrom słów zawieszonych tuż nad nimi. Pełen pretensji, wyrzutów.

Kiedyś lepiej się dogadywały. I choć nigdy nie były ze sobą w intymnych relacjach, udawało im się być blisko siebie. Potrzebowały nawet niewiele zdań, by zorientować się w swoich potrzebach, problemach. Tak było do czasu tego chorego, destrukcyjnego związku z Pawłem, kiedy Anka nauczyła się kłamać lub

milczeć. Milczenie było wygodniejsze. Nie było kłamstwem, nie było prawdą. Ale wówczas też zaczęły się mijać spojrzzeniami. Obydwie wiedziały, że właśnie tam – w oczach – ukrywa się prawdziwy stan rzeczy.

Teraz też Anka widziała rozbiegany wzrok matki, który drażnił w zestawieniu ze statyką całej jej postaci. Łucja bowiem siedziała nieruchomo. Tylko ręce, sztywno trzymające kubek, wykonywały marionetkowy ruch góra–dół.

– Byłam wczoraj u dziadków. Kiepsko z nimi. – Anka przerwała milczenie. – Przychodzi do nich pielęgniarka czy ktoś tam z opieki. Ale babcia, jak to babcia, niczego nie potrzebuje. Pytała się o ciebie.

Łucja zatrzymała na chwilę wzrok. Nie spodziewała się tego tematu. W zasadzie żadnego. Ale tego to już na pewno nie. Bolało ją to, że tych dwoje starszków jest tam samych. Wiedziała, że po śmierci Edwina tylko ona im pozostała.

Jak sięgnąć pamięcią, zawsze była dla nich ważna. Oni dla niej też, ale jak mogła im powiedzieć, że od śmierci męża trudno jej na nich patrzeć? Że wciąż nie może zrozumieć tego bałaganu, umierania nie po kolei, bez żadnego sensu. A oni żyli jak na złość. Jej. Sobie. I z pewnością Łucja nie tyle odczuwała złość na ich życie i nie dlatego tam nie chodziła, ile cierpiała, widząc teściową i jej minę pełną wstydu i prośby o wybaczenie. Jakby mówiła: „Wybacz, Łucja, to nie moja wina, że jeszcze żyję. Bóg mi świadkiem, że już nie chcę, ale widzisz? Nie wiem, doprawdy nie wiem, o co Mu chodzi”. Łucja nie mogła znieść tego przepraszającego wzroku i tej bełzawej rozpacz.

– Zaproszę ich na święta – rzekła Łucja. Powiedziała to tak, że Anka w mig zrozumiała, że tym kończy temat dziadków.

*

Wigilia. Anka pokiwała głową. Nie cierpiała świąt. Żadnych. A już szczególnie Wigilii.

Wszystko z góry ustalone. Wigilia u matki – cicha i smutna, choć z pewnością elegancka i szykowna. A potem Łukasz z Aśką pójda na pasterkę i z samego rana, po śniadaniu na szybko i na stojąco, pojedą do rodziców bratowej na prawdziwe wesołe święta – takie z Mikołajem i hałasem. Ona zwinie się, bo praca. A matka... Matka niezmiennie zostanie sama. Wigilia nie zmieni niczego w jej życiu. Ani ta, ani kolejna.

*

Zrobiło się późno, Anka zaczęła spokojnie zbierać się do wyjścia.

– Może jednak zostaniesz i przenocujesz w swoim pokoju – zaproponowała

Łucja.

– Nie, mam. Dzięki. Ale muszę wracać do siebie.

Wcale nie musiała. Jej dom był tak samo pusty jak matki. Dlatego chciała być z nią. Opowiedzieć jej o tym. Ale już nie chce.

Wybrała numer taxi:

– Proszę przyjechać po mnie – rzuciła do telefonu i niedbale podała adres Łucji. – Wiesz, mam jeszcze trochę pracy, a poza tym... ciuchy, samochód – powiedziała do matki, szamocząc się z płaszczem.

Łucja nie nalegała. Stały oparte o framugę. Przez niewielką podłużną szybkę w drzwiach raz po raz spoglądały na ulicę. Za chwilę długi snop światła rozjaśnił mrok.

– Mam. Trzeba pomyśleć o sprzedaży domu. Zastanów się

Powiedziała to szybko i zdecydowanie zaakcentowała ostatnie słowa.

Z dworu dobiegł sygnał klaksonu.

Łucja postąpiła jeszcze chwilę, aż samochód się oddalił, pozostawiając znów ciszę i ciemność.

*

Ogarnęła wzrokiem dom. Cisza. Jej cisza. W lustrach przestrzeń wielokrotniała. Chciała już spać.

w tamtym życiu, po powrocie z gór, na długo przed TYM

Już w progu, jak tylko wtoczyła się do domu objuczona torbami, zmroziło ją spojrzenie męża. Edwin był naburmuszony. Znała te miny, chłodny, karcący wzrok. Wiedziała, że teraz przez kilka kolejnych dni będzie ostentacyjnie obnosił się ze swoim niezadowoleniem.

– No cześć! Jestem – oświadczyła, starając się przybrać naturalny ton. Wyminął ją zręcznie, kiedy chciała musnąć go w policzek. Uciekając przed jej spojrzeniem, odebrał walizkę z jej rąk i odstawił na bok, by nie zawadzała. W korytarzu stały bagaże: torba podróżna i jego aktówka, którą zabierał tylko na jakieś ważne spotkania. Suchym tonem poinformował:

– Zaraz wyjeżdżam.

Wzruszyła ramionami. Czekwała, by wyjaśnił.

– Najpierw ty, a teraz ja – rzekł krótko i zaraz dorzucił tym samym tonem:

– Będziemy się tak mijać...

– O co chodzi? Dopiero weszłam do domu. – Była zupełnie zdezorientowana.

– Słyszałaś. Gdybyś przyjechała pół godziny później, nie byłoby mnie już. I tyle!

– Edwin, o czym tym mówisz? Jaki wyjazd? Przecież nic nie mówiłeś. Dzwoniłam...

– A co? Miałem pytać o pozwolenie? – Był nieprzyjemny, ale nie miała sił na kłótnie. Nie zamierzała dać się wciągać w potyczki słowne. Próbowwała łagodzić rozmowę:

– Przecież sam zaproponowałeś mi ten wyjazd... Mówiłeś, że ty nie możesz, bo firma i tak dalej... A teraz nagle ze złością oświadczasz, że... Daj spokój! – poprosiła przymilnie.

– Z jaką złością? – bronił się Edwin, chociaż w żaden sposób nie potrafił ukryć swojej niechęci. – Mam szkolenie. Zmienia się wszystko... nowe technologie... – Rozłożył ręce jak ksiądz na kazaniu. Wyglądał śmiesznie, kiedy starał się być tak śmiertelnie poważny, a jeszcze ta jego mina i poza, kiedy mówił, jak ważne jest „śledzenie nowych rozwiązań, technologii, które zmieniają się tak szybko, że trudno sobie to wyobrazić” i że nie ma zamiaru odstawać od innych. Jakby naraz zależało mu na tym, aby być na bieżąco ze wszystkimi nowinkami, i że on jest taki nowoczesny.

– Jasne – przerwała mu. – Jedź, przecież ja ci nie bronię.

Spojrzał na nią piorunującym wzrokiem.

– A dlaczego miałabyś mi bronić? No, dlaczego? Jadę do pracy!

– Proszę cię, Edwin, przestańmy się kłócić. Chcesz, to jedź... Powiedziałam tylko, że nie mam nic przeciwko temu... – Robiła wszystko, by jej ton był miły i łagodny, ale zdawała sobie sprawę, że cokolwiek by robiła, nie będzie miało żadnego znaczenia, bo on po prostu musiał zamanifestować swoje niezadowolenie. Szukał zaczepki. Pewnie złość pęczniała w nim jak świeże drożdże i wreszcie musiał dać jej upust. Domyślała się przyczyn tych pretensji, ale była zmęczona.

*

Droga była długa i monotonna. Wyjechali późnym wieczorem, bo to jeszcze ognisko i kolacja pożegnalna. Po kilkudziesięciu kilometrach zaczęło lać i zrobiło się bardzo ciemno. Co jakiś czas ciemność burzyły światła mijanych miast. Wycierała zasłonką zaparowane okna, ale niepotrzebnie, bo nawet bardzo wytrenowany wzrok nie mógł wyłonić czegokolwiek z tej czarnoty. Oparła się głową o szybę i usnęła na krótko. Uczestnicy wycieczki, bardzo już zintegrowani, nie pozwalali na chwilę drzemki czy choćby umiarkowanego spokoju. Co chwilę ktoś wykrzykiwał, śpiewy, jakieś dziecinne kanony, przeplatane radiowymi

szlagierami zupełnie zakłócały radio, które kierowca w końcu wyłączył, kiedy denerwujące trzeszczenie wtórowało zapijaczonym głosom. Gdyby nie opary przetrawionego alkoholu, zresztą różnego rodzaju, od piw po wina i drinki w plastikowych kubkach, można by pomyśleć, że to koloniści. Nie umiała uczestniczyć w tych rozrywkach, chociaż co rusz ktoś ją zaczepiał i niezłe wstawionym głosem zachęcał do wspólnej zabawy. Łucja nie lubiła takich rzeczy, nigdy też nie miała okazji brać udziału w tego typu imprezach. W końcu dano jej spokój, bo i tak od samego początku traktowana była jako odludek. Nikt się nią nie zajmował. Na którymś parkingu wyszła napić się kawy, ale podszedł do niej pijany kolega z wycieczki, który właśnie teraz chciał ją poznać.

Nie rozumiał, dlaczego taka piękna kobieta tak się izoluje. I on oczywiście bardzo przeprosza, jeśli przeszkadza, ale całkiem mu umknęło i on chciałby ją poznać. Może nawet bliżej. Pani pozwoli: Marek Jakiśtamjakiś. Nie, nie! Niech sobie nie pomyśli! On jest żonaty i ma dzieci. I w ogóle to z niego porządny gość, ale serce mu pęka, kiedy widzi, że taka piękna kobieta... i taka smutna. I samotna! Więc jakby co... Mężczyzna chwiał się, coraz to zbliżając się do niej, zionąc paskudnie alkoholową mieszanką tak, że z każdym kolejnym słowem jego oddech stawał się nie do zniesienia. Stanowczo, ale uprzejmie spławiła intruza. Odechciało jej się tej kawy. Była niecierpliwa, chciała być już w domu. Pomyślała, że powroty do domu mają to do siebie, że człowiek jak najprędzej chce wrócić do codzienności. A teraz szczególnie tego chciała, marzyła o tym, że wreszcie znajdzie się u siebie, że będzie mogła zamknąć za wszystkim, co się zdarzyło, drzwi, rozpakować się, pochować walizki. Odhaczyć to, co było. Zapomnieć. Zapomnieć. Przeszło, minęło.

W głowie jednak wciąż miała obraz kochanka. Przez moment wystraszyła się, że Edwin się dowiedział, ale to było niemożliwe. Był zły. Zły na nią, że któryś raz z rzędu ośmieliła się gdzieś jechać bez niego. Sama.

Edwin kręcił się koło niej. Coraz bardziej rozjuszony. Spodziewał się, że Łucja zacznie wypytywać, że może będzie próbowała go odwieść od tego wyjazdu lub w najlepszym razie da się wciągnąć w awanturę, którą chciał jej zrobić. Ale ona nic. Nie chciało jej się już go o nic pytać. W ogóle nie miała ochoty na jakąkolwiek dyskusję z nim. Zajęła się walizkami. Wyciągała wszystko, segregowała. Musiała zająć myśli.

Edwin spakowany, z pękiem kluczy w dłoniach, poruszał się nerwowo po domu. Marzyła, żeby już wyszedł. Musiała istotnie wiele przemyśleć.

Edwin zdjął swoją kurtkę z wieszaka, potem powiedział coś pod nosem, coś, co zabrzmiało jak „to na razie” wypowiedziane głosem obrażonego dziecka, i wyszedł. A potem zamknęły się za nim drzwi. Kątem oka w małym okienku w drzwiach zobaczyła go idącego w stronę furtki, za którą stał jakiś duży samochód. Pewnie ten, który miał zawieźć go na szkolenie. Nawet się nie obejrzał.

Żadnego machania białą chusteczką...

Łucja była pewna, że to nie koniec jego dąsów. Zbyt dobrze go znała, by nie wiedzieć, że jeszcze jak wróci ze szkolenia, ostentacyjnie pokaże, jak jest urażony, będzie demonstrował, jak to zasypia w salonie, ledwie przykryty pledem, z niewielką poduszką dekoracyjną pod głową. A potem będzie pokaz świateł – gaszenia i zapalania, szukania skarpetek, dudnienia garnkami. Znała na pamięć te ograne kwestie. I to wszystko za karę. Minie jakiś czas, kiedy Łucja, w końcu znudzona tym spektaklem, wykrzyczy, żeby wreszcie powiedział, o co mu chodzi. On jeszcze będzie mówił, że nic, że jest zmęczony i że to ona jak zawsze coś wymyśla. I dopiero gdy rozgorzeje awantura, na koniec, na sam koniec, gdy już doprowadzi ją niemal do obłędu, powie: tak. Fakt. To był jego pomysł. I choć niczego szczególnego nie mogłaby się spodziewać, zostając w domu, to jednak dobrze by było, gdyby została. A ona wyjechała! To teraz ma! Potrzebne to jej jak umarłemu kadzidło! Wyjeżdżają razem, ale jej mało! To, że była okazja... ale nie musiała od razu z niej korzystać. A zresztą – zrobiła, jak chciała. On wyjechał. I owszem. Ale niech ona nie myśli. To dla niego żadna atrakcja. Musiał!

*

Nie włączała ani telewizora, ani radia. Było cicho, tylko od czasu do czasu dom wydawał swoje dźwięki. Przelewało się w rurach, zaskrzypiało krzesło, stuknęła zamykana szafka. Dopiero gdy samochód się oddalił, gdy upłynęło kilkadziesiąt minut, postanowiła jednak zostawić wszystko. Do jutra. Musiała odpocząć. Pod powiekami wciąż majaczyły jej obrazy. Jego twarz, jego usta, jego nagość, która jej nie krępowała. Chciała je wyprzeć, wymazać jak nieudany rysunek, ale wszystko stało jej przed oczami zupełnie tak, jakby oglądała film. Film, w którym znalazła się przypadkiem...

Nie planowała tego. Wiele lat nawet nie umiała śnić o kimś innym, a gdy już się przyśnił albo miał twarz Edwina, albo nie miał twarzy. Nie pamiętała, kiedy to się zmieniło. Może po urodzinach Anki. W tamtym lesie, pełnym zapachów i ciepła. Do tamtego dnia była bowiem kobietą absolutnie niespełnioną i absolutnie wierną. To pewnie było też przyczyną tego stanu rzeczy, w jakim tkwiła od lat, właściwie od zawsze. Miłość do Edwina – ta schematyczna miłość, zablokowała jej drogę do innych miłości.

Dopóki on – Ryszard nie pojawił się tam... Nie planowała tego. Stało się. Jak staje się wiele rzeczy niezależnych od niej.

kiedyś przed TYM

Powiała kiedyś, że gdy przestanie kochać, on przestanie kochać, to odejdzie szukać szczęścia. Ale powiała to sobie, bez żadnych zobowiązań. Nawet nie ma pewności co do tego, czy mówiła to na głos, czy tylko pomyślała. Na co dzień nie zastanawiała się nad jego miłością. Nie pytała, czy ją kocha. Pytanie wydawało się infantylne i zbyt egzaltowane. Chwilami czuła, że brak jej sił. Zwłaszcza gdy byli obok siebie. Blisko na odległość oddechu, a bardzo daleko. Bez słów, bez dotyku. I wtenczas zdawało jej się, że żyje bez jego miłości, godziła się na taki stan rzeczy. Z wolna nauczyła się tak żyć, choć ciężka i trudna była owa nauka. Myślała trzeźwo, twardo stąpając po ziemi, że nikt nie gwarantował jej szczęścia, że być może nie urodziła się pod najszcześniejszą z gwiazd.

w tamtym życiu, po powrocie z gór, na długo przed TYM

Jej dom. Czuła ogromny spokój. Stała pośrodku korytarza. Światła paliły się niemal we wszystkich pokojach. Edwin zawsze gasił wszystkie i sarkał:

– Pozapalane wszystko jak w Belwederze!

Skąd mu się wziął ten Belweder? Jakby jeszcze tu był, pogasiła zbędne lampy. Włączyła telewizor. Na ekranie leciał jakiś film. Nie. Nie chciała niczego oglądać. Potrzebowała ciszy. Kojącej pustki. A więc pojechał. Łucja odetchnęła z ulgą i jednocześnie przeraziła ją ta myśl, że tak łatwo dała się opędzić jego obojętnością, gniewem. Zebrała stertki ubrań poszykowanych do prania. Właściwie wszystko było do prania. Wrzuciła rzeczy do kosza, nastawiła pralkę. Jednostajny szum wody. Kolorowe pranie wirowało w przezroczystym oknie bębna.

Stała przed lustrem. Wpatrywała się w siebie, doszukując się zmiany. Te same oczy, usta. Wszystko na swoim miejscu. Weszła do wanny. Woda była tak gorąca, że musiała puścić strumień zimnej. Zanurzyła się cała, pozwalając gorącu wypełnić w nią.

Jaskrawe światło raziło w oczy. Leżała z półprzymkniętymi powiekami. Nie chciała myśleć. O niczym. Tylko błogie poczucie falowania, zanurzanie się w miękkiej pianie. Chciała wyrwać z pamięci dotyk jego dłoni, zmyć pocałunki, którymi pokrywał jej brzuch, piersi, szyję. Ale im bardziej starała się zapomnieć, tym bardziej uparcie roily się w jej umyśle najmniejsze szczegóły. Czuła smak jego ciała, szorstkie palce penetrujące jej wnętrze, silne uderzenia członka. Fala podniecenia przyspieszyła jej oddech. Mimowolnie zacisnęła ręce na twardniejących sutkach. Musiała ostudzić emocje. Puściła szeroki strumień wody.

Zmoczyła twarz.

Nie mogła jednak wywołać wyrzutów sumienia ani poczucia wstydu, ani wstrętu do siebie za tę zdradę. Świństwo uczynione jemu – Edwinowi, ale i najlepszej, ba, jedynej przyjaciółce. Łucja nie mogła zrozumieć, dlaczego nic nie wołało w niej: „Żałuję!”. Nie żałowała. Nie wiedziała, czy gdyby możliwa była powtórka, nie powtórzyłaby. I pewnie powtórzyłaby. A najgorsza była ta świadomość owej wyuzdanej rozkoszy. Raz za razem. Ona – Łucja – nie знаła siebie takiej.

*

Wyszła z wanny. Nie czuła chłodu. Snując za sobą mokry ślad, poszła spać. Wiedziała, że żaden telefon nie zadzwoni. Edwin nie, bo to była konsekwencja kary, jaką zadawał. On też nie. Bo nie... Nie umawiali się na ciąg dalszy.

Położyła się. Nie lubiła pustki w łóżku.

imieniny Łucji na długo przed TYM

Rano zapragnęła jednego. Musiała spotkać się z Janką. Musiała zobaczyć, czy Janka jest nieszczęśliwa. A w zasadzie, czy jest nieszczęśliwsza niż zwykle.

Łucja wiedziała, że Janka należy do tego gatunku ludzi, którzy swoje szczęście postrzegają tylko i wyłącznie w kontekście szczęścia innych. Więc kiedy jej dzieci, wnuki, sąsiadki, rodzice i cała populacja ludzka byli szczęśliwi, to Janka wyciągała na zewnątrz uśmiech. Ale to bywało rzadko, bo szczęścia w przeciwieństwie do nieszczęść nie chcą chodzić parami, tak więc Janka wydawała się wiecznie udręczona.

Zrobiła lustrację domu. Wszędzie panował idealny porządek. Spodziewała się tego. W tym względzie Edwinowi nie można było niczego zarzucić. Nie lubił zmieniać niczego. Miał tak perfekcyjnie opanowany dar odkładania wszystkiego na pierwotne miejsce, że nawet jeśli jej się zdarzyło coś przestawić, to chodził i poprawiał. Nieraz drażniło ją podbieranie na chwilę zostawionej ścierki do naczyń, składanie jej w systematyczną kostkę i przewieszanie przez reling przymocowany do mebli kuchennych.

W tym samym momencie, kiedy stwierdziła, że w zasadzie nie ma zbyt wiele roboty w domu i po szybkim ogarnięciu zadzwoni do przyjaciółki, odezwał się telefon. Była pewna, że to na pewno nie mąż, ale Anka. Na ekranie wyświetlacza pojawiło się imię przyjaciółki. Łucja na moment zamarła. Owszem, chciała się z nią spotkać, ale to wynikało z jej potrzeby. Dlaczego Janka dzwoni? Czyżby...?

Przyszło jej nawet do głowy, że wszystko się wydało. Wyszła na jaw jej obrzydliwość. Musi przyznać się, przytaknąć, że jest nieetyczna, niemoralna, że jest świnią i w ogóle. Chwilę wpatrywała się w telefon, a w końcu wzięła głęboki oddech, wcisnęła zielony przycisk.

– Tak. Witam, Janeczka. Miałam właśnie do ciebie dzwonić. A tu nagle... – Łucja sądziła, że musi zagadać, musi mieć czas na odparcie ataku. A właściwie to chyba nie będzie się bronić. Bez sensu. Nie ma nic na swoją obronę. Przespała się

z jej mężem. Bez żadnych skrupułów. Poszła z nim do wyra jak zwykła dziwka. Nie! Pewnie, że nie pod wpływem czegoś. Emocji. Alkoholu. Nie! Z rozmysłem otworzyła mu swoje drzwi, pokazała swoje łóżko, udostępniła swoje ciało na kilka dni. Bez ograniczeń.

Wydawało jej się, że dokonuje nadludzkiego wysiłku, aby jej głos brzmiał naturalnie, choć czuła, jak drży. Odchrząknęła, by pozbyć się zgromadzonego nadmiaru śliny, przełknęła z oporem.

– Chcę z tobą pogadać – przerwała jej przyjaciółka. – Wiem, że wczoraj wróciłaś. Ryszard mówił, że się widzieliście. Ale... Muszę... Potem nie mam jak. A... – urwała. Łucja próbowała domyślić się „a co?”, ale w tym momencie Janka coś tam odpowiadała wnuczce. I tylko dokończyła:

– Będę za godzinę. Muszę kończyć. Kasia coś tam wylała.

Łucja odłożyła telefon, ale rozdzwonił się od nowa. Chwyciła go, sądząc, że to znowu Janka i że teraz jej komunikaty będą bardziej spójne.

– Tak, Janka. Co jest? – spytała, nie spoglądając na wyświetlacz.

– Żadna Janka, tylko twoja ukochana córka. – Głos Anki był wesoły. Anka przeżywała swoje chwile wniebowzięcia. To był ten etap miłości, kiedy wszystkie zmysły, czujniki są zainfekowane, kiedy jest absolutna blokada na obiektywizm, na zdrowy i surowy ogląd rzeczywistości.

– W dwóch zdaniach, bo nie mam czasu na pierdoły, powiedz, czy było ci dobrze? – Anka sypała tymi swoimi tekstami, które niekiedy wywołały mimowolny uśmiech na twarzy matki, choć często ją drażniły i wówczas kazała je mówić normalnie.

– Cudownie – powiedziała Łucja cicho, jakby bała się, że głośniejsz wypowiedziane słowa uwiarygodnią się w niej i trudno będzie zamazać przeszłość.

– Miały być dwa zdania, a nie jedno słowo, ale wiadomo: demencja starcza. Uczysz się od ojca oszczędności słów. Ale lepiej zaprzepaść tę naukę. No to pa!

Ekran wyświetlacza zgasł. Wpatrywała się w niego. Wróciła myślami do Janki. Wydawało jej się, że przyjaciółka była bardzo zdenerwowana. Łucja za nic nie mogła skupić myśli. Usiłowała wymyślać jakieś scenariusze, ale nic logicznego nie chciało jej się uklecić w głowie.

Postanowiła się ubrać. Przerzucała bezmyślnie sukienki, spódnice, przesuwiała wieszaki. Koniec końców włożyła dres. Nie lubiła żadnych sportowych strojów. Miała wrażenie, że bezkształtne spodnie i obszerna bluza czynią z niej wielkie amorficzne monstrum. Ale widać organizm jeszcze skarżył się na zmęczenie, bo było zimno, a tylko grube, bawełniane dresy zapewniały komfort ciepła. Nie umiała znaleźć sobie miejsca. Krążyła niespokojnie po domu. Sprawdziła ziemię w doniczkach. O tym zapewne Edwin nie pomyślał. Przechodził całkiem obojętnie wobec roślin, nie zastanawiając się nad ich urokiem. I jeśli niczym, a szczególnie zapachem, nie zdradzały swojej obecności, to mogły sobie

być, ale Łucja pamiętała też, że kiedy przestawiła zamiokulkasa w inne miejsce, bo marniał, Edwin z powrotem umieścił kwiat tam, gdzie stał poprzednio. Nie pasował mu w nowym miejscu, wymykał się zakodowanemu w głowie kadrowi.

Coraz dotkliwiej czuła podenerwowanie. Gorączkowo szukała jakichś tłumaczeń, ale nic, co w najmniejszym stopniu mogłoby ją usprawiedliwić, nie istniało. Nie miało prawa istnieć. Zdradziła. W najpaskudniejszy sposób. Zdradziła z mężem przyjaciółki. Jedynej, jaką miała. Przez całe życie. I mimo rodzącego się w niej uczucia wstrętu do siebie, świadomości grzechu, nie żałowała.

Edwin, oczywiście, nie dzwonił. Za oknem było nijako. Stała, oplatając się rękami. Patrzyła na drogę. Podjazd do domu był uprzątnięty z liści. Rośliny porastające obrzeża drogi podcięte, wylewione starannie.

Tysiące razy patrzyła przez to okno i za każdym razem zdumiewało ją to, że po raz tysięczny widzi to samo. Od zawsze w jej życiu wszystko było takie samo. Nigdy nic jej nie zaskakiwało. Cokolwiek działo się, było zgodne z pewnym z góry ustalonym porządkiem. I nawet fakt, że Łukasz kiedyś wypadł z tych prostych torów, też mieścił się w owej teorii porządku. Albowiem skoro Łukasz nie poddał się jej regułom, musiał się wycofać, by nie zakłócać tego schematycznego ładu. I to też oczywiście był ów porządek. W życiu Łucji zdarzało się tylko to, co się miało zdarzyć. Przyzwyczaiła się już do tego, może też z czasem zaczęło jej to pasować. Żadnych niespodzianek. Więc jak to się stało, że nagle przerwała ten schemat? Czego zabrakło w tamtym momencie, że dała się zaskoczyć? Gdzie się podziała jej czujność? A może już tak obydwójce z Edwinem zastygli w tym życiu, że przestało im się chcieć uruchomić jakiegokolwiek czujniki? Tak się już rozleniwili, zapuścili. A tu trach! Przerwało!

*

Śmiesznie wyglądała w tych dresach. Podeszła bliżej lustra. Bez makijażu. Przeczesała palcami włosy. Promienie słoneczne padające akurat o tej porze prosto na lustro oświetlały ją idealnie, pokazując wszystkie niedoskonałości, drobne zmarszczki. Palcami chciała wcisnąć obrządek pod oczami, który jeszcze się nie wchłonął po nocy i trudach poprzednich dni. Stała naprzeciw siebie. Pomyślała przez chwilę, że nie potrafi siebie określić. Nie wie, jaka jest. Nie potrafi określić tej tu kobiety. Minęłaby siebie na ulicy. Nijaką. Bez wyrazu. Nawet nie wie, czy udałoby jej się określić swój wiek. Dlaczego tak się stało? Sama pozwoliła na bycie transparentną. Przyzwoliła na zabranie jej twarzy, pozbawienie wszelkich cech indywidualnych. Rozdrażniło ją to, że tak się dzieje, że tak sobie pozwoliła, dopuściła do tego.

Postanowiła się przebrać. Zrzucić to bezkształtne przebranie. Rozsuwała zamek błyskawiczny, ściągała w biegu spodnie dresowe, jakby bała się, że nie

zdąży i stanie tak twarzą w twarz z Janką. A wtedy tamta omiecie ją wzrokiem i zapyta, co on w niej widział. Dlaczego poświęcił wszystko takiej nijakiej osobie.

Wyciągnęła z szafy spódnicę, którą kupili wspólnie z Edwinem. I podobała mu się w niej. Wyciągnęła szykowny koronkowy biustonosz. Wciągnęła kaszmirowy sweterek. Zapięła kolczyki i ruszyła do łazienki. Kilka ruchów pędzla i dodała sobie koloru, wyrazistości. Wyprostowana, zrobiona – gotowa była na spotkanie.

Janka wpadła. W ręce trzymała jakąś kolorową torebeczkę i różę. Podeszła do niej. Nie wypuszczając niczego z rąk, objęła ją mocno, chwilę postąła taka wtulona i rzekła:

– Wszystkiego najlepszego!

Wyciągnęła chusteczkę, wytarła zwilgotniałe od potu czoło. Na białym papierze pozostał ślad pudru. Można by pomyśleć, skąd ten puder, gdyż Janka wyglądała tak, jakby nie miała na sobie grama makijażu, choć gdyby się dobrze przyjrzeć, dałoby się dostrzec nierówno rozprowadzoną pomadkę w kolorze identycznym jak jej usta, wyblakłym i mdłym.

Wręczyła Łucji prezenty. Nie naciskała, by tamta rozpakowała, pooglądała.

– E, tam! Taka drobnostka. Wiesz, jak to jest u mnie z kupowaniem... ale może ci się spodoba...

Machnęła ręką w powietrzu, jakby istotnie chciała w ten sposób podkreślić błahość tego podarunku.

– Nie rób mi nic do picia... Ja na chwilę... – pospieszyła z prośbą. – Ładnie wyglądasz. Pewnie wypoczęłaś.

Łucja poczuła, jak wszystko w niej się spina. Wypoczęła. Jasne... I to jak! I z kim... Czowała się cholernie niezręcznie.

– Albo... wiesz... zrób mi herbatę... A może... A... obojętnie. – I znów zatoczyła w powietrzu krąg, jakby przeganiała muchy.

Przysiadła ciężko. Obciągnęła spódnicę, pod którą kryły się krągłe nogi, tu i ówdzie poznaczone różańcem żyłaków. Różowy wałek tłuszczu. Odetchnęła głęboko.

– Nie mam na nic czasu – rzekła, jakby usiłowała tłumaczyć się z tego zapuszczenia. Zwinęła chusteczkę w kulkę i schowała ją w rękaw swetra. Łucja pamiętała, że tak zawsze robiła Stanisława. Kiedy była mała i coś tam jej się przytrafiło, zdarła kolano lub podarła sukienkę, nieważne co to było, ale zapewne nie należało do grupy jakichś monstualnych problemów, wpadała do pokoju zapłakana i zasmarkana. Stanisława wyrastała jak spod ziemi i niczym magik wyciągała małą, ozdobioną mereżką chusteczkę, wykrochmaloną i niezwykle białą, a potem wycierała nią najpierw oczy, a na końcu nos Łucji. Potem wsuwała chusteczkę do rękawa i głaskała wnuczkę, aż ta się całkiem uspokoiła. Łucja czuła wówczas niezmierną wdzięczność dla babki. Tak bezceremonialnie pozwoliła

pognieść, pobrudzić to cacko, które równie dobrze mogłoby być serwetką pod jednym ze świętych obrazków, które Stanisława poustawiała w różnych miejscach pokoju. Tamta chusteczka babki Stanisławy w istocie potrafiła zdziałać cuda! I zawsze babka wyciągała ją z rękawa – taką czystą i białą. Kiedyś dała jedną Łucji. Miała ją do dzisiaj, schowaną gdzieś na półce z obrusami. Nigdy jej nie użyła. Bała się, że odbierze jej czar...

To było tysiąc lat temu.

Ale Janka miała taką zwykłą papierową chusteczkę, której strzępki zostały na czole. Łucja wyciągnęła rękę, by oczyścić twarz przyjaciółki.

*

Od czasu, kiedy Janka została pierwszy raz babcią, czyli jakieś cztery lata temu (potem zostawała już niemal co rok), zaczęła nosić się i wyglądać jak prawdziwa babcia. Od roku nie pracowała już, przeszedłszy na wcześniejszą emeryturę. Oczywiście nie musiała, ale dla dobra dzieci i wnuków, żeby nie „tuliły się do obcych bab”, zrezygnowała z pracy. Nie przestawała być wdzięczna dzieciom, że wróciły do Polski, bo Janka całymi nocami nie sypiała, zamartwiając się sprawami dzieci, które też jej nie oszczędzały, coraz to wydzwanając lub siedząc na Skypie, żaląc się, płacząc, tęskniąc, przeżywając kolejne cięższe. Nic więc dziwnego, że życie małżeńskie rodziców niemal zamarło, kiedy wróciły – najpierw jedno, potem drugie, przywożąc z daleka swoje problemy, sprawy i cięższe. Weekendy Janka z Ryszardem spędzali w domu z dziećmi dzieci, wczasy zawsze z którymś z nich. Janka biegała z języka na zajęcia plastyczne, na tańce. Do logopedy, bo rera, i dentysty, bo wdała się próchnica.

Widywały się z Łucją może niezbyt często, ale jednak systematycznie. I za każdym razem scenariusz był podobny. Janka pękała z dumy, bo Karinka dała piękny występ, a Jasiek wygrał konkurs. Niekiedy raczyła Łucję opowieściami najeżonymi szczegółami i opisami dotyczącymi choroby któregoś z dzieci. Świat Janki zamknął się na kilkudziesięciu metrach kwadratowych, które pozostawały niezmiennie do absolutnej dyspozycji wnuków, zawłaszczone przez nie niepodzielnie. Było tak, że kilka lat wstecz Łucja usiłowała potrząsnąć przyjaciółką, kiedy ta znowu nie mogła czegoś zrobić, bo dzieci coś tam coś tam. Skończyło się jednak w momencie, kiedy Janka powiedziała:

– Nie wyobrażam sobie, żeby żyć tak daleko od dzieci jak ty. Przecież ty nawet nie wiesz dobrze, ile mają lat.

Nie obraziła się wówczas na nią, ale potrzebowała dość długiego czasu, by zakwestionować to, co mówiła Janka. Szukała zaprzeczeń i znajdowała. Przecież Anka wciąż była na wyciągnięcie ręki, a Łukasz urządził się w Toruniu. Czy miała na to wpływ?

*

– Warto przeczytać – odezwała się Janka, wskazując głową na kolorową torebkę. – Czasem miałam wrażenie, że ona pisze o mnie. I myślałam: skąd mnie tak dobrze zna? Wie to, czego nawet sama nie chcę przyjąć. A może wszystkie tak mamy.

Dopiero teraz Łucja uświadomiła sobie, że to jej imieniny. Tyle razy zmieniała je, bo zawsze coś tam wskazywało, że powinna je obchodzić akurat wtedy, a nie wtedy. Kilka lat temu postanowili z Edwinem, że będzie to wrzesień. Dzisiaj zapomniała, on widocznie też.

Sięgnęła po kolorową torebkę z piękną wyretuszowaną różą. Torebka nosiła ślady użytkowania. Zapewne Janka chwyciła pierwszą lepszą z tych, które mieściły się w jej szufladzie. Zbierała je, wygładzała wszelkie zagniecenia i składała jedne na drugich. Ilekroć zdarzyło się, że Ryszard zmiął jakąś różę lub wiązanekę frezji, oburzała się na marnotrawstwo. Przecież szkoda takiej torebki na śmietnik, skoro może z powodzeniem posłużyć przy kolejnej okazji. I widać ta posłużyła, bo z tyłu dyndała malutka karteczka, na której długopisem było wypisane „Ryszard”. Poczula przykre łomotanie serca, ale mimo wszystko była coraz bardziej przekonana, że wizyta Janki nie ma nic wspólnego z nią i z nim.

Niepokój mijał i była nawet nieco rozczarowana, bo podświadomie była przygotowana na to, że oto jej grzech, podłość wyjdą na jaw, uwalniając ją od ciężaru tajemnicy. Miałyby to już za sobą. Potem pozostałby tylko czas kary i pokuty.

A tu wszystko wskazywało na to, że dalej zostanie z nim sama. Przyjęła od przyjaciółki prezent. Kolejna dobra książka, bo co jak co, ale Janka zawsze trafiała w dziesiątkę. Każda książka od niej była tą, którą Łucja długo pamiętała i nigdy by się jej nie pozbyła. Teraz to była jakaś nowa pisarka, o której jeszcze nie słyszała – Zeruya Shalev *Życie miłosne*. Przerzuciła kilka kartek. Gęsta proza, jakieś egzotyczne imiona, tu i ówdzie jakiś zwrot, myśl bez kontekstu. Pewnie się jej spodoba.

Zanim zdołała cokolwiek zaproponować przyjaciółce, usłyszała:

– Nie mam wiele czasu.

Janka powtarzała to jedno zdanie jak zdarta płyta. Wciąż miała nieodzowną potrzebę tłumaczenia się ze wszystkiego i przed wszystkimi. Spojrzała na zegar, ale wskazówki stały w miejscu. Poszukała telefonu, przetarła wierzchem dłoni niewielki ekran starej nokii i uspokojona schowała go z powrotem.

– Jeszcze wcześniej. Potem muszę wracać. Musiałam zarejestrować Karinkę do pediatry. Wciąż ma ten suchy kaszel. Nic jej nie pomaga. Ani inhalacje, ani syrop z cebuli... Mówiłam: córka, idź z nią do specjalisty, bo to nie przelewki.

Dziadek Antoś chorował na płuca, w powietrzu tyle dziadostwa, jedzenie naszpikowane chemią... Aj tam! Jak grochem o ścianę! Oni wiedzą lepiej. Patrzą na mnie jak na wariatkę. A Karinka całe noce nie śpi, a nad ranem to aż zwracała. Biedne dziecko. To teraz: trzeba z dzieckiem do lekarza – przedrzeźniała córkę, zabawnie układając usta w dzióbek. – I co ja mam zrobić? Żal dzieciaka. Toż przecież nie jego wina, że matka z ojcem tak niepoważnie podchodzą. Praca, praca, wyjazdy, imprezy, znajomi... Ech! Szkoda gadać... Wszystko na mojej głowie. Ryszarda jeszcze nie ma... – Janka żaliła się, kołysząc się na krześle. Łucja z politowaniem patrzyła na podstarzałą, psioczącą na życie przyjaciółkę. Chciała powiedzieć, że przecież wie, że go nie ma, ale zamiast tego zdecydowała, udając ton nieznoszący sprzeciwu:

– Wypijemy spokojnie kawę.

Janka znów machnęła ręką w powietrzu, jakby chciała któryś raz z rzędu dać do zrozumienia, że niech tak będzie, że w zasadzie jest jej wszystko jedno. Rozpięła na piersiach nieco znoszony kardigan. Przytyła. Pewnie i lata, i brak czasu zrobiły swoje. Sylwetka nabrała takiego charakterystycznego dla kobiet w tym wieku kształtu. Piersi zwiększyły objętość, wylewając się z biustonosza i tworząc rulony pod pachami, górowały nad równie powiększonym brzuchem. Może i nie wyglądałoby to tak, gdyby kobieta nieco się postarała – wciągnęła brzuch, wyprostowała się, gdyby odczuła taką potrzebę. Tymczasem było całkiem na odwrót. Z twarzy jak na dłoni można było wyczytać smutek, zamartwianie się, umęczenie. Do tego dochodziło jeszcze takie głuche postękiwanie.

Zapach kawy rozproszył się po całej kuchni.

Kobiety siedziały naprzeciw siebie ze wzrokiem utkwionym w czarną toń w filiżankach. Łyzeczka stuknęła o spodek. Janka zamilkła, ale tylko na chwilę. Malujący się na twarzy wyraz skupienia, mimowolne cmokanie, kręcenie głową sprawiały wrażenie jakby sama dyskutowała ze sobą, czy to, co leży jej na sercu, ma zdradzić Łucji, czy nie. Podniosła naczynie do ust, na przemian to dmuchając, to upijając łyk gorącego naparu. W końcu odstawiła je na stół i patrząc Łucji prosto w oczy, rzuciła:

– No dobra! Muszę ci to powiedzieć – zaczęła, nabierając głęboko powietrza, aż obfite piersi zafalowały pod bluzką. Łucja odchyliła głowę, jakby obawiała się, że zamiast słów spadnie na nią grad razów. Gdzieś podskórnie wiedziała, że to musi nadejść. Nie miała pojęcia, jak się zachować, co powiedzieć. Janka wwiercała się w nią wzrokiem. Łucja szukała w nim nienawiści, rozczarowania, zawodu, ale oczy kobiety były najzwyczajniej smutne.

– Ryszard odchodzi ode mnie. Właściwie już odszedł. Wyprowadził się, nawet nie wiem dokąd. Pewnie kogoś ma – wyrecytowała na jednym wydechu.

Wyciągnęła znów chusteczkę, by obetrzeć zroszone czoło. Schowała zmiętą kulkę w rękaw. Upiła łyk kawy. Chwilę trzymała filiżankę, wodząc ustami po jej

obrzeżu.

– Jestem pewna, że to trwa już od dawna. Znam go. Tyle lat. Ślepa nie jestem.

Łucja nie drgnęła. Czekwała na dalszą opowieść. Pomyślała, że powinna spuścić oczy, by nie krępować przyjaciółki swoim cynizmem, brakiem poczucia winy. Zamierzała coś powiedzieć, ale wszystko wydawało się idiotyczne, zresztą Janka chyba nie oczekiwała od niej żadnych słów pocieszenia czy rady. Podniosła wzrok znad filiżanki, przesunęła spojrzeniem po meblach, po oknach, po Łucji.

– Ładnie wyglądasz. A tak. Wiem, że już ci to mówiłam. Ale naprawdę. Jesteś taka zmieniona... A ja?

Pytanie zawisło w powietrzu. Łucja czuła, że powinna pospieszyć z zapewnieniem, że... Ano właśnie, że co? Przecież nie mogła jej powiedzieć tego samego. Janka wyglądała źle.

– A wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – spytała, patrząc Łucji prosto w oczy. Wytrzymała to spojrzenie. Janka ze stoickim spokojem, bez żalu, bez hysterii, oznajmiła:

– Ja nie mam do niego pretensji. Od lat nie sypiamy ze sobą. Wiesz, nie znaczy... – Widać było, że to, co chce przekazać, ją krępuje. – Jestem wciąż zmęczona, zabiegana. Tyle na głowie. Cały dom. W nocy, w dzień małe dzieci. Ciągłe jest coś do załatwienia, a to trzeba z Jaśkiem popracować, a to przygotować coś do przedszkola. Nie mówiąc o obiadach, zakupach... To skąd mam wziąć siły jeszcze na to? Sama powiedz! Zwłaszcza że przecież one z nami śpią. I niech się które przebudzi. To co zobaczy?

Dopiero teraz Łucja zrozumiała, że Janka nie przyszła jej oskarżać. Nie przyszła do niej z żądaniem pokajania się, przyznania się do winy i złożenia deklaracji, że już nigdy więcej, że „mea culpa” i na kolanach ma błagać o wybaczenie. A potem ona, pełna zrozumienia i wspaniałomyślności, zapłacze szczerze nad niegodziwością przyjaciółki, rozbuchaną chucią męża i łaskawie wybaczy, ale nie zapomni do końca życia! Bo takich rzeczy się nie zapomina! A wtedy Łucja tłumaczyłaby się z tęsknot i niespełnień, ale powiedziałyby, że to koniec. Że tu nie było żadnej historii o ustalonej fabule, nie było żadnego początku, ale paradoksalnie jest koniec. Definitywny. I jeszcze Łucja zapewni ją, że nie musi dochowywać tajemnicy. Nie! Jest w stanie ponieść konsekwencje, znieść jeszcze bardziej wymowne milczenie Edwina. Janka nie czekała jednak na odpowiedź, tylko potrzebowała chwili, by dokończyć.

– Ale wiesz, Łucja, co? Jest coś jeszcze... – Tu głos stał się twardszy, bez tego tonu znużenia, załamania.

Łucja wzruszyła ramionami, bo przecież nie wiedziała. Może teraz wszystko wyjdzie na jaw. Bez znaczenia.

Janka przechyliła się w jej stronę i powiedziała niemal szeptem:

– Gorsze jest to, że ja też już nie chcę z nim żyć. Od lat mnie nie rozumie. Od lat żyjemy obok siebie. On sobie, ja sobie. Powiedziałam dzieciom. Były wściekłe na niego, ale obiecały, że mi pomogą, że nie zostawią mnie samej...

Łucja widziała, że Janka walczy, by się nie rozkleić, ale daremnie, powieki chaotycznie zaciskały się i otwierały. Bez skutku. Łzy płynęły. Wyglądała żałośnie – duża, mądra baba z zasmarkanym nosem.

– Jasne, że nie – potwierdziła Łucja, starając się zatuszować sarkazm, który sam z siebie cisnął się na usta. Jakże miały się odciąć od ręki, która ich karmi, wychowuje im dzieci! Pewnie, że będą z nią. Była wściekła na Jankę za tę jej naiwność, to poświęcenie, zgubienie siebie, zawieruszenie się między zabawkami, pieluchami i nauką wnuków.

Ale głośno tego nie wypowiedziała, nie chciała jej dokładać. Janka miała wystarczająco przykrości. Po brzegi. Nagle poderwała się, wysiakała nos, dopiła kawę.

– Muszę iść.

*

Głowę Łucji zaprzętała myśl o Ryszardzie. W pewnym sensie poczuła ulgę, znalazła rozgrzeszenie. To dobrze, że nie ona przyczyniła się do tego rozkładu.

Przed nią piętrzyło się pranie. Nowa sterta do prania. I inna do rozwieszenia. Zwyczajne życie...

*

A więc miała imieniny. Wieczorem Edwin też nie zadzwonił. Tak naprawdę nie przywiązywała do nich wagi. Owszem dostawała kwiaty, cokolwiek (najczęściej zależne od tak zwanego nastroju chwili, czy też zasobności portfela), ale wyczuwała w tym goście zobowiązanie. Bo tak trzeba, bo tak wypada. Nie miała pretensji.

Teraz jednak odczuwała niejasną przykrość.

Obraził się na amen. Wyparł ją ze swoich myśli. Są inne sprawy, problemy. Tak, wiedziała, musi ponieść karę.

grudzień, trzy lata po TYM

Grudzień okazał się kapryśnym miesiącem. Początek, który kalendarzowo

przynależał do jesieni, był mroźny, śnieżny i iście zimowy, natomiast tuż przed samymi świętami zagościła na powrót piękna, słoneczna jesień. Wprawdzie nie można było rzec „złota”, bowiem złote, purpurowe, miedziane liście już dawno przegnały przeszłe wichry. Na trawniku koło domu tańczyły jeszcze czasem zeschnięte, wymokłe liście, które nie zdążyły zbutwieć pod śniegiem, a które pozostały na zagarniętych, ale niewyniesionych do kubłów kopcach. Ale one nie miały nic wspólnego ze złotem. Łucja gdzieś koło środka jesieni zagrabiła trawnik, ale później jakoś o nich zapomniała. Nie musiała niczego. Tkwiła w jakimś kokonie, który odgradzał ją od realnego świata, niekiedy tylko pozwalając na przemycanie prawdziwego życia.

Zeschnięte badyle marczanków, astrów oraz innych kwiatów – nie tylko jesiennych, ale też letnich: aksamitek, cynii, czarnuszki damasceńskiej, gazanii, nagietka, nasturcji, portulaki, ślázówki górowały smutnie nad pobrunatniałą trawą. Teraz, kiedy słońce świeciło nisko, zaglądając niedyskretnie we wszystkie zakamarki, odsłoniła się cała brzydota. To była ta pora roku i ten stan przyrody, w którym trudno było doszukać się jakiegokolwiek piękna. Może dlatego ludzie wymyślili święta z kolorowymi bombkami i lampkami, żeby odciągnąć nieco wzrok od tego wszechpanoszącego się paskudztwa. I jak na złość ostatnimi czasy coraz rzadziej zdarzało się, że piękny, biały, aksamitny puch przykrywał wszystko. Świat był szary i bury.

Łucja omiatała wzrokiem kuchnię. Mrużyła oczy, bo dopiero wstała i nie zdążyły się jeszcze dokładnie rozewrzeć, a ponadto promienie słońca operowały nachalnie i intensywnie, trudno było się przyzwyczaić do tej ekspansywnej jasności. Kuchnia tonęła w blasku, demaskując wszystkie ślady obecności lub też i nieobecności kobiety. Nie żeby był brud, czy też jakieś zapuszczenie. To z pewnością nie! To był raczej ślad braku jakiegokolwiek formy rodzinnego życia, w takim rozumieniu, w jakim ludzie traktują kuchnię – serce domu. Jakaś szklanka, garnek na kuchence, ścierka rzucona na oparcie krzesła, owo krzesło odsunięte od stołu – ślad toczącego się życia. Tu trwał bezruch. I gdyby nie lampka po winie raz stojąca na stole, innego dnia na meblach, można by pomyśleć, że to jakieś magiczne miejsce zaklęte w czasie, czekające na odczarowanie, które pozwoli wprowadzić tu na powrót ruch.

Stała na wprost okna. Było jej przyjemnie ciepło. Z parapetu patrzył na nią mężczyzna. Ten sam, który przyglądał jej się z szafki nocnej, kiedy wstała i ten sam, który stał na konsoli w korytarzu (przewracany niejednokrotnie, bo to taki, jak powiadała Anka, newralgiczny punkt), ten, który wзираł ze wszystkich ścian w salonie. Edwin wypełniał sobą przestrzeń, organizował ją. Nie było go, a jednak był... Wszędzie.

Łucja starała się wytrzymać ten wzrok. Wiedziała, że tym razem też nie sprosta, ulegnie. A potem odwróci się, by nie widzieć. Nie uda jej się przyjąć

prawdy, że on nie żyje, że nie jest w stanie oczekiwać od niej niczego ani żądać niczego, ani prosić, ani tęsknić. Nie może, bo go nie ma! Bo umarł!

W niej był! Tkwił boleśnie, drażniący. Taki cierni.

Podeszła do okna. Tu też był. A jakże, stał na parapecie, oprawiony w ramę. To nie była żadna wykwintna rama ani jakaś szczególna fotografia, tylko jedna z tych wakacyjnych – Edwin w pozie. Nie lubił być zaskakiwany. Lubił wiedzieć, kiedy co się dzieje. Więc kiedy robiono mu zdjęcie, starał się przyjąć pozę jak najbardziej naturalną, która oczywiście już na pierwszy rzut oka wiała sztucznością i sztywnością.

Łucja gładziła ręką powierzchnię zdjęcia. Zaledwie trzy lata, a już poblekły barwy. Oczy straciły blask i kolor. Pomyślała, że ładnie mu w takim spranym odcieniu. Podniosła ramę. Nie mogła jednak tak... w cztery oczy... Ona i... wypełniona kartka. Przysunęła ramę do siebie. Schowała ją między szlafrok a koszulę. Ostre kąty kłuły piersi. Stała tak chwilę. Uchyliła okno, bo w domu było bardzo ciepło. Chłodne powietrze wdarło się natychmiast, najpierw mieszając się z ciepłem, a już za moment wypełniając sobą całą kuchnię. Łucją wstrząsnął dreszcz. Wyciągnęła fotografię i szczerze obwiązała się połami ciepłego, kocowego szlafroka.

Nalała świeżej wody do czajnika. Otwarty słoiczek z ulubioną kawą uwolnił zapach. Tak! Łucja uwielbiała ten zapach i obietnicę, jaką za sobą niósł. Za chwilę rozpocznie się rytuał. Gorąca kawa. To była kolejna z rzeczy, która trwała od zawsze. Zawsze piła kawę sama. Edwin wstawał wcześniej i sam sobie przyrządzał śniadanie. Zanim ona wchodziła do kuchni, śladu po nim nie było. Wychodził do pracy, pozostawiając po sobie zapach. Zawsze ten, który ona mu wybrała. I tylko ona. Więc nawet gdy go nie było, czuła, że jest. Zawsze tak było przed TYM.

Tylko że wtenczas on nie śledził jej z tych wszystkich ramek – wiszących, stojących, takich czy siakich. Nie było go tak pełno! Dawał jej trochę wytchnienia od siebie. Teraz wypełniał sobą wszystko. Nie było miejsca bez niego.

*

Woda zbulgotała, czajnik się wyłączył. Łucja zalała kawę. Ręce jej drżały. Udało się! Nie rozlała nawet kropli.

Postawiła zdjęcie na miejscu.

– Trzy lata... Gdybyś był, nie umielibyśmy nawet powiedzieć, czy w którekolwiek „trzy lata” zdarzyło się coś ważnego. Oczywiście poza narodzinami dzieci. Ale to takie codzienne! Sam powiedz! Nie ma niczego szczególnego w tym, że ludzie się rodzą. Ba! W tym, że umierają, też nie! Ale trzeba to robić w odpowiednim czasie! I z klasą!

Kątem oka widziała się w lustrze. Musiałaby się nieco wysilić, by widzieć

siebie jako całość. Ale nie miała siły. Nie chciała już patrzeć na siebie. Nie dzisiaj! Bo dzisiaj musi przygotować dom na święta. Żeby to były dobre święta! Odepchnęła lustro dalej. Zachwiało się. Na ułamek sekundy przestraszyła się, że spadnie, ale uspokoiło się. Stało twardo na stole!

– A ty? Uciekłeś! Jak tchórz! Tylnymi drzwiami... – Zasłoniła twarz. Schowała się w szlafrok. Zapach jej ciała, ciepło emanujące z wnętrza obudziło tęsknotę.

Zaprzagnęła natychmiast wyjść stamtąd, uciec od tych oczu, które niczym oczy renesansowych postaci wodzą za odbiorcą, szukając z nim kontaktu. Spojrzenie natarczywe, wymagające.

*

Łucja tęskniła bardzo, odkrywając wciąż od nowa, że tęsknota może tak dokuczać. Toczyć jak nowotwór. We śnie, w podświadomości, czasem zupełnie na jawie, omamiała się czekaniem na jego znak – telefon, list albo że nagle pojawi się obok. Niekiedy zadziwiała ją to, że pozwala sobie na takie fantazjowanie. Z dnia na dzień, z roku na rok tęsknota rosła w niej bezmiernym smutkiem, dla którego nie umiała znaleźć ujścia. Być może zbyt długo żyła bez miłości i tak rozpaczliwie potrzebowała ciepła, szaleństwa, że zatraciła zupełnie dystans do rzeczywistości. Próbowwała znaleźć coś, co pozwoliłoby jej postrzegać świat jako coś sensownego, życie jako piękno, radość, dla której warto żyć. Nie udawało się...

Tęskniła. Chciała, by wrócił, choćby miał się okazać jej wielką imaginacją i niespełnieniem. Chciała się przekonać.

*

Zapowiadał się ładny dzień. Teraz, kiedy słońce przesunęło się wyżej, trochę złagodniała późnojesienna brzydota. Przez uchylone okna dobiegały głosy ulicy. Ruch jak zawsze o tej porze roku był wzmożony, nie tak dokuczliwy jak w centrum miasta. W telewizji przewijały się reklamy. Dźwięczały dzinglami, śpiewały szlagierami, szafowały wyświechtanymi frazesami.

Filizanka świeciła dnem, na którym zalegała warstwa gęstych fusów. Może powróżyć? Łucja obracała naczynie w jedną, w drugą stronę. Lewą ręką, by szła od serca. Może uda się odczytać znaki. Ale na dole tkwiła uparcie gęsta masa. Żadnych znaków.

Postanowiła zrobić jeszcze jedną kawę. Tę wypija nie wiedzieć kiedy.

Niekiedy filizanka kawy stała niedopita do południa i dopiero wówczas, kiedy sprzątała w domu, natykała się na nią, bo nagle stawała przed nią niczym objawienie. Na krawędzi zastygł odcisk jej ust. Teraz matowy i rozmazany. Bo

najczęściej ze śladem amarantowego półksiężyca.

Odkąd rzuciła palenie, kawa przestała jej smakować. Nie miała zamiaru nigdy tego analizować, bo i nie miało to znaczenia. Kawa! To była najprostsza rzecz! Co innego śniadania, czy choćby obiady. Te już zupełnie zarzuciła. Opuściła sobie jako zbędne. Gotowanie dla siebie? Szkoda energii i czasu. Jutro pomidorowa czy krupnik? Smakuje ci ta zupa? Może podać sól? A rosół? Wystarczająco słony? Z nutką kurkumy smakuje wybornie. I ten kolor! A może dzisiaj tylko jajko sadzone i fasolka? Nieważne! Edwin nie znosił, kiedy pytała go, co na obiad.

– Dlaczego ty mnie pytasz o takie rzeczy? – rzucił rozdrażniony. – Co ugotujesz, to będzie! – konstatował ostatecznie.

I było! A on nigdy nie wybrzydzał, nie chwalił się i nie skarżył. Nie dosalał, nie dopieprzał. Tak! Gotowanie to była jej sprawa.

I kiedy sobie umarł... to i gotowanie się skończyło.

Po prawdzie nigdy tego nie lubiła. Ten jeden dawny rok, kiedy to przynosili jedzenie z pobliskiego baru albo czasem do niego chodzili – razem lub osobno – Łucja uważała za dobry rok w ich życiu.

*

W kuchni zrobiło się bardzo zimno. Przymknęła okno. Stała. „To idiotyczne” – pomyślała. „Żyję jak w jakimś niekończącym się marazmie. Wciąż to samo. Te same ściany, meble, widok za oknem”. Przesunęła wzrokiem po kuchni. Beżowe ściany, na jednej do połowy kafle z motywem malowanych garnków, kuchenka, meble, rozmyte za ornamentowymi, mlecznymi szybami naczynia, lustro, stary zegar, okno, stół... Obracała się wokół własnej osi, zamykała oczy, otwierała, jakby liczyła na to, że coś się zmieni, coś się poruszy. Cokolwiek, byleby tylko nie ten cholerny bezruch. Zakręciło jej się w głowie. Balansowała chwilę. Nie. Nie chciała upaść. Leżeć tu... Jak on kiedyś... Nie, tego się nie robi nikomu. Nagle Łucja poczuła ogromną złość. Rosła w niej. Kobieta mimowolnie zaciskała pięści, aż paznokcie wpijały się w skórę.

Edwin patrzył w milczeniu, w owym durnym poczuciu niezrozumienia. Czego ona znowu chce? Co znów wymyśliła? Jakby nie mogła przyjąć prostej prawdy, że jego nie ma!

Szurnęła zdjęciem.

– Wiesz co, Edwin? Właściwie to tak sobie myślę, że jesteś skurczybykiem! Popieprzonym egoistą! Zabrałeś mi tyle czasu. Przecież ty nawet nie potrafiłeś mnie kochać. Kochać? Co to za słowo? Czy my kiedyś mówiliśmy do siebie tym śmiesznym językiem miłości? Kocham, kochasz. Czy ja nie myliłam miłości ze strachem przed samotnością? Zobacz! No spójrz na mnie!

Usiadła przed lustrem. Zapadnięte oczy, przecięte głęboką zmarszczką czoło, zniekształcony owal twarzy.

– Nie! Nie będę płakać!

Palcami rozmasowywała twarz, naciągała skórę, zwinęła włosy wokół ręki i spięła wysoko, zagarniając błakające się po twarzy kosmyki.

– Ty nie umiałeś kochać – powiedziała, nie patrząc w stronę fotografii. – Dlaczego ja tego nie widziałam wcześniej? Trzydzieści lat temu? No, może nieco później... A ja wciąż oszukiwałam... Nie, ciebie nie... Nie myśl o tamtym... Ryszard? Zdarzyło się. Wiesz, że to nie miało żadnego znaczenia. Ja oszukiwałam nie ciebie, ale siebie. Siebie.

Rytmicznie stukala się otwartą dłonią w klatkę piersiową, jakby to miało ostatecznie ją samą przekonać.

– Wymyślałam! – prychnęła z ironią. – Trzepot skrzydeł motyli pod sercem. Głupia jestem. Naczytałam się romansideł... Piękne słowa, metafory... A na co dzień nie umieliśmy wymówić nawet najprostszego „kocham”. Ty. Zresztą ja też nie.

Wstała, poprawiła zdjęcie. Już zamierzała wyjść, ale nagle odwróciła się, jakby przypomniała sobie o czymś ważnym. Nachyliła się nisko, tuż przy twarzy męża i szepnęła w jego stronę:

– Edwinie! Już nie mam sił do ciebie. Tracę je! Jeśli się nie opowiesz za mną, zostawię cię. Będziesz musiał długo czekać na mnie. Pamiętaj! Już nawet nie wiem, czy cię kocham.

*

Rozległ się dźwięk domofonu. Wyrzała przez okno. Z początku nie widziała nic, ale zaraz za furtką podskakiwały jakieś głowy. Nacisnęła guzik i furtka się otworzyła. Na drodze do domu pokazały się postacie dzieciaków z maskami i jakimiś niekompletnymi łachmanami, co to pewnie miały oznaczać przebrania kolędników. Uśmiechnęła się do siebie. Do świąt jeszcze, jeszcze, a dzieciaki już kombinują, jak by tu zdobyć kasę – pewnie na fajki. Wyglądali na kilkunastoletków. Pewnie byli to jedni z tych zapomnianych przez życie. Zanim zdążyła otworzyć drzwi, usłyszała fałszujące „Dzisiaj w Betlejem”. Przed nią stało trzech wyrostków, którzy, zerkając na siebie nawzajem, upewniali się, czy aby na pewno każdy z nich śpiewa.

– Nie za wcześnie? – spytała na progu, usiłując przebić się przez nierówny śpiew kolędy. Najmniejszy – taki śmieszny, przypominający Dudusia Fąferskiego z *Podróży za jeden uśmiech* wystąpił nieco do przodu i zagadnął Lucję poufałym tonem:

– Wie pani, na prezenty dla mamy i rodzeństwa zbieramy.

Pozostałych dwóch, na dowód, że Duduś mówi prawdę, śpiewało coraz głośniej, zdradzając wszelkie fałsze i mutację. Najwyższy z nich kręcił niestarannie oklejoną złotkiem gwiazdą betlejemską.

Łucja roześmiała się, co ośmieliło chłopaków. Jeden przez drugiego wymieniał swoje bardzo liczne rodzeństwo, biadolił nad ojcem pijakiem i chorą matką.

– Zaczekajcie chwilę – powiedziała i weszła do domu. Nie chciała im dawać pieniędzy, przecież wiedziała, że żadne z „licznego rodzeństwa” ani „chora matka” nie uświadczą niczego z ich „pracy”. Zastanawiała się, czym mogłaby ich uszczęśliwić. Nie miała w domu nic. Rzadko kupowała jakieś słodycze. Przypomniła sobie jednak, że całe złogi zapomnianych imieninowych, urodzinowych, dniomatkowych i babciowych prezentów zalegają barek. Nie jadła takich rzeczy i nie wiedziała, od kiedy się tam znajdują. Wyniosła więc jakieś czekolady, praliny. Niech tam sobie dzieciaki posprawdzają, chociaż pewnie wmłóca jak leci.

Chłopcy skrzywili się na widok reklamówki, woleli pieniądze, ale koniec końców, gdy zaczęli przerzucać łakocie, śmiech im wrócił.

– No to trzymajcie się – rzekła Łucja.

Któryś z nich, chyba najstarszy, o ciemnej karnacji, jeszcze próbował:

– A może by tak pani...

Ale pozostali szturchnęli go w bok na widok tyłu słodyczy. Wiedzieli, że co za dużo... Zresztą każdy z nich już łakomie oblizywał wargi.

– Dziękujemy, dziękujemy – padało ze wszystkich ust.

A potem spojrzeli po sobie i gromko śpiewając *Przybieżeli do Betlejem*, szli w stronę furki. Łucja pożegnała ich, jeszcze chwilę machając im ręką bezceremonialnie i z ogromną radością. Rozbawili ją.

Kiedy Edwin żył, nie wpuszczali byle kogo pod drzwi.

*

Fałszujące tony kolęd ustały. Za chłopakami ciągnęły się roześmiane głosy. Może i żaden pieniąż nie wpadł, ale w zamian otrzymali tyle dobrego.

*

W połowie korytarza Łucja pomyślała, że czas stroić choinkę. Nie lubiła tego. Drzewko zawsze wyglądało tak samo. Nie pachniało żywicą, nie gubiło igieł. Przystrojone niegdyś – dmuchanymi bombkami, ręcznie zdobionymi: misiami, aniołkami, szyszkami, mikołajkami, czy też zwykłymi bańkami z wymalowanymi na nich pejzażami i scenkami rodzajowymi, oplecione girlandami, łańcuchami

o równym splocie i odpowiedniej sekwencji kolorów – teraz wiało starością. Kiedyś Edwin wpadł na pomysł, żeby w gorącym okresie świątecznym nie zawracać sobie głowy ubieraniem choinki i po prostu ustroić ją tak „na zapas”. Oponowała, że to bezsensowne, że ona woli, by co rok choinka wyglądała inaczej. Ale on stwierdził, że po co cokolwiek zmieniać. Jak coś jest ładne, to już zawsze będzie ładne. Zgodziła się niechętnie, bo uznała, że gra jest niewarta świeczki. Nie chciała psuć świątecznej atmosfery. I tak ubrała choinkę do złudy udającą świerk syberyjski. A po świętach drzewko obciążone dużą przemysłową folią dusiło się ponad dziesięć miesięcy, by w kolejne Boże Narodzenie – po dokładnym odkurzeniu, odświeżeniu i spryskaniu sprayem o zapachu sosny zawitać w salonie.

*

Łucja wytargała drzewko z piwnicy. Rozwinęła je z folii. Obłok kurzu uniósł się w powietrze. Ozdoby brzęczały.

Zielone gałęzie ściśnięte i owiązane szeroką taśmą poddawały się wszelkim modulacjom. Rozchylała plastikowe wici. Na podłogę sypały się zielone igły. Łucja okrążała drzewko, oglądała, przewieszała ozdoby, gdzieś tam zawieruszył się podłużny choinkowy lizak lub suszona śliwka w czekoladzie. Lampki nie działały. Tu i ówdzie prześwitywały metalowe pręty ogołoczone z zielonego plastiku. Choinka była kiczowata i brzydka.

W telewizji leciały świąteczne reklamy, wszystkie kanały rozbrzmiewały na przemian a to *Jingle Bells*, a to *Last Christmas*. Mikołaje, Śnieżynki mnożyły się na potęgę. I wszyscy byli szczęśliwi, bo oto pod świątecznym drzewkiem znaleźli upragniony odkurzacz albo obligacje, albo wrócił ktoś z dalekiej podróży, kogo można ugościć właśnie „tą” kawą, ogrzać „tym” gorącym kubkiem. Całe rodziny gromadnie zasiadają przy stole i nawet kiedy zniecka choinka zapłonęła prawdziwym ogniem, skaczącym do góry i niebezpiecznie rozprzestrzeniającym się po świątecznym reklamowym mieszkaniu, to też nie szkodzi, bo zaraz zjawi się pani z firmy pożyczkowej i za chwilę znów można będzie zasiadać w blasku świec, przy wtórze kolęd, wśród ogólnej serdeczności, rozsyłając sztuczne uśmiechy na prawo i lewo.

Łucja chwyciła pilot i nerwowo wyłączyła telewizor. Nie chciała patrzeć na to spływające zewsząd szczęście. W lustrze na przeciwległej ścianie odbijała się jej sylwetka na tle kolorowej choinki. Pomyślała, że to jest ohydztwo. Kilometry plastikowej, pociętej taśmy o jednakowym odcieniu, który w istocie nie ma zupełnie niczego wspólnego z kolorem świerków pachnących żywicą. Niemal idealnie prosty kostur, przystrojony tandetnymi dekoracjami.

Chwyciła drzewko. Bombki dygotały, sznur wygasłych światełek plątał się między gałęziami.

Musiała się tego pozbyć.

– W końcu zrobiłaś coś mądrego – usłyszała Ankę, która zjawiała się znienacka. Przytrzymała drzwi, żeby matka mogła swobodnie przejść. Zdążyła jeszcze musnąć jej policzek. Patrzyła na nią, jak idzie, trzymając przed sobą sztuczny wiecheć. Rzuciła płaszcz na komodę i weszła do kuchni. Na parapecie stało zdjęcie ojca. Przekrzywiła głowę, chcąc widzieć go pod pewnym kątem. Teraz wyglądał, jakby się lekko uśmiechał.

Matka i ojciec. Ona była gdzieś za domem, on był tu. W domu niezmienna cisza. Ani radia, ani magnetofonu i nawet telewizor nie brzęczał. Anka pamiętała tę ciszę z przeszłości. Czasem, kiedy obserwowała rodziców i nie mogła nadziwić się, na jakiej zasadzie oni funkcjonują, nie umiała dopasować żadnego schematu, w którym by się mieścili. Niekiedy ogarniała ją przemożna chęć przerwania tej ciągłej domowej ciszy, tego uśpienia. Tęskniła za dźwiękami, choćby awantury, niechby nawet karczemnej pyskowsy. A tu nic. Dwoje ludzi. Czy można to nazwać związkiem? Związkiem czego? Szczególnie bolał ją smutek, jaki widziała w matce. Ance wydawało się, że matka nigdy się nie śmiała na głos. Owszem, uśmiechała się, kiedy Anka powiedziała coś śmiesznego, ale perlisty, głośny śmiech? O nie! Co to, to nie! Szklana twarz. Matka nie plotkowała, nie chodziła do sklepów, nie zajmowała się trendami, modami. Nie rozmawiała z koleżankami przez telefon. Miała grono znajomych, zresztą bardzo uszczuplone, ale bardziej byli to ludzie związani z interesami, z którymi nie tworzyła więzi. Łucja była sama. Nie miała koleżanek. Może poza Janką, ale i z tą zazwyczaj toczyła rozmowę taką strasznie poważną, a właściwie to tylko była słuchaczem. Anka nigdy nie słyszała, by matka żaliła się, sarkana na kogokolwiek. Czasem myślała, że matka zapadła na jakąś dziwną chorobę oziębłości. I kiedy to sobie uświadamiała, unikała jej, bo bała się zarazić. Z czasem coraz częściej z przerażeniem dostrzegała swoje podobieństwo do niej, wydawało jej się, że powieliła zachowania matki, że staje się taka jak ona. Wtedy godzinami wystawała przed lustrem w swoim domu i ćwiczyła uśmiechy, dzwoniła śmiechem przy oglądaniu komedii czy kabaretów, by przekonać się, że jeszcze umie się śmiać, że nie traci tej zdolności.

Podczas gdy matki jej koleżanek karmiły się wzajemnie historiami o niewyuczalnych mężach, krnąbrnych dzieciach, uciążliwych teściowych, jej matka żyła tak, jakby te wszystkie sprawy jej nie dotyczyły. A przecież prawda była zgoła inna. Jaką pakowność musi mieć wewnątrz matki, żeby to wszystko pomieścić, jaką szczelność, by niczemu nie pozwolić ulecieć? Kiedy była małą dziewczynką, marzyła o tym, by matka była taka jak filmowe, amerykańskie matki – niezależne, piękne, wystrojone, jeżdżące dobrymi samochodami i ignorujące pełne zachwyty spojrzenia obcych mężczyzn. Chciała widzieć rodziców tulących się do siebie i całujących namiętnie. Tymczasem ona w żaden sposób nie umiała sobie wyobrazić rodziców w intymnym akcie. Byli wciąż na odległość. Żyli

poprawnie. Tak. To było najodpowiedniejsze słowo. Nijakie – ani dobre, ani złe. Niedobrze się robiło, kiedy człowiek na to patrzył! Żadnych emocji, żadnego szaleństwa. Kwiaty na imieniny, takie same na urodziny i żywcem wyjęte z poprzednich – na rocznicę. I za każdym razem „wszystkiego najlepszego”. Tylko że Anka obawiała się, że owo wszystko najlepsze jest zupełnie nieskonkretyzowane. Wiedziała, że matka już nie wie, czego chce, że jest przekonana, że żyje w najlepszy z możliwych sposobów. Może kiedyś jeszcze czegoś chciała, ale z czasem nauczyła się żyć w tej emocjonalnej pustce. I dobrze jej z tym. I tego Anka nie mogła znieść! Tego pogodzenia się, przyjęcia życia w takiej formie, jaka jest. Bez żadnej możliwości zmian! Nawet bez chęci zmian.

Anka często „podglądała” matkę. Była dla niej wciąż piękną, atrakcyjną kobietą. Gdyby nie fakt, że jest jej córką, że wpisana jest w jej genealogię, że to daje jej konkretną wiedzę o datach, nie umiałaby określić jej wieku. Ani włosy, ani twarz, ani sylwetka – nic nie desygnowało jej na konkretne miejsce w rubryce wieku. Jeśli małe dzieci chwaliły się, że ich matki są piękne, o ile nie najpiękniejsze na świecie, to było oczywiste, że obiektywnie można było spodziewać się kobiet bardzo przeciętnych. Ale dla Anki – dorosłej i mądrej – Łucja była w istocie piękną kobietą. I może właśnie dlatego rodził się w niej taki sprzeciw: jak taka piękna kobieta może być tak zwyczajnie nieszczęśliwa? Zasługiwała na wszystko, a zadowalała się namiastką! Czy Anka kochała ojca?! Jak najbardziej! Ale to była inna kwestia. Ojciec to ojciec. Matka zaś to matka. Ale, mając już kilkanaście lat, wiedziała, że poszczególne funkcje, jakie są zadane człowiekowi do pełnienia, mogą być oceniane częściowo. Tak – wspaniały człowiek. Wspaniały ojciec. Wspaniały szef. Tylko... jako mężowi coś zaszwankowało! Anka wyczuwała tę sztywność gestów, chropowatość dłoni, którymi z rzadka próbował ją zagarnąć do siebie. Czasem. I zawsze miała wrażenie, że zawstydział się po takich aktach słabości, więc i one zniknęły niepostrzeżenie. Zostały jedynie szybkie muśnięcia w czoło. Taki stryjeczny pocałunek. A kiedy ona próbowała przytulić się do ojca, zawsze natrafiała na otwartą dłoń, która całą swoją powierzchnią broniła ich ciał przed wzajemnym kontaktem. Może nawet żal jej było ojca. Bo może chciał, a nie umiał. A może nie wiedział, że tak można...

*

Łucja weszła do domu dumna i zasapana. Zaraz wyciągnęła odkurzacz, bo cały dom obsypany był sztucznym igliwem, ścinkami srebrnych girland i brokatem z bombek.

– Uff! Pozbyłam się tego badziewia – oświadczyła zdyszana, otrzepując z kurzu ręce.

– No, brawo! Zawsze to coś! – pochwaliła ją córka. – Już dawno sama chciałam to zrobić. Rzygać mi się chciało, kiedy kolejny rok z rzędu widziałam to tałatajstwo. Takie samo od lat. Zupełnie jakbym miała déjà vu. Ale ojciec... jak się zacietrzewił...

Wspomnienie Edwina zmyło uśmiech z twarzy Łucji. Anka dostrzegła ów mikroruch.

– Taki był – skwitowała matka. – Był... – powtórzyła jakby do siebie.

– Wiesz co? – Anka poderwała się nagle. – To ja pojedę i kupię ci choinkę. Taką z lasu! – zadeklarowała, wkładając zrzucony dopiero co płaszcz i spiesząc się, jakby w obawie, że za chwilę matka się rozmyśli i przytarga z powrotem ten opatrzony przez lata chojar.

*

Zapach żywicy wypełniał cały dom. Zmrożone nieco gałązki tajały, pozostawiając mokre ślady na parkiecie, ale jednocześnie ta wilgoć wzmagała woń lasu.

– Pachnie? Co? – Anka była zachwycona niczym dziecko. Stała z zatopionym w gałęziach nosem, głośno wciągając zapach drzewa.

– Uważaj! Bardzo ciężko jest sprać żywicę. Pobrudzisz sobie sweter! – upominała ją Łucja, choć sama nie marzyła w tej chwili o niczym więcej, jak tylko o tym, by położyć się pod drzewem, zamknąć oczy, przywołać wspomnienia... Te dawne... tak dawne, że nie była pewna, czy ich sobie sama nie wymyśliła... Wspomnienia z tego lasu, do którego uciekali przed wścibskimi oczami, do lasu, w którym całowali się, pieścili. Albo z tego lasu... z Ryszardem...

– Mamo! Kiedy ty ostatni raz byłaś w lesie? Na łące? Nad jeziorem? – usłyszała ciche pytania córki. Była w nich jakaś subtelność, delikatność. A może córka słyszała jej myśli. Może ona wypowiedziała je na głos?

– Nie wiem... Nie pamiętam, ale to chyba było dawno temu. W tamtym życiu – powiedziała.

Umocowały choinkę w uchwycie. Trzeba było nie lada umiejętności, by uporać się z pniem, którego obwód był tak wielki, że w żaden sposób nie chciał się dać umieścić w stojaku. Łucja przyniosła z garażu jakąś taką siekierkę i powoli, na zmianę, jedna i druga obciosowały drzewko tak, że stanęło wyniośle na środku salonu, roztaczając wokół obłądny zapach. Zmęczone siadły na podłodze. Ścinki, igły uwierały je w pośladki, uda, ale żadna nie chciała się podnieść.

Było dobrze.

ponad trzy lata po TYM

Zaraz po świętach zmarł teść. Nie chorował, ale jego śmierć dla nikogo nie była zaskoczeniem. Miał swoje lata. W końcu każdy musi kiedyś umrzeć. A gdy już ma się koło osiemdziesiątki, to już nie ma co liczyć, że czas się wróci, czy zatrzyma.

Mimo nalegań ze strony synowej, że może zamieszkać z nią, dom wielki, obie się pomieszczą, Leokadia zdecydowała się na Dom Pięknej Jesieni.

– Całe życie miałam wokół siebie niewielu ludzi. Może choć na stare lata nacieszę się nimi – powiedziała matka Edwina, kiedy siedziały same przy piecu w domu teściów. Dzieci porozjeżdżały się do siebie. Rodzina Andrzeja i Leokadii – wszyscy poubierani na czarno, kobiety w czarnych kurtkach, płaszczach i obowiązkowo czarnych apaszkach lub beretach, mężczyźni w garniturach, niektórzy mieli czarne, szerokie tasiemki obwiązane wokół dołu rękawa i spięte agrafką lub szpileczką – już na cmentarzu pożegnali starą wdowę. Ustawieni w kolejkę, jak kiedyś w ogonku po mięso, podchodzili, wycierając suche oczy i całowali Leokadię w oba policzki. Przyjmij moje kondolencje. Piękny wiek, doprawdy piękny wiek. Ano widzisz, Lodziu, na każdego przychodzi pora.

Ona przyjęła śmierć męża jako fakt. I nie było w tym żadnej skargi ani żalu. A mimo to w Łucji pojawiła się myśl o teściowej. Pełna wyrzutów, że nie dość jej dała, zbyt mało poświęciła czasu, uwagi. Gdyby chociaż zapłakała, czy w jakikolwiek sposób dała znak, że jest jej źle, że oczekuje pomocy, pocieszenia. Czegokolwiek. A ona nie! I jeszcze ten jej niedający się absolutnie niczym zmącić spokój.

w tamtym życiu przed TYM

Łucja usiłowała sobie przypomnieć, jak to było kochać się z Edwinem. Pamiętała doskonale tamten raz, kiedy to kochali się po tym, jak zdradziła go z Ryszardem.

Przez wiele dni po jego powrocie do domu ze szkolenia spali osobno. Mijali się, wymieniając zdawkowe, lakoniczne komunikaty. Będziesz jadł? Czy potrzebujesz czegoś? Nie wrócę na obiad. Pamiętaj, by opłacić ubezpieczenie, bo dzisiaj piątnasty... I tym podobne. Brakowało jej Edwina, choć nie chciała się do tego przyznać. Kilkanaście dni bez niego budziło tęsknotę, a za nią pojawiały się wyrzuty sumienia i pamięć o tamtym. Próbowwała się oszukiwać, że nic się nie

zdarzyło, że nic nie czuła, że był to tylko incydent – bez konsekwencji, bez pamięci. Ale było inaczej. Wciąż czuła na sobie jego dotyk. Najgorsze wszakże pozostawało uczucie nienasycenia. Teraz każdy centymetr jej ciała domagał się konfrontacji. Edwin. Ryszard. Dreszcz podniecenia wstrząsał jej ciałem. Nie lubiła siebie takiej. Nie lubiła myśleć o seksie. Nie lubiła potrzebować seksu. Ale bez względu na wszystko, natura upominała się o swoje. Wyzierała z zakamarków umysłu. Niepowołana. Niepokorna i bezwstydną.

Co noc Łucja przewalała się na wielkim łóżku. Nie mogła zasnąć. Przez otwarte drzwi słyszała, jak głośny oddech, przechodzący w pochrapywanie, wypełnia cały dom. Sen jak kapryśny kochanek przychodził raz o drugiej, raz o czwartej nad ranem.

Aż której nocy ugięli się. I ona, i on... I ten powrót odbył się bez słów. On wszedł do sypialni bezszelestnie. Nie spała. Z sąsiedniego pokoju dobiegał głos spikera, który poinformował, że właśnie minęła północ.

Wsunął się pod kołdrę. Czuła, że potrzebuje kobiety. Edwin przyłgął do jej pleców. Na moment sparaliżował ją chłód jego ciała. Wilgotne przykleiło się do jej koszuli. Nie poruszyła się, choć już wszystkie połączenia nerwowe przyjęły stan gotowości. Nie zamierzała, ani też nie chciała, się bronić. Pragnęła się kochać, jej ciało stawało się napięte, jeszcze przez moment zachowywała wszelkie pozory senności. Mężczyzna wsunął jedną rękę pod biodra, zdecydowanie przełożył swoje nogi między jej. Owłosione łydki łaskotały drażniąco. Czuła, jak twardy członek wbija się w nią. Nerwowo, ale zdecydowanie. Oplotła rękoma męża, który wchodził w nią coraz szybciej, dysząc w jej szyję z podniecenia. Garnęła się w jego rękę, unosiła biodra, by pozwolić mu jak najgłębiej wejść w siebie. Stawała się coraz bardziej niecierpliwa. Gorączkowo przyciskała go do siebie, wpijając się paznokciami w jego plecy. Byli spleceni, chaotyczni. Przyspieszony oddech mężczyzny zdradzał to stadium napięcia, które już niewiele rzeczy jest w stanie zmienić, odwieść od celu – spełnienia, zaspokojenia. Jeszcze tylko kilka ruchów i mężczyzna wydał z siebie stłumiony skowyt.

Leżeli obok siebie. Nieruchomi i zmęczeni.

A potem Edwin wstał szybko, jakby nigdy nic. Zgarnął swój szlafrok z podłogi. Zaraz też Łucja usłyszała szum wody i pogłośniony telewizor. Przymknęła oczy, dawała sobie czas, by jej ciało uspokoiło się, wystygło. Bardzo chciała, by wrócił. Napięcie jeszcze nie ustąpiło, pragnęła jeszcze. Wiedziała jednak, że to koniec. Że pozostawi ją niespełnioną, jak to bywało przez lata. Jednak sama świadomość tego zbliżenia, ten akt zespolenia, kiedy czuła, że oto są jednością, powodował, że czuła się szczęśliwa. Chciała tak trwać. Jakby miało jej starczyć na zapas...

Wrócił do łóżka nad ranem. Sine niebo wdzierało się przez niedosunięte rolety. Był wymarzniony, mościł się, coraz to ściągając z niej wygrzaną kołdrę. Zza

zastony dochodziła muzyka. Zegar wyświetlał piątą trzydzieści.

Łucja przebudziła się na dobre. Wstała do toalety. Gorący strumień wody przywołał nocne doznania. Przeczesała włosy, natarła ciało delikatnym balsamem i wróciła do łóżka. Edwin leżał szczelnie owinięty, ale wiedziała, że nie śpi. Musnęła jego ramię, przełożyła nogę przez jego bok. Chciała, żeby odebrał to jako zaczepkę, zachętę. Przesunęła rękę po jego torsie. Stawała się coraz zuchwalsza. Może gdzieś tam wewnątrz czaił się wstyd, ale nic już nie mogłoby powstrzymać jej przed dokończeniem tej prowokacji. Jej ciało drżało z podniecenia i nie zamierzała się wycofać. Edwin pociągnął ją na siebie. Była nad nim. Obnażona. Niecierpliwa. Odrzuciła płaczącą się kołdrę i coraz gwałtowniej się poruszała, aż poczuła rozkosz tak silną, że zdawało jej się, jakby uniosła się w przestrzeni, jakby fruwała pomiędzy chmurami. Łapczywie łykała hausty powietrza. Uspokajała się. Chwilę jeszcze siedziała z podkulonymi wzdłuż jego boków kolanami, wpatrując się w jego twarz. Miał przymknięte powieki. I dobrze. Nie chciała, by widział jej nagość. W lustrze odbijała się zaczerwieniona twarz, rozrzucone w nieładzie włosy. Wyglądała wyzywająco.

*

Tego dnia kochali się ostatni raz. Tak gorączkowo. Dziko. Zapamiętała go dokładnie. Był inny od innych.

jakiś czas po TYM

Łucja nie umiała przywołać z pamięci tego okresu, kiedy wygasł w nich żar, kiedy Edwin przestał nękać ją ciągłym oczekiwaniem jej gotowości na seks. Bywało tak, że noc w noc domagał się kochania, choć w ciągu dnia nie dawał żadnych oznak. Nie było gry słów, nie było przymilania. Brał ją szybko, a potem zasypiał. Była dla niego zamiennikiem tabletki na sen, szklanki mleka. Dla niej zaś od zawsze, od tamtego razu w starej kamienicy, pilnowanej przez kulawego Zyge, każde zbliżenie stanowiło dowód ich jedności. Owo dopasowanie fizjologiczne, ten sam rytm ciał, zgodność oddechu były dla Łucji wystarczającym powodem nakazującym dzielne spełnianie potrzeb męża. I kiedy czuła w sobie rozpychającą się wewnątrz niej męskość, kiedy czuła, że panoszący się w niej penis zbliża się do granicy bólu, to właśnie tak odbierała jego miłość. Właśnie tak wyobrażała sobie ową jedność mężczyzny i kobiety.

Nie miała wówczas żadnych wyobrażeń na temat seksu, nie miała również

żadnych doświadczeń. Z czasem nauczyła się pewnych zachowań...

jakaś zima, kilka lat po TYM

Zima była długa, śnieżna i mroźna. Zaraz po świętach zadzwonił Łukasz. Z początku przestraszyła się, bo dzwonił rzadko i w zasadzie już od pierwszego słowa przedstawiał, o co chodzi. Zazwyczaj były to krótkie pytania, co u niej słychać, czy jest zdrowa, czy sobie radzi. A potem on w skrócie mówił, że u niego też w porządku, czasem jakiś kaszel Franka czy równie nieistotna błahostka Hani. Asia? Tak. Pracuje. Tak ogólnie – nic szczególnego. Tym razem w głosie syna można było wyczuć jakieś podniecenie, za którym jednak kryło się pewne wahanie. Łucja bała się, że syn obwieści jej jakiś kataklizm, tragedię, z którą będzie musiała się zmierzyć, a przecież ona sama jeszcze nie wyrosła ze swojego nieszczęścia, że jest tak bardzo pokiereszowana, że nie będzie umiała... Ale Łukasz od razu przeszedł do konkretów.

– Mamo! – zaczął ostrożnie, słychać było, że wszelkimi siłami stara się zachować obojętny ton. – Dostałem propozycję wyjazdu do Stanów.

Odetchnęła z ulgą. Nie mówiła nic.

Odczekał chwilę, jakby chciał dać jej szansę na jakąś reakcję, ale matka słuchała.

– Znalazł się ktoś, kto chce i może mi pomóc zorganizować wystawę moich prac. Wiesz. Jest to dla mnie ogromna szansa, że w końcu może się przebić, może wyjdę z tego cienia... może zacznę się sprzedawać... Coś tam mi się udaje, ale to nie to, o co mi chodzi. Tam jest zupełnie inaczej... Inny odbiór. U nas to wciąż ograniczanie się, wciąż brakuje dystansu do malarstwa... Przeżywam stagnację już tyle czasu, a teraz ma to szansę się zmienić... tam ludzie nie chcą tylko zachodów słońca, sielskich pejzaży... – Łukasz rozkręcał się. Jak nigdy mówił dużo i szybko. W sposobie mówienia słychać było podniecenie. Opowiadał o spotkaniach z krytykami, o planowanych fantastycznych plenerach, na których mają być Brian Hopper i Rick Wesley, o Fundacji Solomona Roberta Guggenheima, która w Nowym Jorku ma swoje muzeum. Niemal z nabożeństwem rzucał nazwiska Mondriana, Picassa, Chagalla. Łucja słuchała z przejęciem, ale wciąż nie miała pojęcia, do czego syn zmierza. Rozumiała, że zapewne nie po to dzwoni, by jej to oznajmić. Znała lakoniczność wypowiedzi, oszczędność emocji. Łukasz był w tym bardzo podobny do ojca. Gdyby tylko o sam wyjazd chodziło, oświadczyłby po prostu, że wyjeżdża i już.

– To świetnie – wtrąciła. I tylko tyle umiała powiedzieć. W rzeczywistości

zdała sobie sprawę, że nie bardzo ma pojęcie, czym zajmuje się jej syn. Wiedziała, że maluje, nawet miała kilka jego rzeczy. Pasowały do wnętrza. Nigdy jej nie interesowała jego sztuka. Na obronę – wystarczył jej fakt, że jest szczęśliwy i dumny z tego, co robi. Nie rozwodził się nad szczegółami, jakby zapadło mu w pamięć, że ta jego „artystyczna przypadłość” stała się kiedyś tam przyczynkiem wielkiej rodzinnej awantury, po której żadne z nich – ani on, ani ojciec, matka, ani nawet Anka – nie pozostało takim samym. Jediną osobą, która podzielała jego pasję bezkrytycznie i absolutnie, była jego żona Asia. To ona kazała mu trwać w tej swojej sztuce, nawet wówczas, gdy wszystkie drzwi zatrzaśkiwały się przed nim, a przypadkowi „znawcy” radzili mu, by „poszukał innego zajęcia”. I kiedy tygodniami zamykał się w sobie, często całymi dniami nie wpuszczając nikogo, tylko Aśka włamywała się do niego, tuląc się, podając mu farby, kupując płótna. A kiedy wychodził ze swojej nory, czuł przede wszystkim ogromne zdziwienie, że ona wciąż jest. Dzieci zadbane i uśmiechnięte. Bo Aśka karmiła je opowieściami o nim, jego pracy, tak że one nie miały zielonego pojęcia o jego przeogromnym poczuciu klęski i bliskości załamania nerwowego.

– Mamo, wiem, że to może być dla ciebie trudne, może nawet niemożliwe, ale... – Łukasz odchrząknął, jakby bał się, że nie starczy mu sił na dokończenie. – Właściwie nigdy was o nic nie prosiłem. Przez te wszystkie lata... i wtedy... Zresztą... Nieważne, co było, ale teraz... – urwał znów. A w końcu wypowiedział na jednym oddechu:

– Chcemy cię prosić, byś przez ten czas zajęła się dziećmi.

W słuchawce słychać było, jak głośno nabiera powietrza.

– To może być miesiąc. Może być mniej, ale może i potrwać nieco dłużej.

Zapadło milczenie. Łucja najpierw odetchnęła z ulgą. Ale chociaż przysły złowieszcze przypuszczenia o jakimś nieszczęściu, to zaraz w jej głowie pojawiła się panika. Ona? Ma zostać z wnukami? Które jej nie znają, których ona nie zna? Przecież w tej chwili, bez namysłu, nie umie nawet powiedzieć, ile mają lat. Nie wie, co lubią, czym się bawią. Nie ma pojęcia, jak nazywa się ich pani. W przedszkolu? W szkole?

Cisza stawała się niezręczna, postanowiła ją przerwać. Po drugiej stronie Łukasz czekał w napięciu. Gryzł skórki przy paznokciu kciuka. Małe farfole wisiały później między zastrupiałymi rankami.

– Kiedy? Kiedy zamierzasz jechać? – spytała.

– Zamierzamy – poprawił ją. – Bo Asia jedzie ze mną. Bez niej nie dam rady. Jeżeli wszystko pójdzie po mojej myśli, to byłby to koniec czerwca...

Łucja policzyła szybko, że to jeszcze ponad cztery miesiące. Długi czas. Wszystko może się zmienić. Teraz jednak chciała się zgodzić. Jej dzieci nigdy o nic nie prosiły. Nie była im do niczego potrzebna.

– Nie ma sprawy. Nie mam nic do roboty. Nie ma sprawy – powtórzyła.

Łukasz jakby wyczuł może nie tyle wahanie, co obawy matki, bo przybierając już nieco lżejszy ton, próbował zażartować:

– Wiesz, mammo! Jeszcze jest dużo czasu, byście pouczyli się siebie nawzajem.

– Przyjdźcie do mnie jeszcze przed Stanami – zaproponowała ostrożnie Łucja.

– Przyjędziemy. Może za tydzień.

*

Łucja z goryczą pomyślała, że istotnie nie zna ani Hani, ani Franka. Nie potrafiłaby chyba nawet opisać żadnego z nich. Tak, Franek jest ładnie podobny do Łukasza, Hania – mieszana. Ale to tylko tyle. Ponownie w duchu przyznawała synowi rację. Poznać dzieci. Dotychczasowa panika z wolna ustępowała miejsca dawno nieodczuwanej ekscytacji. Tak, musi to zmienić. Gorączkowo planowała kolejne kroki. Przygotuje dla nich pokoje. Może zmieni meble. Teraz są takie ładne małe mebelki. Ma oszczędności. Od dawna jej wydatki były minimalne. Nawet nie sprawdzała zasobności konta. Nie musiała. Edwin ją zabezpieczył. Oszczędności na rachunkach, polisy. Przypomniała sobie wściekłość, w jaką wpadła, kiedy pracownica towarzystwa ubezpieczeniowego zadzwoniła do niej z kondolencjami. I ledwie skończyła mówić o wielkiej stracie, o zaskoczeniu, o tym, że taki młody i tyle jeszcze mógł, że aż trudno uwierzyć, że to się stało, gdy zaraz potem zaczerpnęła powietrza w płuca i umawiała się na spotkanie w sprawie świadczenia, jakiegoś podpisu, formalności. O mały włos Łucja by ją pobiła, nie mogąc zrozumieć, o czym tamta mówi. Jak jej mąż mógł założyć polisę, ubezpieczyć się od śmierci w wyniku zawału, udaru, nowotworów? Po co? Przecież nic mu nie dolegało! Nawet się nie badał. Skąd mu przyszło do głowy, by zakładać nagłą śmierć!?

Po śmierci Edwina odbywały się jakieś sprawy spadkowe. Łucja tkwiła w zupełnym odrętwieniu. Pamięta, jak Anka wozila ją do sądu, prowadziła korytarzami, ale oprócz drogi i samego faktu wchodzenia na salę rozpraw nie pamiętała nic.

A jakiś czas potem okazało się, że dzieci zrzekły się swojej części spadku na jej korzyść. Miała dużo. Ale to zupełnie jej nie interesowało. Pieniądze. One były zawsze. Edwin od samego początku tak dbał o wszystko, że w ich domu nigdy nie było walki o zdobycie pieniędzy. Była do tego przyzwyczajona. Nie miało to dla niej znaczenia. Ile? Czego? Komu? Pieniądze? Nie chciała żadnych pieniędzy, chciała jego.

*

Obraz Łukasza wisiał w salonie. Nigdy nie rozumiała jego treści, ale kolorystyka współgrała z wystrojem pokoju. Teraz oglądała go pod różnym kątem. Dziwna gra światła, kolorów i kształtów wydawała się niepokojąca. Nie zamierzała interpretować. Nigdy szczególnie nie pociągało jej malarstwo, a już na pewno nie sztuka współczesna. Owszem, niekiedy coś wydało jej się po prostu ładne, tak jak miliony rzeczy określa się tym słowem. Za to uwielbiała operę i ilekroć miała okazję obejrzeć spektakl, nie potrafiła sobie odmówić. Edwin towarzyszył jej w tych eskapadach, ale nie rozumiał, co ona widzi w egzaltowanych kochankach, granych przez diwy operowe w wyszukanych koafiurach, z manierą opłakujących nieszczęśliwą miłość.

Pogładziła ręką powierzchnię. Była nierówna, choć Łucja pod palcami nie wyczuwała chropowatości, wypukliny z farby sprawiały wrażenie miękkich. Wystarczyło wcisnąć palec i rozprowadzić farbę w różnych kierunkach. Zupełnie inny obraz.

Łucja zateśkniła za synem. Za jego dziećmi. Musiała natychmiast je zobaczyć. Sprawdzić, czy wyglądają tak, jak sobie o nich myśli. Albumy z fotografiami leżały w należyтым porządku. Opisane. Kto, gdzie. Z datami. Skrupulatnie. Wyciągnęła gruby tom, opatrzony napisem *Hania i Franek*. Małe dzieci podczas chrztu, torty ze świeczkami, szczerbate uśmiechy, węże na szyi, wianki na głowie, maski myszki Miki, czerwono-niebieski strój Spidermana. Przysiadła na sofie. Trzymała album na kolanach. Z kolejnych stron wзираły na nią oczy jej dzieci. Franek wyglądał niczym kopia Łukasza. Hania była bardzo podobna do Asi, ale układ brwi, nos był Edwina. Przerzucała strony, co jakiś czas wracając do poprzednich. Zapragnęła przytulić wnuki. Chciała je mieć przy sobie. Sama myśl o nich poruszyła ją, wspomnienia napływały jej do głowy, ale było ich tak niewiele.

Nagle poderwała się. Wstała energicznie i zadzwoniła do Anki. Po drugiej stronie zalegała cisza. Odczekała, aż automatyczna sekretarka skończy swoją kwestię, i przybliżyła usta do telefonu, by nagrać wiadomość. Łucja nie lubiła tego, ale tym razem się przemogła.

– Aniu! Oddzwoń do mnie! W miarę możliwości szybko!

Nie zdążyła jeszcze odłożyć telefonu, gdy rozległ się natarczywy dźwięk dzwonka.

– Mamo! Co ci jest? Co się stało? – Anka była zdenerwowana, zdyszana. Mówiła szybko, chciała już przyjeżdżać, to znów decydowała się wzywać pogotowie.

Próbowała ją uspokoić, chociaż jej głos wciąż zdradzał pobudzenie.

– Nic się nie stało.

Ale Anka nagle przypomniała sobie niedawną wizytę matki u lekarza i znów zaczęła histeryzować:

– Powiedz mi prawdę! Mamo!
– Nic mi nie jest – przerwała jej matka stanowczo, wzięła głęboki oddech i oświadczyła:
– Chciałam, żebyśmy pojechały do sklepu.
– Do sklepu? I po to dzwonisz? – Anka nie wierzyła w to, co słyszy. Jej matka, która od dawna niczego nie potrzebuje, która żyje jakimś absurdalnym minimum, jej matka dzwoni do niej, bo chce jechać do sklepu.
– To nic ci nie jest? Na pewno? Sklep? – upewniała się. – I po to dzwonisz?
– rozpoczęła kolejną rundę pytań. – Ale na litość! Jaki sklep? I po co ci jestem potrzebna? – Nie kryła ani zdziwienia, ani niechęci. Kochała się z Arturem, nowym chłopakiem. Była zakochana. Od dawna nikt nie zajmował jej myśli tak intensywnie. A tu matka dzwoni, by zaproponować wyjście do sklepu!
– Z meblami – powiedziała spokojnie Łucja.
– Z meblami? – powtórzyła Anka z niedowierzaniem.
– Tak. Chcę kupić meble – rzekła krótko Łucja. – Jutro wszystko ci wyjaśnię. Tylko znajdź chwilę w ciągu dnia. A może trzeba będzie poszukać czegoś w Szczecinie?

Anka nie odpowiadała nic. Z jednej strony była zła na matkę, że jej przerwała, z drugiej zaś czuła się zaintrygowana pomysłem Łucji. Najpierw choinka. Teraz meble... Czyżby matka wychodziła z cienia?

ta sama zima, kilka lat po TYM

Za oknem był już całkowicie ciemno. Znów sypało śniegiem. Biały puch wyrównał wszystko, przykrywał całą jesienną brzydotę. Spod śnieżnych czap wystawały gdzieś zielone wierzchołki iglaków. Lampki ustawione wzdłuż chodnika prowadzącego od furki do drzwi dawały subtelne światło, które w połączeniu ze spadającymi skrzącymi płatkami tworzyły niemal baśniową scenerię. Niewielki powiew kołysał delikatnie gałęziami, w oddali migotały światła lamp przydrożnych. Na ulicy było pusto, nie słychać szumu samochodów, zupełnie jakby cały świat przykryty lekkim puchem zasnął.

Pod oknem, cicho pomrukując, stapał kot. Nie wiadomo, skąd się tu wziął, ale robił wrażenie, jakby był u siebie. Zobaczył ją, ale nawet na moment się nie cofnął. Wręcz przeciwnie – szedł zdecydowanie w jej stronę, licząc na to, że to ona zejdzie mu z drogi. Łucja patrzyła z zachwytem, jak sprytnie ciało zwierzęcia porusza się po śniegu. Był wyraźnym akcentem na tej spowitej białą ziemi. Prawie czarny, tylko pod szyją miał biały krawacik i takie same plamki na łapach. Był lżejszy od tego śniegu, jego łapy nie zapadały się, lecz odciskały mało co widoczny ślad. Kobieta pomyślała, że pewnie jest mu zimno. Może zabłądził albo zwyczajnie

ktos go wyrzucil z domu. Nigdy wczesniej nie widziala zadnego kota kręcącego się w pobliżu.

Oni nigdy nie mieli zwierząt. Edwin nie znosil zadnych psów ani kotów.

– Jeszcze tego mi brakuje, bym po zwierzakach musial sprzątać. Jak kto chce, niech sobie trzyma, ale ode mnie z daleka.

Jakos tak się zlozylo, że zadne z ich dzieci nie naciskalo, by miec w domu jakies zwierze. A przeciez kazde dziecko zawsze marzy o psie lub kocie, lub chocby o chomiku. One tez w duchu chowaly marzenia o przytuleniu się do miękkiego futra, zasypianiu z kochanym zwierzakiem w lozku. Ale znaly ojca, wiedzialy, że w pewnych sprawach jest nieugięty. A poza tym – pomyslala Lucja – dzieci niewiele od nich chialy. Moze i oczekiwaly czegos, o czyms marzily, ale rzadko upieraly się przy czyms. Czasem Lucja patrzyla na nie z niepokojem, bojac się, że w ogole nie maja marzeń. A przeciez stac ich bylo na wiecej niz wiekszosc ich znajomych. Niejednokrotnie ludzie chwalili ich dzieci, że takie grzeczne i ulozone. Pewnie i dlatego tym wieksze bylo zdumienie, kiedy Lukasz wyszedl z domu. Ale nikt nic nie mowil. Nie nalezeli do osob, z ktorymi tak latwo i prosto rozmawialo się o wszystkim.

Pewnego razu Anka przyniosla do domu piskle. Byla to wyjatkowo nieurodziwa skrzydlata znajda, ledwie opierzona, slepa. Naprawde brzydala. Dziewczyna jakimś cudem zmusila ojca, by pomogl jej przygotowac dla niego gniazdko. Na pierwszy rzut oka bylo widać, że piskle jest chore i bez pomocy weterynarza nie przezyje nawet do rana, ale Anka zawzila się. Na przemian dmuchala na pisklaka, calowala nieopierzony lepek i plakala histerycznie, blagajac ojca o ratunek. Na nic zdaly się tłumaczenia, że pisklak jest slaby i nie ma szans na przezycie. Nie przemawialy do niej powazne argumenty oparte na prawach przyrody. Edwin zmiekl. Przygotowal w garażu miejsce. Stary karton wymoscił trawę, jakimis cieniutkimi lozami wierzby, oblozyl gazą. Nawet pojechał do apteki po strzykawke i pokazal, jak poic ptaszka. Z jaką miłoscią wówczas Anka obserwowala ojca! Tulila się do niego, mierzwila jego wlosy. Do konca dnia chodzila za nim krok w krok i prosila, by z nią poszedl do garażu. Piskle zgodnie z rokowaniem nie przezylo do rana. Anka urzadzila mu pogrzeb, zawinela je w kawalek starego prześcieradla i zakopala w kacie ogrodu starego domu. Potem przez kilka kolejnych tygodni chadzala tam, modlac się za „dusze pisklaka”. Widok córki wzruszal Lucję, nieraz pomyslala, że moze warto zastanowic się i kupic jej jakies zwierzatkó, skoro tak umie się przywiazac, zaangażowac. Jednak zanim zdazyla oglosic ten pomysl mezowi, ten kategorycznie się sprzeciwil. Zadnych zwierzaków! Nawet chomika czy chocby rybek!

*

Kot podchodził coraz bliżej i już nie mrucał subtelnie, ale miauczał coraz donośniej, manifestując swoją obecność. Prężył przy tym grzbiet, z dumą stawiał swój okazały ogon, jakby, cwaniak, widząc, że wzbudził zainteresowanie, chciał zrobić jak najkorzystniejsze wrażenie. A wówczas być może otworzy się przed nim szansa na nowy dom. I miał rację. Łucji żal się zrobiło przybysza. Od kilkunastu dni mroziło niemiłosiernie. Już dawno zima nie dała się tak we znaki.

Łucja weszła do domu. W lodówce było niewiele, jakaś lekko już przyschnięta wędlina, kawałek brie, puszka tuńczyka w sosie własnym. Otworzyła konserwę, z szafki obok kuchenki wyciągnęła plastikową miseczkę i nałożyła do niej całą zawartość puszki.

Z fotografii spoglądał na nią Edwin. Rzuciła z wyrzutem w jego stronę:

– Nie patrz tak na mnie! Jest głodny i samotny. Nie mogę udawać, że nie słyszę jego miauczenia. A kto wie, może go wezmę do domu – dorzuciła buńczucznie, nie patrząc zupełnie w stronę zdjęcia, jakby się bała, że zobaczy karcące spojrzenie Edwina i będzie musiała zawrócić.

Kot stał na progu. Wyglądał, jakby zupełnie nie zdziwiło go to, że drzwi się otwały. To było oczywiste. I kiedy pojawiła się na progu, nie odskoczył ani nawet nie drgnął. A kiedy schylała się, by położyć na schodach jedzenie, ocierał się o jej łydki, mrużąc przymilnie.

– Jedz! Jedz! – szeptała, głaszcząc go po miękkim karku.

Patrzyła, jak zwierzę łapczywie chwyta co większe kąski, śmiesznie zanurzając cały pyszczek w misce. Śnieg ustawał, ale za to mróz wzmógł się. Wstała zziębnięta. Otrząsnęła się z chłodu. Na progu słychać było kocie mlaskanie.

– Jedz – powtórzyła. – Dzisiaj nie podejmę decyzji...

Zamknęła drzwi i wróciła do domu.

*

Siedziała przy lustrze. W srebrnej tafli zrobiło się puste miejsce. Jakby ktoś w wielkiej układance puzzli zgubił lub pominął jeden element. Odprysnął kawałek wewnętrznej powłoki. Nie zauważyła, kiedy to się stało. Obracała ramę w dłoniach. Przedramieniem przecierała zamgloną powierzchnię, ale na niewiele to się zdawało, tworzyły się nowe smugi. Zresztą całe lustro było już mocno sfatygowane. Tyle lat! Tyle twarzy! Kupili je kiedyś na jakimś straganie. Nie żadnym tam osławionym jarmarku. Było kształtne. Tak się do niego przywiązała, że w żadnym nie widziała tak dobrze i wyraźnie. Potem przez lata nabierało się tych lusterek, ale Łucji wydawało się, że żadne poza tym jednym nie zachowuje właściwych proporcji. Wszystkie a to powiększały, a to zmniejszały, to znów deformowały całość lub tylko poszczególne elementy.

I znów patrzyła na nią znajoma twarz. Ten sam kontur, zarys linii brwi, nosa

i warg. Tylko w oczach coś się zmieniło. Nie były już zamglonym spojrzeniem, zastanym, niczym obumarłe eksponaty czy muzealne maski, błysnęło w nich życie. Słabowite, ledwie kwilące, ale jednak...

Łucja dotknęła swojej twarzy. Policzki paliły gorącem. To pewnie ten mróz.

Upiła łyk wina. Skrzywiła się. Było to jakieś *Chabret demi sec* kupione w pobliskim sklepie. Nie wyczuwała w nim owej głębi, nie dostrzegła tej doskonałej barwy i aromatycznego bukietu. Raziło swoim smakiem nieco trywialnym, ciężkim i niewyrafinowanym. Wzdrygnęła się.

Za jej odbiciem w lustrze czaił się Edwin. Podglądał ją. Z ukrycia. Siedziała zamyślona. Paznokcie stukały o gładką ściankę kieliszka. Dźwięk cichy jak brzęczenie muchy. A jednak odbijał się echem od ścian pustego domu. Przestała.

Kot za drzwiami pisał coraz głośniejszą, ostentacyjnie dając jej do zrozumienia, że tak się nie postępuje z biednym stworzeniem. Wzmogła czujność. Wstała. Z pewną niechęcią pomyślała o ziąbie na zewnątrz, ale kot zdawał się miauczeć coraz bardziej rozpaczliwie. Wzruszyła ramionami na znak bezradności i rzuciła przez ramię:

– Wybacz, Edwinie! Muszę iść. On chyba nie poradzi sobie beze mnie. Ty już jesteś beze mnie...

*

Wyszła na zewnątrz. Kociak czekał w przeświadczeniu, że tym razem kobieta się ugnie i wpuści go do środka. I miał rację. Ledwie uchyliła drzwi, otrzepał się ze śniegu i bezceremonialnie wszedł do korytarza, jakby doskonale znał ten dom i tu było jego stałe miejsce. A kiedy Łucja zawróciła w stronę kuchni, kot poszedł za nią, pewien, że oto prowadzi go tam, gdzie będzie jego lokum. Tak też było.

Z szafy w korytarzu wyciągnęła pled, który rozłożyła mu pod oknem przy kaloryferze. Znalazła drugą miskę i nalała do niej wody, miał jeszcze trochę ryby, więc postanowiła mu nie dokładać. Chciała zadzwonić do Anki, ale wydało się jej to niedorzeczne, a poza tym, co tamta by sobie pomyślała. Zwierzę tymczasem pokręciło się, obwąchało każdy centymetr nowego miejsca, a potem leniwie osunęło się na koc i, broniąc się jeszcze chwilę przed zupełnym zamknięciem ślepiów, zasnęło. Łucja przykucnęła, gładząc aksamitne futro nowego domownika, a potem spotkała się oko w oko z dezaprobuującym spojrzeniem męża. Tym razem nie uciekła przed nim, a stanęła, przywołując uspijoną butę, i powiedziała, tarmosząc koci kark:

– Jutro kupimy ci wszystko, co niezbędne. Ale musisz przestrzegać praw tego domu... Moich praw, Dżony.

Nazwała go Dżony.

Podniósł jedną powiekę, a po chwili znów zasnął.

– A więc zgadzasz się na ten układ. I imię też dobre dla ciebie – powiedziała głośno.

Tego wieczoru, zanim położyła się do łóżka, jeszcze wiele razy zaglądała do kuchni. Dopiero za którymś razem, gdzieś daleko po północny, wytłumaczyła sobie, że czas spać, w najgorszym przypadku kot po prostu narobi w jej domu. Najdziwniejsze jednak było dla Łucji to, że pierwszy raz od dawien dawna, nie czuła się w tym wielkim domu tak bezbrzeżnie samotna...

*

Z samego rana wyskoczyła z łóżka. Przypomniała sobie o kocie. Ten tymczasem przechadzał się pod drzwiami ze sztywno uniesionym ogonem. Postąpił nieco w jej kierunku, ale zaraz zawrócił do drzwi. Łucja zrozumiała, że chce wyjść. Ucieszyła się, że nie nabrudził nigdzie i że taki mądry. Wiatr nawiał tyle śniegu, że drzwi otworzyły się z oporem. Wystarczyła też chwila, by sypnęło śniegiem w korytarz. Kot wybiegł na zewnątrz. Pobiegł gdzieś w bok, ale zaraz wrócił, jakby się bał, że kobieta się rozmyśli i kolejny raz nie otworzy mu drzwi.

Cały czas nie opuszczał jej na krok. Raz po raz przeciągał się leniwie i najchętniej zaległby pod kaloryferem, ale sprawiał wrażenie roztropnego, więc założył, że polegiwanie w nowym ciepłym i bezpiecznym domu zostawi sobie na zaś. Teraz chciał zbadać teren, rozpoznać go i przed wszystkim zaskarbić sobie względy kobiety. A kiedy stwierdził, że jest sam i nie zagraża mu nic od nikogo i niczego, skulił się na jednym z foteli w salonie i zasnął. Początkowo chciała go zrzucić z mebla, ale wydał jej się taki miły i zadowolony, że koniec końców, zostawiła go w spokoju.

*

Około południa Anka wpadła do domu. Widać było zaróżowienie twarzy, dziwnie lśniące oczy. Otrzepała kozaki, ale śnieg przyklepiony do butów w domowym cieple szybko pozostawiał na podłodze mokre ślady.

– Nie ściągamy butów, bo nie mam czasu! Wyrwałam się na chwilę. O co chodzi z tymi meblami?

Łucja dopijała kawę, na kuchence gotowała się jakaś zupa. Zapach potrawy roztaczał się w całym pomieszczeniu. To pewnie on przywiódł kota do kuchni. Wszedł majestatycznie, z podniesionym ogonem, jakby nie potrafił trzymać go inaczej. Otarł się o nogi Łucji, a następnie przylgnął do Anki.

– O cholera! Ojej! Co to? – Córka podskoczyła, wystraszona. Spojrzał na nią z niejaką pogardą, a już na pewno ze zdziwieniem. Na wszelki wypadek odsunął

się nieco i zwrócił ślepią w stronę Łucji, jakby chciał wyrazić swoje skonfundowanie osobą, która wtargnęła w jego przestrzeń. Jego i ewentualnie Łucji.

Anka już ochłonęła. Schyliła się niepewnie. Na jej twarzy odmalował się dziecienny uśmiech.

– Kici, kici – szeptała, wyciągając do zwierzęcia rękę. – Skąd on się wziął? Kici, kici... Śliczniusi... No, chodź do mnie.

Była urzeczona. Spieszczała głos, trajlowała jak dziecko. Kot po chwili jakby zrozumiał, że przybyła nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa, a już na pewno i tym razem zależało mu na zrobieniu dobrego wrażenia, podszedł ponownie do niej, mruczając przyjaźnie i unosząc zachęcająco grzbiet do głaskania.

– Muszę mu kupić jakieś miski, jedzenie i kuwetę. Trzeba też zawieźć go do weterynarza. Nawet nie wiem, czy to kot czy kotka – oznajmiła Łucja tak normalnie, zupełnie pomijając pytania córki. Co miała jej powiedzieć – że wypila za dużo wina i go wzięła, czy że sam zapukał do niej i poprosił o nocleg? Jest. I tyle. Łucja wiedziała jedno – kot już zostanie. Mimochodem jej wzrok poleciał w stronę parapetu. Na tle zaparowanego okna Edwin wyglądał wyraźnie. Odważyła się spojrzeć mu prosto w oczy... ale tym razem zdawało jej się, że patrzy gdzieś ponad wszystko... Nieobecny.

*

Drogi były niemal zupełnie nieprzejezdne, trzeba było nie lada umiejętności oraz nerwów, aby przebijać się przez zasypaną jezdnię. Gdzieniegdzie tworzyły się śnieżne koleiny, zlodowaciałe nierówności dodatkowo utrudniały jazdę, do tego śnieg sypał gęsto wielkimi jak kłaczki waty rzucanej na świąteczną choinkę płatami, tak że wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem z zaszronionych szyb zwałów białego puchu. Co jakiś czas koła buksowały przy zlodowaciałej bruździe. Nieprawdopodobne, że w ciągu kilku godzin świat zrobił się tak nieprzyjazny człowiekowi.

Anka klęła w żywy kamień. Sklep mieścił się na obrzeżach miasta. Trzeba było niezłego rozeznania w topografii, by tam trafić. O tak paskudnej aurze dojazd do niego stanowił dość ryzykowne wyzwanie.

– Powiesz mi chociaż, po jaką cholerę jedziemy do tego meblowego?

Matka, skupiona na drodze i coraz wyrastających przed nimi zaspami, opowiedziała jej o Łukaszu, o jego wyjeździe i o... dzieciach Łukasza, które zamieszkają u niej na jakiś czas.

– Przecież nie mogą mieszkać w tych starodawnych pokojach. Może czas coś zmienić – skończyła niepewnie, jakby trochę przestraszyła się tych słów.

Córka kątem oka zerknęła na matkę. Nie chciała jej peszyć swoim

spojrzeniem, uśmiechnęła się tylko pod nosem. Tym bardziej że ona też miała dla matki wiadomość. Czekala z nią na inną okazję, może przy kawie albo w jakimś innym szczególnym czasie. Ale nie wytrzymała:

– No, szykuj dom dla wnuków, bo wiesz... będzie ich coraz więcej...

Z początku nie zrozumiała, ale po chwili zapaliła się w niej lampka.

– Aniu! Czy ty chcesz...– zaczęła nieśmiało, ale córka nie pozwoliła jej dokończyć.

– Jestem w ciąży! I jestem szczęśliwa – powiedziała krótko. W tak niewielu słowach zawarła tyle treści. Tak zwyczajnie, bez żadnego patosu.

Łucja uśmiechnęła się pod nosem.

Droga okazała się łatwiejsza do przebycia, niż się tego spodziewała. Śnieg nie ustępował, ale padał równomiernie. Płatek po płatku, przykrywając wszystko.

Powiedziała córce o kocie, ona jej o dziecku... Samo życie.

tamtego roku, trzy lata po TYM

– Panie Mietku, niech pan zobaczy, czy te kolory się nie gryzą – pytała Łucja fachowca, miotając się pośród kolorowych rozkładówek i pokazując co rusz inne ich zestawienie.

Pan Mietek był pracownikiem w firmie Edwina. Potem rozpoczął własną działalność. Kiedy zadzwoniła z prośbą o pomoc w remoncie, zgodził się natychmiast, mimo że miał – jak to sam ujął – „nabranych” kilka robót. Ale dla kogo jak dla kogo – dla pana Edwina i dla pani Łucji to on zawsze ma czas i nie ma o czym mówić.

Meble pokrywała przezroczysta folia. Wszystko zsunięte na środek pokoju. Kanapy, komody, regały świeciły pilśniowymi tyłami z wyblakłymi etykietami.

Pan Mietek, w białym uniformie jak chirurg, wykonywał zalecenia żony „szefa”. Co miało zostać nienaruszone, zostawało, a co miało się zmienić, zmieniało...

Coraz to spoglądał na zdjęcia szefa i wzdychał głęboko.

– Patrzcie! Taki młody chłop! Mógł jeszcze pożyć, a zawinął się tak nagle.

Pan Mietek starał się bardzo, ale wiedział też, że jeszcze nikt nie wynalazł takiej farby, która zdołałaby zamalować wszystko.

Ta była gęsta. Ciągnęła się leniwie za pędzlem, pozostawiając nierówne ślady. Maczał pędzel w kuwecie z rozcieńczoną farbą, czekał, aż jej nadmiar spłynie z pędzla, i przykładał go do ściany. Miejsce przy miejscu zamalowywał przeszłość.

któregoś lata po TYM

Łukasz wrócił pod koniec lipca. Przywiózł ze sobą mnóstwo paczek, całe naręcze tub w różnych rozmiarach, podobrazia, farby, pędzle, nawet trójnożną sztalugę, chociaż Asia zapewniała go, że w Polsce są identyczne, a szkoda pieniędzy na dodatkowe bagaże. Był zmieniony. Pełen energii i szczęśliwy jak nigdy dotąd. Mówił dużo i nieskładnie, wciąż przeskakując z tematu na temat. Wystawa otrzymała świetne recenzje. Przetrzepywał wszystkie torby, by z dna którejś wydobyć plik artykułów wyciętych z gazet, z jakichś czasopism poświęconym sztuce współczesnej. W międzyczasie nakazywał dzieciom się szykować, zbierał ich rzeczy. Łucja na przemian stała i słuchała relacji syna, to znów pomagała Asi w poszukiwaniu jednego kapcia, bluzy dresowej, aparatu ortodontycznego, wciąż nie mogąc zrozumieć, skąd ten pośpiech, bo przecież miejsca jest tyle, że mogą zostać kilka dni i dzieci na pewno by się ucieszyły. Na co Hania z miejsca zareagowała histerycznym płaczem, że właśnie tak, że ona chce jeszcze tu zostać. Asia jednak swoim zwyczajem – spokojnie i rzeczowo – tłumaczyła wszystkim, że muszą, że tatuś ma w głowie pomysł na wielki projekt i musi go zaraz zacząć realizować, że nie może pozwolić, by mu uciekł, że jest teraz w najlepszej formie, że...

Dom stanął na głowie. Walizki, pakunki, torby z wystającymi sznurkowymi warkoczami lalek, pękate od miękkich misiów, kartony... Tylko kot krążył majestatycznie między wszystkimi nogami, nie rozumiejąc całego rozgardiaszu.

Wreszcie, przy wtórze teatralnego szlochowi Hani i ociąganiu Franka, wyszli. Łucja stała na progu, czując przykre łomotanie serca.

A potem zrobiło się cicho.

*

Zaraz po wyjeździe dzieci nie mogła sobie znaleźć miejsca. Wciąż w różnych częściach domu natykała się na pozostawione przez wnuki rzeczy. A to spineczka z biedronką, a to zagubiona pewnego dnia skarpetka Franka, która wcześniej w żaden sposób nie mogła się znaleźć. Wspomnienia wywoływały

uśmiech na twarzy Łucji.

Któregoś razu, pałętając się bez celu po pustym mieszkaniu, przesuając bez pomysłu jakieś bibeloty, fajansowe figurki, postanowiła, że teraz to ona wyjedzie. Tak. Wyjedzie. Decyzja była nieodwołalna.

*

Kobieta w biurze o znaczącej nazwie „Wakacje Marzeń” była bardzo miła. Na dużym ekranie komputera kolejno prezentowała jej miejsca. Wszystkie były bajeczne. Białe plaże, zachodzące słońca wydobywające z turkusowych mórz niespotykaną paletę barw. Łucja nie zastanawiała się długo. Wiedziała. Tylko Majorka wchodziła w grę. Tylko tam. Jeszcze raz. Ostatni.

Anka zabrała Dżony’ego do siebie. Kot był wyraźnie obrażony i nie szczędził Łucji wszelkich objawów swego niezadowolenia. Pomrukiwał, parskał gniewnie i za żadne skarby nie podchodził na zawołanie, a gdy na siłę próbowała go zagarnąć do siebie, prychał i wywijał się z uścisku jak węgorz. Artur nie krył swego strachu, niemal płakał, że kot, toksoplazmoza i te inne... ale Anka się uparła. Wiedziała, że nie może się stać nic złego, a matka musi wyjechać i koniec! Spakowała kuwetę i, mimo że nie udało się kota przekonać, by po dobroci szedł do niej, jeszcze trochę pomruczał, jakby wiedział, że w tym układzie nie bardzo ma wybór, biorąc pod uwagę fakt, że nie wiadomo, czy kolejna zima nie okaże się sroższa. Ostatni raz uniósł ostentacyjnie ogon, najeżył się, a potem skulił w koszu i pojechał z Anką.

tamto lato na Majorce, ponad trzy lata po TYM

Poranek wynurzał się z szarości. Nitki dróg plątały się po zboczach gór, wiły się u ich podnóża, oplatały je, a niektóre ginęły nagle pośród rozległych gajów oliwnych. Góry wyrastały znikąd. Pojawiały się za kolejnym zakrętem, po wyjeździe z tunelu. Najbardziej urzekały przyklejone do zboczy wioski, tak małe, że nie wiadomo, czy ktoś naniósł je na mapę, czy mają jakąś nazwę, czy po prostu są tak sobie, zapomniane przez Boga i ludzi. Zatopione w zieleności domy – wcale nie okazały czy jakieś szczególnie urocze, ale zwyczajne, czasem nawet brzydkie, sprawiały wrażenie, jakby też znalazły się tam przypadkiem. A jednak wszystko miało jakiś niezwykły urok. Rdzawo-zielony krajobraz, miejscami bardzo surowy przerywały ostentacyjne różowe oleandry, które do tej pory kojarzyły się Łucji z wystrojem socjalistycznych gmachów wszelkich komitetów, wszystkich

kwadratowych i podobnych do siebie. Jechała autokarem transferowym z lotniska. Rezydentka leniwym głosem przekazywała jakieś praktyczne informacje. Łucja pamiętała ten ton. Nie zamierzała korzystać z żadnych dodatkowych atrakcji.

*

Hotel prawie nie różnił się od sąsiednich. Rozległe kompleksy ze szła i betonu w otoczeniu dorodnych palm, wielkich agaw i pinii. Balkony patrzące na morze, poniżej błękitne baseny, które na folderach zdawały się ogromnymi wodnymi przestrzeniami, w rzeczywistości trudno byłoby tu się rozpędzić, gdyby ktoś silił się na pokaz klasycznego kraula. Weszła do pokoju. Był mały, ale miał wszystko, co niezbędne: balkon, klimatyzację, szafę, lustro. Było duże, zawieszona na wprost łóżka, ale ogarniało niemal cały pokój. Na bocznej ścianie jakiś obrazek marynistyczny współgrający z kolorem ścian, zasłon i narzutami na łóżko. Wszystko pasowało do siebie. Było zgrane i bezosobowe. Żadnych śladów czyjeś obecności. Kogokolwiek, kto zostawiłby tu część swojego życia. Żadnych fotografii ani półek z bibelotami. Hotelowy pokój przygotowany do tego, aby go wciąż na nowo zamieszkiwać.

Łucja miała zwyczaj zadomawiania się. Dlatego też mimo pewnego zmęczenia przystąpiła do wypełniania tej przestrzeni, zaznaczania swojej tu obecności. Wyciągnęła z walizki rzeczy, poskładane równo i posegregowane – bielizna z bielizną, białe do białego. Jak w domu. Między poskładanymi ubraniami leżało zdjęcie Edwina. Postawiła je na szafce nocnej. W lustrze odbijał się jej obraz.

Kobieta, która spoglądała na nią, zdawała się pytać: „Jesteś sama? A gdzie on?”.

*

Wyszła na balkon. Powitały ją pierwsze promienie słońca. O tej porze na zewnątrz było jeszcze w miarę cicho. Przy basenie kręcił się młody Hiszpan. Siatką na bardzo długim kiju wyławiał drobne nieczystości. Chłopak był przystojny, miał nagi tors i krótkie bermudy odsłaniające umięśnione uda. Podśpiewywał sobie pod nosem jakąś piosenkę Iglesiasa. Przyglądała mu się łakomie kobieta – być może w wieku Łucji – opalona na złoto, ubrana w kusą, prześwitującą sukienkę na ramiączkach, ukazującą skąpe stringi i brak biustonosza. Chłopaka widać w najmniejszym stopniu nie peszył jej wzrok. Wręcz przeciwnie – wyginał się z takim wdziękiem, prezentując swoje atuty, jakby był wytrawnym tancerzem, a nie chłopcem od czyszczenia basenu. W powietrzu unosił się zapach smażonego bekonu i jajek.

Przed Łucją rozciągał się cudowny widok. Po prawej stronie widoczny był obrys plaży, po której spacerowały pojedyncze osoby, co niektórzy brodzili w wodzie, inni biegli brzegiem, przeskakując rozbijające się o brzeg fale. Z lewej natomiast strony wyrastały zbocza, na których spośród zielonych gajów oliwkowych wyglądały pojedyncze wille. Były to zapewne jakieś rezydencje miejscowych notabli lub ekskluzywne hacjendy pod wynajem dla bogatych, którzy niekoniecznie lubili gwar majorkańskich kurortów, ale sama specyfika wyspy jak najbardziej im odpowiadała. Pewnie byli to ci sami, których nowoczesne jachty cumowały po przeciwnym brzegu zatoki.

Oddychała głęboko z półprzymkniętymi oczami.

Budynek hotelowy był tak pomyślany, że sąsiadujące balkony gwarantowały względną prywatność. Każdy pod kątem, z nisko zawieszonymi markizami. Gdzieś obok odzywały się obco brzmiące głosy dzieci. Słysząc było, że usiłują mówić ściszym tonem, pewnie upominane wcześniej przez śpiących jeszcze rodziców, by nie przeszkadzały.

Łucja wróciła do pokoju. Włączyła telewizor. Na ekranie zamigotały jakieś kolorowe wakacyjne kadry. Młoda Hiszpanka uśmiechała się nieustannie, szczerząc białe, równe zęby, i pokazywała ręką w stronę morza, gdzie równie urodziwy jak ona młody chłopak z kolei prezentował jakąś sekwencję ruchów. Obok niego stała deska surfingowa, na którą na przemian wstępował i zstępował. Kilku młodych ludzi powtarzało ćwiczenia pod okiem czarującego instruktora, a za chwilę brzeg morza zappełnił się kolorowymi żaglami. Feeria barw. Hiszpańska dziennikarka przeniosła się w inne miejsce, gdzie kolejni piękni, młodzi ludzie o idealnej figurze, schowani za wielkimi okularami słonecznymi, sączyli kolorowe drinki, raz po raz machając do widzów i przesyłając ręką całuski. A potem jakaś majorkańska gwiazda śpiewała pewnie znany przebój, bo wszyscy nucili wraz z nią. Nawet poważnie ubrany dziennikarz poważnej stacji telewizyjnej, który za moment musiał ściągnąć z siebie beztroski wakacyjny uśmiech, by przekazać całkiem niewakacyjne informacje z kraju i ze świata. O zamachach, wojnach, kataklizmach.

Wyłączyła telewizor. Nie chciała tego słuchać. Odsuwała od siebie wszystko, co mogłoby zakłócić radość, którą miała w sobie.

Ekran zgasł akurat w momencie, gdy w telefonie odezwał się sygnał esemesa. Anka dopytywała się, czy jest już na miejscu i jak jest, czy hotel piękny i czy już jadła i co zamierza dzisiaj.

Łucja uśmiechnęła się na myśl o córce. Od pewnego czasu ich relacje zmieniły się. Anka półzartem twierdziła, że przygarnięcie kota i odwiedziny wnuków zadziałały na Łucję „liftingująco”. Wprawdzie zżymała się na takie spekulacje, ale musiała przyznać przed sobą, że jest jej coraz lepiej. Wolą tego nie drażyć. Anka natomiast była szczęśliwa jak nigdy dotąd. Paplała bez pamięci,

obtulała wszystkich. Wszędzie było jej pełno. A gdy zjawiała się w domu, natychmiast cały dom wypełniał się nią.

Do porodu pozostało zaledwie kilka tygodni. Łucja nawet nieco się wahała, czy może zostawić ją w tym czasie, ale stan Anki był całkiem znośny. Zresztą, kiedy matka wyszła z propozycją, by mimo wszystko odłożyć podróż, córka skrzywiła się zabawnie.

– Mamo, przestań! Nie zostawiasz mnie samej. Jest Artur. I to już wystarczający powód, byś wyjechała, bo zamęczycie mnie obydwój. A poza tym od dawna jestem dużą dziewczynką. – Zamierzała jeszcze dodać, że od dawna radzi sobie bez niej, ale ugryzła się w język. Nie chciała matki urazić. I w gruncie rzeczy już jej wybaczyła. Nie było potrzeby jątrzyć.

W rzeczywistości była to prawda. Łucja zdawała sobie niejednokrotnie sprawę z tego, że tak się ułożyło, że nie umiała ich wspierać w ważnych momentach. Podświadomie odsuwała od siebie ich problemy, udawała, że ich nie widzi. Bała się tak bardzo, że nie podola, że nie starczy jej sił. I Anka, i Łukasz od najwcześniejszych lat nauczyli się radzić sobie sami. Sami rozstrzygali swoje dziecinne spory, sami uporali się z pierwszymi miłościami. Przychodzili do niej wtenczas, kiedy sytuacja była już jasna, by poinformować, jak wtedy, kiedy Łukasz oświadczył, że się żeni. Zresztą i ona, i Edwin dość zazdrośnie strzegli swojego życia. Żadnych słabości. Ani oznak czułości, ani kłótni. Tworzyli rodzinę, ale każdy jej element tak naprawdę żył absolutnie swoim życiem. Każdy dbał o swoją szczelność emocjonalną.

Kiedy więc umarł Edwin, byli osobno. Żadnych zbiorowych lamentacji, żadnej hysterii. Kiedy już spotkali się po fakcie, nie było łez, rzucania się na siebie, podawania chusteczek i głośnego siąkania nosami. Odwróceniu od siebie, dyskretnie przełtykali łzy. Tylko matka Łucji szlochała głośno, teatralnie, coraz to przywołując Matkę Boską, Boga lub wszelką sprawiedliwość.

W rodzinie Łucji rodziło się cicho, bez przedstawień i umierało się tak samo. Czasem tłumione uczucia wybuchały nieoczekiwanie, bez kontroli, ale wówczas momentalnie tuszował je nagły atak kaszlu, katar lub inna rzęsa w oku.

*

Odkąd Franio nauczył ją esemesować, choć sam ledwie co potrafił czytać, znajdowała w tym wiele przyjemności. Palce wystukiwały słowa, które z wielkim trudem precyzyjnie się przez gardło. „Jest cudnie. Dopiero się oswiam z pokojem. Kocham Cię”. Wyślij. Poszło. I jeszcze do Łukasza. „Jestem na miejscu. Kocham Was”. Poszło.

Było jeszcze za wcześnie na śniadanie, zresztą nie czuła głodu. Podróż samolotem źle na nią wpływała. Miała ściśnięty żołądek i uczucie niepokoju, które

rozlewało się wewnątrz niej, potęgując dyskomfort. Potrzebowała trochę czasu, zanim blokada ustąpi. Zapewne nie przełknęłaby nawet kęsa. Z bocznej kieszeni walizki wyciągnęła książki. Anka wrzuciła jej jakiś durny poradnik o szczęściu czy jego poszukiwaniu. Sama do owego poradnika dołożyła ostatnią powieść Axelsson i przewodniki po Majorce. Znała je niemal na pamięć, jednak za każdym razem z przyjemnością wertowała wysłużone kartki. Jej uwagę przykuła strona ze zdjęciem modernistycznego napisu cukierni *Forn des Teatre* przy *Jaume 9 Alemany*.

któreś lato na Majorce, na jakiś czas przed TYM

Siedzieli przy stolikach na zewnątrz kawiarni. Mimo palącego południa w mieście, tu upał był umiarkowany. Z jednej strony cień zapewniały gęste zabudowania, z drugiej zaś drzewa.

Z wnętrza restauracji wynurzył się znudzony kelner w zielonej kelnerskiej zapasce. Rozejrzał się po restauracyjnych stolikach, a wreszcie zatrzymał wzrok na nich i z ociąganiem podszedł, niosąc wymiętolone karty. Po kilkunastu minutach przyniósł tapas i karafkę wina. Siedzieli w milczeniu. Byli zmęczeni upałem i długim zwiedzaniem Palmy. Na placu świętej Eulalii posprzeczali się o kierunek spaceru. Dobrze chociaż, że w tym samym momencie jakaś grupa ninja rozpoczęła swój pokaz, skupiając ich uwagę.

Obok przy stoliku siedziała rodzina. Chyba Niemcy. Kobieta miała charakterystyczną twarz. Ostre rysy, wyraźne kości policzkowe, wystający nieco podbródek i sine oczy, jak wyblakły błękit. Okalały je ciemne, długie rzęsy. Gęste. Była ładna, choć miała w sobie pewną wyniosłość. Mężczyzna przypominał filmowego finansistę, który ma kaprys pokryć wszelkie zachcianki rodziny. Był z nimi nastolatek. Miał może osiemnaście, może dziewiętnaście lat. Wydawał się nie bardzo zadowolony. Może wolałby być z rówieśnikami, a może z dziewczyną. Co chwilę odbierał jakieś wiadomości w telefonie, odpisywał na nie, uśmiechając się do siebie. Chłopak zdecydowanie wyróżniałby się z tłumu. Miał długie, sięgające ramion włosy, związane nisko w koński ogon, kolczyk przy brwiach, kolczyk w płatkach nozdrzy i smutek albo obojętność w oczach. Co jakiś czas droczył się z dużo młodszym bratem. Łucja obserwowała ich. Ona siedziała rozparta na restauracyjnym krześle, z przymkniętymi oczami, z twarzą wystawioną jak do słońca. Cała ta rodzina sprawiała wrażenie, jakby byli zmęczeni sobą. Nawet ów mały chłopiec, biegający wokół stolików z plastikowym samolotem, wydawał się bawić z przymusu. Co chwilę trącał matkę i wypytywał o coś marudzącym

tonem, pewnie chciałby już iść dalej. Tylko ojciec zdawał się zupełnie oderwany od reszty. Czytał jakąś niemieckojęzyczną gazetę, pewnie finansową, na co wskazywały wykresy, słupki i diagramy. W zależności od tych treści albo krzywił się w uśmiechu, albo marszczył czoło.

Łucja, nie wiedząc dlaczego, pozazdrościła tej rodzinie. Wracając do hotelu pochmurna. Wieczorem zadzwoniła do Anki i Łukasza, ale poza zdawkowymi „i jak tam?”, „w porządku”, niewiele mieli sobie do powiedzenia.

tamto lato na Majorce, ponad trzy lata po TYM

Wertowała kartki przewodnika. Wspomnienia napływały do głowy, jedno po drugim. Ze zdumieniem stwierdziła, że nie są już tak bolesne. Zamknęła książkę, pogładziła okładkę. A potem spakowała do torby. Postanowiła się odświeżyć i jednak zejść na śniadanie. A później od razu udać się na plażę. Chciało jej się wody i słońca.

Sala restauracyjna była pełna, tłum wyluzowanych gości hotelowych, niektórzy z czekoladową opalenizną, przeciskał się do bonet, wymieniając między sobą kurtuazyjne „sorry, sorry”. Czego tu nie było. Uczta dla żołądków i dla oczu. Od omletów, hiszpańskich kiełbasek z chili, faszerowanych bakłażanów, zapiekanych w serze pomidorów po owoce morza: różowe krewetki, wijące się odnóżki ośmiorniczek. Do tych ostatnich nigdy nie dała się przekonać, choć pamiętała, jak Edwin pałaszował je, wciąż cmokając i oblizując się z apetytem.

Usiadła na zewnątrz. Wszędzie dochodziły wielojęzyczne rozmowy, wśród których dało się słyszeć również polski. Spojrzała w tamtym kierunku. Grupa Polaków – dwie pary dwudziestoparolatków zachowywała się hałaśliwie, wykrzykując do siebie i co chwilę wybuchając salwami śmiechu. Łucja obserwowała młodą dziewczynę z pobliskiego stolika. Siedziała sama i była wyraźnie naburmuszona. Co jakiś czas rozglądała się, jakby kogoś szukała. Może czekała na partnera, bo na stole stały dwa nakrycia i kilka talerzy z wędlinami, owocami, kopcami sałat. Łucja skubała grzanek z pomidorem, popijając sokiem. Na szczęście nieprzyjemne międlenie w brzuchu mijało.

*

Powietrze drżało z gorąca. Wiał lekki wiatr, ale wydawał się nie mniej gorący. Woda była ciepła jak zupa. Żadnej różnicy temperatur między morzem a rozgrzanym powietrzem. Weszła do wody, drobne kamyki kłuły w stopy. Obmyła

ciało. Wchodziła powoli, sycąc się tym ciepłem. Morze było spokojne. Żadnych fal, tylko rozległa płachta błękitu, jakby ktoś zarzucił miękki jedwab. Czasem ktoś chlapanął, gdzieś padła piłka, jakiś chłopak wbiegł z impetem, chcąc pewnie ugasić żar. Tłum na brzegu gęstniał. Plaża zapełniała się wszelkimi możliwymi do wyobrażenia kolorami jak piękny patchwork. W odróżnieniu od morza, które przybrało niemal identyczny kolor jak niebo, tak że granica horyzontu zatracala się zupełnie. Nie wiadomo było, co jest morzem, a co już niebem. Idealna jedność błękitu, rozjaśniana gdzieś tam mlecznymi kłębkami chmur wyglądających jak płatki puchu rzucone na bezmierną połąć nieba. To pewnie gdzieś tam jest Edwin i patrzy znudzonym wzrokiem na ten ludzki harmider.

Syciła się poczuciem niesamowitej błogości. Morze przylegało do niej niczym aksamitna tkanina, muskając, pieszcząc ciało. Chciała płynąć tam, do tego błękitu, przekroczyć tę niewidzialną granicę, przeniknąć przez ten zatarty horyzont. Położyła się na wodzie. Woda unosiła ją lekko. Bez żadnego wysiłku. Nic nie zakłócało widoku nieba. Leżała, raz po raz ledwie poruszając rękoma lub nogami. Właściwie mogłaby tak leżeć bez ruchu. Zamknęła oczy. Czowała przesuwające się pod nią morze.

W pewnym momencie zobaczyła nad sobą zatroskaną twarz kobiety. To była chyba Niemka, mniej więcej w jej wieku.

– Przepraszam. Czy pani się dobrze czuje? – zapytała. Łucja bardziej z intonacji i wyrazu twarzy wyczytała, o co pyta. Momentalnie wyprostowała się, stanęła na nogi, zakryła dłonią oczy. Kobieta przyglądała jej się z niedowierzaniem.

Łucja chciała ją uspokoić. Odgarniała z twarzy przyklejone mokre włosy, gestykulowała żywo, wciąż powtarzając: OK, OK. Przecież tylko leżała. Bo tak jej było dobrze, bo to pozwalało jej napawać się spokojem, błogością, wyłączyło ją z myślenia.

Kobieta odeszła, przez jakiś czas śledziła Łucję wzrokiem. Być może oglądała się za kims, z kim Łucja przyszła. Kobiety w tym wieku w tym miejscu zwykle nie były same.

Łucja splukała pod natryskiem sól i wróciła na leżak. Planowała kolejne dni. Zakreślała w przewodniku miejsca, które musiała jeszcze raz zobaczyć. Porównać. Namacać ponownie, przywołać przeszłość.

*

Palma. Przyjechała tu, by spotkać się z przeszłością. Miasto dyszało gorącem. Szła ulicami, wspominając wędrówki z Edwinem. Nazwy ulic plątały się w jej głowie. Nie potrafiła ich przywołać. Wmieszała się w tłum, szeroki jak rzeka. Ludzie spowolnieni, zmęczeni upałem, ale z zadartymi głowami oglądający fasady

domów, finezyjne obramienia okien, przepiękne gzymsy koronujące ściany kamienic, snuli się, co chwilę przystając i podziwiając otoczenie. Wszyscy starali się wybierać miejsca ocienione, ale o tej porze dnia zdawało się, że w całej Palmie nie ma bodaj metra kwadratowego cienia. Słońce operowało wysoko. Upał wlewał się do sklepów, barów. Wygłaskane kamienne chodniki paliły jak rozgrzane węgle.

Szła sama ulicą. Cienka, luźna bluzeczka coraz to przyklejała się do spoconego ciała. Szła właściwie bez celu. Mijała kolejne miejsca, starając się usytuować je w pamięci. I mimo że nie rozpoznawała nazw, że dawała się zaskoczyć, błędząc po wąskich uliczkach, wszystko wydawało jej się znajome. Klucząc bezcelowo, doszła do Plaça de Cort. Pamiętała to miejsce dokładnie. Przypomniała sobie poskręcane drzewo oliwne otoczone kolorowym klombem. Chcieli napić się wina, ale wszystkie stoliki były zajęte. Usiedli na kamiennym murku obramiającym klomb, obserwując parę śpiewaków operowych popisujących się przed ospałą publiką. Śpiewali jakąś znaną arię. Ona ubrana w długą, spływającą do ziemi suknię z kokieteryjną turniurą, opadającą na rozłożysty panier, ściśnięta gorsetem, że miało się obawy, że nagle zegnije się w pół i przełamie jak zepsuta marionetka, z kaskadą złotych loków okalających twarz. Wyglądała jak dziwnym zrzędzeniem losu przeniesiona z innego świata. On – nieco mniej teatralny, wpatrywał się w nią nieruchomo, idealnie wpasowując się w muzyczną frazę. Oboje byli niesamowicie piękni. Łucja pomyślała wówczas, że z pewnością takie głosy nie tworzą się same z siebie. A kiedy śpiewacy wykonywali dramatyczny finał, Łucji wydawało się, że jeszcze moment i padną martwi z braku powietrza. Niemożliwością zdawało się takie długie utrzymanie wysokości dźwięku bez najmniejszego odchylenia częstotliwości wybrzmiewania w trakcie jego emisji. Po koncercie mężczyzna zrzucił ciężki kostium, z galanterią pocałował partnerkę w rękę, a potem zachęcał do składania datków. Edwin zwinął banknot i podał kobiecie do ręki. Łucja nigdy nie zapytała, jaki to był banknot.

*

Łucja przemierzała meandry ciasnych uliczek, kryjących małe kawiarenki, galeryjki, w których tamtejsi artyści sprzedawali cuda-wianki. Rzadko były to wartościowe rzeczy, najczęściej sprowadzane z Chin gliniane płaskorzeźby przedstawiające katedrę, ceramiczne figurki, mozaikowe osiołki, jaszczurki i czort wie co jeszcze, a wszystko z napisem Mallorca. Ale zdarzało się, że w jakiejś wciśniętej w bramę pracowni można było się natknąć na wycyzelowane cacka. Trzeba było tylko odważyć się i pchnąć ciężkie drzwi, za którymi jak gdyby nigdy nic siedział sobie taki artysta, który wyglądał tak, jakby poza jego procesem twórczym nie istniało nic. Rzadko który podnosił głowę z wyczekiwaniem, co ma podać, spoglądał łakomie na portfel. Mało, zdawał się zupełnie nie zauważać

przybyłych, niejednokrotnie dając im do zrozumienia, że są intruzami.

Pamiętała, że w jakiejś takiej zaciemnionej pracowni, po sufit wypełnionej czym popadło: pudłami, ramami, kartonami z pędzlami, zakupili niewielki obrazek olejny. Urzekło ich wówczas to, że mężczyzna właśnie kończył jego malowanie. Chcieli koniecznie kupić jego dzieło. Krygował się najpierw ze sprzedażą, a potem i z ceną. Upierali się stanowczo, choć tamten próbował im powiedzieć, że jeszcze musi go wykończyć i w ogóle „nadać mu formę”. Summa summarum stało na tym, że mieli przyjść za godzinę czy dwie, a on w tym czasie coś z tym zrobi. Niewiele zrobił. Przybił kilkoma teksami płótno do blejtramu. Mimo że oboje nie znali się na jakiegokolwiek sztuce, wiedzieli, że jest to klasyczny kicz, ale zachwycali się nim do końca wczasów, a potem zawisł w takiej nieskończonej formie w jej pokoju.

*

Szła urzeczona wszystkim, jakby była tu pierwszy raz. Na Plaça del Mercat jej uwagę przykuły jak zwykle niesamowite balkony. Nie wiedziała, która godzina. Nie zależało jej. Miała czas. Dość dobrze pamiętała numery autobusów, którymi miała wrócić do hotelu. Zresztą to było nieważne. Czuła się tu bezpiecznie. Mijała ludzi, którzy uśmiechali się do niej, czasem oglądała się za nimi. Dopiero widząc swoje odbicie w witrynach, zrozumiała ich. Dostrzegła. Jej twarz jaśniała uśmiechem. Zaraz za kolejnym zakrętem pojawiła się uliczka, która poprzez sklepione przejście prowadziła na Plaça Major. Uwielbiała to miejsce. Było takie pełne życia. To tam kiedyś siedzieli z Edwinem w wiklinowych fotelach, obserwując w milczeniu żółte fasady budynków z zielonym okiennicami. Tu, pośród otaczających plac murów rozerwanych bramami, prowadzącymi na wąskie uliczki, pulsowało życie. Niezliczeni artyści, mimowicie, ekwilibryści, magicy, rzemieślnicy wszelkiej maści z rozłożonymi kramami, portreciści, malarze... Tu biło serce Palmy.

Usiadła pod parasolkami. Kelnerka podała jej lody i wino. Tak. Poczowała się szczęśliwa.

*

– A tobie co znowu się stało? – Przypomniała sobie, jak Edwin zapytał ją, gdy naraz rozplakała się przy dźwiękach *Recuerdos de la Alhambra*.

Siedzieli prawie w tym samym miejscu. Parasole dawały nieco ochrony od upału, natomiast zimne piwo niwelowało wszystkie inne krzywdy. Edwin popijał je z uczuciem wytchnienia i ulgi. Współprzymknięte powieki zdawały się nakazywać: „Nie burz mojego spokoju”. Był na wyciągnięcie ręki, ale w rzeczywistości jakiś

odległy.

Nieopodal zapadnięci w miękkich kanapach całowali się jacyś młodzi ludzie. Para starszych turystów zaczepiała przechodniów, prosząc o zrobienie im zdjęcia. Przy stoliku obok kobieta ocierała oczy. Płakała. Siedzący naprzeciw mężczyzna z wyrazem zbitego psa błagał o wybaczenie, wciskając jej w rękę zwiędłą różę zakupioną od ciemnego dzieciaka. Przy wschodniej pierzei para kloszardów toczyła kłótnię, w której kobieta wymachiwała jakąś torbą z firmowym logo, mężczyzna osłaniał twarz, uciekając przed trafieniem. A między nią a Edwinem rozparła się pustka. Emocjonalna otchłań. Żadne z nich nie czuło potrzeby jakiegokolwiek formy kontaktu. Właśnie wtedy Łucja poczuła się tak strasznie samotna.

– Nic – powiedziała krótko. – Zupełnie nic.

Wzruszyła tylko ramionami i zaraz się opanowała.

Kiedy opuszczali plac, podeszła do gitarzysty i kupiła jego płytę.

Z czasem nauczyła się grać jej fragment na pianinie. Edwin lubił to, jak niemal wszystko, co grała.

*

Teraz też tęskniła za nim. Ale chyba wołała ten swój terazniejszy stan, kiedy nieobecność Edwina była oczywista, a owa tęsknota po prostu uzasadniona.

Wyszła na ulicę Sant Miquel i tamtędy prosto, zmęczona upałem i piekącym bólem stóp, udała się na przystanek. Zbliżał się wieczór. Na przystanku zebrała się niemała grupka ludzi. Większość z nich, zajęta swoimi myślami, nie patrzyła na nikogo, czasem ktoś spoglądał na zegarek, konfrontując czas z wyświetlaczem na tablicy ponad wiatą przystanku. Niektórzy dyskutowali gorliwie, gestykulując i coraz zmieniając intonację głosu. Dziewczyna z uwagą pilnego ucznia śledziła przewodniki, zaznaczając kółkami miejsca zaliczone. Łucja wracała do hotelu. Marzyła o natrysku i łóżku.

*

Winda ślimaczyła się. Mężczyzna jadący z nią lustrował ją od góry do dołu. Czuła się skrępowana. Ale kiedy wkładała klucz do zamka, już miała to poczucie oswojenia, poczucie własnego terytorium, gdzie była pewna i bezpieczna. I szczęśliwa.

Nie zeszła na kolację. Potrzebowała snu. Zjawił się znikąd.

To była spokojna noc. Śniło jej się coś, ale zanim otworzyła oczy, sen umknął.

pewnego dnia wiele lat po TYM

Pan Jerzy miał około osiemdziesięciu lat, a może i więcej. Nosił czarny, zwykły roboczy beret, z dwoma sznureczkami wystającymi z tyłu. Stalowa jesionka z zamszowymi wyłogami była jego znakiem rozpoznawczym. Zakładał ją przy każdej niemal pogodzie. Chodził wolno, z dystynkcją, trzymając głowę lekko przechyloną na prawy bok. To dodawało mu powagi i godności. Nikt nigdy nie widział go spieszącego dokądkolwiek. Przemierzał drogę powoli i z namysłem. Czasem przystawał zagadnięty znieacka przez kogoś znajomego, ale to widać też było wkalkulowane w rytm jego życia. Pan Jerzy życia nie popędział.

Kiedy zmarła jego żona, a byli małżeństwem od ponad czterdziestu lat, rwał włosy z głowy. Nie mieli oprócz siebie nikogo. Jemu wojna odebrała zdolność bycia ojcem. Jako młodzieniec trafił wraz z matką do obozu w Birkenau. Ojca rozstrzelali od razu, przy furtce w miejscowości niedaleko Łodzi. W obozie koncentracyjnym, poddawany wszelkim eksperymentom medycznym, z ledwością uszedł z życiem. I wszystko zdawało się nie mieć konsekwencji fizycznych, młody organizm wiele jest w stanie znieść. Do czasu, kiedy się ożenił i po wielu latach starań żona nie mogła dać mu potomka. Wzajemne oskarżenia, wiele badań, rozstania i kłótnie, a w końcu przyszła prawda i pogodzenie się z losem, i wzajemne zdanie się na siebie. I potem już było dobrze. Żyli sobie spokojnie. Jak to powiadał: raz pod górkę, raz z górki. Praca, dom, w niedzielę kościół. Czasem wyjeżdżali w swoje strony, na śluby, pogrzeby lub na groby. Życie, w młodości, okrutnie dopieklszy, wydawało się oszczędzać im większych dramatów. Do pewnego czasu, a mianowicie dopóki żona nie zachorowała... Zrazu jej choroba była śmieszna. Wkładała do lodówki robótkę z obrusem albo przejęzyczała się, czym budziła jego wesołość. Obruszała się, gdy z niej żartował, ale w końcu śmiała się razem z nim. Niekiedy narobiła chleba z kielbasą i pomidorami, a gdy powiadał jej, że przecież już jedli, machała z uśmiechem ręką i mówiła, że najwyżej zje jeszcze raz, chudy jest jak patyk, to może sobie pozwolić. Bywało, że zostawiała zupę na gazie albo włączone żelazko. Złościł się. Pal lichy przypalona zupa, zje się coś innego, pal lichy przypalona koszula, w szafie zawsze coś się znajdzie, ale bał się, że jej się krzywda stanie. Potem zaczęła mylić pory dnia, roku i nazywać go różnymi imionami. Z początku, kiedy wołała Władziu, Czechu, a on jeszcze niczego nie rozumiał, te pomyłki budziły w nim bunt i zazdrość. Jednocześnie. A kiedy coraz częściej normalne, codzienne sprawy stawały się problemami nie do ogarnięcia, a do tego doszła jeszcze straszna diagnoza związana z funkcjonowaniem narządów kobiecych, Jerzy złożył broń i poprosił o pomoc

miejscową opiekę zdrowotną. Wolał być żony towarzyszem niż pielęgniarzem. Ze ściśniętym sercem patrzył, jak gaśnie. Prowadzał ją za rękę na spacer, wciąż na nowo objaśniając najprostsze rzeczy. Wieczorami tłumaczył jej wiadomości, choć na drugi dzień nie wiedziała nawet tego, gdzie jest. Kiedy któregoś ranka go nie poznała, przyglądając mu się z nieskrywanym zdumieniem, rozplakał się niczym dziecko. Mógł sobie na to pozwolić, bo tego też nie rozumiała.

Mimo fachowej pomocy, opieki męża, jego próśb, przywiązania i miłości, kobieta umarła. „Dobrze choć, że się długo nie męczyła” – pocieszali go różni ludzie. Cóż oni mogli wiedzieć?! O samotności i braku celu?

To było jakieś dwadzieścia lat temu. Leżała obok Edwina. Gdyby nie paląca się niemal bezustannie świeczka, można by myśleć, że grób należał do kogoś zmarłego dawno, dawno temu. Nie było w tym pomniku żadnej nowoczesności, żadnych śladów mody. Prosty nagrobek, szare lastryko, dookoła płyty kępy rozrosłej paproci. A jednak pan Jerzy był tu dzień w dzień, wyjąwszy tych kilka dni, kiedy to pogotowie zabrało go z ulicy, bo stracił przytomność. Po badaniach okazało się, że był to zwykły chorobowy incydent, nierzutujący w żadnym stopniu na jego przyszłe zdrowie.

Pan Jerzy od dłuższego czasu obserwował Łucję. Nigdy nie przysiadowała na dłużej, nie płakała. Z jej wyglądu i dat na nagrobku wysnuł wniosek, że być może jest wdową po leżącym po sąsiedzku Edwinie.

Tamtego dnia stała nad grobem. W plastikowej torbie leżały zdekompletowane znicze. Osobno świece, osobno przykrywki. Składała wszystko.

– Najgorsze było to, że ciebie nie było, a Palma pozostała niewzruszenie piękna – powiedziała głośno.

Nie było w tym zdaniu żadnej pretensji, czy też żalu, a tylko zwykła konstatacja. Starła wosk z ręki.

Pan Jerzy obserwował ją z uwagą. Kobieta wyglądała interesująco i młodo. Była opalona i... smutna. A najważniejsze było to, że miała w sobie coś takiego, co przywodziło na myśl obraz jego żony. Próbował uchwycić to, nazwać. Z trudem mu to przychodziło, bo z wyglądu były całkiem różne. Może taka mętność spojrzenia, z którego nic nie można było wyczytać, które za mgłą ukrywało coś, do czego w żadnym razie nie sposób było dotrzeć.

Szukała czegoś nerwowo we wnętrzu obszernej torby. Czegoś. Może telefonu. Może papierosów. A może zapalek. Nie wiedział. Wytrząsnęła zawartość torebki. Na ziemię posypały się jakieś klucze, szminki i duży portfel, w którego wypadł cały wachlarz zdjęć mężczyzny. Tego samego, którego fotografia widniała na nagrobnej płycie. Twarz jednego mężczyzny. W różnym wieku. Różne ujęcia. Po co nosi tyle fotografii? Przecież na każdej to ta sama osoba! Której i tak, i tak nie ma! Kobieta trzymała w rękach kompletny znicz i rozgląda się wokół. Podeszedł

bliżej. Podniósł portfel i podał jej. Ich spojrzenia się spotkały.

– Proszę. Pani portfel, a tu zapalki. Są długie, nie poparzy sobie pani palców... – Mężczyzna przekazał jej pudełeczko. Długie palce, całe usiane brązowymi piegami, powykręcane przez artretyzm, trzęsły się jak osika.

Łucja się uśmiechnęła. Mężczyzna miał dobroć wypisaną na twarzy. Patrzył na nią, uśmiechając się jasno.

– Chyba musiałam gdzieś je przełożyć... – usiłowała się tłumaczyć. Potarła zapalką o draskę. Ustawiła znicze.

– Mnie to się zdarza notorycznie, ale że takim młodym też... to tylko pocieszenie dla mnie.

Stał i patrzył, jak świece zapłonęły równym, spokojnym płomieniem.

– Wie pani. Moja żona wszystkiego zapominała... Ale to zupełnie co innego – urwał, bo przecież ta kobieta wcale nie musiała być jak jego żona. Mało to ludzi wciąż o czymś zapomina? Ale to jest całkiem inne zapominanie niż tamto. Żonine.

– Brakuje jej panu? – Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. I Łucja pomyślała, że jest strasznie głupie. Takie oczywiste.

– Hmm... – Mężczyzna zamyślił się głęboko, jakby wahał się, czy to, co chce powiedzieć, będzie prawdą. – A wie pani, już nie... – zawiesił głos, odpływając gdzieś daleko, ale zaraz wrócił, z tym swoim opanowaniem.

Spojrzała na niego, nie bardzo rozumiejąc. Próbowwała zgadnąć. Może ożenił się powtórnie. Mężczyzna zdał sobie sprawę, że jego słowa mogą brzmieć dla niej dziwnie. Były okrutnie szczere. Ale przecież tak czuł. Teraz tak czuł.

Słońce paliło gorącem. Na niebie ani jednej chmury. Samo południe. Zmęczone upałem kwiaty, trawy, krzewy i wszystko, co zielone, w tym słońcu stało się wyblakłe, pozbawione życia. Nie pomagały konewki wody. Wszystko schło na potęgę.

Krople potu zrosiły mu czoło. Dopiero teraz przyjrzała się jego twarzy. Krepina. Po prostu krepina. Oczy, które pewnie niegdyś potrafiły patrzeć daleko i widzieć dużo, teraz zapadły się w oczodoły, wyzierając na świat wąskimi szparami. Jedno było bardziej zwawe, mrugało raz po raz. Jakiś nerwowy tik czy coś. Nad zapadniętymi oczami krzewiły się brwi. Potem nos, klasyczny chopinowski nos i poniżej wąskie usta. Dziwne było to, że miały taki świeży wygląd. Nie były specjalnie pomarszczone, wyglądały na dobrze ukrwione. Zupełnie nie pasowały do twarzy tego osiemdziesięcioletniego człowieka.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa. Nie żadną tam papierową, ale taką białą w kratkę. Nakrochmaloną i złożoną we czworo. Swoją drogą, ciekawe, kto mu prał, krochmalił i prasował te chusteczki. A może to były te zakupione przez jego żonę, pewnie zgromadzone i ułożone w jednej z szuflad ich szafy. Łucja pomyślała, że po Edwinie nie została żadna taka chusteczka. Pamiętała, że raz otrzymał od jej matki w prezencie taki w trójkąty ułożony

i przewiązany zieloną atlasową wstążeczką zestaw męskich chusteczek. Wszystkie były w kratę. Ale każda była inna. Miały tylko ten sam dobór kolorów. Nie pamiętała, by kiedykolwiek ich używał. To już była era papierowych, białych, owiniętych w folię z rozkiem do odrywania. Tamte gdzieś się podziały.

Mężczyzna przysiadł na brzegu ławki. Chusteczką pocierał spoconą od upału twarz.

– Kiedy ona umarła, nie mogłem uwierzyć... Wie pani, ja nie piję. Nigdy nie lubiłem tego świństwa, ale wtedy piłem. Brr! – Wzdrygnął się z obrzydzeniem, jakby właśnie wychylił kieliszek z wódką. – Jak byłem młody, musiałem pić. I żeby zapomnieć, i żeby przeżyć... I wie pani, ona wtenczas pokazała mi, że nie tędy droga, że to zapijanie pamięci, to okłamywanie, że można inaczej. Trzeba spotkać się ze swoim duchem, powiadała. Ile my nocy spędziliśmy na tych „duchach przeszłości”! Ja swoje, ona swoje. A mówić, to potrafiła. I to mądrze. Nie żeby jakaś wykształcona była nie wiem jak. Życiową mądrość miała. A tej przecież żadna szkoła nie nauczy...

Zamilkł. Przez chwilę Łucji zdawało się, że zasnął. Głowa lekko przechylona na prawo zwisała bez ruchu. Ale nie spał. Czubkiem buta zataczał kręgi na wyschniętej ziemi. Siwy pył pozostawał na bucie. Tupnął, strzepując siwy kurz. Palcami przetarł skórę.

– Wie pani co? Wszystko wszystkim, ale but to musi lśnić – zaczął zupełnie z innej beczki, jakby ta chwila wystarczyła mu, by odzyskał siły. – Musi być wyglansowany na połysk. Jak lustro. Zgodzi się pani ze mną? Człowiek może być odsztafirowany od stóp do głów, ale jak but zabłocony lub niepodzielowany, to wszystko psu na budę.

Łucja przypomniała sobie dziadka szewca. Czy on też tak myślał? Dziadek Stanisław? Nigdy nikt o nim nie mówił...

Pan Jerzy podparł się łokciami na kolanach.

– Ale po co ja to pani mówię? – zachnął się. – Każdy człowiek ma swoją opowieść. Prawda? Tylko nie zawsze ma ją komu opowiedzieć. Przepraszam panią...

– Ależ nie! Proszę mówić. Naprawdę! – pospieszyła Łucja.

Wahał się chwilę, ale nie dał się dłużej prosić.

– Widzi więc pani. Ona oduczyła mnie pić. Unikałem wódki jak zarazy... Ale kiedy umarła... upiłem się jak helikopter. Piłem do pogrzebu... i po... Piłem na umór. Bałem się trzeźwieć. Pani! Dlaczego? Piorun wie! Przecież wiedziałem, że ona umrze. Taka kolej. Normalnie człowiek się starzeje, mądrzeje i kiedy już więcej nauczyć się nie zdoła, to musi umrzeć. Bo i po co dalej żyć, jak już wszystko wiadomo? Ona znowu inaczej, robiła się coraz głupsza... I... Kiedy już nie było dalszej drogi wstecz, to musiała umrzeć. I ja wiedziałem! Wiedziałem! Ale... pani... co innego wiedza, co innego wiara... Nie wierzyłem, że to się stało!

Pokręcił głową, jakby chciał przegonić złe obrazy.

Łucja zamyśliła się. Chwilę wpatrywała się w twarz mężczyzny, ale zaraz odwróciła wzrok, zdając sobie sprawę, że może jej spojrzenie go krępuje.

– Zakopali ją. Pozapalali świeczki. Powypisywali imiona i daty. A ja piłem dalej! Wlewałem jak do studni. Po krańce cembrowiny. Kiedy już przestało mi wchodzić, kiedy smak wódki wydał mi się niczym uryna, niczym kwas, przestałem... Jak ręką odjął. Jakby mnie ktoś odczarował. A może to ona była? Obudziłem się. Na trzeźwo zobaczyłem świat. Jej pokój był pusty, szafa pełna jej zapachu... Na dworze zaczęło sypać śniegiem. Listonosz przyniósł jakieś pisma. Sąsiadka zbierała podpisy na zamontowanie domofonów... Ja... pani kochana, pijany, nie wiem odkąd. Wytrzeźwiałem.

Łucja przysiadła na ławeczce. Słuchała. Siedzieli obok siebie, równolegle. A jednak... czuła ciężar, jaki ten człowiek nosi w sercu.

– Pani! Dom pusty. Jej nigdzie. Kiedy sobie pomyślałem o wszystkim, myślałem, że mnie rozerwie, że mi serce pęknie! Tak naprawdę, nie jak w piosence, ale rwało do ostatniego bólu!

Łucja była coraz bardziej poruszona. Nigdy nie lubiła takich opowieści. Teraz chciała tu być i chciała, by ten człowiek, którego było jej tak bardzo żal, mówił. Chciała się do niego przytulić, pogłaskać go po pomarszczonym policzku i powiedzieć, że ona wie, że rozumie, że ona też... ale milczała.

– Dzień nie piłem, ale... potem było tylko gorzej... Byłem sam jak palec. Aż któregoś dnia rzuciłem, pani, to gówno! Przestałem łąć! Popatrzyłem na swoją gębę w lustrze. Pani! Mówię pani, jakiś istny menel! Nieogolony, niedomyty. Morda sina. Oczy zapadnięte. I doszło do mnie! – Znow przerwał na chwilę, by wziąć głęboki oddech, wytrzeć spoconą twarz i strzepnąć z butów pyłki kurzu. Oczy zalśniły. – Ona umarła! Mój świat poszedł w cholerę jasną! A obok? Obok życie trwało. Jakby nigdy nic! Jeździły samochody, ludzie chodzili, sklepy otwierały się i zamykały, wciąż ktoś kogoś rodził, kogoś chował! Życie toczy swój bieg, a moja osobista tragedia była tylko zaledwie jedną z miliona, więc niezauważalną i mało znaczącą... Szamotałem się długo... Pięć, dziesięć, piętnaście lat i jeszcze więcej... A kiedyś, pani, wstałem rano. Za oknem jasność, niczym w niebie, zielono i kolorowo, dzieciaki pod domem bawiły się w berka, na parapecie przysiadł ptak. Obudziłem się rześki i zdrowy. Wie pani, nic się nie zdarzyło, ale ja umyłem się, ogoliłem, założyłem wypraną koszulę i poszedłem na spacer... Do niej też... A potem... potem, pani droga, to już wiedziałem, że trzeba żyć, choćby na przekór sobie, bo życie to dopiero jest wartość! Sama w sobie, najwyższa.

Kończył z patosem, który wydał się Łucji nieco śmieszny w tej swojej pompatyczności, ale wewnątrz wiedziała, że ten człowiek tak czuje. Był mądry.

Na krzyżu przysiadł ptak. Przekrzywił śmiesznie główkę, jakby zamierzał

dopasować się do przechylenia mężczyzny. Wyglądało to tak, że chcą sobie spojrzeć prosto w oczy, więc szukają jednej linii wzroku. Coś tam zaświegotał po swoim, potem machnął zmęczonymi skrzydełkami i odleciał.

– Ptaki, pani, to muszą być szczęśliwe stworzenia... – zaczął pan Jerzy po chwili, nie spuszczać oczu z trajektorii lotu, aż do momentu, kiedy ptak zmałał i zamienił się w punkt nie większy od łepka szpilki, i zaraz zupełnie zniknął wysoko w obłokach.

Łucja nie odpowiadała. Lubiała ptaki. Ale czy były szczęśliwe? Nie. O tym nie myślała.

– One są tak blisko Boga... i widzą więcej. Nieraz tak sobie myślę, że gdybym miał skrzydła, to latałbym bez ustanku. Ale jak najwyżej. Byle, pani kochana, jak najdalej od tego bagna... tej podłości ludzkiej...

*

Z tej zadumy wyrwał ich głos telefonu. Łucja sięgnęła do kieszeni. Wyświetlacz był prawie nieczytelny. Na pamięć wcisnęła zieloną słuchawkę.

– Maria Leokadia – usłyszała słaby głos.

Ponownie zerknęła na wyświetlacz. „Ania”. O co jej chodzi?

Mężczyzna podniósł się, jakby zamierzał już iść, nie wypadało mu przeszkadzać, jednak widząc wyraz twarzy Łucji, na której zdziwienie mieszało się z niepokojem, przystanął, pomyślał tak zwyczajnie po ludzku, że może trzeba będzie w czymś pomóc. Nagle twarz kobiety pojaśniała, oczy błysnęły tak niesamowitym blaskiem, że mężczyzna uspokoił się, ale mimo to nie odszedł. Czekał.

– Mała ma na imię Maria Leokadia. – Córka miała głos przyciszony, ale radosny. W tle słyhać było, jak Artur prosi:

– Powiedz mamie, że ma moje oczy. Aniu! Powiedz jej.

Dało się słyszeć, że też jest wymęczony. Zdecydowali się na wspólny poród. Łucja się nie wtrącała. Przez głowę przebiegła jej myśl, że ona i Edwin... Nie, to byłoby niemożliwe. Przez te wszystkie lata uzbierali niemałą kolekcję tabu. Nie oglądali swoich ciał, nie mówili sobie o pewnych dolegliwościach, nie masowali się, nie głaskali, nie szeptali...

– Ma jego oczy...

I zanim Anka się rozłączyła, Łucja obiecała, że zaraz przyjedzie, że przywiezie, co trzeba, zadba o wszystko. Niech tylko Anka wypoczywa. I Artur też. I całuje wszystkich. No pewnie, jego też. Prawie męża, jak żartowała często Anka.

*

– Mamy nową wnuczkę. Całkiem nową... – zwróciła się w stronę pomnika.
– A ty dalej leżysz. Wiesz, ile tracisz?

– Słyszał pan? Moja córka ma córkę. – Przypomniała sobie, że nie jest sama. Chwyciła w dłonie głowę staruszka. Ucałowała zmarszczone czoło. Nie bronił się.

– Drogie dziecko, jeszcze wiele przed tobą szczęścia – rzekł niczym prorok.
– Tylko pozwól sobie na nie. Daj sobie szansę. A teraz wracajmy, bo ja to już całkiem wyschnę na tym słońcu. – Powiedział to takim tonem, że Łucja bez sprzeciwu wzięła swoją torbę, a potem, ujawszy starszego pana pod rękę, wracała z cmentarza.

Na parkingu zaproponowała, że może go podwieźć, że taki upał, a ona i tak jedzie i nieważne, że w inną stronę. Pan Jerzy jednak kategorycznie odmówił.

– Ja mam wiele czasu. A po drodze jeszcze tyle ludzi można spotkać.

Nie namawiała. Uściskała tylko jego dłoń, cmoknęła w policzek i pojechała do szpitala.

w nowym życiu, tamtego lata

Kot płatał się pod nogami. Wyszedł ze swego legowiska z czystej przyzwyczajenia, bo tak naprawdę diabelnie mu się nie chciało. Wprawdzie Łucja przygotowała mu wyjście z domu, przez okienko w garażu, ale zwierzak jak gdyby do końca nie wierzył w szczerść jej poczynań i na wszelki wypadek wolał nie ryzykować samotnego spaceru poza dom. Odkąd Łucja wróciła z wczasów, każde jej wyjście komentował głośnym miauczeniem, które niewątpliwie było wyrazem jak największego niezadowolenia. Natomiast kiedy powracała do domu, pałał się między nogami, ocierał się, mrużąc przymilnie, ale łeb trzymał w dumnej pozycji, oznaczającej absolutną oziębłość emocjonalną. Łucja nachyliła się, delikatnie czochrając najeżoną sierść. Niby się odsuwał, ale lgnął do niej, napierając coraz mocniej na łydki.

Stała pośrodku korytarza. Łagodne wieczorne światło wlewające się dyskretnie przez okna tańczyło po podłodze. Dom był pusty. Żadnego ruchu ani dźwięku. Cała przestrzeń jak wymarła. To wrażenie pustki naraz stało się dla Łucji nie do zniesienia. Przechadzała się po domu, jakby tu była po raz pierwszy. W korytarzu znane odbicie. Kobieta z lustra patrzyła na nią zdziwionymi oczami. Ze ścian, komód, parapetów śledziły ją oczy Edwina. Oto dom fotografii i luster. Spędza życie wśród duchów wspomnień, otoczona zdjęciami. Kot przyglądał jej się z niemym zdumieniem. Wszystkie pokoje otwarte na przestrzał. Tylko jej pokój

wciąż zamknięty, jakby zakłęła w nim przeszłość. Zapomniała, kiedy przestała tam bywać. Kiedyś zachodziła, by przetrzeć meble i przewietrzyć. I jeszcze ten jeden raz, kiedy po wizycie Anki zupełnie bezcelowo postanowiła przetoczyć pianino z jadalni tutaj. Weszła do środka. Ostrożnie, jakby stąpała po szkłe. Kot podązał za nią jak tajemniczy Don Pedro z *Porwania Baltazara Gąbki*. Zapach staroci uderzył w nozdrza. Siadła do pianina. Delikatnie przetręła dłonią kurz osadzony na klawiaturze. Zagrała kilka akordów. Dźwięki spłoszyły kota, schował się za winkel, ale po chwili wyszedł, podchodząc coraz bliżej niej. Uderzyła jeszcze raz. Palce sztywne jak drewniane klepki z trudem trafiały w odpowiednie miejsce. Kot na dźwięk pianina znów odskoczył w popłochu, patrząc z wyrzutem na panią, że go nie uprzedziła, że on sobie wyprasza takie traktowanie. Zagrała kilka taktów *Recuerdos de la Alhambra*. Nie wychodziło. Co takt wkładał się fałsz, klawisze mieszały się, plątały dźwięki. Zamknęła klapę.

– Już się nie bój – zwróciła się potulnie do kota, który wciąż spoglądał na nią skonfundowany. – Obiecuję, nauczę się grać.

I kiedy schyliła się, by pogłaskać go po grzbiecie, wydawał się ostatecznie udobruchany, bo z miejsca zaczął ocierać się o jej nogi, mruczając ugodowo.

Chodziła po pokoju. Czowała się jak w tajemniczym ogrodzie. Ręką powiodła po meblach, pozostawiając na nich ciemne ścieżki. Dotykała wszystkich bibelotów. Każdy z nich miał swoją opowieść. Ładnie. Ładnie tu było. Stała. Wzrok wędrował po ścianach. Dookoła. Metr po metrze. Zdumiewające. Naraz zdała sobie sprawę, że to jedyny pokój, w którym nie ma jego zdjęcia. Ani lustra. Tylko na komodzie jedno malutkie, okrągłe zwierciadelko wieńczyło pokrywkę niewielkiego przybornika. Takie małe jak te, które kiedyś można było kupić na przykościelnych straganach, z wizerunkiem Sophii Loren.

Ten przybornik kupiła kiedyś od ulicznego handlarza. Spodobało jej się mahoniowe drewno i to malutkie lustro w ażurowej mosiężnej ramce. Długo nie znajdowała dla niego przeznaczenia, aż w końcu znalazły się tam stare wieczne pióra. Nie jakieś zabytkowe czy cenne. Zwykle chińskie, jakieś niedrogie pelikany, polskie omegi w plastikowej oprawie imitującej lapis lazuli, z obgryzionymi nasadkami. Zawsze lubiła wieczne pióra, choć niewiele pisała. Jakaś kartka świąteczna, nieistotna notatka w kalendarzu. Kładła je tam, gdy okazywało się, że stają się już bezużyteczne. Były więc tam pióra jej, dzieci. I piękny długopis Watermana Edwina. Rzucony tu przypadkiem.

Cały pokój naraz wydał jej się osobliwy. Tu był kiedyś jej świat. W tamtym czasie. W tamtym życiu, którego trzymała się tyle lat kurczowo, nie dając sobie szansy na nowe.

Trzeba coś z tym zrobić – pomyślała.

*

Wyszła z pokoju, pozostawiając otwarte drzwi. W kuchni panował półmrok. Potrzebowała tego. Nie chciała, by ją widział. Łucja nigdy nie lubiła ciemności, zawsze ją przerażała. Dlatego też nigdy nie zgadzała się, by rolety były szczelnie zasunięte. Musiała mieć choćby centymetr jakiegokolwiek przejaśnienia. Od kiedy Edwina zabrakło, nigdy nie wychodziła z domu po zmroku. Rzadko też zdarzało jej się tak wracać. Ciemność przygnębiała ją jeszcze bardziej. W domu więc zawsze paliły się lampy, żyrandole. Jak w Belwederze – tak by powiedział.

Siedziała na kuchennym krześle, z rękoma skrzyżowanymi na stole. Jakby sprawdzała, co się stanie. W tym półmroku. Zza oka dochodziły odgłosy przejeżdżających aut, gdzieś w oddali wściekle ujadał pies. Przymknęła oczy na chwilę. Chciała wywołać wspomnienia, chciała, by ją bolały. Ale one traciły kontury, blakły jak spłowiałe zdjęcie. Wzrok przyzwyczajony do ciemności wyostrzał się. Patrzyła na Edwina. Rozcieńczał się, rozpuszczał w niej jak kropla mleka w wodzie.

Wzięła je do ręki. Palcem obwodziła owal twarzy, zarys czoła, rysunek ust.

– I co? Umarłeś – szepnęła, jakby bała się, że ktoś ją może usłyszeć. – A życie trwa... Moje życie trwa nadal... Muszę coś z nim zrobić...

Wstała, by zdecydowanym ruchem odstawić fotografię na miejsce. I nagle „brzdęk”. Tracone łokciem lustro spadło, rozsypując się deszczem drobniutkich kawałków po całej kuchni. Podłoga załśniła, jakby była posypana brokatem.

– Cholera! – syknęła wściekła. Nie wiadomo, czy bardziej na bałagan, czy zbite lustro. Stąpając na palcach, zamierzała iść po odkurzacz.

Kot leniwie podniósł powiekę i ze wzrokiem pełnym pretensji wyglądał, jakby udzielał jej reprimendy: „I co dobrego narobiłaś! Tłuczesz się po domu, jakbyś nie mogła po ludzku się iść i wziąć mnie na kolana!”. Zaraz też zawinął ogon i poszedł do salonu.

– Widzisz, co narobiłam – powiedziała. Do niego lub do kota. Zdawało się, że obydwaj patrzą na nią z wyrzutem. – No co? Nie patrz tak na mnie. Babka Stanisława powiadała, że jak się lustro rozbije, to żadne nieszczęście. To znak, że w twoim świecie źle się dzieje. Trzeba koniecznie każdy kawałek zawinąć w czarny papier i wyrzucić. I dokładnie posprzątać. A potem pomyśleć o tym, czego nie chciałaś już więcej widzieć. Lustro ci mówi, że życie dojrzało do zmiany. Ona też tak miała. Zbiło jej się duże lustro w stołowym pokoju, a potem... potem wszystko w jej życiu się zmieniło.

Kawałki dzwoniły na szufelce. Przed nią leżała pusta rama. Osierocony owal! O dziwo, nawet nie nadpękła.

kilka lat po TYM, w nowym czasie

– Sprzedaj ten dom – powiedziała Anka, kiedy już wszyscy rozeszli się po chrczinach do siebie. Ona została tu, w domu matki. Został też Łukasz z żoną, Hania i Franek. Jakoś tak wyszło. Łucja zaproponowała, że przecież można przyjęcie urządzić u niej. Przywieźli babcię Leokadię. Pogodna, spokojna. Nic się nie zmieniała, może trochę się skurczyła, ale miała w sobie tyle łagodności, że udzielało się to wszystkim. Obserwowała ich z milczącym uśmiechem. Najczęściej jednak jej wzrok zatrzymywał się na Franiu. Był taki podobny do nich wszystkich, ale chyba najbardziej do Edwina.

– Ania ma rację. Po co, mam, tobie samej, taki wielki dom? – podjął temat Łukasz.

– O nie! – krzyknęła Hania, udając, że szłocha. – Ja się nie zgadzam! Nie zgadzam! To będzie mój dom. Mój, mój! – Tupnęła nogą.

– Ona jest głupia, ale teraz to ma rację. Ja też nie wyrażam zgody – oświadczył poważnie Franek.

Wszyscy spojrzeli na siebie z rozbawieniem.

– Dobrze, że choć Maryśka Lodka jeszcze nie mówi. Bo pewnie też miałyby coś do powiedzenia.

Mała, jak na komendę, zaczęła płakać.

– A widzisz, ciociu? – podchwyciła Hania. – Ona też wie, że to będzie na zawsze nasz wakacyjny dom. I nasz, i naszych dzieci, ich dzieci, i... Prawda, babciu? – zwróciła się do Leokadii.

– No już dobrze, dobrze. Ale już cichutko! I proszę się nie wtrącać! – rzekła stanowczo Asia, która jak zwykle starała się nie ingerować w „ich rodzinne sprawy”, ale dbała o to, by dzieci nie były zbyt absorbuujące.

Łucja wzruszyła ramionami.

– A ty, mam, co o tym sądzisz? – spytała teściową.

– Wiesz, dziecko, człowiek powinien mieć prawo wybrać sobie miejsce. Jeśli jeszcze ma taką możliwość...

Łucja nie wiedziała, czy ma jakiś wybór, czy nie. Nigdy nie nosiła się z zamiarem przeprowadzki, choć od niedawna czuła wewnątrz wyraźnie, że musi coś w swoim życiu zmienić. Nie miała jeszcze pomysłu na ową zmianę, ale miała przeświadczenie, że będzie to totalna metamorfoza. Rewolucja.

– To jest moje miejsce – powiedziała po chwili. Nie było w tym stwierdzeniu żadnej hysterii, czy też manifestu, ale w tym krótkim oznajmieniu można było wyczytać taką determinację, że chyba tylko głupiec zdobyłby się na ponowienie propozycji wyprowadzki.

Wieczorem Leokadia prosiła, by odwieźć ją do „domu”. Wydawała się zadowolona i szczęśliwa, dziękowała za zaproszenie, ale nie, nie, dłużej to już ona nie chce sobą zawracać głowy. Nie, nie, czuje się bardzo dobrze i jest bardzo wdzięczna. Pewnie, jest szczęśliwa i dzieci takie piękne i dobre, i wszyscy mili, ale ona nie chciałaby robić kłopotu, więc delikatnie, ale dość zdecydowanie nalega. Chce do domu... Jakiego domu? Jej. Dom jak dom.

*

Łukasz odwiózł Leokadię. Siedziała w samochodzie nieruchomo. Kątem oka widział, jak babcia uśmiecha się do siebie. Coś tam szeptem, w zasadzie tylko rusza ustami. Uścisnął jej dłoń. Była drobna i wiotka jak łapka szmacianej pacynki. Ich spojrzenia spotkały się. Zapadnięte głęboko oczy babki Leokadii zdawały się mówić: „Pilnuj wszystkiego. Tylko ty zostałeś”.

*

Anka nakarmiła małą i zostawiła ją Arturowi. Dzieci leżały na dywanie w salonie. Wyjątkowo zgodne i ciche. Kot położył się między nimi, łaskawie zezwalając raz jednemu, raz drugiemu na pieszczoty.

*

Siedziały na werandzie. Łucja i Anka. Powietrze było nieruchome, jakby naraz ktoś zatrzymał świat. Jak w dziecięcej zabawie: raz, dwa, trzy Baba Jaga patrzy. Wokół roztaczał się słodki zapach jesieni. Zapach dojrzałych jabłek, soczystych śliwek i przemijania. W oddali czerwienią odcinały się od pozostałych drzewa jarzębiny. Na stole stała cała misa dojrzałych owoców. Siedziały obie, nizały drobne kulki na nitki, bo Hania wymyśliła, że wszyscy mają być ustrojeni. Sznury miały być długie, by można było owinać szyję kilkakrotnie.

Joanna stała z boku. Już dawno ustaliła swoją pozycję.

– Chodź do nas, Aśka – zaproponowała Anka. – W końcu to na zlecenie twojej córki dziabiemy tu i dziabiemy.

Joanna patrzyła na te kobiety. Kobiety z życia jej męża. Już od dawna była jedną z nich. Nieraz bała się, że to ona zarazi się od nich. Emocjonalnym kalectwem. I będzie jak one, jak on... Ale wyleczyła go. Anka też była na dobrej drodze... To może i jej – Łucji się uda. W ten dzień, kiedy wrócili ze Stanów, teściowa wydawała się inna. Nie potrafiła nazwać tej zmiany, jednak pomyślała wówczas, że może jeszcze coś się zmieni, że Łucja odnajdzie swój czas...

– Zmieniłaś się, mamó – przerwała ciszę Anka, jakby czytała w myślach bratowej, która uśmiechnęła się, bardziej do swojego wnętrza, bo twarz pozostawała niemal niewzruszona.

– Tak. Zmieniłam się – przyznała Łucja. – Widać już czas.

Czerwone sznury koralu płątały się pod nogami. Łucja okoliła nimi szyję, trzymając nitkę w rękach.

– *Czerwone korale, czerwone niczym wino. Korale z polnej jarzębiny. I lzy dziewczyny, i wielkie lzy...* – zaintonowała Anka.

– Czas spać – zakomenderowała Łucja. – Jutro też jest dzień. Trzeba zająć się dziećmi.

Hania już spała, a Franek bronił się jeszcze, przełączał pilotem kanały, szukając Bóg wie czego. Na górze Artur czytał małej bajkę. Ma zaledwie kilka tygodni, a oni wciąż do niej mówią, dziwiła się Łucja.

*

Dom tętnił życiem. Obudziła się w środku nocy. Wszyscy spali. Ale to nie była taka sama cisza jak zwykle. To była cisza, która rozpierała ze szczęścia tak mocno, że bała się przerwać ją choćby głośniejszym oddechem, czy też kaszlnięciem. Nawet kot, który od kilku dni dzielnie znosił najazd obcych, teraz zdawał się stąpać na swych łapach, chowając pazury, by nie daj Bóg, nie zaskrzypiały, czy też nie stuknęły nieopatrnie. Łucja gładziła go po grzbiecie, na co on odpowiadał z bezmierną wdzięcznością, wydając z siebie bezdźwięczny, wibrujący pomruk.

– Widzisz, kocie, kiedyś mój świat się zawalił i nikt tego nie widział. Nie napisano o tym w kronikach ani na pasku w TVN-ie. Nie miało to znamion powszechnego kataklizmu. Pozostało nieważne? Myślisz, że świat o tym pamięta?

po TYM, w nowym czasie Łucji

Łucja czuje, że nadszedł czas, aby rozprawić się z przeszłością ostatecznie. Zbiera po mieszkaniu rzeczy męża. Kapsie, etui na okulary. W każdym pomieszczeniu jakaś część. Zastanawia się nad zdjęciem. Trzyma fotografię Edwina w dłoniach. Nie sposób zliczyć, który to już raz.

– Babciu, a dziadek poszedł do nieba, prawda? – pyta Hania, kiedy Łucja pakuje fotografię do zakupionej kiedyś skrzynki, która przez cały czas stała pusta w jej pokoju. Nigdy nie miała na nią pomysłu. A teraz myśli, że tam go spakuje.

I będzie wciąż blisko. Na wyciągnięcie ręki.

Dziewczynka chwyta zdjęcie. Wpatruje się w nie z ogromną dziecianną uwagą. I tak śmiesznie przekrzywia główkę, jakby chciała zobaczyć, czy pod różnym kątem oczy dziadka będą patrzyły na nią tak samo. A on śledzi ją ze zdziwieniem niczym Madonna w Luwrze.

Łucja zamyśla się. Rozrzewnia ją pytanie wnuczki. Ta jednak cierpliwie czeka na odpowiedź. Chwilę jeszcze obraca zdjęcie w prawo, w lewo jak śnieżną kulę, ale potem wbija wzrok w babcie. Z wyrazu twarzy, z powagi, jaka się na niej maluje, można wnioskować, że zapewne nie da jej się wcisnąć czegokolwiek.

– Podaj mi to zdjęcie! Schowamy je – nakazuje Łucja, próbując uniknąć odpowiedzi.

Wnuczka jeszcze chwilę przetrzymuje fotografię w małych dłoniach. A potem, jak w zwolnionym tempie, w sekwencji obliczonej na zapamiętanie poszczególnych aktów, podaje Łucji podobiznę dziadka.

– Babciu! Co z tym niebem? – Mała nie rezygnuje z postawionego wcześniej pytania. – Jest tam, czy go nie ma?

– Nie wiem... – mówi Łucja po namyśle, zamykając wieko zdobytej dawno skrzyni.

– I czy jest mu tam wygodnie? Przecież tam jest tyle ludzi! – pyta Hania niestrudzenie, przyjmując jako pewnik, że dziadek jest w niebie, bo gdzież by miał być.

Łucja uśmiecha się. Kiedyś też się nad tym zastanawiała. Te same pytania. I żadnej odpowiedzi.

Kartony pozbieranych po domu staroci tworzą sterty. W jednych jest to, co jeszcze trzeba przejrzeć, w innych – wszystko do spalania. Łucja odrywa się na moment od pracy. W powietrzu jak gradowa chmura wisi pytanie Hani.

– Niebo i piekło nie istnieją. Nie ma takich miejsc – mówi Łucja, ale mówi to tak, jakby sama do końca nie była przekonana co do prawdziwości swoich słów.

Dziewczynka coraz większymi oczami patrzy na Łucję, która zamierzała obalić jej teorię o pięknych aniołach i rogatych diabłach w czarnym piekle. W jej spojrzeniu pojawia się zwątpienie. Kobieta dostrzega ten strach. I wyobraża sobie, jak może się czuć dziecko, którego wszechświat zostaje nagle brutalnie zniszczony. Łucja przypomina sobie, jak to kiedyś ktoś wyśmiał ją, kiedy płakała z rozczarowania, bo Mikołaj nie przyniósł jej tego, co chciała, chociaż była taka grzeczna i tak bardzo liczyła na jego sprawiedliwość. A tu okazało się, że Mikołaj jest wielką błagą.

– Bo to jest tylko stan duszy – dodaje łagodnie. – Każdy nosi w sobie piekło lub niebo. Zrozumiesz to kiedyś.

Dziewczynka wydyma śmiesznie wargi, bo rzeczywiście teraz to już absolutnie niczego nie rozumie. Zaraz też biegnie za kotem, który wynudzony,

wyspany postanawia przespacerować się swoim zwyczajem po swoim domu.

Łucja targa skrzynie i kartony, układa z nich stos. Resztę dokończy jutro.

czas Łucji

Łucja idzie gdzieś jakimiś ulicami, wchodzi do sklepu. Witryna wygląda jak taki starodawny drewniany wóz drabiniasty z obwoźnym handlem. Tylko dziewczyna za ladą jest jak nie z tamtego świata. Ubrana w obcisłe džinsy, kusą koszulkę. W płatkach uszu lśni rząd kolorowych kolczyków. Wymalowanymi na czerwono tipsami wklepuje coś, uderzając ze znudzeniem, w klawiaturę komputera. Jest bardzo młoda. Podśpiewuje sobie, śmiesznie drgając całym ciałem. Łucja przystaje. Wśród mnóstwa różnych drobiazgów widzi lustro. Dziewczyna poważnieje, staje się służbowa i profesjonalna.

– W czym mogę pani pomóc? – pada pytanie.

– Rozglądam się – Łucja uśmiecha się niepewnie.

– Jakby co, służę – rzuca dziewczyna i wraca do komputera.

Kątem oka zerka na klientkę. W myślach próbuje zgadnąć, czego szuka w tym sklepie. Jest elegancka, wytworna. Takie jak ona nie kupują w „1001 drobiazgów”.

– Do widzenia – mówi Łucja. Ale przystaje. Waha się. W końcu zdecydowanie wychodzi ze sklepu. Zrobiwszy kilka kroków, wraca. Dziewczyna za ladą uśmiecha się.

– Ja jednak wezmę to lustro... – mówi Łucja, wskazując palcem na owal wciśnięty pomiędzy komplet obiadowy a deski do krojenia.

Kupuje lustro. Prawie takie samo jak to, które stłukła. Z inną ramą, inną ostrością.

W domu stawia je na toalecie. Starannie spryskuje płynem do szyb. Dmucha, chucha, by stało się krystalicznie czyste. Zadowolona z czynionych zabiegów, chowa je do skrzyni.

[1] Weltmeister to najstarsza na świecie manufaktura wytwarzająca akordeony.

